



ROSAMUND LUPTON

Autorka
bestsellerowych
powieści
Siostra i Potem

Thriller, który zmrozi ci krew w żyłach!

BARWA CISZY

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Podziękowania

ROSAMUND LUPTON

BARWA
CISZY

Z angielskiego przełożył

Jan Kabat


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
THE QUALITY OF SILENCE

Wydawca
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Joanna Wysłowska

Korekta
Jadwiga Przeczek
Marzenna Kłos

Copyright © 2015 by Rosamund Lupton
All right reserved
Copyright © for the Polish translation by Jan Kabat, 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Laguna

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-326-2

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla Tory Orde-Powlett

*Jest głęboki styczeń. Niebo jest twarde.
Łodygi są mocno zakorzenione w lodzie.*

*To w tej samotności sylaba
Dobywszy się z nieporadnych drgnień*

*Intonuje jej niezmierną pustkę,
Najdziwnszą głuchość zimowego głosu.*

Wallace Stevens
No possum, no sop, no taters,
tłum. Jan Kabat

Moje imię to kształt, nie dźwięk. Jestem kciukiem i palcami, nie ustami i językiem. Jestem dziesięcioma palcami, które dojrzewały stopniowo — jestem dziewczynką złożoną z liter.

R-u-b-y

A to jest mój głos.

ROZDZIAŁ 1

Słowa bez Dźwięków@Słowa-bez-Dźwięków

650 followersów

EKSCYTACJA: smakuje jak gwiazdny pył; czuć ją w kościach jak bum-stuk, kiedy samolot ląduje; wygląda jak wielki włochaty kaptur inuickiej kurtki, którą nosi tata.

Jest LODOWATO zimno, jakby powietrze było ze stłuczonego szkła. Nasz angielski mróz to krągłe bałwanki i hura! spadł śnieg; mróz przyjazny. Ale ten jest zły. Tata powiedział, że dwie najważniejsze rzeczy dotyczące Alaski to:

po pierwsze — jest tu naprawdę zimno i

po drugie — jest supercicho, bo są tu tysiące kilometrów śniegu i prawie nie ma ludzi. Chodziło mu pewnie o północną Alaskę, a nie okolice Fairbanks Airport — z samochodami, których opony wibrują na drodze, z ludźmi, których walizki na kółkach podskakują na chodniku, i z samolotami, które jak nożyce przecinają niebo. Tata jest wielkim fanem ciszy. Mówi, że nie jestem głucha, tylko potrafię słuchać ciszy.

Mama trzyma się tuż obok, jakby mogła owinąć mnie jeszcze jedną ciepłą warstwą samej siebie, a ja nachylam się do niej. Sądzi, że skuter śnieżny taty się popsuł i dlatego tata nie zdążył złapać awionetki. Mówi, że jego telefon satelitarny się rozładował, bo inaczej by do nas zadzwonił.

Tata miał się z nami spotkać na lotnisku. Ale zamiast niego zjawiała się ta

policjantka „Nic Na Razie Nie Mogę Powiedzieć Przykro Mi”. Teraz kroczy z przodu, jakbyśmy były na wycieczce szkolnej w muzeum, zaraz zamykają, a dziewczynki zbite w gromadkę wołają za nią: „Pięć minut w sklepiku z pamiątkami, proszę pani!”, ale kiedy kobieta idzie w taki sposób, to wiadomo, że nie zwolni kroku.

Noszę gogle i kominiarkę. Tata był superapodyktyczny, kiedy mówił, co musimy ze sobą zabrać — „odpowiednią odzież polarną, Puggle” — i teraz, w tym powietrzu jak potłuczone szkło, jestem z tego zadowolona. Nigdy nie płacę, a już na pewno nie wtedy, kiedy widzą mnie ludzie, bo to koniec — wezmą mnie za małą dziewczynkę. Jednak gdy płacze się w goglach, to nie jest tak, jakby się płakało publicznie, bo nikt nie widzi. Tata mówi, że na północy Alaski łzy mogą zamarznąć.

*

Trzymając córkę za rękę, Yasmin przystanąła w drodze do lotniskowego komisariatu — młoda funkcjonariuszka zmarszczyła zdziwiona czoło — ale przez krótką chwilę mogła powstrzymać to, co się dzieje. Wszędzie wokół zalegał śnieg, śnieg na śniegu, zakrywając wszystko, co niegdyś było, swą monotonną barwą i fakturą; scena ulepiona z gipsu. Dostrzegła delikatne odciski ptasich stóp i uświadomiła sobie, że spogląda w dół. Zmusiła się do podniesienia wzroku, ze względu na Ruby, i wystraszyła się otaczającej je przejrzystości. Śnieg przestał padać i powietrze było oślepiające, jasne i krystaliczne, a świetlistość zdumiewająca; jeszcze jeden obrót tarczy ku głębszej klarowności, a można by dojrzeć wokół siebie każdy atom powietrza. Jakby scena pozostawała w stanie zawieszenia, zbyt wyrazista, by być realna.

*

Policjantka zabrała właśnie gazetę z biurka, jakbym była dzieckiem, któremu nie wolno czytać gazet, podnoszę więc palce, żeby pokazać, że mam

dziesięć lat, ale ona nie rozumie.

— Starszy funkcjonariusz wprowadzi panią za chwilę w szczegóły — mówi do mamy.

„Weźmie mnie za rękę i wprowadzi, gdzie trzeba” — pokazuje mi mama. Ludzie często nie dostrzegają, że mama jest zabawna, jakby ci, którzy wyglądają niczym gwiazdy filmowe, nie umieli żartować, co jest naprawdę niesprawiedliwe. Rzadko posługuje się językiem migowym, zawsze chce, żebym czytała z ruchu jej warg, więc też się uśmiecham, ale nasze uśmiechy to tylko reklamówki — w środku się nie uśmiechamy.

Mama mówi, że zaraz wróci i żebym przyszła do niej i zawołała ją, jeśli czegoś będę potrzebować. Pokazuję „OK”, podnosząc kciuki. To znak, którym posługują się także ludzie słyszący, co prawdopodobnie tłumaczy, dlaczego mama nie mówi mi POSŁUGUJ SIĘ SWOIMI SŁÓWAMI, RUBY.

Kiedy mówię „powiedziałam”, chodzi mi o to, że pokazałam, czyli użyłam języka migowego, albo wystukałam na klawiaturze, co jest innym rodzajem języka migowego. Czasem posługuję się znakiem amerykańskim; to tak, jakby ludzie posługiwali się amerykańskim słowem, kiedy mówią ustami.

Jest tu telefonia komórkowa trzeciej generacji, ale nie dostałam mejla od taty. Było głupotą na to liczyć, bo:

po pierwsze — jego laptop został uszkodzony dwa tygodnie temu,
po drugie — nawet gdyby pożyczył laptopa od jakiegoś znajomego, to i tak nie ma sieci komórkowej ani Wi-Fi na północy, gdzie pewnie przebywa, ponieważ zepsuł mu się skuter śnieżny; będzie musiał więc skorzystać z terminalu satelitarnego, żeby przesłać mi mejla, a to supertrudne, kiedy jest strasznie zimno.

Puggle to australijskie określenie maleńkiego dziobaka. Tata kręci filmy dokumentalne i programy o dzikiej przyrodzie i kocha dziobaki. Ale dziobak, zwłaszcza młody, nie przeżyłby na Alasce nawet dwóch minut. Trzeba mieć specjalne futro, które zapewnia ciepło, jak u lisa polarnego, i kończyny, które nie pozwalają zapadać się w śniegu, jak u zająca amerykańskiego czy

u pizmowołu arktycznego z jego wielkimi kopytami, które są w stanie kruszyć lód, dzięki czemu może dostać się do jedzenia i wody. A jeśli jest się osobą, to potrzeba gogli i polarnych rękawic, i specjalnej odzieży, i śpiwora puchowego, a tata ma to wszystko; więc nawet jeśli utknął na północy, gdzie łązy zamarzają, to da sobie radę, jak lis polarny, pizmowół arktyczny czy zając amerykański.

Wierzę w to całkowicie.

I przyjedzie tu, i nas znajdzie. Wiem, że tak będzie.

Siedząc w samolocie z Anglii, co trwało GODZINAMI i GODZINAMI, cały czas wyobrażałam sobie to, co właśnie robi tata. Myślałam — tata wyjeżdża akurat z wioski; tata siedzi teraz na skuterze śnieżnym; tata zbliża się do pasa startowego.

„W samym środku głuszy, Puggle, a środek głuszy ma to do siebie, że jest bardzo piękny i pusty, bo odnajdują go tylko nieliczni ludzie”.

Tata czeka teraz na awionetkę.

„Jak list na listonosza. Musisz być tam na czas, bo w przeciwnym razie cię nie zabiorą”.

Spałam całe wieki, a kiedy się obudziłam, pomyślałam — tata jest teraz na lotnisku i czeka na nas! I napisałam ten tweet o ekscytacji, że futrzany kaptur taty i bum! lądującego samolotu, choć tak naprawdę jeszcze nie wylądowaliśmy, ale pomyślałam, że to będzie najbardziej superniesamowite uczucie — odbić się parę razy od ziemi i że tata jest tak blisko.

A potem podszedł do mnie wścibiśki steward, a ja wiedziałam, że chce mi powiedzieć, żebym wyłączyła laptopa, co uszczęśliwiłoby mamę, bo nienawidzi „tego przekłętego laptopa”. Poprosiłam mamę, żeby mu powiedziała, że przestawię komputer na tryb bezpieczny. Nie byłam pewna, czy mama by to zrobiła, bo byłaby superzadowolona, gdybym musiała go wyłączyć, ale steward zobaczył, jak pokazuję na palcach mamie, i zrozumiał, że jestem głucha, i zrobił to, co robią zawsze ludzie, to znaczy od razu się wzruszył. Tata uważa, że tak się zachowują, bo widzą piękną mamę i małą głuchą dziewczynkę (mnie!) — jak na filmie w niedzielne popołudnie. Ten wzruszony steward nawet nie sprawdził, czy przestawiłam laptopa na tryb bezpieczny, tylko dał mi za darmo twixa. Mam nadzieję, że nie zdarzają się

wśród terrorystów dziesięcioletnie głuche dziewczynki, bo oznaczałoby to, że dostają darmowe słodczyce.

Nie jestem w ogóle jak małe dziewczynki na tych filmach, mama też nie jest jak gwiazda filmowa, jest zbyt zabawna i mądra, ale tata jest zupełnie jak Harrison Ford. Wiecie, taki ktoś, kto umie rozbroić terrorystę i jednocześnie czyta opowieści do poduszki. Strasznie go bawi, kiedy mu to mówię. I choć tak naprawdę nigdy nie musiał rozbrajać żadnego terrorysty — no, wiadomo — zawsze mi coś czyta, kiedy jest w domu, nawet jeśli mam już dziesięć i pół roku, i uwielbiam zasypiać, widząc jego palce tworzące słowa tuż przed moimi powiekami.

Potem wylądowaliśmy — koła uderzyły bum-lup, a ja podekscytowałam się jeszcze bardziej superniesamowicie — i podłączyłam się pod darmowe Wi-Fi, i zamieściłam tweeta, i wzięliśmy swoje bagaże z taśmociągu, czując się trochę dziwnie w nogach po tak długim siedzeniu, i pospieszyliśmy do hali przylotów. Ale zamiast taty czekała na nas policjantka „Nic Na Razie Nie Mogę Powiedzieć Przykro Mi” i przyprowadziła nas tutaj.

*

Starszy funkcjonariusz policji spóźniał się, więc Yasmin poszła sprawdzić, co z Ruby. Miały przyjechać dopiero za cztery tygodnie i spędzić z Mattem Boże Narodzenie, ale po rozmowie telefonicznej sprzed ośmiu dni doszła do wniosku, że musi zobaczyć się z nim jak najszybciej — to znaczy tak szybko, jak jest to możliwe, kiedy ma się dziecko w wieku szkolnym, psa i kota, którymi ktoś musi się zająć, i mnóstwo odpowiednich ubrań do kupienia. Martwiła się, że musi zabrać Ruby ze szkoły, ale od kiedy zmarł ojciec Matta, nie było nikogo, z kim Ruby chciałyby zostać.

Patrzyła na nią przez szybę w drzwiach, przyglądając się jej lśniącym, nierówno przyciętym włosom, które opadały na twarz, kiedy dziewczynka pochylała się nad swoim laptopem. Ruby sama je podstrzygła w środę wieczorem, w chwili niezależności godnej Maggie Tulliver z *Młyna nad Flossą*. W domu kazałyby jej wyłączyć laptopa i powrócić do świata

rzeczywistego, ale chwilowo postanowiła dać jej spokój.

Czasem, kiedy Yasmin patrzyła na córkę, zdawało się, że czas natrafił na jakąś przeszkodę i zatrzymał się, podczas gdy w przypadku wszystkich innych podąża bez niej. Zdarzało się, że nic wtedy nie słyszała, że umykały jej rozmowy. Jakby skurcze, które zaczęły się przy porodzie bólem, trwały dalej jako coś innego, równie silnego, i zastanawiała się, czy ów poród ma swój kres; czy będzie czuła to samo, gdy Ruby skończy dwadzieścia lat? Osiągnie wiek średni? Czy teraz jej własna matka czuła w stosunku do niej to samo? Zadawała sobie pytanie, jak długo można tęsknić za matczyną miłością.

Młoda policjantka zbliżyła się do niej szybkim krokiem — ta kobieta nigdy nie poruszała się powoli — i powiedziała, że porucznik Reeve czeka na nią i że nie musi się martwić o swoje walizki, które zostały przeniesione na posterunek; zdawało się, że kwestia bagażu jest równie ważna jak to, co ma do powiedzenia porucznik Reeve.

Poszła z nią do gabinetu porucznika Reeve'a.

Wstał na powitanie, wyciągając rękę. Nie uścisnęła jej.

— Co się stało z Mattem? Gdzie jest?

Mówiła gniewnym tonem, jakby winiła męża za to, że się nie pojawił. Była na niego tak zła, że jej głos nie dostosował się jeszcze do sytuacji, bez względu na jej charakter.

— Chciałbym, żeby potwierdziła pani kilka rzeczy — oznajmił porucznik Reeve. — Mamy wykaz obcokrajowców pracujących na Alasce.

Od czasu, gdy Ruby zdiagnozowano jako całkowicie niesłyszącą (bardzo rzadkie, powiedzieli, jakby głuchota jej dziecka była odmianą storczyka), Yasmin postrzegała dźwięki pod postacią fal. Będąc fizykiem, powinna robić to już wcześniej, ale dopiero pojawienie się Ruby uświadomiło jej, że dźwięk to zjawisko fizyczne. Czasem, kiedy nie chciała słyszeć tego, co ktoś mówi — specjaliści audiologii, bezmyślni znajomi — wyobrażała sobie, że surfuje po powierzchni ich słów albo w nich nurkuje, zamiast pozwalać, by uderzały w jej bębienki i zamieniały się w możliwe do rozszyfrowania pojęcia. Ale musiała słuchać. Wiedziała o tym. Po prostu musiała.

— Zgodnie z tym wykazem — ciągnął porucznik Reeve — pani mąż przebywał od pewnego czasu w Anaktue. Choć jak wynika z dokumentacji,

początkowo przebywał w Kanaki.

— Tak, spędził tam osiem tygodni w lecie, na stacji badawczej, kręcił film przyrodniczy. Poznał na miejscu dwoje mieszkańców wioski, a oni zaprosili go do siebie. Wrócił na Alaskę w październiku i zatrzymał się u nich.

Niepotrzebnie szczegółowa, rozwlekła odpowiedź, ale porucznik Reeve też nie spieszył się ze swoją, jakby i on nie chciał, by ta rozmowa była kontynuowana.

— Obawiam się, że doszło w Anaktue do katastroficznego pożaru — oznajmił.

Katastroficznego. Słowo zarezerwowane dla nieprawdopodobnych zniszczeń, dla wulkanów, trzęsień ziemi i meteorytów uderzających w Ziemię, nie zaś dla małej wioski Anaktue, przypominającej bardziej osadę niż wieś z prawdziwego zdarzenia.

Wydawało się idiotyczne, że przyjechała, żeby się kłócić z mężem, stawiać ultimatum, które była gotowa wprowadzić w czyn. Przebyła pół globu, by mu powiedzieć, że ma wracać do domu, i to natychmiast. Że nie wierzy w jego zapewnienia, że do niczego więcej nie dojdzie między nim i tą Inuitką, i że nie zamierza czekać po drugiej stronie świata, podczas gdy ta kobieta niszczy ich rodzinę. Matt wydał jej się tchórzliwie słaby w sytuacji, gdy obie, tamta i ona, zmuszały go do określenia lojalności i przyszłości; rozgniewała się jeszcze bardziej, spakowała walizki, swoją i Ruby, wpychając do nich nieposkładane rzeczy. Bała się, że po przyjeździe na Alaskę ich bagaż wybuchnie w fontannie pierza i tkanin termoizolacyjnych.

— Podejrzewamy, że w jednym z domów doszło do wybuchu grzejnika albo piecyka — powiedział porucznik Reeve. — Ogień rozprzestrzenił się na skład paliwa do skuterów śnieżnych i generator, co wywołało znacznie większą eksplozję i ogromny pożar. Nikt w Anaktue nie przeżył. Przykro mi.

Poczuła się ugodzona miłością jak nożem; jej ostrość pozbawiła ją tchu. To wrażenie było dziwnie znajome; brutalniejsza wersja bólu, którego doznawała w ich wczesnych dniach, na długo przed małżeństwem i dzieckiem, nim pojawiła się jakakolwiek niezachwiana pewność, że nazajutrz Matt też z nią będzie. Czas już nie ciągnął się i nie był linearny, tylko zakrzywił się i rozpadł na fragmenty; młody człowiek, którego kochała

tak namiętnie, wydawał się równie wyrazisty i obecny jak mąż, z którym kłóciła się osiem dni wcześniej.

Przypomniła sobie blask niskiego zimowego słońca, wpadający ukośnie przez okna, powolny, spokojny głos profesora filozofii, grube ściany sali wykładowej, odgradzające ich od krakania ptaków na zewnątrz. Potem powiedział jej, że to szpaki i płochacze. Siedział kilka pustych miejsc dalej. Widziała go wcześniej dwukrotnie i spodobała jej się jego kanciastość, to, że szybko chodził i był zaaferowany, jakby umysł dyktował mu tempo kroku; ostro nakreślone płaszczyzny twarzy. Kiedy stuknęła szydełkiem, zerknął w jej stronę, a w ich oczach pojawił się niespodziewany błysk wzajemnego zrozumienia. Potem odwrócił wzrok, jakby dłuższe patrzenie oznaczało przyganę za to stuknięcie. Kiedy wykład dobiegł końca, podszedł do niej; odłożyła robótkę, wyraźnie speszona.

— Wdzianko dla węża?

— Osłona na balustradę.

Wyznał potem, że wydała mu się lekko stuknięta, ale chciał dać jej szansę obrony.

— Jesteś narwana, co?

„To miała być ta szansa obrony?”.

— Astrofizyczka — odparła.

Przyszło mu do głowy, że żartuje, a potem dostrzegł wyraz jej twarzy.

— Szydełkująca astrofizyczka na wykładzie z filozofii?

— Uczę się o metafizycznych aspektach fizyki. Na uniwersytecie oksfordzkim można studiować dwa kierunki jednocześnie. A ty?

— Zoologia.

— Co więc robisz na wykładzie z filozofii? Pomijając twoje pytania o moje szydełkowanie.

— Filozofia jest ważna.

— Dla zwierząt?

— Chodzi o to, jak o nich myślimy. O sobie. O naszym środowisku i miejscu, które w nim zajmujemy. — Umilkł, speszony. — Zwykle nie gadam tak poważnie. Nie tak od razu.

„Musiało upłynąć sporo czasu, żebym mogła gadać tak jak ty”.

Jej szkoła brutalnie ją rozczarowała. Przeżyła dzięki temu, że się nie wychylała i pozostała anonimowa; na szczęście jej wysokie kości policzkowe i małe piersi nie wzbudzały zainteresowania nastoletnich chłopców. Sekret swojej bystrości zachowała dla siebie, celowo osiągając kiepskie wyniki, aż do matury, kiedy to w spektakularny sposób sypnęła jak z rękawa czterema najwyższymi ocenami, choć wszyscy spodziewali się miernych. Przez lata ukrywała swoją pracowitość, a teraz mogła się nią popisać.

Schowała długą szydełkową robótkę.

— Ósma wieczorem. Przed stołówką. Pokażę ci.

*

Porucznik Reeve nachylił się do niej, a ona uświadomiła sobie, że siedzą oboje przy stole, naprzeciwko siebie; nie pamiętała, jak się tu znalazła. Coś jej podawał.

— Policjant stanowy z Prudhoe znalazł to na miejscu zdarzenia i przywiózł tutaj, żebyśmy pani pokazali. Sądząc po inicjałach wygrawerowanych od spodu, należało prawdopodobnie do Matthew?

Pogłaskała ciepłą w dotyku i twardą powierzchnię jego obrączki. Wewnątrz widniały inicjały, jej i Matta; połowa pierwszego wersu przysięgi. Wyczuwała drugą połowę przysięgi pod swoją obrączką, odcisniętą w miękkim podbiciu palca.

— Tak, to jego — odparła.

Zdjęła swoją obrączkę i na jej miejsce wsunęła obrączkę Matta, o wiele za dużą na jej palec. Włożyła z powrotem swoją, która strzegła teraz jego obrączki, bo pewnego dnia mógł powrócić i znów zechciałby ją nosić. Wydawało się niemożliwe, by nie żył. Nie w sytuacji, gdy tkwił w niej ten miłosny nóż, a Ruby siedziała w sąsiednim pomieszczeniu. Nie mogła — nie chciała — w to uwierzyć.

Zdała sobie sprawę, że porucznik Reeve patrzy na jej dłonie.

— Matt zdejmuje obrączkę przy pracy. Odkłada ją w bezpieczne miejsce.

Wyjaśnienie, którym ją uraczył wiele tygodni wcześniej, gdy dostrzegła

jego nagi palec na zdjęciu przesłanym mejlem. Na szczęście Ruby niczego nie zauważyła.

Nie powiedziała porucznikowi Reeve'owi, że nie uwierzyła w wymówkę Matta.

*

Kilka godzin po wykładzie z filozofii, kiedy już zrobiło się ciemno, oddalili się od historycznej części miasta, zaludnionej przez studentów i turystów, i weszli do centrum handlowego na obrzeżach jakiegoś osiedla, beton i asfalt wydawały się bezosobowe, cienie odpychające i posępne. Zauważył dziane rękawy otulające znaki drogowe, balustrady i stojak na rowery. Nie był oczarowany świetlistymi oczami, długimi kończynami i szczodrym uśmiechem, lecz miękką wełną wokół twardego metalu, przędzą pokrywającą stal i aluminium barwnymi paskami i wzorami.

Powiedziała mu, że należy do grupy partyzanckich ogrodników, którzy zamieniają w środku nocy betonowe ronda i skrzyżowania w małe kwietne łąki, ale że od jakiegoś czasu już tego nie robi.

— Za dużo skrzyżowań? — spytał.

— Niewłaściwa pora roku — odparła. — Poza tym nie da się uprawiać ogrodu podczas wykładów.

— A więc to jest ta twoja sekretna pasja? — domyślił się.

— Szydełkowanie osłon na poręcze i balustrady? Na szczęście nie.

— Zatem?

Nie darzyła go jeszcze takim zaufaniem, żeby mu pokazać.

*

Porucznik Reeve nie był pewien, czy dotknąć jej dłoni pocieszającym gestem, ale czuł się niezręcznie, wyciągając rękę. Miała w sobie tyle godności zamiast hysterii, której oczekiwał. Nie, nie hysterii. Raczej emocji, z którymi nie potrafiłby sobie poradzić, bo nie wiedział jak. I żalu.

— Płomień dostrzeżono wczoraj po południu — poinformował ją, bo sądził, że zależy jej na szczegółach. Jemu na jej miejscu by zależało. — Pilot leciał nad Anaktue tuż przed burzą śnieżną. Policjanci z okręgu North Slope i funkcjonariusze bezpieczeństwa publicznego zaczęli akcję poszukiwawczą i ratunkową pomimo kiepskiej pogody i koszmarnych warunków lotniczych. Kontynuowali działania aż do wczesnych godzin rannych, ale niestety nie znaleziono nikogo żywego.

— Wczoraj po południu? — spytała.

— Tak. Obawiam się, że nic więcej nie mogę powiedzieć. Na miejscu zdarzenia była policja stanowa i ci z bezpieczeństwa publicznego.

— Dzwonił do mnie wczoraj. Matt do mnie dzwonił. O siedemnastej czasu miejscowego.

*

Wiedziała cały czas, ale teraz miała dowód. Gdy policjant dzwonił do kogoś, przypomniła sobie fragmenty ich rozmowy, kiedy wracali do swoich akademików, i to, jak cały czas toczyła się inna rozmowa, która polegała na tym, że nachylał się ku niej, że ona podświadomie dostosowywała swój krok do jego kroku; zauważyła spłowiały kołnierzyk koszuli, na jego szyi wystające jabłko Adama, jakby wciąż podlegał procesowi formowania, ten mężczyzna-chłopiec.

Dostrzegł ostre światło lamp ulicznych na jej czole, policzkach i ustach i dojrzał kobietę, jaką byłaby za lat dziesięć, i stało się, o czym ją później zapewniał. Bum! Magiczna sztuczka. Cud. „Kobieta, z którą chcę być”.

Nie pokładała tak wielkiej nadziei w tej jego wyimaginowanej przyszłości. Ale gdy szli ramię w ramię, poczuła, jak samotność jej dawnego życia, życia dziwaczki, jedynej osoby w rodzinie, szkole i na swoim osiedlu, która poszła na uniwersytet, oddała się odrobinę.

ROZDZIAŁ 2

Kapitan Grayling był śmiertelnie zmęczony. Siedział w swoim gabinecie, w odległym północnym zakątku Prudhoe Bay. Z góry padał oślepiający blask elektryczny, a on tęsknił za łagodnością dziennego światła. Poranek miał nastać dopiero za dwa miesiące. Zzerało to człowiekowi duszę. Myślał o Timothy. Czy to z jego powodu przejawiał ojcowskie uczucia wobec młodych funkcjonariuszy, którzy mu podlegali? Tak wszyscy sądzili, z czego zdawał sobie doskonale sprawę. Zawsze widział siebie jako maszera powożącego zaprzęgiem pełnych entuzjazmu husky — trzymał wodze, by skierować czworonogi we właściwą stronę, zawsze z psim śpiworem na saniach, na wypadek gdyby któryś został ranny i trzeba było go odtransportować w bezpieczne miejsce.

Jednak w Anaktue nie był ani postacią ojcowską, ani człowiekiem powożącym psim zaprzęgiem. Ludzie widzieli, jak wymiotuje raz za razem — każde zwłoki wstrząsały nim na nowo. Nad poczerniałą wioską szalała burza, helikopter ledwie mógł wylądować, wietrzny chłód kąsał policzki jak wygłodniałe zwierzę. „Dmijcie, wichrzyska, aż wam miechy pękną”^[1]. Ustawili oślepiająco jasne reflektory łukowe, świecące do wnętrza zniszczonych domów, zalewające iluminacją ledwie rozpoznawalne szczątki mężczyzn, kobiet i dzieci. Ciemność, która ich otaczała, wydawała się kapitanowi nieskończona.

Pracowali w milczeniu, cały zespół ludzi, większość jawiła mu się jako młodzi chłopcy; żadnej pogawędki, która chroniłaby ich jak kokon, gdy zapelniali worki, robili zdjęcia i dokumentowali. „Wy, siarką tchnące, jak myśl chyże błyski”. Jego umysł nawiedzały słowa króla Leara, lecz „dzika okolica” wydawała się wyjątkowo łagodna w porównaniu z Anaktue, a „jak myśl chyże błyski” były prawdziwe tylko dla tych, którzy umarli; tych, którzy

musieli przeglądać zwęglone resztki, prześladowały głębsze myśli.

Przed wielu laty, nim zaczęło się życie wypełnione pracą, Grayling chciał iść na uniwersytet i studiować literaturę. Jednak jego ojciec pragnął, by syn „robił coś konkretnego”, a nie „bawił się w poezję”. Był to krytycyzm trafiający w sedno. Pomyślał, że jeśli ma robić „coś konkretnego”, to powinno być to coś, co przysłuży się jego ukochanej Alasce. Początkowo miał zamiar studiować medycynę, ale nie potrafił opanować w wymaganym stopniu chemii, więc postanowił zostać policjantem stanowym. Tylko w jego przypadku kurs szkoleniowy stanowił drugi wybór. Zorientował się po trzech tygodniach, że nie ma umysłu odpowiedniego dla policjanta, był on bowiem pełen zbędnych informacji i koncepcji. Pozbył się ich więc, wyrzucając z niego wszystko, czego już nie potrzebował (sporna kwestia, czy kiedykolwiek tego potrzebował). Przez lata nie myślał więc o „dzikiej okolicy”. Jednak Anaktue było inne. Dosięgało jakiejś jego cząstki, której nie potrafił z siebie wyrzucić.

Kiedy zorientowali się w rozmiarach katastrofy i gdy burza złagodniała, do jego zespołu przyłączyli się kolejni policjanci i funkcjonariusze bezpieczeństwa publicznego. Grayling dowodził grupą poszukiwawczą. Włączyli szperacz w helikopterze i zaczęli oblatywać wioskę, zataczając coraz szersze kręgi, ale nikogo nie znaleźli. Grayling otrzymał wcześniej informację, że w wiosce przebywało dwadzieścioro troje ludzi. Przerwał poszukiwania dopiero wtedy, gdy policjanci doliczyli się szczątków dwudziestu czterech ciał. Wiedział, że będzie musiał ustalić tożsamość dwudziestej czwartej ofiary.

W końcu ta przyprawiająca o mdłości robota dobiegła końca. Pozostawił miejsce zdarzenia jako ostatni, zabierając do śmigłowca lampy łukowe. Anaktue zniknęło w ciemności.

Czekały go rozmowy w ciepłych, dobrze oświetlonych studiach telewizyjnych i radiowych z dziennikarzami, którzy mieli spać tej nocy spokojnie, bez koszmarów.

Odezwała się jego komórka — połączono go z porucznikiem Reeve'em z Fairbanks. Chodziło o Matthew Alfredsona, ich dwudziestą czwartą ofiarę, którą zidentyfikowano dzięki dokumentacji wizowej; twórca filmów

przyrodniczych, którego błyszczącą obrączkę Grayling znalazł w pogorzelisku. Wszystko uległo zniszczeniu, każdy kawałek metalu przybrał odrażający kształt, ale ten jeden zachował idealną krągłość. Grayling wiedział dzięki swemu krótkiemu romansowi z chemią, że platyna może wytrzymać nawet intensywny żar; mimo wszystko jednak ta nienaruszona obrączka wydawała się czymś nieprawdopodobnym. Nie znaleziono jej obok jakiegokolwiek ciała, więc choć metal tworzył nieprzerwany krążek, Grayling przypuszczał, że samo małżeństwo nie było tak trwałe, i miał nadzieję, że się nie myli. Mogło to złagodzić ból i żal.

Jednak poprzedniego dnia o piątej, kiedy przeszukiwali szczątki Anaktue, człowiek ten zadzwonił do żony. Jak było to możliwe? Boże, czy wciąż gdzieś się znajdował, cały i zdrowy? Pomyślał, że musi porozmawiać z jego żoną.

*

W przekonaniu Yasmin kapitan Grayling uosabiał archetyp policjanta stanowego. Mówił głosem pewnym i głębokim. Wyobrażała sobie, że jest odpowiednio barczysty i że odznacza się topornymi rysami.

— Czy mąż powiedział pani, gdzie akurat przebywa? — spytał.

— Nie. Ale wydaje mi się, że znajdował się na pasie startowym i czekał na awionetkę. Porucznik Reeve powiedział mi, że była wczoraj burza, a warunki w powietrzu koszarne, więc samolot i tak by nie przyleciał. Mój mąż wciąż tam może być.

— Przeszukaliśmy znaczny teren, włącznie z pasem startowym.

— Było jednak ciemno i szalała burza... mogliście go nie zauważyć?

*

Dosłyszał nadzieję w jej głosie, to pragnienie innego zakończenia, i poczuł, jak ogarnia go bolesne współczucie.

— Pas startowy jest płaski i dobrze widoczny — powiedział. — Dysponowaliśmy silnym oświetleniem i sprawdziliśmy wszystko dokładnie.

Nie dodał, że sam latał nad tym terenem z sześć razy, penetrując go uparcie.

— Korzysta ze skutera śnieżnego? — spytał.

Anaktue leżało na pustkowiu, na niedostępnym obszarze, więc z pewnością skuter był tam jedynym środkiem transportu, ale pragnął się upewnić.

— Tak.

Polecił swojemu zespołowi zebrać stopione szczątki skuterów śnieżnych. Wiedział, że te fragmenty są teraz zamrożone na kamień.

*

Yasmin przypomniała sobie, jak Matt mówił jej i Ruby, że kupił od mieszkańca wioski skuter, który zamierzał podrasować. Wydało jej się dziwne, że mężczyźni z plemienia Inuitów polują na karibu, wykorzystując skutery śnieżne, ale Matt nie widział w tym nic niezwykłego.

— Wie pani, ile tych skuterów znajdowało się w wiosce? — spytał kapitan Grayling.

— Trzy — odparła.

Był skuter Matta, drugi, podrasowany, i jeszcze jeden, który należał do człowieka pracującego przy odwiertach w Prudhoe Bay. Rozmawiała o tym z Mattem; bezpiecznie neutralny temat w obecności Ruby.

Czekała, aż kapitan Grayling coś powie, i zorientowała się po jego milczeniu, że znaleziono trzy skutery — pozostałości trzech — w wiosce. Nie jechał na swoim wehikule, cały i zdrowy, będąc już niemal w Fairbanks, by uściskać Ruby i by ona sama mogła mu powiedzieć, że go kocha. Jednak myśl, że mógłby dotrzeć w ten sposób na lotnisko, była absurdalna, i wiedziała o tym. Chciała go po prostu jak najszybciej zobaczyć.

— Mógł podróżować psim zaprzęgiem — podsunęła.

Kilka tygodni wcześniej napisał do Ruby w mejlu, że wybiera się z jednym z autochtonów na taką przejażdżkę. Wątpiła w jego entuzjazm, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego ktokolwiek chciałby przemieszczać się w ten sposób

w arktycznych temperaturach, ale może podniecenie w jego liście było szczere.

— Kojec dla psów też się spalił — powiedział kapitan Grayling.

— Wobec tego może wybrał się coś sfilmować, kiedy wybuchł pożar, i zabrał psy ze sobą.

— W środku zimy? — zdziwił się kapitan. — W ciemności?

— Kręci film przyrodniczy na Alasce. Anaktue było dla niego tylko bazą wypadową.

Nie powiedziała, jak sceptycznie traktowała powody, dla których Matt został w Anaktue, i że nie spytała o to wprost. Może jednak mówił jej prawdę.

— Nawet jeśli wyjechał w tym celu, to z pewnością wróciłby do Anaktue albo na pas startowy, żeby zdążyć dotrzeć do Fairbanks i spotkać się z panią.

— Coś musiało się stać z saniami albo z psami — argumentowała.

— Powiedziała pani, że mąż nie wspomniał o tym, gdzie jest, kiedy dzwonił.

— Nie.

— Jakieś przypuszczenia co do jego miejsca pobytu?

— Nie.

— Mogę wiedzieć, co pani powiedział?

— Nie rozmawialiśmy.

— Słucham?

— Straciliśmy połączenie, zanim się zdążył odezwać.

— Nic w ogóle nie powiedział?

— Nie. Jak już mówiłam...

— Więc skąd pani wie, że to on dzwonił?

— W Anglii była druga nad ranem, a tylko on dzwoni do mnie o tej porze. Często tracimy połączenie. Ma telefon satelitarny i musi dokładnie widzieć niebo. A może stracił zasięg. Ponieważ nie zadzwonił ponownie, sądzę, że to najbardziej prawdopodobne.

— Może dzwonił do pani ktoś inny, przez pomyłkę?

— Nie. To był na pewno on.

Nie powiedziała kapitanowi Graylingowi, jakie zdziwienie wzbudził w niej ten telefon Matta. Pomijając tę koszmarną rozmowę sprzed ośmiu

dni, przestał się z nią kontaktować, choć uparcie przesyłał Ruby mejle. Miesiąc wcześniej, podczas jednej z rzadkich rozmów zarzuciła mu, że przestał się czymkolwiek przejmować, a on jej powiedział, że nie mógł dodzwonić się z Anaktue i musiał wędrować ponad trzy kilometry, a potem wspinać się na oblodzoną grań, żeby uzyskać połączenie satelitarne. Aha, było smoliście ciemno, kiedy szedł, a w chwili kiedy z nią rozmawiał, temperatura wynosiła prawie minus trzydzieści stopni Celsjusza. Nie przypominała mu, że musiał odbywać tę wędrówkę za każdym razem, kiedy wysyłał Ruby mejl, co zdarzało się bardzo często; była zadowolona, że to robi. Poprzedniego dnia była burza. Oznaczało to jeszcze cięższą i trudniejszą wyprawę.

Chciała wierzyć w jakiś nagły zwrot w ich związku, coś, o czym nie wiedziała, a co oznaczało, że brnął przez ponad trzy kilometry w arktycznym zimnie i ciemności, żeby z nią porozmawiać, czuła jednak, że to nieprawda. Nie potrafiła się zorientować, dlaczego do niej zadzwonił, zwłaszcza że miała razem z Ruby wsiąść za kilka godzin do samolotu; i tak by się spotkali.

— Z jakiej sieci korzysta pani mąż? — spytał kapitan Grayling.

A więc zamierzał sprawdzić to, co mu powiedziała, kontaktując się z operatorem satelitarnym Matta. Podała mu nazwę firmy w nadziei, że nie opóźni to poszukiwań.

Czekała na jakiś przyływ ulgi, lecz bezskutecznie. By zaznać jej naprawdę po tym całym niepokoju, musiałaby dotknąć męża.

Nie spytała jeszcze porucznika Reeve'a ani kapitana Graylinga, czy i Corazon znajdowała się wśród ofiar pożaru. Nie chciała wypowiadać tego imienia.

Słowa bez Dźwięków@Słowa-bez-Dźwięków

650 followersów

NIEPOKÓJ: wygląda jak szachownica z szybko przesuwanymi się polami; przyprawia o pot i drżenie; smakuje jak kolczaste lody.

Zwykle nie idzie mi dobrze z terapeutami mowy, ale był taki jeden, jeszcze bardzo młody, myślę, że wciąż uczył się na doktora, i on mnie spytał,

czy widzę słowa, skoro najwyraźniej nie mogę ich słyszeć. Mama nie lubi, kiedy mówię: „Ale z ciebie cholerny Sherlock”, ale tata uważa to za zabawne. Tak jak ten młody niby-doktor. Nikomu przed nim o tym nie mówiłam, ale naprawdę widzę słowa, dotykam ich i także czuję ich smak. Wiem, że to dziwaczne, ale ten młody niby-doktor wcale tak nie myślał. Powiedział, że powinnam zamieścić to na Twitterze, a ja odparłam: „Superplan, Batman” (bo wiedziałam, że lubi, jak w naszych rozmowach pojawiają się postaci z książek). Był moim pierwszym followersem, a teraz mam ich setki, co jest dziwaczne (DZIWACZNE: wygląda psychodelicznie; smakuje słodko-chrupkowato-sorbowato-bąbelkowato).

Ten tweet o ekscytacji, kiedy myślałam, że tata czeka na nas w hali przylotów? To zabawne, bo napisałam, że ekscytacja wygląda jak włochaty kaptur jego inuickiej kurtki, ale w październiku, kiedy wyjechał na Alaskę, napisałam „Smutek”, a smutek też wyglądał jak włochaty kaptur jego kurtki. Więc myślę, że sposób, w jaki widzi się jakieś słowo, a także jego znaczenie w zdaniu, sprowadza się do kontekstu i danej chwili. W szkole nie użyłabym słowa „kontekst”, bo ludzie myślą, że jak jestem w programie rozszerzonym dla zdolnych i utalentowanych, to jest to równie dziwaczne, jak zaliczać się do grupy specjalnej troski; a jedno i drugie razem to superdziwaczne, i to nie w sposób słodko-chrupkowato-sorbowato-bąbelkowaty.

Zazwyczaj pomaga, jak się zamieści na Twitterze jakieś słowo czuciowe.

Ale nie pomogło.

*

Policjantka sprawdzała połączenie telefoniczne Yasmin, kiedy zjawił się porucznik Reeve. Poprosił ją do gabinetu; chciał z nią rozmawiać kapitan Grayling. Poszła z nim i podniosła słuchawkę.

— Przykro mi — powiedział kapitan. — Doszło do strasznej pomyłki.

Mówił łagodnie. Jego twarz w jej wyobraźni przybrała cieplejszy wyraz, postać straciła na barczystości.

— Młody funkcjonariusz znalazł obok jednego ze spalonych domów

telefon satelitarny. Wystukał ostatni numer. Miał nadzieję, że uda mu się zlokalizować kogoś, kto być może przeżył, prawdopodobnie ranną osobę.

— Nie rozumiem.

— To on do pani dzwonił, nie pani mąż. Połączenie trwało sekundę, może dwie. Przykro mi. Warunki są trudne, a on jest młody i niedoświadczony. Od razu powinien mi o tym zameldować. Został oczywiście pouczony. Nie wolno mu było pod żadnym pozorem tego robić.

— Matt żyje — powiedziała do kapitana Graylinga. — Czy to on dzwonił, czy nie on.

— Pani Alfredson...

— Musiał upuścić telefon, kiedy uciekał przed pożarem.

— Ale go nie znaleźliśmy.

— Musiał się oddalić, żeby wezwać pomoc. Tak właśnie postąpiłby Matt. Sam spróbowałby coś zrobić, a gdyby się okazało, że nie może, postarałby się sprowadzić pomoc. Upuścił telefon, ale tego nie zauważył. Musi zawsze pokonać kilka kilometrów, żeby złapać sygnał...

— Przykro mi, pani Alfredson...

— Albo wybrał się gdzieś z kamerą, żeby filmować — ciągnęła. — Tak jak mówiłam, upuścił niechcący telefon, nim wyruszył...

— Na miejscu znaleziono dwadzieścia cztery ciała — przerwał jej kapitan Grayling. Boże, jak bardzo nie chciał tego robić. — W chwili pożaru w wiosce znajdowało się dwadzieścioro troje mieszkańców. Otrzymałem tę informację wczoraj, a dzisiaj sprawdziłem ją ponownie.

— Nie może być pan absolutnie pewien liczby ludzi, którzy tam przebywali — odparła i dosłyszała desperację w swoim głosie, a w jego niezachwianą pewność.

— Planowano zainstalować w Anaktue nowe generatory, więc przeprowadzono spis ludności, nie pomijając żadnego domostwa. Zrobiono to także z myślą o nowej szkole. Zwracano szczególną uwagę na liczbę mieszkańców z uwzględnieniem pory roku.

Sprawał wrażenie rozsądnego i serdecznego. Zauważyła, że porucznik Reeve przygląda jej się z uwagą; musiał wcześniej rozmawiać z kapitanem Graylingiem. Trzymał w pogotowiu szklankę wody. Kapitan mówił dalej,

a fale dźwiękowe uderzały bezlitośnie w jej bębrenki uszne i przemieniały się w słowa.

— Z dwudziestu siedmiu mieszkańców czterech młodych mężczyzn pracuje przy odwiertach w Prudhoe Bay, jak robią to każdej zimy, co oznacza, że w wiosce pozostały dwadzieścia trzy osoby. Jak już powiedziałem, znaleźliśmy na miejscu dwadzieścia cztery ciała.

— Ale nie zidentyfikowaliście jeszcze Matta? — spytała.

— Powiedziała pani porucznikowi Reeve'owi, że obrączka należała do pani męża.

— Ale jej nie nosił, prawda? Nie przeprowadziliście jeszcze specjalistycznych badań, bo w przeciwnym razie powiedziałby mi pan o tym.

Grayling doznawał głębokiego współczucia, bojąc się, że poruszy ono martwy ciężar żalu, który zawsze był w nim obecny i który utrzymywał w kruchej równowadze. Żałował, że nie da się tego zrobić inaczej niż brutalnie.

— Pożar był bardzo intensywny — powiedział.

Niektóre ciała nie przypominały ludzkich, nie wspominając już o osobach obdarzonych imieniem i rodziną. Wydawało się w paru przypadkach wręcz nieprawdopodobne, by zdołali uzyskać DNA na podstawie badań uzębienia.

— Naprawdę żałuję, że to ja muszę o tym powiedzieć, ale pani mąż nie żyje. Przykro mi. Wiem, że porucznik Reeve zajmie się panią.

Odłożył słuchawkę.

*

Telefon od Matta stanowił po prostu namacalny dowód czegoś, o czym Yasmin już wiedziała, doznając tamtego pchnięcia nożem, a teraz czując to w samej głębi — że jej mąż żyje.

Nie była na dobrą sprawę zaskoczona, dowiedziawszy się, że to nie on do niej dzwonił; była raczej zdziwiona, gdyż sądziła, że to zrobił. Żałowała, że jest inaczej, nie dlatego, że byłby to znak ponownie rozbudzonej miłości do niej, ale dlatego, że policja musiałaby jej uwierzyć, a ona sama nie

siedziałyby teraz na tym posterunku obok lotniska, nie mając na dobrą sprawę pojęcia, co dalej.

*

Mama właśnie przysłała. Przyklęka, jej twarz jest blisko mojej, więc mogę bez trudu czytać z jej warg. Mówi, że z tatą wszystko dobrze. Doszło do pomyłki, ale to wyjaśni. Wygląda na spiętą, to tak, jakby nie trafiło się w piłkę od tenisa ogrodowego i teraz sznurek owija się raz za razem wokół słupka. Udaję, że tego nie widzę, i uśmiecham się do niej.

Mówi mi, że tata zgubił telefon i dlatego nie mógł do nas zadzwonić ani przesłać esemesa. Wchodzi starszy policjant i prosi, żeby mama z nim poszła. Mama mówi, że niedługo wróci. Kiedy wychodzą, starszy policjant wyciąga do niej ręce, a potem je opuszcza i w ogóle jej nie dotyka. Wielu ludzi nie wie, jak się zachowywać wobec mamy, wygląda tak uroczo, że ich to deprymuje. Ale teraz jest jasne, że chce, by ktoś ją objął.

*

Kiedy weszli do gabinetu, porucznik Reeve starał się nakłonić Yasmin, żeby usiadła, ale nie chciała.

— Matt nie zginął — powiedziała. — Ten policjant z północy, kapitan Grayling, musi go szukać.

Porucznik Reeve czytał gdzieś, że są cztery fazy żalu i że pierwszą jest zaprzeczenie.

— Przykro mi, ale uważa, że nie ma to sensu.

— Więc rezygnuje? Czy to takie trudne szukać kogoś?

Bał się, że jej głos zamieni się w krzyk albo szloch, i starał się za wszelką cenę panować nad własnym.

— Gdyby kapitan Grayling uważał, że istnieje choć cień szansy, to z pewnością by nie zrezygnował. Poleciał do Anaktue pomimo burzy. Nie był nawet na służbie, ale i tak się tam udał. I jako ostatni opuścił miejsce

zdarzenia. Prowadził poszukiwania przez prawie dwanaście godzin w trzydziestoczerostopniowym mrozie.

Ten człowiek był indywidualistą wedle norm obowiązujących w Fairbanks; szefował na północy, jakby ten teren stanowił jego własność, i często lekceważył przepisy. Ale zawsze robił więcej, niż do niego należało, i nigdy nie przerywał akcji ratunkowej, jeśli tliła się jeszcze nadzieja. Ludzie powiadali, że działo się tak od czasu, gdy jego syn zginął w Iraku.

Yasmin umilkła. Wstała bez słowa i wyszła z pokoju.

*

Moja bransoletka wibruje, co oznacza, że jest jakiś głośny hałas. To jak gadżet Jamesa Bonda dla głuchych ludzi, więc wiem, czy ktoś do mnie strzela (tak powiedział sprzedawca w specjalnym sklepie, a ja pomyślałam, że to bardzo zabawne). Chodzi o to, żeby się orientować, że nadjeżdża samochód, gdyby ktoś zapomniał spojrzeć w lewo i prawo.

Wchodzi mama z naszymi walizkami; pewnie drzwi trzasnęły i dlatego moja bransoletka zaczęła wibrować. Nie uśmiecha się do mnie. Zawsze się uśmiecha, kiedy mnie widzi, nawet jeśli widziałam ją zaledwie pięć minut wcześniej; uśmiecha się za każdym razem, kiedy mnie widzi, bo jest superzadowolona, że znów mnie widzi. Niektórzy ludzie myślą, że jest wyniosła. Czytam z ich ruchu warg, kiedy to mówią. Wredne słowa są łatwiejsze do odczytania z ruchu warg niż miękkie i ciepłe. Myślę, że gdyby nie wyglądała tak pięknie, to ludzie widzieliby ją lepiej.

Mówi mi, że tata jest okej, ale że był straszny pożar w Anaktue. Mówi, że policjanci to idioci i guzdrały, więc musimy wyruszyć i znaleźć go same.

*

Wyszły z posterunku, ciągnąc po ubitym śniegu walizki. Obie miały cienkie ochraniacze pod polarnymi rękawicami, na twarzach maski.

Gdzie był?

Musiała to przemyśleć spokojnie i racjonalnie jak naukowiec; przygotowywano ją kiedyś do tego zawodu.

Kapitan Grayling przeszukał dokładnie pas startowy, więc należało zakładać, że teren jest płaski i łatwo byłoby kogoś dostrzec. Kapitan miał prawdopodobnie rację — Matta tam nie było.

Wobec tego gdzie się znajdował? Myśl. Logicznie. Zapomnij o zimnie i twarzy Ruby zwróconej w twoją stronę. Skup się.

Jeśli Matt był w Anaktue, kiedy wybuchł pożar, to co by zrobił? Staralby się pomóc, a gdyby nie zdołał, to poszedłby wezwać pomoc. Wyobrażała sobie, że w tym pośpiechu telefon wypada mu z kieszeni i ląduje bezgłośnie w śniegu. A on, nie zauważywszy tego, pokonuje w burzy śnieżnej ponad trzy kilometry, a potem wspina się na oblodzoną grań, żeby uzyskać połączenie satelitarne. A co się stało potem? Sięgnął do kieszeni i nie znalazł telefonu. Może ruszył z powrotem po swoich śladach, szukając go, nie wiedząc, że wypadł mu w wiosce. Jak długo to trwało? Pewnie ruszył przed siebie, by wezwać pomoc. Byłby zdesperowany. W wiosce znajdowały się dzieci. Corazon. Gdyby szedł zbyt szybko, toby się spocił, a pot zamarzłby mu na skórze, powodując hipotermię. Zdawał sobie jednak sprawę z tego niebezpieczeństwa. Nie pomogłoby mu, gdyby się o niego martwiła. Skup się. Zobaczyła jednak jego oczy, gdy sobie uświadomił, że w promieniu setek kilometrów nie ma miasta ani wioski, ani domu, do którego mógłby się udać, ale mimo to kontynuował wędrówkę, jakby mógł to odmienić, nim pojął ostatecznie, że to daremne. Chciała położyć mu na twarzy swą ciepłą dłoń. Skup się. I przez cały ten czas policja przeszukiwała Anaktue i pas startowy, i panowała ciemność, i szalała burza, a światło reflektorów nie dobyło z mroku jego sylwetki, bo go tam nie było. Ile czasu upłynęło, nim zawrócił w stronę Anaktue i stwierdził, że wioska jest wyludniona i że policjanci zabrali się stamtąd?

Poczuła, jak Rubby klepie ją po ramieniu; jej walizka utknęła w zamrożonej brei na krawędzi chodnika. Yasmin pomogła jej uporać się z ciężarem.

Istniało lepsze wyjaśnienie. Wyruszył z kamerą, tak jak powiedziała kapitanowi Graylingowi. Tyle zwierząt do sfilmowania, głusza Alaski roіła

się od nich. Nie uwierzyła mu, i to był błąd. A wtedy coś go zatrzymało — pies się zranił albo sanie uległy uszkodzeniu. Bez znaczenia. Chodzi o to, że nie znajdował się w pobliżu Anaktue, kiedy wioska płonęła. I, co równie ważne, miałby ze sobą zestaw survivalowy. A telefon? Gdy wyruszał wraz z zaprzęgiem, upuścił go i nie zauważył tego; znowu uciszający śnieg, przedmioty wpadały do niego i nie wydawały żadnego dźwięku. Jazda saniami nie była łatwa, może plątały się linki psów; mnóstwo rzeczy, na które należało uważać i które nie pozwalały pomyśleć o zgubionym telefonie. A potem? Wrócił do wioski po pożarze, kiedy policja przerwała już poszukiwania, ostatniej nocy zapewne, może nawet tego ranka, i zastał to miejsce spalone do gołej ziemi i opustoszałe.

Studiowała fizykę i astrofizykę, nie medycynę, nie wiedziała więc, jak długo mógłby przeżyć.

Nie zamierzała przyjmować do wiadomości faktu o liczbie ofiar, podanej przez kapitana Graylinga; to było nieudowodnione, nie zaś zweryfikowane. Było błędne. No i istniała nielogiczność, na której oparła przekonującą hipotezę — że Matt musiał żyć, bo ona go kochała; emocjonalna prawda, tak dojmująco odczuwana i absolutna, że opierała się wszelkim racjonalnym argumentom.

Pomogła Ruby z walizką i ruszyły obie w stronę terminalu. Postanowiła, że wejdą na pokład samolotu lecącego na północ Alaski i znajdą Matta.

Kiedy dotarły do budynku, zauważyła, że światło przygasło gwałtownie od czasu ich przyjazdu, że okres oślepiającego blasku dobiegł końca. Wiedziała, że używa się starannie wyskalowanych słów na określenie tutejszego zmroku i zapadnięcia nocy. Rozmawiała o tym z Mattem przez telefon, gdy po raz pierwszy pojechał na Alaskę — dobra rozmowa, jedna z kilku zaledwie dobrych rozmów. To światło było nazywane „zmerchem nautycznym”, kiedy to środek tarczy słonecznej znajduje się pomiędzy szóstym i dwunastym stopniem kątowym poniżej horyzontu. Niebawem słońce miało się znaleźć między dwunastym a osiemnastym stopniem kątowym poniżej horyzontu, a to oznaczałoby zmierzch astronomiczny. A potem zrobiłoby się po prostu czarno.

¹ Ten cytat i następny z: William Szekspir, Król Lear, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

ROZDZIAŁ 3

Slowa bez Dzwiekow@Slowa-bez-Dzwiekow

650 followersów

HAŁAS: wygląda jak migoczące znaki, neonowo jasne; czuje się go jak spadający gruz; smakuje jak powietrze wydychane przez innych ludzi.

Jest tu okropnie. Tłumy ludzi z walizkami i wózkami. Zapisuję numer komórki mamy i jej adres mejlowy na małych karteczkach i jestem bezustannie potrącana. Na odwrocie karteczki widnieje telefon jakiejś korporacji taksówkowej, ale mama mówi, że jeżdżą tylko w lecie. Mówi, że będziemy dawać te karteczki każdemu, kto mógłby pomóc.

Trochę się martwiłam, że policjanci to guzdrały, ale teraz myślę, że to naprawdę dobrze, bo to znaczy, że mama odnajdzie tatę, a on zobaczy, jak bardzo go kocha. Może tego nie wie, bo ona ukrywa to pod ogromną złością.

*

Yasmin poprosiła pięcioro ludzi stojących w kolejce przy stanowisku North Airlines, żeby ją przepuścili; zapewne dostrzegli jej desperację, gdyż odsunęli się uprzejmie na bok. Spojrzała w twarz nachmurzonej kobiecie za kontuarem.

— Wie pani, jak mogę się dostać do Anaktue?

— Jest kolejka, proszę pani.

— Ale...

— Musi pani swoje odstać.

Yasmin cofnęła się. Mogła udobruchać wrogo nastawioną kobietę tylko w jeden sposób — stając w kolejce, tak jak inni. Zwróciła się do Ruby,

pytając, jak idzie jej z karteczkami, a Ruby odpowiedziała, że skończyła; milcząca rozmowa w hałaśliwej sali. Zleciła to zadanie córce, żeby poczuła się potrzebna, ale też z myślą o nikłym prawdopodobieństwie, że kartkę weźmie ktoś, kto wie cokolwiek o Matcie i Anaktue.

Zauważyła ogłoszenie o wycieczkach na północne koło podbiegunowe, gdzie można obejrzeć zorzę polarną. Patrzyła przez kilka chwil z zainteresowaniem, nim przypomniała sobie, że Anaktue leży setki kilometrów dalej na północ, zresztą oferta nie była w zimie aktualna.

*

Do: Matthew.Alfredson@mac.com

Temat: Przyjeżdżamy!

Od: Ruby.Alfredson@hotmail.co.uk

Cześć, tato, mama przyjeżdża, żeby cię znaleźć, a ja z nią. Jesteśmy na lotnisku i mama kupuje nam bilety na samolot. Mama bardzo, bardzo chce cię zobaczyć. Ja też się nie mogę doczekać.

Kocham cię megatonicznie.

Puggle

Wiem, że laptop taty jest uszkodzony, ale terminal satelitarny działa, więc będzie musiał tylko pożyczyć od kogoś laptopa. Jeśli tata jest okej, to ktoś z jego przyjaciół w wiosce też musi być okej i wzięli laptopa. Inuici nie tkwią w przeszłości, jak niektórym się zdaje. Polują na karibu i budują *aputiaki*, ale mają skutery śnieżne, a także laptopy. To nie jest albo to, albo to. I ktoś pewnie zabrał swojego laptopa, kiedy uciekał przed ogniem. Ja bym tak zrobiła. Po Bosleyu, który jest naszym psem, i po Tripodzie, który jest naszym kotem, laptop byłby następną rzeczą, jaką bym wzięła. Więc tata będzie mógł sprawdzać mejle.

Tata i ja uważamy, że jak pójdę do szkoły średniej, to będę za duża, żeby nazywać mnie Puggle, bo to dziecięce imię. Ale zgadza się, że nie mogę stać się dorosłym Puggle i być nazywana Dziobakiem; wciąż się zastanawiamy,

jak będzie mnie nazywał.

Kiedy wysyłałam tacie mejla, zobaczyłam, że dostałam mejle od ludzi ze szkoły, ale kiedy jestem w szkole, większość ze mną nie rozmawia. To nie jest W OGÓLE fajne rozmawiać z tą-głuchą-dziewczyną, co wymawiają tak, jakby to było jedno słowo i jakby to było moje imię.

Tanya, która przewodzi dziewczynom, jest najpaskudniejsza: „O, patrzcie, idzie ta głucha dziewczyna, żeby poplotkować” — potrafię czytać wyraźnie z jej ust; zaczęła używać różowej pomadki ochronnej i na to właśnie patrzę, kiedy dziewczyny się śmieją. A potem mówię: „Po co miałabym z tobą plotkować? Masz osobowość toster. Zresztą plotkowanie jest okropne”.

Śmieją się dalej, bo nie rozumieją języka migowego i uważają, że to zabawne, kiedy robię dziwne rzeczy z rękami. Ale Jimmy, który rozumie te znaki, roześmiał się, bo „osobowość toster” była zabawna.

*

(PASKUDNY: czuje się to jak drut kolczasty; wygląda jak królik z nogą w sidłach; smakuje jak szepcząca pomadka ochronna).

*

Kiedy wysyłam mejla albo jestem na Facebooku, ludzie, którzy nie umieją migać, rozumieją mnie od razu i chwytają moje dowcipy. Też mi opowiadają dowcipy i ja także od razu je chwytam, co jest ważne, jeśli chodzi o dowcip (nie ludzie jak Tanya, tylko ludzie, którzy mejlują ze mną albo są na Facebooku). I mówią mi też o rzeczach prywatnych. Max, który jest ze mną w klasie od zerówki, jest zły, że zostało nam tylko dwa i pół semestru w podstawówce. Martwi się szkołą średnią tak jak ja. Ale w szkole nigdy ze sobą nie rozmawiamy. Jest tak, jakby były dwa światy — ten wystukiwany (mejle, Facebook, Twitter i blogi) i ten „prawdziwy”. Więc są dwie Ruby. I chciałabym, żeby świat prawdziwy był tym wystukiwanym, bo tam mogę

być sobą jak należy.

To od taty dostałam laptopa. Mama go nienawidzi i od razu go nazwała „ten przeklęty laptop”. Zawsze patrzy na niego gniewnie, jakby laptop też mógł patrzeć na nią gniewnie, a ona mogła wygrać te zawody w gniewnym patrzeniu.

Mama uważa, że gdybym umiała mówić ustami, to byłoby lepiej. Mówi mi to prawie za każdym razem, kiedy wracamy ze szkoły. Zamiast się z nią spierać, trzymam ją za rękę. Ale czasem spieram się swoim głosem — ręcznym głosem, więc nie trzymam już jej za rękę — i mówię: „Nie, nie będzie lepiej” albo „Nie rozumiesz!”, ponieważ:

po pierwsze — mój głos nigdy nie będzie brzmiał tak jak u innych,
po drugie — to będzie jeszcze jedna rzecz na mój temat; będę „tą głuchą dziewczyną z głupim głosem”; jest dostatecznie źle być „tą głuchą dziewczyną”, nie będąc „jeszcze jakąś inną dziewczyną”.

Wolałabym być zarozumiałą, szczeniacką, dziewczyną, dziewczyną kujonicą, co wie wszystko, kimś w tym rodzaju, bo takie określenie można zmienić, jeśli się chce. Albo nie. Jak kto woli.

Głuchota to coś, czego nie da się zmienić. Mama tego nie rozumie, ale nie wiem, czy nawet bym tego chciała. To mój świat Ruby — cichy świat, na który patrzę, którego dotykam i który czasem smakuję, ale którego nie słyszę. Tata mówi, że cisza jest piękna. Więc może mój świat jest przyjemniejszy niż świat innych ludzi. I może pojawienie się w moim cichym świecie dźwięków, których nie słyszę, popsułoby wszystko.

Max naprawdę martwi się zmianą szkoły; boli go od tego brzuch i w ogóle. Ja też się martwię, ale z moim brzuchem jest wszystko okej.

*

Yasmin dotarła do kontuaru i wrogiej kobiety.

— Chcę się dostać do Anaktue.

— Nie wiem, gdzie to jest, proszę pani.

— Na północy. Jakies osiemset kilometrów stąd.

— Nie latamy tam.

— Wobec tego najbliższe miasto? Deadhorse, jak sędzę?

Pamiętała, że Matt tam poleciał, udając się do Anaktue, i że wynajął na miejscu awionetkę.

— Powiedziała pani, że nie mamy połączeń z tamtym rejonem.

— Może mi pani powiedzieć, jak się tam dostać? Bardzo proszę.

— Zajmuję się odprawą. Nie pracuję w biurze podróży.

Do Yasmin zbliżył się jakiś mężczyzna. Około czterdziestki, ubrany w kombinezon. Na głowie miał firmową czapkę z daszkiem. Am-Fuels. Nosił znaczek upamiętniający zamach z 11 września.

— Tylko Arctic Airways — wyjaśnił. — Ale ostatni samolot dzisiaj odleciał dziesięć minut temu.

Poczuła narastającą panikę; musiał to zauważyć, bo przyjrzał jej się ze zrozumieniem.

— Może uda mi się załatwić jakiś lot do Deadhorse — zaproponował. — Stamtąd można dotrzeć awionetką niemal do każdego miejsca na północy. — Milczał przez chwilę. — Chodzi o to Anaktue, o którym mówili w wiadomościach?

— Chyba tak.

Nie powiedziała nic więcej, a on się nie dopytywał.

— Może pani zaczekać chwilę? Odprowadzę córkę do samolotu.

Stała za nim młoda kobieta, mogła mieć osiemnaście albo dziewiętnaście lat. Wyglądała na podekscytowaną, zerknęła na boki i uśmiechała się co chwila. Dźwigała plecak.

*

Mama rozdaje małe karteczki, na których pisałam, i pyta ludzi, czy wiedzą coś o Anaktue; wszyscy patrzą na nią dziwnie. Niektórzy są niegrzeczni i wrzucają na naszych oczach kartki do kosza. Zapisuję więcej, na odwrocie

innej korporacji. Trochę się boję, że ludzie będą dzwonić do mamy albo pisać mejle, myśląc, że chodzi o taksówkę.

Wciąż myślę o tych paskudnych dziewczynach w szkole i plotkowaniu.

Tata powiedział mi o jednym filmie, na którym kaznodzieja tłumaczy ludziom, dlaczego plotkowanie jest takie okropne. Mówi, że kiedy ktoś rozpuszcza plotkę, to tak, jakby opróżniał z wysokiego okna poduszkę pełną pierza, które porywa wiatr, i jeśli chce się złapać plotkę z powrotem, to trzeba znaleźć każde pojedyncze piórko, a tego nie da się zrobić. Ale byłoby dobrze, gdyby tak było z kartkami mamy — pofruną wszędzie i ktoś będzie wiedział coś, co pomoże nam szybko znaleźć tatę.

*

Piętnaście minut później Yasmin zobaczyła, jak mężczyzna w czapce z daszkiem przepycha się w ich stronę przez ławice ludzi. Wydawało jej się, że jest zaaferowany.

— Jack Williams — powiedział, wyciągając rękę. — Przepraszam, że trwało to chwilę, ale chciałem odprowadzić córkę. Nie wyjeżdżała wcześniej z domu. W każdym razie nie na dłużej niż tydzień.

Yasmin podobało się, że jest zaaferowany.

— Freedman Barton Fuels transportuje takich wyrobników jak my do szybów na południe od Prudhoe, a po drodze jest Deadhorse — ciągnął Jack. — To czarter. Znam pilota, zadzwoniłem do niego. Nie ma nic przeciwko temu, żeby się pani z nami zabrała. To prawdopodobnie nielegalne, ale nikomu nie piśnie słowa. Są dwa wolne miejsca.

— Dziękuję — powiedziała Yasmin.

Uśmiechnął się do Ruby.

— Chciałbym, żeby wszystkie córki zatrzymywały się w twoim wieku. Żeby nie dorastały i nie chciały podróżować.

Yasmin nie była pewna, ile z tego Ruby zrozumiała, ale pewnie większość, bo Jack mówił wyraźnie i nie zakrywał ust dłonią.

— Chodźcie, zaprowadzę was. To wasze walizki?

*

Nie podoba mi się ten człowiek. Nie ufam mu nawet przez sekundę. Cały uśmiechnięty, lizusowski. Podnosi nasze walizki, rękaw podjechał mu do góry i widzę zegarek marki Omega. Tata ma podobny, całkiem podobny, dziadek mu go zostawił. Mówi, że jest zbyt cenny, żeby nosić go na okrągło, więc dlaczego ten człowiek nosi go codziennie? Widzi, że na niego patrzę.

*

Yasmin zauważyła, że Ruby patrzy na zegarek, a raczej spogląda na niego ze złością. Nic dziwnego, że Jack też to dostrzegł.

— Lubiałem kupować żonie prezenty — powiedział. — Praca przy odwiertach to paskudna, brudna robota. Jak się kończy, człowiek ma ochotę na coś miłego. Przywoziłem jej ładne drobiazgi. Tuż przed naszą dwudziestą rocznicą zaniósła całą biżuterię z powrotem do sklepu i wymieniła na ten zegarek, i dała mi go.

I jego żona zmarła, pomyślała Yasmin, więc zawsze nosił ten zegarek. Ogarnęło ją współczucie, którego wcześniej nie potrafiła sobie nawet wyobrazić.

Ruszyły za Jackiem w głąb korytarza, do niewielkiej hali odlotów. Siedziało tu kilkunastu mężczyzn, większość w czapkach z emblematem FBF i kombinezonach, kilku miało firmowe czapki Am-Fuels. Yasmin wzięła Ruby za rękę. Pomyślała z lękiem o dniu, w którym tacy mężczyźni przestaną postrzegać Ruby jako dziecko. Stwierdziła ku swej uldze, że nie zauważyli ich obecności; skupiali uwagę na drobnym mężczyźnie w garniturze, siedzącym do nich plecami; jego blond włosy lśniły w sztucznym świetle. Yasmin wyczuwała ich wrogość wobec tego człowieka, widziała niemal, jak ta niechęć ociera się o jego skórę.

— Pieprzony ekolog, taki, co to przykuwa się do drzewa — zwrócił się do niego jeden z mężczyzn.

— Na północy Alaski nie ma drzew. Nikt ci o tym nie powiedział? —

odezwał się drugi.

Blondyn zareagował na ich napastliwość z wyższością.

— Nie martwi was albo przynajmniej nie interesuje, z czym macie w pracy do czynienia? Czynniki rakotwórcze powodujące nowotwory, radioaktywne chemikalia...

— Wyglądamy na chorych? — przerwał mu mężczyzna z tatuażem na twarzy, pochylając się nad nim. Zwrócił się do pozostałych robotników: — Przyjeżdża i wstawia te swoje pieprzone, głodne kawałki co tydzień.

Yasmin widziała teraz twarz blondyna i zauważyła ze zdziwieniem, że jest po pięćdziesiątce i że brwi ma posiwiałe, a skórę bladą.

— Słyszeliśmy to już sto razy, kolego — ciągnął ten z tatuażem. — Wiesz, co znaczy w skrócie Freedman Barton Fuels? FBF? Frack Baby Frack. Fracking.

Blondyn wciąż zachowywał ton wyższości.

— Przeszedłeś do American Fuels, więc nie możesz już powtarzać tego dowcipu.

Yasmin zauważyła, że Ruby, czytając z ruchu warg, jest wyraźnie zaniepokojona zachowaniem mężczyzn i ich językiem.

„Powiedział: «Frack baby frack», nie fuck” — wyjaśniła córce, literując na palcach „frack” i dodając, że chodzi o szczelinowanie hydrauliczne. Poprosiła, żeby nie czytała już z ruchu warg; obiecała, że jej powie, gdyby chodziło o coś ważnego.

Mężczyźni zaczęli jej się przyglądać. Jack podszedł bliżej.

— Ta pani i jej córka lecą z nami do Deadhorse — oznajmił.

Jeden z mężczyzn wybuchnął śmiechem.

— Mają tam centrum handlowe?

— Chcemy się dostać do Anaktue — wyjaśniła Yasmin. — Wynajmiemy awionetkę.

— Nie oglądała pani wiadomości? — zwrócił się do niej jeden z robotników, muskularny mężczyzna. — Ta wiocha spaliła się na pieprzoną grzankę. Wszyscy i wszystko. — Popatrzył na pozostałych. — Powiedzieli, że ci pieprzeni idioci składowali obok domów paliwo.

— To fracking mógł wywołać pożar — zawyrokował blondyn, a na jego

bladej twarzy pojawiło się wyraźne ożywienie; widać było, że jest podekscytowany. — Anaktue leży tylko siedemdziesiąt kilometrów na północ od odwiertów Am-Fuels w Tukapak.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł muskularny mężczyzna. — Ale powiedziałbym, że to siedemdziesiąt kilometrów pieprzonego śniegu.

— Zdarzało się, że ludziom zapalała się woda w kranach — upierał się blondyn.

— Tak, racja — rzucił ironicznie jego rozmówca. — To nie paliwo eksplodowało, jak powiedzieli w wiadomościach, tylko woda wszystko spaliła.

— Opary mogły wybuchnąć — upierał się przy swoim blondyn. — Zawsze istnieje takie ryzyko.

— Och, na litość boską — wtrącił Jack, a Yasmin była pewna, że posługuje się łagodniejszym językiem ze względu na Ruby. — Chcesz nam wmówić, że opary z odwiertu szczelinowego przebyły siedemdziesiąt kilometrów północnej Alaski, przy minus trzydziestu pięciu stopniach i silnym wietrze, a potem dotarły do Anaktue i wybuchły? Samoistnie?

— To możliwe — oznajmił blondyn.

— To bzdura, i ty o tym wiesz — powiedział Jack. Wpatrywał się w twarz blondyna, jakby zamierzał wyczytać coś z jego zmarszczek. — Jezu. Chciałbyś, żeby tak było. Żeby spowodował to fracking. Zależy ci na tym, żeby coś takiego się stało.

— Okej, masz rację — przyznał blondyn. — Fracking to wypadek, który tylko czeka, żeby się wydarzyć. Klęska, która tylko czeka, żeby się wydarzyć. Lepiej, żeby zginęli wszyscy w małej wiosce niż na gęsto zaludnionym terenie. Jeśli zniszczenie jednej osady ma doprowadzić do zakazu szczelinowania hydraulicznego, to ja jestem za.

Yasmin czuła obrzydzenie, ale musiała z nim porozmawiać, bo wiedział, gdzie leży Anaktue: „Tylko siedemdziesiąt kilometrów na północ od odwiertów Am-Fuels w Tukapak”. Anaktue było małą osadą, skąd więc wiedział?

Podeszła do niego, trzymając Ruby za rękę. Zauważyła, że przygląda jej się obcesowo, bez zmrużenia powiek.

— Silesian Stennet — przedstawił się, wyciągając prawą dłoń, pulchną i upstrzoną plamkami wątrobowymi, ale ona nie podała mu swojej. — Byłem dyrektorem finansowym przedsiębiorstwa stosującego szczelinowanie hydrauliczne — ciągnął, nie odrywając od niej wzroku. — Sumienie nie pozwalało mi pełnić tej funkcji. Miałem świadomość ryzyka. Ale niektórzy ludzie nie chcą, by ich ostrzegano.

— Skąd pan wie, gdzie leży Anaktue? — spytała Yasmin. — Zna pan tamtejszych ludzi? Miał pan od kogoś wiadomość?

— Wspomniałem już, kim byłem. Anaktue siedzi dosłownie na setkach tysięcy baryłek ropy łupkowej. Rurociąg alaski przebiega zaledwie pięćdziesiąt sześć kilometrów dalej, więc infrastruktura jest niemal pod nosem. Można przesyłać surowiec. Szefowie wszystkich firm frackingowych wiedzą, gdzie jest Anaktue. Mają próbki skał, trójwymiarowe dane sejsmiczne i wyniki odwiertów.

*

Jack patrzył na Yasmin i Silesiana Stenneta i zastanawiał się, czy nie przestrzec jej przed tym sukinsynem; powiedzieć, że był skazany za sabotaż przy frackingu i że miał szczęście, że nikomu nic się nie stało. Wyższy o kilka centymetrów od Silesiana, Jack widział, że jego blond przedziałek poprzetykany jest szarymi pasemkami. Ten osobnik chciał być młodym człowiekiem służącym sprawie, a w rzeczywistości był fanatykiem owładniętym obsesją.

*

Nikt nie otwiera ust, nikt nie mówi, a mama znowu jest spięta jak sznurek od tenisa ogrodowego. Zapomniała, że ma mi powtórzyć, gdyby ktoś powiedział coś ważnego czy interesującego.

Mężczyzna o blond włosach pokazuje na palcach: „Chcesz, żebym ci powiedział, co się dzieje?”.

To superniesamowite, kiedy ktoś zna język migowy i nie jest głuchy. Jak prezydent Obama, który pokazał „dziękuję” komuś, kto też mu coś pokazał, jakby to była najzwyczajsza rzecz pod słońcem. Mama tego nawet nie zauważyła, bo czegoś akurat słucha.

Mężczyzna o blond włosach literuje na palcach „wiadomość” i pokazuje teraz coś o martwym koniu. Chodzi mu o miejsce — to, dokąd zmierzamy, żeby znaleźć tatę. Deadhorse.

W amerykańskim języku migowym pokazuje się konia, przykładając dłoń do głowy i udając, że rusza się uchem, jak robił ten koń w *Czasie wojny*. W brytyjskim języku migowym trzyma się wodze w trakcie galopu, co jest śmieszniejsze. Myślę o historii tego znaku, nie o tym, co przekazuje, bo boję się, że to coś złego.

Blondyn pokazuje mi swój telefon. Napisał coś, żebym mogła przeczytać. Przysuwam się do niego, ale nie za bardzo, więc mama nie będzie się gniewać. Czytam, co napisał:

Na lotnisku w Deadhorse doszło do wypadku. Samolot dostawczy zgubił ładunek. Zakaz lądowania, dopóki pas nie zostanie uprzątnięty. Może potrwać do jutra albo do następnego dnia.

Robi mi się niedobrze. Jak w samolocie, kiedy idę między rzędami siedzeń i myślę, że pod podłogą są całe kilometry nieba.

Blondyn mówi:

— Dlaczego jedziecie do Anaktue? — I pokazuje na palcach: „Anaktue”.

— Znaleźć tatę — odpowiadam.

— W Anaktue? — pyta, a jego twarz krzywi się niby w uśmiechu, jakby uważał, że to zabawne.

— Tak.

Nie podoba mi się, że jestem tak blisko niego. Kiedy podsunął mi telefon pod twarz, żebym mogła przeczytać, ręce pachniały mu starą rybą.

Pamiętacie, jak powiedziałam, że ten Jack jest dziwaczny? No cóż, nie jest właściwie taki. Byłam tylko zła na niego, że tu jest, kiedy to tata powinien

być z nami. Byłam nawet zła, że nam pomaga, co jest głupie, bo potrzebujemy jego pomocy, żeby dotrzeć do taty. Więc choć ten blondyn wydaje mi się dziwaczny, nie będę już ufała swojemu czujnikowi dziwaczności.

Przybliżam się do mamy. Rozmawia z nią jakiś mężczyzna, ale ona wciąż nie pamięta, że miała mi mówić o wszystkim, co ważne, więc będę czytała z ruchu jego warg. Nie potrafię wychwycić każdego słowa, ale rozumiem całkiem sporo.

Mówi, że awionetki wciąż startują z Deadhorse, bo nie potrzebują głównego pasa. Wciąż możemy dotrzeć do taty!

Inny mężczyzna, ten, który ma dużo tatuaży, mówi coś o tym, jak dotrzeć stąd do Deadhorse, ale nie umiem dobrze odczytać z jego warg, bo mamrocze. A teraz inny się uśmiecha, jakby chodziło o coś bardzo zabawnego.

— I jak zamierza to zrobić? — pyta, a potem dostrzega mnie i milczy przez chwilę. — Złapać pieprzony autobus? — Teraz patrzy na mamę i mówi coś, czego nie potrafię wychwycić z jego warg, a potem dodaje: — Nie może tam pani dojechać samochodem. To osiemset kilometrów oblodzonej drogi.

Ciągnę mamę za rękaw, zmuszając ją, żeby spojrzała na mnie.

— Co zrobimy? — pytam. — Jak dostaniemy się do taty?

Mówi mi, żebym poczekała chwilę. Blondyn podchodzi do mnie i pokazuje telefon:

Dlaczego twoja mama nosi dwie obrączki?

Patrzę na dłoń mamy. Zawsze ma na niej obrączkę, a czasem pierścionek zaręczynowy albo ten, który tata dał jej, kiedy się urodziłam, zrobiony z kamienia zwanego perodytem – zielonego, co oznacza radość, i mama mówi, że ma taki sam kolor jak moje oczy, więc może patrzeć na pierścionek, kiedy mnie nie ma i wyobrażać sobie wyraźnie moją twarz, ale tata mówi, że oznacza to również, że miał ograniczone środki.

Nie nosi obrączki taty, bo on ją nosi. Nie rozumiem. Jest tak, jakby

podłoga samolotu była zrobiona z rozmokłego papieru, a ja przelatuję przez nią.

Mama chwyta telefon tego mężczyzny, zamyka go i podsuwa mu z powrotem. Nachyla się, przybliżając twarz do mojej.

— Tata zdejmuję obrączkę, kiedy pracuje — mówi. — Dlatego policjanci ją znaleźli. A teraz trzymam ją dla niego — mówi ustami i jednocześnie pokazuje na migi. — Tata jest okej.

Blondyn przygląda się, jak mama daje mi znaki, i jest tak, jakby mnie z czegoś okradał.

*

Ciągnąc walizkę na kółkach jedną ręką, a drugą trzymając Ruby, Yasmin zaczęła oddalać się długim korytarzem od hali odlotów w stronę wyjścia. Ruby starała się dotrzymać jej kroku, jej własna walizka przechylała się niebezpiecznie.

Musiała zastanowić się nad jakimś planem. Musiał istnieć jakiś plan. Po prostu. Jeśli nie potrafiła żadnego obmyślić, czy oznaczałoby to chwilę, w której ktoś kazałby jej zmierzyć się z faktami? I kto by to był? Policjant? Ktoś z Anglii? Dopóki podążała przed siebie, by znaleźć Matta, on żył. I nie był to jakiś żal, podsycany przez obecne w niej pragnienie; chodziło o to, że gdyby przestała wierzyć, że on żyje, gdyby pozwoliła ludziom i faktom stłumić nadzieję, to on zostałby sam w północnej arktycznej głuszy i by nie przeżył.

*

Mama mówi, że potrzeba nam „drużynowej” rozmowy. Tata prowadził te rozmowy, zanim przyjechał tutaj, a potem mama przejęła pałeczkę. W domu mama mówi, że ona i Bosley to „Drużyna Ruby” i że jest to czas, żeby się wygadać, bo nie jest dobrze dusić wszystko w sobie, i że powinnam się wypłakać (zamiast płakać publicznie, co uważa za żenujące). A kiedy płacze,

Bosley macha ogonem, uderzając nim o mnie, i jest tak, jakby dzielił się ze mną swoim ogoniastym szczęściem. Czasem zamiast niego jest Tripod i mruczy na moich kolanach z drżącym zadowoleniem, i jest to też miłe, ale zazwyczaj na jego miejscu siedzi Bosley.

Mama mówi, że idziemy do hotelu, ale myślałam, że będziemy szukać taty. Mówi, że w dobrym hotelu zapewniają opiekę nad dziećmi. Przez krótką chwilę nie mam pojęcia, o co jej chodzi. A potem już wiem i mówię: „Nie!”. Nigdy wcześniej nie zostawiła mnie z opiekunką. Nie chcę zostać z opiekunką. Mówi, że nie potrwa to długo. I że dopilnuje, żeby opiekunka była miła.

Mężczyzna o blond włosach jest tuż za nami i patrzy, jak się porozumiewamy. Jakby znów mnie okradał, ale ja nawet o tym nie wiem. Musiał przebiec kawałek, bo cała twarz mu błyszczy, a blond włosy ściemniały od potu.

Zachodzi nam drogę, więc nie możemy iść dalej korytarzem. Gapi się na mamę, nic nie mówiąc, tylko odstawia ten numer „O MÓJ BOŻE! Jest taka CUDOWNNA! Robię z siebie kompletnego głupka, patrząc tak na nią”. Ale robią z siebie jeszcze większych głupków, nie odzywając się przez wieki. Mama nigdy tego nie zauważa. „Mama to romantyczny pirat drogowy — twierdzi tata. — Rozjeżdża nieszczęśnika i wieje z miejsca wypadku”.

„Nie, bo nawet nie wie, że ich rozjeżdża” — mówię, broniąc mamy, co rozśmiesza tatę.

Brzmi to tak, jakby żartowali z siebie cały czas, ale rzadko to robią.

Blondyn mówi teraz, a ja widzę jego wargi.

— Pomogę pani znaleźć dobry hotel — mówi.

— Nie trzeba, dziękuję — odpowiada mama. Ale wcale nie ma na myśli „dziękuję”.

Bierze mnie za rękę i oddalamy się od niego korytarzem.

Ale on też idzie. Wyciąga rękę, żeby dotknąć mamy, jakby już go znała, jakby była jego żoną albo dziewczyną, ale mu nie pozwala, bo go nawet nie lubi.

— Jest tu pani pierwszy raz — mówi blondyn. — Nie wie pani, gdzie mogą z człowieka zedrzeć.

*

Yasmin próbowała odciągnąć Ruby od Silesiana Stenneta, ale zagradzał im drogę.

— Potrzebuje pani opiekunki do dziecka, prawda? Popilnuję małej. Zajmę się nią.

— Powiedziałam już, że nie trzeba.

— To żaden kłopot. Mieszkam tutaj, w Fairbanks. Przecznicę dalej. Wynajęcie profesjonalnej opiekunki będzie drogie. Z radością zrobię to za darmo. — Ujął ją za ramię. — Nic mi nie będzie pani winna.

Zbliżył się do nich szybkim krokiem Jack, a wtedy Silesian puścił jej rękę.

— W porządku? — spytał ją Jack, a ona skinęła głową. Zwrócił się do Silesiana: — Zostaw tę panią i jej córkę w spokoju, rozumiesz?

— Dziękuję — powiedziała Yasmin do Jacka. Spojrzała na Ruby. — Okej?

Ruby skinęła w odpowiedzi głową i obie ruszyły w stronę wyjścia, ciągnąc swoje walizki.

Jack samą fizycznością powstrzymywał Silesiana od zrobienia choćby kroku i Yasmin była mu za to wdzięczna.

Żałowała, że nie zostawiła Ruby w Anglii, ale od kiedy rodzice Matta zmarli, nie ufała nikomu, jeśli chodzi o opiekę nad córką, która bała się przebywać z dala od domu. Nieliczni ludzie potrafili porozumiewać się z Ruby albo ją zrozumieć; Yasmin lękała się też niezamierzonego okrucieństwa — ktoś mógł na przykład zgasić nocną lampkę, więc Ruby nie wiedziałyby, czy ten ktoś powiedział jakieś słowa, wychodząc z pokoju, te ostatnie życzenia dobrej nocy, czego tak bardzo potrzebowała. Jak więc mogłaby ją zostawić w tym nieznanym jej mieście po drugiej stronie świata, z obcymi i tym niepokojącym człowiekiem tuż obok?

*

Stoimy w pobliżu dużych drzwi lotniska. Za każdym razem, gdy ktoś wchodzi, skrzydła się rozsuwają i zimno też przedostaje się do środka

i szczypie mnie w twarz. Boję się, że ten blondyn pójdzie za nami. Mama musi o tym wiedzieć, bo mówi:

— To tylko smark, a my nie musimy przejmować się smarkami.

Pokazałam jej dawno temu, jak powiedzieć „smark”. Sama to wymyśliłam i jest to trochę obrzydliwe — wkłada się palec do nosa. Mama robi to po raz pierwszy. Wiem, że chodzi jej o to, żebym się uśmiechnęła.

— Nie chcę zostać w hotelu z opiekunką — mówię.

Mama kiwa głową, jakby rozumiała. Myślę, że też się trochę boi tego smarkowatego faceta. Że on przyjdzie i mnie znajdzie. Nie odzywa się przez długą chwilę. Przez drzwi przechodzą cztery duże grupy ludzi z wózkami na walizki i za każdym razem wpada wraz z nimi podmuch zimnego powietrza.

Mama mówi, że wymyśliła dwa scenariusze, i pokazuje je na palcach. Wiem, że teraz stanowimy właściwą drużynę. Nasze scenariusze to:

Pierwszy — tata wy dostał się z wioski i poszedł po pomoc, ale nie znalazł żadnej, a kiedy wrócił, policjanci już odeszli.

Drugi — był gdzieś i kręcił film, i trwało to dłużej, niż zamierzał, a kiedy wrócił do Anaktue, było tam okropnie, bo wszystko się spaliło, a policja odeszła.

W scenariuszu pierwszym i w scenariuszu drugim jest w Anaktue i czeka na nas, i musimy do niego dotrzeć.

Jestem superszczęśliwa z powodu tego „musimy”, my dwie, bo wiem teraz na pewno, że nie zamierza mnie zostawić.

Mama mówi, że jeśli jest to scenariusz drugi, to tata mógł użyć psiego zaprzęgu i sań, i mam nadzieję, że tak właśnie było, bo dzięki psom nie będzie czuł się samotny. Wszystko mi o nich opowiedział. Jeden z nich ma na imię Pamiuqilavug, co znaczy „Macha ogonem”, i myślę, że jest bardzo podobny do Bosleya; oby był teraz z tatą.

Jesteśmy w miejscu, gdzie można złapać taksówkę. Myślałam, że dojedziemy taksówką aż do taty, ale mama powiedziała, że nie możemy tego zrobić, bo samochody nie jeżdżą w zimie po Alasce. Mama rozmawia przez

telefon, więc musi być tu telefonia komórkowa trzeciej generacji, i myślę, że mama właśnie przystępuje do realizacji naszego planu.

*

Na północy Alaski kapitan Grayling odłożył słuchawkę służbowego telefonu, kończąc rozmowę z Yasmin Alfredson. Biedna kobieta zadzwoniła do niego z komórki, niedaleko lotniska w Fairbanks, jeśli sądzić po odgłosach w tle. Zaczęła przedstawiać jakieś scenariusze, tworzyć historie, w których jej mąż wciąż żył. Potem zażądała, żeby znów zaczęli szukać. Rozumiał to; sam się tak zachowywał, kiedy mu powiedzieli o Timothy — nie przyjął niczego do wiadomości, ponieważ akceptacja była nie do zniesienia. Zaprzeczenie miało postać topniejącej kry, ale człowiek i tak do niej przywierał. Pragnął jej to wytłumaczyć, zmusić ją, by zanurzyła się w oceanie; że były dwadzieścia cztery ciała, w tym ciała dwudziestu trzech mieszkańców wioski, że na miejscu znaleziono telefon komórkowy jej męża i obrączkę, a długie i dokładne poszukiwania pozwoliły stwierdzić, że nikt nie przeżył — bo właśnie nikt nie przeżył. Umilkła, a potem się rozłączyła. Miał nadzieję, że złapie szybko jakiś samolot i że jej krewni i znajomi w Anglii zaopiekują się nią.

*

To ona miała znaleźć Matta, wiedziała to teraz. Tylko ona.

Pojawiło się dawno tłumione wspomnienie, zaprawione wonią whisky i brudnego ubrania — pokryta cieniem, wilgotna trawa cmentarza, jej zimno przenikające przez cienkie podeszwy butów. Miała dwanaście lat i odwiedzała grób mamy. Chciała przekreślić jakiś kontakt i włączyć światło. Jej ojciec, wyjmujący butelkę z kieszeni płaszcza, żeby się napić, tuż obok nagrobka. Kiedy dowlokła go do samochodu, zamykali już parking przy cmentarzu.

Usiadła na miejscu kierowcy. Tata był zbyt pijany, żeby to zauważyć.

Rondo przy Elephant and Castle, trzy pasma ruchu, za dużo tego, zbyt szybko, zbyt hałaśliwie; poobijane samochody takie jak ich samochód, kierowcy, którzy przepychali się, nie wpuszczali jej, wrzeszczeli na nią klaksonami. Przyglądała się podczas tych wszystkich podróży do szpitala i z powrotem, jak tata prowadzi, żeby nie myśleć o tym, co dzieje się z mamą. Wieżowce komunalne przy Old Kent Road napierały na nią, wszędzie graffiti, a ona na wpół stała, żeby sięgnąć nogami pedałów. Powoli. Samochody trąbiły na nią. Mężczyzna sikał na chodnik. Światła zmieniały się na czerwone. Płakała ze strachu, trzęsła się, ale dowiozła ich bezpiecznie do domu.

Próbowała zapomnieć i była zbyt zawstydzona, żeby powiedzieć komukolwiek, nawet Mattowi. Ale wtedy wszystko zależało od niej i dowiozła ojca do domu.

Objęła Ruby, chroniąc ją przed chciwym mrozem. Przy lotnisku chodniki i ulice tonęły w ostrym blasku; nieco łagodniejszy płynął z okien budynków. Nazajutrz miał nadejść poranek pełen światła dziennego. Tam, gdzie znajdowały się resztki Anaktue, nie byłoby w ogóle światła; a dalej na północy nie byłoby ranka, tylko noc polarna jeszcze przez dwa miesiące. Matt, nim dotarłyby do niego, pozostawałby w ciemności.

ROZDZIAŁ 4

Mama powiedziała, że dojedziemy do taty ciężarówką, i teraz jesteśmy w miejscu, gdzie stoją wozy jak MEGATRONOWE PANCERNIKI. Założę się, że w nocy przemieniają się w wielkie myślące roboty. Są tu cysterny długie jak cała nasza ulica w Londynie. Jimmy uznałby, że to miejsce to EKSTRA CZAD! (Mój przyjaciel. Był moim przyjacielem. Mieliśmy swoje ulubione słowa).

Mama mówi, że prawie wszystkie ciężarówki jadą do szybów naftowych w Prudhoe Bay, a Deadhorse jest wcześniej, więc znajduje się po drodze.

W dwóch pierwszych miejscach, do których poszliśmy, mama spytała dyspozytora, czy któryś z kierowców mógłby nas zabrać do Deadhorse. NIE! Zabieranie pasażerów jest WBREW PRZEPISOM! Trzeba to zobaczyć podkreślone na czerwono, żeby wiedzieć, jakie mają miny. Jakby mówili: „Jesteś TĘPA, skoro w ogóle o to pytasz”. Potem mama rozmawiała z kilkoma kierowcami, a oni mówili to samo, ale zamiast miny podkreślonej na czerwono uśmiechali się do niej i upływały wieki, zanim cokolwiek powiedzieli. Proponowała pieniądze, które dziadek zostawił tacie, ale nic to nie dało. Myślę, że powinna powiedzieć kierowcom, że jest dobra z fizyki. Nie mówi tego zazwyczaj ludziom, ale gdyby się tego o niej dowiedzieli, toby zrozumieli, że bardzo się przyda, jeśli ich ciężarówka się zepsuje. Ale ona daje im tylko jedną z wypisanych przeze mnie kartek. Prawie się nam skończyły.

Teraz idziemy do warsztatu. Mówi, że kierowca, którego ciężarówka wymaga naprawy, będzie potrzebował naszych pieniędzy i zabierze nas ze sobą, nawet jeśli jest to wbrew przepisom.

W warsztacie unosiła się woń paliwa, błyskały iskrzące narzędzia spawalnicze, brud i olej wżarły się w nierówną betonową podłogę. Grała muzyka pop. Podobnie jak kalendarz firmowy nad biurkiem w kantorze, muzyka sprawiała, że miejsce to mogłoby znajdować się wszędzie. Tylko nieustępliwy chłód przypominał człowiekowi, że jest na Alasce.

Ciągnąc walizki po nierównym betonie, podczas gdy każdy obecny tu mężczyzna patrzył na nią, Yasmin przypominała sobie, że ludzie uważali ją kiedyś za odważnie niezależną; podziwiali, że jest taka samodzielna i że nie daje sobie w kaszę dmuchać. Jednak od czwartej klasy szkoły podstawowej nie było po prostu wyboru.

Mnóstwo dzieci nie miało w domu ojca, ale tylko Yasmin nie miała matki, a jej nieobecność była jak siła odśrodkowa, która wyrzucała ją poza krąg normalności. Patrzyła z tęsknotą przygotowującą o zawrót głowy, jak matki innych uczniów czekają przed bramą szkoły, ze słodyczami i całusami na podorędziu, podczas gdy ona szła do pustego mieszkania, gdzie panowała cisza albo gdzie darła się muzyka, jakby mieszkała tu rodzina pełna nastolatków. Delikatnie powiedziane. Russell w więzieniu przed ukończeniem dziewiętnastego roku życia, Davey wywalany na okrągło ze szkoły, tata z mózgiem, który alkohol i rozpacz zamieniły w miazgę. Każdego ranka schodziła na dół, czując woń jedzenia, które zostało z poprzedniego wieczoru i którego nikt nie wyrzucił do kosza, resztki zastygłe na talerzach. Zmywała i robiła sobie śniadanie. Tak chciała zobaczyć już zastawiony stół, bo to by oznaczało sprawdzoną pracę domową, czyste ubrania i opowieść do poduszki. Dziewczyny, marzące o szklanym pantofelku i o pocałunku księcia, który je zbudzi, miały odpowiednie buty do szkoły i matki, które całowały je na dobranoc. I nic o niej nie wiedziały.

Dopóki nie poznała Matta, miała przez te wszystkie lata wrażenie, że samotność przygotowuje ją o nieważkość.

Już dwaj kierowcy w warsztacie jej odmówili; ich wozy należały do firmy transportowej, nie musieli więc płacić za naprawy. Byli jak inni kierowcy, którzy nie gardzą piwem i zrobią wszystko dla pieniędzy, gotowi powiedzieć nie, ale jeszcze bardziej gotowi popisywać się przed damską publicznością swoją męską dumą, jakby wyruszali na międzygalaktyczną wojnę, a nie

w trasę. Teraz trzeci kierowca odmówił. Kiedy go słuchała, wiedząc, że to jest bez sensu, ale nie mogąc zrezygnować, dopóki nie zyska stuprocentowej pewności, spod jednej z ciężarówek wysunął się młody mężczyzna; leżał na czymś, co przypominało niskiego gokarta.

— Jest pani drugą osobą, która prosi o podwiezienie.

Zważywszy na to, że lotnisko w Deadhorse było wyłączone z ruchu, przypuszczała, że inni ludzie też wpadną na ten sam pomysł co ona, chociaż robotnicy, z którymi miała lecieć, wydawali się zadowoleni, że spędzą jeszcze kilka dni w Fairbanks.

— Niech pani spyta Adeeba Aziziego — poradził młody człowiek. — Jest tam. Ma własną ciężarówkę.

*

Adeeb zwykle nie palił, ale zdarzało się od czasu do czasu, że dawka nikotyny warta była ryzyka obcowania z czynnikami rakotwórczymi. Jeden wybój skalny, uszkodzona miska olejowa i rachunek na siedemset dolarów. Dostałby odszkodowanie tylko w przypadku skasowania wozu. Miał początkowo nadzieję, że będzie musiał zrobić tej zimy tylko sześć kursów do Deadhorse, a teraz się okazało, że znów musi jechać. To był banał, prawda? Tata, który oszczędzał, żeby opłacić dzieciakom studia i żeby mogły go zostawić, odchodząc w siną dal. Chciał, żeby go zostawiły. Chciał zobaczyć, jak jego synowie znikają za horyzontem, wkraczając w lepszy świat niż jego, a z ich hybrydowych samochodów nie dobywają się nawet kłęby spalin. Jak to się mówiło? Właściciel sklepu w pierwszym pokoleniu (albo w jego przypadku kierowca ciężarówki — lepsze zarobki, robota niebezpieczniejsza), bankier w drugim, a w trzecim poeta? Jego wnuki mogłyby być poetami. Wspaniała myśl. Problem polegał na tym, że jego chłopcy mieli stać się niebawem nastolatkami, a on w wieku czterdziestu pięciu lat cierpiał na nadciśnienie tętnicze, które narażało go na wylew jak u starego człowieka. Gdziekolwiek spojrzeł, tykały zegary. Siedemset dolarów.

Zobaczył, że w jego stronę zmierza szczupła kobieta z dzieckiem. Wydawała się opanowana i spokojna, ale z pewnością uświadamiała sobie, że patrzy na nią każdy mechanik i kierowca. W pewnym momencie pochyliła się, jej twarz znalazła się na wysokości twarzy małej dziewczynki, i coś do niej powiedziała. Dziewczynka w odpowiedzi poruszyła rękami. Potem podeszły bliżej, a on dostrzegł, że kobieta się boi, ale jest jednocześnie wojowniczo nastawiona, jakby pragnęła, by wszyscy to dostrzegli. Wyczuwał, że nie chodzi jej o mężczyzn, tylko o coś poważniejszego.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał ją.

— Muszę dostać się z córką na koło podbiegunowe. Chcemy zobaczyć zorzę polarną. Rozminęliśmy się z naszą grupą. Zaczekają na nas w centrum informacji turystycznej.

Było tam coś takiego? — zastanawiała się Yasmin. Z pewnością. Jakieś biuro tego rodzaju. I nawet jeśli nie organizowano żadnych wycieczek w środku zimy, to może ten kierowca o tym nie wiedział. I jak już dotarliby tak daleko, zamierzała go przekonać, żeby podwiózł je jeszcze dalej.

Adeeb pomyślał, że ta pełna obaw kobieta to okropna kłamczucha. Chciał jednak jej pomóc. Jego starszy syn zauważył, że on, tata, ma podejście do „pań w opałach”. „Dam — poprawiała jego żona, Visha. I dodawała, patrząc na niego z uśmiechem: — To damy, jak sądzę”.

— Nie ma centrum informacji turystycznej na kole podbiegunowym — powiedział. — Ale blisko znajduje się parking dla ciężarówek, jest tam też restauracja samoobsługowa. O to chyba pani chodzi?

— Tak, właśnie — odparła. — Więc możemy się tam z panem zabrać, na koło podbiegunowe? Ile to... sto sześćdziesiąt kilometrów?

Jednak rycerze spieszący na pomoc damom nie martwili się na ogół o skuteczność zażywanego leku i koszt ewentualnej wizyty w szpitalu.

— Nie jestem zdrowy — wyznał. — Jeśli przydarzy mi się coś w drodze, to...

— Ktoś zatrzyma się z pewnością i pomoże? — dokończyła bez ogródek.

Dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, żeby ją tam zawieźć? — zastanawiał się Adeeb. Tak, ktoś by się zatrzymał i pomógł. Koleżeństwo na drodze nigdy nie dotyczyło jego osoby, w każdym razie w normalnym

przypadku, ale kierowca zawsze pomagał innemu kierowcy w trudnej sytuacji, nawet jemu, poza tym towarzyszyłaby mu kobieta z dzieckiem. Ktoś zabrałby je z powrotem do Fairbanks, gdyby stało się najgorsze. Znów na nią popatrzył. Chętni ustawialiby się w kolejce.

— Tak, owszem — przyznał.

— Więc zabierze nas pan? — spytała.

Pomyślał, że powinien odmówić. Pomijając wszystko inne, zapowiadano burzę śnieżną. Ale sprawa nie była przesądzona, i gdyby nawet burza się przytrafiła, dawno przejechaliby już krąg polarny. Poza tym widział, jak jest wystraszona i zdesperowana, i jak bardzo stara się to ukryć.

— Dam panu cztery tysiące funtów — zaproponowała.

Zamierzał podwieźć je za darmo.

— Zawiozę was aż na parking, tuż przed kołem podbiegunowym.

— Dziękuję — powiedziała i uśmiechnęła się do niego, był to kobiecy uśmiech, który od razu sprowadził w to zimne, cuchnące olejem miejsce jego żonę Viszę.

*

Mama i ja siedzimy w kabinie ciężarówki pana Aziziego. Jimmy byłby zachwycony tą ciężarówką; zdecydowanie określiliby ją jako „ekstra czad!”. Jest pomalowana na lśniącą czerwień i ma srebrne rury wydechowe jak kły słonia, i wielki tępy nos ze srebrzystą kratownicą zamiast pyska, jak u rekina, który pokazuje zęby. Siedzimy naprawdę wysoko; musiałyśmy wspiąć się po schodkach z boku, żeby się dostać do środka.

Nasz ładunek to gotowy dom dla robotników wydobywających ropę naftową. Pan Azizi powiedział, że jesteśmy jak żółw z domem na grzbiecie, tyle że szybszy. Albo jak gigantyczny ślimak pospieszny. Mówi bardzo wyraźnie i pamięta, żeby obracać twarz w moją stronę. Mama nie musi nawet niczego wyjaśniać. Myślę, że ma na pewno jakiegoś przyjaciela, który czyta z ruchu warg. Nasz dom waży tony, co jest dobre, jak powiedział pan Azizi, bo jeśli wóz jest ciężki, to przywiera do drogi „jak klej”. Kładzie jedną

dłoń na drugiej i udaje, że nie może ich rozerwać. Mówi, że rury nie są dobre, bo latają tam i z powrotem, jakby ktoś odstawiał taniec górali szkockich. To też pokazuje.

Teraz pokazuje nam swoje królestwo. Jest tu mnóstwo przełączników i wskaźników, jak w samolocie. Nad naszymi siedzeniami znajduje się łóżko; leży tam śpiwór pana Aziziego i nasze walizki. Razem z mamą musimy wcisnąć się na jedno siedzenie, ale jest całkiem duże, więc się mieścimy. Jest jednak tylko jeden pas i mama każe mi go zapiąć. Jest też toaleta przenośna. Ale będziemy mogli się w razie czego gdzieś zatrzymać. Nie ma mowy, żebym miała skorzystać z toalety przenośnej. Mamy też CB-radio, którego używają wszyscy kierowcy, jak mówi pan Azizi, bo droga, którą pojedziemy, robi się miejscami bardzo wąska i nie ma świateł, więc trzeba mówić innym kierowcom, gdzie się jest, żeby się nie zderzyć.

*

Yasmin nie kryła zadowolenia, że jadą z Adeebem, który jest troskliwy i uważny i z pewnością dowiezie je bezpiecznie. Studiowała mapę, którą jej dał. Powiedział, że jest przeznaczona dla wędrowców w lecie, a nie dla kierowców w zimie, bo istnieje tylko jedna główna trasa z Fairbanks do Deadhorse, czyli Elliot Highway, która łączy się z Dalton Highway. Na mapie zaznaczono też Anaktue, około siedmiuset kilometrów od Fairbanks i około sześćdziesięciu na wschód od Dalton Highway. Miała nadzieję, że istnieje jakaś mniejsza droga łącząca Dalton Highway z Anaktue, ale niczego takiego nie znalazła, nawet szlaku turystycznego; więc wykluczone, by można było dostać się tam jakimś pojazdem. Wiedziała, że muszą dojechać do Deadhorse i dotrzeć do Matta awionetką, tak jak od początku planowała.

*

O mój Boże! OMB! Mamy satelitę w ciężarówce! Pan Azizi podłącza mojego laptopa! Nigdy nie mówię OMB, choć łatwo pokazać to na palcach,

bo nie lubię słów, do których trzeba dodać „!”. Wyglądam naprawdę głupkowato, kiedy stroję minę w rodzaju „!”. Tata mówi, że łatwiej zrobić to głosem, po prostu należy wydać zgrzytliwy dźwięk, kiedy się mówi OMB, jak nastoletnie dziewczyny, które najczęściej używają tego wyrażenia. Kiedy mówi „zgrzytliwy”, pytam: „Jak paznokiec szorujący o tablicę?”. A on odpowiada: „Strzał w dziesiątkę”. Choć nie potrafię usłyszeć zgrzytliwego dźwięku, wyłapuję jego ogólną koszmarność. Ale satelita jest OMB w niesamowity, niezgrzytliwy sposób, bo teraz tata może odpisywać na moje mejle, nawet jeśli nie mamy zasięgu komórkowego ani Wi-Fi.

Pan Azizi mówi, że kiedy wyjedziemy z Fairbanks, zrobi się naprawdę ciemno. Pokazuje mi małą lampkę, którą mogę włączać, kiedy musimy z mamą rozmawiać, żebyśmy mogły widzieć swoje usta.

Wiedzieliście, że najgłośniejszy ptak na świecie został nazwany lirogonem wspaniałym? Naprawdę! I myślę, że niektórzy ludzie — bardzo nieliczni — powinni mieć przy imieniu słowo „wspaniały”: wspaniały pan Azizi!

Chcę, żeby mama powiedziała mi za mnie „dziękuję”, ale kazałaby mi powiedzieć to samej, POSŁUGUJĄC SIĘ WŁASNYMI SŁOWAMI, RUBY, więc obdarzam pana Aziziego uśmiechem, który znaczy „dziękuję”, a on rozumie, bo odpowiada uśmiechem i wzrusza nieznacznie ramionami, jakby mówił „proszę bardzo”.

Wysiada z ciężarówki, żeby sprawdzić wszystko po raz ostatni, a potem wyruszamy w drogę. Mama patrzy na niego przez przednią szybę. Jest spięta jak chart; wiecie, jakby przed startem do gonitwy. Charty mają naprężone mięśnie, są gotowe do biegu, żeby pędzić z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę za sztucznym futrzanym królikiem. Myślę, że się boi, że pan Azizi zmieni zdanie. Ale jestem pewna, że tego nie robi. Ma w sobie coś niezmiennego, takiego, że kiedy coś mówi, to zawsze to robi. Mamie też się to podoba, ale nie tak spokojnie jak mnie. Trzeba by ją znać bardzo długo, żeby wiedzieć to o niej.

W jasnym blasku lamp Adeeb dostrzegł na parkingu jakiegoś mężczyznę, który obchodził każdą ciężarówkę, szukając czegoś albo kogoś. To był ten człowiek, Silesian Stennet, który nie nosił czapki pomimo zimna; blond włosy lśniły w sztucznym świetle. Silesian dźwigał skrzynkę i Adeeb widział go wielokrotnie, jak staje na niej, żeby prawić kazania kierowcom siedzącym w kabinach ciężarówek. Silesian niepokoił go, choć nie bardzo wiedział dlaczego, i nie czuł się z tym dobrze, bo w gruncie rzeczy powinien podziwiać tego człowieka, który zjawiał się tu tak regularnie i stojąc na niemal przysłowiowym podium, ostrzegał kierowców przewożących wszelkiego rodzaju ładunki na tereny, na których stosowano fracking, i z powrotem. Kierowcy nieodmiennie częstowali go stekiem przekleństw. Jak w przypadku Adeeba, wzbudzał ich niepokój, co być może tłumaczyło, dlaczego go wyśmiewali.

Adeeb odwrócił się od Silesiana Stenneta i sprawdził odbiornik satelitarny na kabinie ciężarówki. Zainstalował go człowiek, który sprzedał mu wóz; twierdził, że odbiornik został zaprojektowany z myślą o statkach i że będzie zapewniał odbiór w każdym miejscu na planecie. Dał Adeebowi własny telefon satelitarny. Adeeb nie chciał płacić wysokiego abonamentu, ale Visha zmusiła go. Na północy Alaski nie było zasięgu komórkowego ani Wi-Fi, i to przez setki kilometrów. Powiedziała, że musi wiedzieć, czy nic mu się nie stało. Że wcale nie panikuje. Stała, opierając na biodrach dłonie o długich palcach, jakby rzucała mu wyzwanie, by się jej sprzeciwił. Objął ją, co było niezręczne, zważywszy, że wciąż opierała te dłonie na biodrach.

„Czuję się zdrow jak ryba, żadnych problemów” — powiedział (jego matka, która uczyła go angielskiego, uwielbiała kolokwializmy).

„Więc chcę wiedzieć codziennie, że czujesz się zdrow jak ryba i że nie ma żadnych problemów” — odparła Visha.

Co wieczór dzwonił z telefonu satelitarnego, rozmawiając dostatecznie długo, żeby uspokoić Vishę i powiedzieć dobranoc chłopcom. Na Dalekiej Północy pomagało mu to odróżnić noc od dnia, upewnić się, że gdzieś wciąż istnieje dobowy rytm.

Nim wsiadł do kabiny, sprawdził wszystko jeszcze raz — łańcuchy śniegowe, zapasowe koła, lewarek, narzędzia do naprawy przewodów, lin

i filtrów. Tego dnia był Amundsenem sprawdzającym po trzykroć swój sterowiec przed wyruszeniem nad biegun północny, a nie uchodźcą z Afganistanu, człowiekiem w średnim wieku cierpiącym na zespół obsesyjno-kompulsywny. Podejrzewał, że specjalne narzędzia, rakietnice i apteczka są żałośnie nieadekwatne wobec ogromu tego wszystkiego, co może im przeciwstawić północna Alaska. Zamierzał jednak dowieźć Yasmin i Ruby tylko do koła podbiegunowego — bez względu na rzeczywisty powód, jaki nimi kierował — i ani kilometra dalej.

*

Mama jest trochę odwrócona ode mnie, jak wtedy, gdy gra w oczko i stara się ukryć wyraz twarzy, żebyśmy z tatą myśleli, że ma asa albo króla. Nie widzę jej oczu, które zwykle ją zdradzają. Klepię ją delikatnie po ramieniu, żeby zwróciła na mnie uwagę. Jej oczy są zamglone.

— Tata opowiedział mi historię o inuickim myśliwym na krze — mówię, bo wydaje mi się, że ta historia ją rozchmurzy.

Mówi swoim głosem:

— Możesz mi opowiedzieć, posługując się własnymi słowami?

Normalnie odwróciłabym się od niej, żeby nie czytać więcej z ruchu jej warg. A ona znów stanęłaby przede mną i zaczęłybyśmy odstawiać taki taniec, jedna wokół drugiej. Nie możemy jednak tego zrobić w ciężarówce pana Aziziego.

— Posługuję się własnymi słowami — mówię do niej swoim głosem dłoni.

Kręci tylko głową, jakbym ją zasmuciła.

Zabawne jest to, że mama rozumie wszystko inne. Jest miła, zabawna i wspaniała — superniesamowicie wspaniała. Czasem w szkole, kiedy jestem przygnębiona, myślę o niej i czuję się przytulona przez samą myśl o niej. Ale jest też twardy kawałek, jak kawałek żwiru w śnieżce. I jest to okropne, bo to jedno, co jest w niej twarde, naprawdę, naprawdę mnie niepokoi.

Szkoda tej historii, ponieważ wydaje mi się, że naprawdę by się jej spodobała.

Wypatruję taty przez przednią szybę, jakby mógł się nagle pojawić! Wiem, że to głupie, nie wyjechaliśmy jeszcze nawet z Fairbanks, nie opuściliśmy parkingu przed warsztatem, więc jest za wcześnie, żeby go szukać. Zresztą jest w Anaktue i czeka na nas. Po prostu bardzo chcę go zobaczyć.

Pan Azizi stara się wyjechać z parkingu na drogę, ale jedzie po niej mnóstwo ciężarówek, a my nie możemy ich ominąć. Większość jest oznaczona AM-FUELS albo FBF, co znaczy „frack baby frack”, jak powiedział tamten człowiek na lotnisku, ale mama powiedziała, że tylko żartował. Niektóre ciężarówki wiozą domy, takie jak ten, który i my wieziemy. Mama zadaje panu Aziziemu pytania, co na przykład robi, żeby paliwo nie zamarzło. Nie próbuję nawet odczytać odpowiedzi z jego warg, bo jestem pewna, że nie będziemy przerabiać tego na lekcjach z przyrody. W zeszłym tygodniu wsadziliśmy mleczny ząb do coca-coli, żeby zobaczyć, co się stanie (pożyczony od drugiej klasy, już po wizycie wróżki, która w zamian za mleczny ząb zostawia pieniądze, bo my z szóstej klasy już straciliśmy zęby mleczne). Więc zamiast odczytywać ich rozmowę z ruchu warg, znowu szukam taty.

Obok mnie jest ten człowiek Smark; STUK w szybę po mojej stronie. Pewnie stoi na czymś, bo jego twarz jest blisko mojej. Widzę czubek jego głowy; po obu stronach przedziałka ma okropną szarą linię, jak szczur. Próbuję odsunąć się od niego, ale nie mogę odsunąć się daleko, bo mam zapięty pas, a obok siedzi mama.

Mama go nie zauważyła, bo znów jest odwrócona, chcąc pewnie ukryć przede mną swoje zamglone oczy.

Smarkowaty mężczyzna zdejmuje duże rękawice, ale jest tak zimno, więc dlaczego to robi? Rozwiera gołą rękę i przykłada dwa palce do dłoni, co znaczy „mama” — MÓJ znak.

Pan Azizi też go nie zobaczył, bo patrzy wprost przed siebie, czekając, aż będzie mógł wyjechać na drogę.

Smarkowaty człowiek porusza powoli palcami wokół twarzy, co znaczy „piękna”.

Jego pulchne dłonie muszą naprawdę być zmarznięte, bo zrobiły się całe

cętkowane, jak paskudna niebieska i bladofioletowa meduza. Pokazuje: „Zawołaj mamę”.

Między ciężarówkami pojawia się przerwa i pan Azizi wyjeżdża z parkingu na drogę, a Smark biegnie za nami, ale nigdy nas nie dogoni.

Nie wiem, czy powinnam powiedzieć o nim mamie. Klepię ją po ramieniu, a ona odwraca się do mnie i jej oczy są zamglone, tak jak myślałam. Nie chcę martwić jej jeszcze bardziej. I nigdy więcej go nie zobaczymy. Już dzielą go od nas całe kilometry.

Słowa bez Dźwięków@Słowa-bez-Dźwięków

651 followersów

DZIWACZNY: wygląda jak dłonie przemieniające się w meduzę; smakuje jak ciastka, które są żywe, wydaje się zbyt bliski.

ROZDZIAŁ 5

Panowała nieludzka ciemność. Oczy Yasmin nie potrafiły wyczytać z tej czerni niczego sensownego. Jechali już od czterech godzin, a ona przestała wypatrywać łun odległych miast i osad, bo nie było już żadnych miast ani osad. Chmury rozpostarły nad ziemią barykadę, więc nie istniał blask księżycy ani gwiazd; nie było niczego, co mogłoby przeniknąć ten ciężki kamienny mrok, prócz światła reflektorów. Adeeb powiedział jej, że mają zasięg czterystu metrów, ale miała wrażenie, że są jak szperacze nad niezmiernym czarnym oceanem; człowiek niknął w takim ogromie.

Przypomniła sobie strach, jaki odczuwała przed ciemnością, gdy była dzieckiem, jak tamował jej czasem oddech i jak wyrzucał ją na obrzeża, bo w środku jej życia, tam, gdzie niegdyś była matka, pozostała próżnia.

Bracia i ojciec uważali ją za nieustraszoną; uwielbiali jej wymachujące w powietrzu pięści, gdy się kłóciła, jej sińce i zadrapania; dzieciak miał jaja. Był to jedyny sposób, by znaleźć swoje miejsce w całkowicie męskiej rodzinie. Jednak fizyczna odwaga wydawała się prosta — czego można było się bać, kiedy matka już zmarła? Ósma wieczorem w lutym, kiedy opuścili szpital. Próbowwała wysiąść z samochodu, ale ojciec uruchomił blokadę, taką, która uniemożliwia dzieciom wyjście z wozu — metalowa klamka wbijająca jej się w palce, zastarzała woń jedzenia na wynos, stęchły odór papierosów, jej dziewięcioletnia ręka w tanim polarze, zbyt słaba, by sforsować drzwi; nie mogła pomóc mamie. Nic nie mogła zrobić, kiedy wsadzali ją do ciemnego pudła i zamykali na głucho.

Ciemność była śmiercią i zalem. Ona jednak ukrywała strach przed wszystkimi, cierpiała nocne koszmary w samotności.

A potem, pewnej nocy, dziesięć miesięcy po śmierci matki, podniosła roletę w sypialni i wyjrzała przez okno w mrok, gotowa do konfrontacji

z demonami, zdecydowana stawić czoło strachowi, i zobaczyła gwiazdy niczym tysiące niebiańskich światełek.

Przez całe dzieciństwo gwiazdy niosły jej pociechę, nie tylko za sprawą blasku w ciemności, ale też dlatego, że kiedy na nie patrzyła, mogła wyobrazić sobie, że przebywa daleko, jakby ból żalu wniknął w to mieszkanie i ulicę, i we wszystkie miejsca, w których była z matką albo które nawet oglądała z nią w telewizji, i jeśli mogła wyobrazić sobie samą siebie dostatecznie daleko, to żal nie mógł za nią tam podążać.

Jej pociecha płynąca z gwiazd dojrzała i przerodziła się w intelektualną fascynację; stały się bardziej, nie mniej zdumiewające, kiedy zaczęła je studiować.

Droga była upiorna, nieskończone pasmo lodu w ciemności, ale nie jawiła się aż tak niebezpieczna, jak się tego początkowo obawiała.

Poczuła, jak Ruby przysuwa się do niej, i objęła ją ramieniem. Determinacja, by znaleźć Matta, wynikała nie tylko z miłości do niego, ale też z miłości do Ruby. Nie zniosłaby, gdyby jej córka doznała straszliwego bólu, jaki wywołuje strata jednego z rodziców. Przypomniała sobie, jak włożyła na posterunku policji obrączkę Matta, wiedząc, że musi żyć, nie tylko ze względu na jej miłość do niego, ale też ze względu na to, że w sąsiednim pokoju siedzi Ruby.

*

Droga jest z lodu, a my po niej jedziemy! Słowo daję, to prawda! Jest w świetle reflektorów całkowicie biała i przywierają do niej placki błota. Wokół światła jest ciemno; jakbyśmy wjeżdżali w tunel widmowego pociągu i nie widzieli ani przez chwilę wylotu.

Pan Azizi powiedział, że w zimie wylewają hektolitry wody na starą zwirowaną drogę, która potem zamarza. Powiedział, że tylko lód nie pęka, kiedy jeżdżą po nim wielkie ciężarówki, bo lód jest bardzo, bardzo twardy. Myślę, że chciał, żebym poczuła się bezpiecznie, ale było coś w jego twarzy, co oznaczało, że nie sądzi, by było dobrze. Powiedział mi o lodzie, zanim

wyjechaliśmy z Fairbanks, kiedy wciąż mogłam czytać z ruchu jego warg.

Tata jeszcze mi nie odpisał. Ale naprawdę trudno mu sprawdzać mejle. Jego terminal satelitarny jest bardziej skomplikowany niż ten pana Aziziego, bo można go przenosić.

Ja i mama wyjedziemy stąd na Boże Narodzenie, a to jeszcze tylko cztery tygodnie, i razem z tatą zamierzamy pisać bloga — aweekinalaskablog.com — o wszystkich zwierzętach i ptakach, jakie widzieliśmy. Tata dał mi specjalną ochronę na laptopa, żeby pracował na zimnie, i właśnie ją założyłam, bo myślę, że powinniśmy zacząć pisać bloga, jak tylko się spotkamy.

*

Adeeb spojrział w boczne lusterko. Przez ostatnie dwadzieścia cztery kilometry widział z tyłu niebieskie światła, jak dwa garbiki błękitne. Reflektory ksenonowe były rzadkością na Dalton Highway. Wydawało się, że ta ciężarówka jedzie za nimi, przyspieszając, kiedy on przyspieszał, i zwalniając, kiedy on zwalniał. Ze dwa razy ciągnął się za nim żółtodziób, żeby uczyć się jazdy i wiedzieć, co ma robić, i żeby Adeeb był na miejscu, gdyby doszło do jakiegoś wypadku, ale tego dnia nie było żadnego żółtodzioba. Nie mógł to też być żaden przyjaciel, taki, z którym można się nawzajem pilnować. Adeeb był znany z tego, że trzyma się osobno, reputacja bardziej mu przypisana niż zasłużona. Uważany za odludka, czuł się wyjątkowo samotnie podczas swych wypraw na północ.

Po kilku minutach mieli dotrzeć do pierwszego stromego wzniesienia i jego dłonie zacisnęły się wyczekująco na kierownicy, jakby chciał się jej przytrzymać, zamiast nią obracać. Bał się tej trudnej jazdy i lodu.

Nim jego przyjaciel Saaib uległ wypadkowi, wydawało mu się, że lód, tak jak szkło, jest delikatny, a sam fakt przezroczystości świadczy o tym, że nie jest zbyt twardy. Zastanawiał się, w jaki sposób jest on w stanie wytrzymać ciężar wielkiego wozu.

Saaib po przyjeździe do Anglii znalazł pracę w odlewni fabryki szkła. Była

to wielka hala, opowiadał Saaib, z idealnie równą podłogą, na którą wylewano — ostrożnie, przy użyciu specjalnej maszyny — płynne szkło, które następnie twardniało w doskonale równą płachtę, nim je cięto. Ale pewnego ranka coś stało się z tą specjalną maszyną i płynne szkło trysnęło szeroką strugą do hali, w zbyt dużej ilości i zbyt szybko, i płynny surowiec wydostał się przez okna i drzwi, zapalając wszystko, czego się tylko dotknął. Tylko walcownia wyłożona marmurem wytrzymała takie gorąco; budynki na zewnątrz i biura strawił pożar. Saaib doznał poważnych oparzeń. Od tej pory szkło i lód wydawały się Adeebowi nie tylko twarde, ale też złośliwe, mordercze nawet, a ich przezroczystość bezustannie przeczyła mocy, jaką się odznaczały.

*

Yasmin zagryzła usta, żeby nie krzyknąć i żeby Ruby nie dostrzegła jej strachu. Spadali w dół stromego zbocza, prosto w ciemność. Patrzyła, jak Adeeb blokuje dyferencjał w tylnej osi, żeby wszystkie koła miały odpowiedni moment obrotowy, ale to nie działało, bo zjeżdżali zbyt szybko po spadzistym nachyleniu; z pewnością zjeżdżali zbyt szybko. Dotarli na dół i pokonali z rozpędu następne wzniesienie. Osiągnęli szczyt. Drżała od przyływu adrenaliny.

Odwróciła się do Ruby, która uśmiechnęła się do niej, nie okazując niczym strachu, jakby chodziło o jakąś przygodę. Była podekscytowana na myśl, że odszukają tatę, i podekscytowana na myśl o samej drodze, nie uświadamiając sobie, jak jest niebezpieczna, bo czyż matka, która każe córce spożywać codziennie pięć porcji owoców i warzyw i przykleja do lodówki plan prac domowych, może narażać ją na jakiegokolwiek ryzyko?

— Przepraszam, że was wystraszyłem — zwrócił się Adeeb do Yasmin. — Musiałem jechać dostatecznie szybko, żebyśmy mogli znaleźć się po tej stronie wzniesienia. Zbyt wolna jazda jest równie niebezpieczna jak zbyt szybka. Trzeba było was uprzedzić. Powiedzieć o tym, jak wygląda droga, zanim wyjechaliśmy z Fairbanks. Chodzi o to, że czasem zapominam, jak

jest niebezpieczna, nim na nią wjadę.

— Sama prosłam, żeby nas pan zabrał — przypomniała Yasmin.

— Chce pani wrócić? — spytał. — Odwiozę was.

Termometr w kabinie ciężarówki wskazywał, że na zewnątrz jest ponad minus dwadzieścia trzy stopnie, zimniej niż w Fairbanks. W Anaktue średnia temperatura w zimie wynosiła ponad minus trzydzieści stopni i mogła osiągnąć nawet minus czterdzieści siedem, i to bez lodowatego wiatru. Ta droga była niebezpieczna, owszem, wiedziała o tym teraz i pragnęłaby za wszelką cenę, żeby Ruby siedziała gdzieś bezpiecznie, ale gdyby zostawiła Matta, istniało ryzyko, że jest nie tylko ranny; mogła zakładać ze stuprocentową pewnością, bez obawy o pomyłkę, że umrze.

— Chcę jechać — odparła.

*

Wciąż myślę, że wpadniemy w poślizg, więc trzymam się kurczowo mamy, jak na rollercoasterze. W świetle naszych reflektorów widać ogromniastą rurę, która biegnie obok drogi. Wygląda jak wielka metalowa żyła w białym cieple, a w środku płynie ta gęsta, ciepła ropa.

Przyciskam się do mamy, a ona obejmuje mnie jedną ręką i jest to bardzo miłe. Zazwyczaj tego nie robię, bo muszę się przygotowywać do samodzielności, zanim skończę jedenaście lat i dorosnę, i pójdę do szkoły średniej, i w ogóle. Chciałabym, żeby powiedziała panu Aziziemu, że chcemy dojechać do samego Deadhorse, bo jestem pewna, że by się zgodził, a wtedy nie wyglądałaby już na taką zmartwioną. Mam nadzieję, że jeśli zasnę i się obudzę, to będziemy blisko taty.

*

Podczas gdy Adeeb manewrował ciężarówką na zakrętach o kącie stu osiemdziesięciu stopni i na zboczach, które bardziej przypominały stoki narciarskie niż drogę, Yasmin skupiała się na osiach, sprzęgle

pneumatycznym, na tym, w jaki sposób moc dociera do kół bez działania dyferencjału, dzięki czemu wszystkie odznaczają się identycznym momentem obrotowym. Nigdy nie przepadała za inżynierskim aspektem fizyki, ale tutaj, siedząc w tej ciężarówce, była zadowolona, że wie, jak Adeeb sprawuje nad wszystkim kontrolę, gdyż dzięki temu rozumiała, dlaczego Ruby jest chwilowo bezpieczna.

Ruby zasnęła, zmęczona po długim locie, nie wspominając o traumie, jaką przeżyła po lądowaniu, i niepokoju wywołanym myślą o ojcu i o tym, jak do niego dotrzeć. Nic dziwnego, że była wyczerpana. W pewnym momencie spuściła głowę, potem obudziła się gwałtownie, by znów zapaść w sen. Yasmin głaskała jej włosy i starała się ją podtrzymywać, żeby główka znów jej nie opadła. Wiedziała, że jeśli jej córce zacznie grozić zbyt duże niebezpieczeństwo, to będzie musiała poprosić Adeeba, żeby zawrócił, albo zatrzymać jakąś ciężarówkę jadącą do Fairbanks. Na razie jednak zmierzali przed siebie.

Kiedy Ruby spała, Yasmin wyteżęła wzrok, by dostrzec cokolwiek w tym krajobrazie otaczającym lodową wstęgę drogi.

*

Rozległość Alaski przerażała Adeeba; półtora miliona kilometrów kwadratowych, a jedyną oznaką ludzkości widoczną za szybą była oblodzona droga i biegnący wzdłuż niej rurociąg alaski; może i stanowiły cuda techniki, jednakże nie dostrzegał w nich nic człowieczego czy cywilizowanego.

Na początku podróży rozmawiał z Yasmin o technice prowadzenia ciężarówki. Powiedziała, że studiując fizykę, poznała trochę inżynierię, ale że się w tym nie specjalizowała; wybrała astrofizykę. Adeeb pomyślał, że kobieta studiująca astrofizykę to swoiste uosobienie wolności.

Jednak nie rozmawiali tak do końca szczerze — nie o tym, co ją dręczyło, co sprawiło, że go okłamała i postanowiła ciągnąć w zimie własne dziecko na koło podbiegunowe. Domyślał się, że nie chce z nim o tym rozmawiać, a nie było to coś, o co chciałby ją pytać. Miał nadzieję, że potrafiłby jej pomóc,

gdyby wyznała mu prawdę.

Reflektory oświetliły pięć świerków na poboczu drogi, zbielejących od śniegu i lodu. Choć liczyły ponad sto lat, ledwie osiągały wysokość metra; to miejsce traktowało brutalnie wszystko, co pragnęło wyrosnąć. Dalej na północ w ogóle nie było drzew. Czytał o północnej Alasce po swej pierwszej wyprawie do Deadhorse i szybów naftowych w Prudhoe Bay, mając nadzieję, że poznanie tego rejonu pozwoli mu oswoić go w jakiś sposób, trochę złagodzić, ale stało się coś wręcz przeciwnego. Wiedział teraz, że w stronę oblodzonej drogi zmierza lawina błotna o szerokości trzydziestu metrów, zmrożona gleba, skały i karłowate drzewa, posuwające się ukradkiem o kilka centymetrów dziennie, nabierając szybkości i niszcząc wszystko na swej drodze; tak jakby sama ziemia, na podobieństwo zimna, była nie tylko biernie wroga, lecz także czynnie agresywna.

Gorsza od niebezpieczeństw drogi, chłodu i izolacji była nieobecność barw; tylko śnieg w blasku reflektorów, a potem jedynie ciemność. W tym monochromatycznym krajobrazie czuł się złąkniony kolorów tak samo jak ciepła. Przypomniawszy sobie Leylę Serahat Roshani i zaczął się zastanawiać, czy miała na myśli samotnego afgańskiego kierowcę, kiedy pisała wiersz: „Zasiewam swe oczy/w lustrze/tak aby znak/mały i zielony/mógł się pojawić i obwieścić/wieczność Wiosny”.

Nigdy jednak nie widział tu niczego zielonego, a wiosna, gdy wreszcie nadchodziła, była krótka.

Jego miłość do poezji, podobnie jak znajomość angielskiego, była darem od jego matki, nauczycielki w Zabolu, nim talibowie zakazali jej pracować w swoim zawodzie.

Miał od dłuższego czasu wrażenie, że Yasmin patrzy przez szybę, jakby czegoś wypatrywała, z każdym kilometrem spięta coraz bardziej, i chciał jej powiedzieć, że nigdy niczego tam nie zobaczył. Być może za bardzo skupiał się na drodze, ale uważał, że nie ma czego szukać, że nie ma nic, co można by dojrzeć, prócz sterylnej, jałowej ziemi, pełnej śniegu i lodu. Nawet watahy wilków — kierowcy wozili z myślą o nich naładowaną broń — były bardziej mitem niż prawdą.

Wyminął się z jakąś ciężarówką powracającą do Fairbanks. Blask jej

reflektorów zalał na chwilę jego kabinę, dobywając z mroku sylwetki Yasmin i Ruby.

Żałował, że zgodził się je zabrać. Nie przemyślał tego tak, jak powinien. Był zbyt egoistyczny, by to zrobić. Uświadomił sobie teraz, że nie kierowała nim rycerskość, tylko egoistyczne pragnienie towarzystwa, jakie mu mogły w drodze zapewnić. Ból głowy, odczuwany w Fairbanks dość łagodnie, męczył go teraz bardziej.

*

W strumieniu światła widać było jedynie wąziutkie pasmo głuszy, ale wystarczyło, by Yasmin mogła dostrzec, że jest ona bezlitośnie nieurodzajna. Matt powiedział jej, że wrócił tutaj, żeby filmować zwierzęta. Opowiadał Ruby o dzikiej przyrodzie zimą. Podejrzewała wówczas, że w najlepszym razie przesadza, by Ruby nie poznała prawdziwego powodu, dla którego ojciec przebywa poza domem. Yasmin nigdy niczego nie kwestionowała, ponieważ uważała, że to bariera, która chroni oboje przed bolesną prawdą, i nie chodziło o Corazon — nie wiedziała wtedy o niej — ale o to, że domowe życie wydaje mu się ogłupiające, że ona sama jest ogłupiająca, i że musi uciec. Zbyt przyzwoity, by zdecydować się na formalną separację, zbyt kochający, by sprawić Ruby ból, wykorzystał dziką przyrodę Alaski jako korzystną dla siebie fikcję. A fikcja ta, naciągnięta do granic wytrzymałości, pękała nieubłaganie z każdym kilometrem.

Przypomniała sobie przeciągłą ciszę podczas ich rozmowy telefonicznej sprzed pięciu dni, chwilę, której potrzebował, by jej gniewne słowa dotarły do niego, i jego słowa, docierające do niej z drugiego końca ziemi: „Całowałem ją, bo tęskniłem za tobą”.

Nie miało to sensu. Jednak powód, dla którego powrócił na Alaskę w zimie, stał się całkowicie jasny.

Żarliwie pragnęła się mylić; nie dlatego, że oznaczałoby to, że Matt, pomijając ten pocałunek, jest jej wierny. W kontekście wielkiej sprawy, jaką było jego życie albo śmierć, tak naprawdę, o dziwo, nie liczyło się to dla niej.

Ale dlatego, że jeśli powiedział jej prawdę o tym, że przyjechał tu ze względu na zwierzęta, istniała szansa, że przebywał gdzieś z kamerą, kiedy wioska się spaliła, a to by oznaczało, że ma ze sobą sprzęt umożliwiający przetrwanie w trudnych warunkach i że nie pozostał z pustymi rękami w tym zabójczym zimnie i ciemności.

*

Dwa miesiące po ich szydełkowej wyprawie poprosiła go, żeby spotkali się na dworcu w Cambridge. Kiedy zobaczył ją na peronie, miała na sobie gumki i trzymała wielką, dziwną torbę podróżną; jak wyznał jej później, bał się, że miłość do niej nie zawsze przychodziłaby mu łatwo. Ich pociąg miał końcową stację w King's Lynn, więc złapali ostatni miejscowy autobus, który jechał w ciemności krętymi drogami wzdłuż wybrzeża; byli jedynymi pasażerami i wreszcie dotarli do nadmorskiej wioski Cley. Szedł za nią po mokrych kamykach plaży, przy akompaniamencie grzmiaćco-szepczącego morza.

— Spójrz — powiedziała, pokazując coś.

Popatrzył na ogromne sklepienie nieba na wybrzeżu Norfolk; wyglądało tak, jakby z przewróconego kosmicznego słoja wysypały się błyskotki.

Wyjęła z wielkiej torby teleskop i statyw, potem wbiła trójnog w kamienistą plażę i nastawiła lunetę.

— Spójrz teraz.

Myślał, że chce mu pokazać Księżyc albo planety, a on zobaczy pierścienie czy satelity, cokolwiek otacza ciała niebieskie. Nie był w ogóle przygotowany na ten widok. Tysiące gwiazd, które widział gołym okiem, zamieniło się w setki tysięcy; i cały czas tam były, gwiazdy poza gwiazdami.

Zasnęli na kocu rozłożonym na drobnych kamykach, słysząc rytmiczny łoskot i oddech pobliskiego morza. Kiedy się obudziła, niebo rozjaśniał świt, który zgasił gwiazdy. Matt już nie spał. Ujął jej twarz w dłonie.

— Co...? — spytała.

— Widzę cię — powiedział, a ona poczuła się jak ład dostrzeżony przez

odkrywcę przebywającego od bardzo dawna na morzu.

*

Przywieram do mamy i czuję jej serce, które bije bardzo szybko; jak małej ryjówce, którą złapał Tripod (choć ma tylko trzy nogi, wciąż potrafi łapać ryjówki). Wiem, że mama myśli o tacie. Nie zauważyła, że już nie śpię, więc patrzę na nią przez chwilę, a ona spogląda przez przednią szybę i zagryza wargę, jakby chciała płakać i próbowała się powstrzymać.

Czuję się tak, jakbym szpiegowała, i zaczynam się wiercić, żeby wiedziała, że już nie śpię. Ściska mnie czule i mocno.

Nie powinnam była zasypiać. Myślałam, że pan Azizi zaopiekuje się nią, ale musi prowadzić ciężarówkę, i nie zna mamy dostatecznie dobrze, żeby się zorientować, kiedy jest zdenerwowana, zauważyć rzeczy, których nigdy wcześniej nie robiła, jak to, że zagryza wargę i próbuje nie płakać.

Myślę, że się boi, że to jest scenariusz numer jeden i że tata nie ma nic przy sobie. Ale wiem, że wszystko będzie z nim okej. Jego przyjaciele Inuici pokazali mi, jak zrobić *aputiak*, który jest rodzajem igloo. Nie takie wielkie, z pokojami i wszystkim, ale takie, jakie się robi podczas wyprawy myśliwskiej, tymczasowo, dopóki nie dotrę tam z mamą. Więc jestem pewna, że zbudował sobie *aputiak* i teraz czeka w nim, aż przyjdziemy i go znajdziemy. Powiedział mi, że w środku jest przytulnie.

„Jak to możliwe, jeśli jest zrobiony ze ŚNIEGU?” — spytałam.

„Śnieg to wspaniały izolator, mnóstwo kieszeni powietrznych, więc nie przepuszcza zimna. Poza tym ciepło twojego własnego ciała sprawia, że robi się przytulnie”.

„Przytulnie?”.

„Przytulnie. Czasem używają *qulliq*, to jednocześnie lampa i grzejnik. Kamienna misa, w której pali się tłuszcz wielorybi, a to sprawia, że jest też ciepłutko. Chcesz dowiedzieć się czegoś ciekawego?”.

Wie, że zawsze chcę się dowiedzieć czegoś ciekawego.

„Późną wiosną *aputiak* po prostu się roztapia. Nie ma żadnego kontenera

na gruz, żadnego wysypiska ani fundamentów. Nawet małego wzgórka śmieci, które mieszczą się w koszu na zużyte papiery. Wszystko znika w ziemi”.

Mamy własne znaki dla różnych rzeczy. Więc kiedy mówimy „*aputiak*”, robimy literę A, a potem pokazujemy ręką zakrzywiony kształt — jak daszek. Tata nauczył się języka migowego, kiedy byłam małym dzieckiem. Powiedział, że uczył się jakiegoś znaku i że trwało to wieki, a potem mi go pokazywał, a ja potrzebowałam dziesięciu sekund, żeby go zrozumieć. Powiedział, że zamiast gaworzyć ustami jak inne niemowlęta, gaworzyłam rękami. Ma zawsze taki superwielki uśmiech, jak o tym opowiada.

Odsuwam się trochę od mamy, żeby uwolnić rękę, i mówię jej, że tata zrobi sobie *aputiak*, literuję to na palcach, bo mama nie wie, jaki jest nasz znak dla *aputiaka*. Pokazuję jej specjalny znak i mówię, że jego przyjaciele pokazali tacie, jak się buduje *aputiak*, i że jest naprawdę przytulny. Myślę, że poczuła się lepiej, bo uśmiecha się do mnie.

— Myślisz, że Bosley jest okej? — pytam. Znak dla „Bosleya” to palec poruszający się jak ogon, i wszyscy w naszej rodzinie wiedzą, że ten znak jest przeznaczony specjalnie dla Bosleya.

— Będzie bardzo zadowolony. Pani F. go rozpieszcza — odpowiada mama.

— Spakowałaś mu legowisko?

— Oczywiście. I wszystkie jego zabawki.

Nie muszę się martwić o Tripoda, ponieważ pani Buxton ma przychodzić codziennie i go karmić. Mama mówi, że Tripod jest jak nastolatek, który nie może się doczekać, aż będzie miał własne miejsce. Lubię myśleć, że wszystkim jest wygodnie i że śpią — Tripod na sofie, na którą nie wolno mu wchodzić, Bosley na swoim specjalnym legowisku i tata w swoim *aputiaku*.

Za oknem rozpościera się czarna peleryna gigantycznego czarnoksiężnika, a za nią kryją się zwierzęta, ptaki, ryby i owady. Są karibu, łosie, sowy śnieżne, zające amerykańskie i wydry, wszystkie czujne, i niedźwiedzie hibernujące w swoich jaskiniach, ale wciąż poruszają się w swym śnie, a pod lodem w rzekach są żaby, które chowają się na dnie, bo tam jest najcieplej.

Wiem, że jestem dziwna, skoro lubię karibu i piźmowoly arktyczne. Tanya i dziewczyny z jej bandy najbardziej lubią koniki, potem kocięta i szczeniaki. Chomiki i świnki morskie też dają się lubić. Karibu i pszczoły byłyby uważane za dziwne, tak jak ja. Ale są superniesamowite! Ktoś mógłby pomyśleć, że pszczoła nie przeżyłaby minuty w zimnie, ale kurczy maleńkie mięśnie, żeby wytworzyć ciepło, a potem schwytać je w swój miękki płaszcz. Moimi najbardziej ulubionymi zwierzakami są wydry kanadyjskie, ich małe mają teraz jakieś pięć miesięcy. Tata widział, jak bawią się w berka, a nawet widział, jak bawią się też w chowanego. Słowo daję, że to prawda!

Nie zdobyłabym sympatii Tanyi i jej dziewczyn, nawet gdybym mogła słyszeć i rozmawiać jak one. Nie lubię błyszczącej pomadki do warg ani zestawów do projektowania strojów. Bardziej lubię wydry kanadyjskie niż koniki.

Mama wciąż mnie ściska, trochę za mocno, ale nie przeszkadza mi to.

Patrzę przez przednią szybę, bardziej na pobocze drogi niż przed siebie, starając się dojrzeć, co tam jest. Myślę, że pszczoły w tundrze hibernują, ale może jedna jest gdzieś tam i leci obok nas. Wydałam chyba jakiś dźwięk, bo mama i pan Azizi patrzą na mnie. Wskazuję i pan Azizi sprawdza, czy nikt nie jedzie tuż za nami, a potem zatrzymuje ciężarówkę na samym środku drogi, bo nie ma się gdzie indziej zatrzymać.

Trochę dalej, na samym poboczu, śnieg i lód migoczą, bo nikt tam na wjechał; wygląda to w świetle naszych reflektorów jak diamentowy pył.

W tym diamentowo błyszczącym śniegu widać kształt dwóch skrzydeł, jakby anioł runął na ziemię, a potem wstał i zostawił po sobie ślad, albo może wylądował normalnie, a później postanowił poleżeć chwilę w śniegu.

— Co to jest? — pyta mama.

Pokazuję dłońmi skrzydła, co oznacza anioła, i jest to tak, jakbym robiła za pomocą rąk lustro dla skrzydeł odcisniętych w śniegu. Uśmiecham się, żeby wiedziała, że tylko żartuję z tym aniołem.

— Myślę, że to ślady zostawione przez pardwę górską — mówię, literując na palcach nazwę. Tata pokazywał mi zdjęcia, stąd wiem, jak ten ptak wygląda.

Pardwa górską jest równie dobra jak anioł, nawet lepsza. Ale mama nic

nie wie o pardwach górskich.

— To niezwykle ptak — mówię mamie. — Przebywa na Alasce całą zimę. Jego pióra robią się w zimie białe, więc nie można go dojrzeć w śniegu.

Jimmy powiedziałby „EKSTRA CZAD”, i to prawda. Jest PIĘKNE; te doskonałe odciski skrzydeł w diamentowo połyskliwym śniegu, blask reflektorów pana Aziziego niczym światło jupitera, a potem już tylko ciemność.

Tata powiedział mi, że pardwy górskie wlatują w zaspy śnieżne, kiedy chcą odpocząć, żeby jakiś drapieżnik nie zobaczył śladów ich łap.

Słowa bez Dźwięków@Słowa-bez-Dźwięków

651 followersów

NIESAMOWICIE, CZADOWO PIĘKNE: dotknięcie czarnej plamki na futrze geparda; morze lemoniady z posykanymi falami; odcisk skrzydeł pardwy górskiej w śniegu.

ROZDZIAŁ 6

Cztery miesiące po gwiazdnej obserwacji na plaży w Cley pojechała z Mattem na mokradła Insh w Speyside; wilgotne zimno stycznia, posepny deszcz. Stała obok niego na ambonie obserwacyjnej, która pachniała mokrym materiałem kurtek.

— A więc to jest ptasia obserwacja?

— Albo podglądanie.

— Też brzmi dziwnie. Chować się ukradkiem i wypatrywać stworzeń przez lornetkę...

Roześmiał się i pokazał jej gęgawy i łabędzie krzykliwe, które zimowały na mokradłach. Uwielbiała tę jego pasję i wiedzę, które przemieniały to żalosne wilgotne miejsce w coś całkowicie odmiennego. Dopytywała się, chciała się dowiadywać, fascynować tak jak on kszukiem, świstunem, brodźcem krwawodziobym, kulikiem. Planowali wrócić tu latem i poobserwować czajki.

— Twój tata znalazł cię pewnej nocy w kapuście? — spytał. Poznał już — nalegał na to — jej ojca i braci.

— W morwie. W kapuście znajduje się tylko lalki z Ameryki.

— Aha. Wyjdiesz za mnie?

*

Zobaczyła drogowskaz na poboczu, oświetlony blaskiem reflektorów:
TYLKO POJAZDY SOAGIL ENERGY.

— Dokąd prowadzi ta droga? — spytała Adeeba.

— To prawdopodobnie dojazdówka do szybu — odparł. — Zaczynają frackingować interior Alaski. Czasem budują drogę ze żwiru. Innym razem

wykorzystują w tym celu rzekę.

— A rzeka jest cała zamarznięta? — spytała.

— Tak. Naturalna droga lodowa. Choć przydałoby się jej wzmocnienie.

Sprawdziła mapę Adeeba przy małej wewnętrznej lampce. Nie znalazła niczego, co wyglądałoby jak droga wytyczona przez Soagil Energy. Może do Anaktue prowadziła droga-rzeka.

Znalazła rzekę Alatną, która miała swe źródła na południu, w Górach Brooksa, i płynęła na północ do Oceanu Arktycznego. Około czterystu siedemdziesięciu kilometrów na północ od miejsca, w którym się znajdowali, Alatna skręcała w stronę Dalton, a potem płynęła na dystansie około sześćdziesięciu kilometrów aż do Anaktue. Może dałoby się dotrzeć do Matta tą właśnie rzeką. Nie mogła jednak prosić o to Adeeba, jeszcze nie teraz. Wciąż nie zdradziła mu ich prawdziwego celu podróży. Nie wiedziała, jak go przekonać, żeby je tam zabrał, i bała się, że odmówi — serdecznie i ze współczuciem, ale jednak odmówi — i nie miałyby jak dotrzeć do Matta.

*

— Wyjdiesz za mnie? — spytał ponownie, na wypadek gdyby nie usłyszała za pierwszym razem.

— Tata musiałby mnie odprowadzić do ołtarza jako swoją własność, nim stałabym się twoją własnością.

— Ale znalazł cię po prostu w krzakach. Proszę.

— Jeszcze nie — odparła.

*

Adeeb dostrzegł w lusterku niebieskie światła, wciąż obecne w ciemności, gdzieś z tyłu. Włączył radio, niby ze względu na wiadomości i codzienną prognozę pogody, ale tak naprawdę chodziło mu o to, że stacja nadawała muzykę klasyczną. Słuchając jej, lubił sobie wyobrażać, że znów jest w rodzinnym domu w Zabolu i że patrzy na pobliskie pole w porze wiosny,

na rzędy różowych migdałowców, przypominających zespół baletowy w rozkwicie.

Ruby przyglądała mu się, a on uświadomił sobie, że stuka palcami w kierownicę.

— Myślę o kwiatach — powiedział, powoli i wyraźnie. — I słucham Chopina.

Potem znów spojrzął na drogę; szyba przypominała różowy obiektyw stworzony przez muzykę.

*

Pan Azizi właśnie odwrócił się do mnie i powiedział, że słucha Chopina, jakbym to rozumiała; nie pyta, czy chcę, żeby podgłosił NAPRAWDĘ MOCNO, i nie pyta, czy gram na bębenkach. Wspaniały pan Azizi!

Większość ludzi uważa, że chcę GŁOŚNO i ŁOSKOTLIWIE, żebym mogła czuć wibracje; jakbym była wdzięczna, że dźwięk dociera do mnie w każdy możliwy sposób.

Zawsze wkładają mi pałeczki perkusyjne do rąk i proszą, żebym coś wybiła (tylko nie ich!). A to, że Evelyn Glennie jest geniuszem muzycznym, nie znaczy, że skoro jestem głucha, to też będę genialna. Myślę, że uwielbiałabym uczyć się gry na bębnach albo cymbałkach, albo na byle jak dzyń, dzyń dzwonekach orkiestrowych (Jimmy powiedział, że tak właśnie brzmią: byle jak dzyń, dzyń). Ale jestem beznadziejna przy tych wszystkich instrumentach. Podczas ostatniego szkolnego koncertu, w obecności rodziców, udawałam, że uderzam w dzwonki koncertowe. Tata uważał, że to przekomiczne. Nawet mama próbowała się nie uśmiechać, ale wiem, że miała nadzieję, że polubię jakiś instrument perkusyjny, wstąpię do orkiestry i wyruszę z nią w trasę i stanę się „częścią czegoś” (słyszącego świata, w którym będę w coś waliła jednocześnie ze wszystkimi innymi). „Walenie w coś nie jest integrujące, mamo” — powiedziałam jej (mnóstwo razy odczytywałam z jej warg, jak mówi do taty „integrujące”), a później poczułam się źle, bo zrobiło jej się smutno.

Niedługo potem w szkole zjawił się harfista, żeby zagrać koncert i „zainspirować przyszłych harfistów”, a ponieważ była tam też mama, nie robiłam ceregieli i przez chwilę dotykałam harfy. To znaczy nie za bardzo mi się to podobało, ale chciałam, żeby mama była zadowolona, więc stałam tam i trzymałam dłoń na harfie. Wszyscy inni byli znudzeni. Szuranie stóp, wierzące się rzędy, ani jednego przyszłego harfisty, ale było to cudowne. Nie łupiące wibracje, tylko skrzydła, które szybko uderzają, jak u kolibra, tak szybko, że nie można nawet dostrzec, że się poruszają, albo jak wtedy, kiedy wzięłam do ręki tę ryjówkę, którą złapał Tripod, jej serduszko waliło tak superszybko, a ja czułam, jaka jest krucha, ale też taka żywa. Gdybym miała wybrać dla siebie instrument, to byłaby to harfa. Nie bardzo wiem, czy można jeździć z nią w trasę koncertową, bo nie zmieściłaby się do autobusu.

Twarze mamy i pana Aziziego znieruchomiały. Naprawdę koncentrują się na czymś i nie wydaje mi się, żeby to była muzyka, bo mama ani razu nie powiedziała, że się jej podoba.

*

Główne wiadomości dotyczyły Anaktue. Choć radio grało dostatecznie głośno, Yasmin nachyliła się do odbiornika.

— Jest z nami w studiu gubernator Alaski Mary-Beth Jenston — oznajmiła prezenterka. — A przy telefonie jest kapitan David Grayling, funkcjonariusz policji stanowej, który dowodził akcją ratunkową i poszukiwawczą w Anaktue.

Głos prezenterki brzmiał obojętnie i neutralnie, ale Yasmin pomyślała, że te wiadomości powinny być odgrywane jak dramat, powinny uwzględniać fakt, że chodzi o ludzkie życie, że słucha tego żona, że w ciężarówce jadącej po niebezpiecznej drodze siedzi dziecko, bo matka nie mogła znaleźć dla niego bezpiecznego miejsca.

— Zaczniemy od kapitana Graylinga. Może nam pan przekazać najświeższe informacje na temat sytuacji w Anaktue?

Robiła to, kiedy mama była chora; jej umysł wskakiwał na najwyższe

obroty, tworząc aktualny komentarz, którego nie mogła wyłączyć, który stanowił słowną tarczę chroniącą przed emocjami, tłumiącą zarówno okrutną nadzieję, jak i niepokój.

— Niestety, mogę jedynie potwierdzić, że w pożarze zginęły dwadzieścia trzy osoby, w tym troje dzieci — odparł kapitan Grayling. — Przebywał tam też Brytyjczyk, który kręcił filmy przyrodnicze. Wszyscy krewni zostali poinformowani.

Yasmin zobaczyła, że Adeeb patrzy na nią, i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej twarz i dłonie są lepkie od potu.

*

Było dla niego jasne, że jest zdenerwowana i że stara się to ukryć. Przykręcił ogrzewanie.

— Czy nie wydaje się dziwne, kapitanie Grayling, że ogień rozprzestrzenił się tak szybko? — spytała prezydentka.

— Zapalił się skład paliwa do skuterów śnieżnych, potem generatora, który eksplodował — wyjaśnił kapitan. — W rezultacie doszło bardzo szybko do ogromnego pożaru.

— Ale jak się zaczął? Paliwo nie zapala się w śniegu.

— Najprawdopodobniej doszło do niewielkiego pożaru i wybuchu w jednym z domów — odparł kapitan Grayling. — Sądzymy, że zapalił się gaz doprowadzany do grzejnika albo piecyka, prawdopodobnie z powodu zwarcia elektrycznego albo nieuwagi, a następnie ogień rozprzestrzenił się na skład paliwa do skuterów i generatora, co doprowadziło do większej eksplozji.

— Ale wioska zmieciona z powierzchni ziemi przez pożar w temperaturze minus trzydziestu czterech stopni Celsjusza to coś, co musi budzić wątpliwości.

— Nie. Tak jak mówiłem, to się może zdarzyć — odpowiedział kapitan Grayling. — Jeśli gotuje się na butli gazowej i dochodzi do wycieku. Jeśli przechowuje się paliwo zbyt blisko domu. Przestrzegaliśmy mieszkańców

wiosek i właściciele gospodarstw na terenie całej Alaski, żeby trzymali paliwo w odległości co najmniej dwudziestu metrów od swoich siedzib. Zalecam słuchaczom, by robili to samo.

— Dziękuję za komentarz, kapitanie Grayling. A teraz nasz drugi gość, pani gubernator Jenston.

— Dobry wieczór. Pragnę przekazać serdeczne kondolencje rodzinom i znajomym ofiar tej straszliwej tragedii.

— Dziękuję za przybycie do studia.

— Cieszę się, że mogę być tu dzisiaj.

— Czy zechciałaby nam pani pomóc w wyjaśnieniu kilku faktów dotyczących Anaktue? — spytała prezenterka, której głos wciąż odznaczał się neutralnym tonem. — Czy Anaktue stoi... raczej stało... na setkach tysięcy baryłek ropy łupkowej?

— Nie widzę związku — odparła gubernator.

— Widziałam raport geologa — ciągnęła prezenterka. — Ziemia pod Anaktue ma trzy warstwy skały źródłowej, wytwarzającej ogromne ilości ropy i gazu, które wędrowały do Prudhoe Bay i Kuparuk.

— Jestem tutaj po to, by przekazać wyrazy współczucia rodakom mieszkającym na Alasce, a nie rozmawiać o geologii.

— Czy nie jest prawdą, że przedsiębiorstwa frackingowe, w tym także Soagil Energy, zamierzały prowadzić odwierty pod Anaktue i wokół tej wioski?

— Nie ma to żadnego związku z tą straszną tragedią.

— Czy nie jest prawdą, że Soagil Energy zamierzało zainstalować na początku dwadzieścia dwa szyby w promieniu dwóch i pół kilometra od Anaktue?

— Nie ma to nic wspólnego z...

— A kiedy mieszkańcy nie wyrazili zgody, przedstawiciele Soagil Energy próbowali zmusić ich do opuszczenia wioski? — ciągnęła nieustępliwie prezenterka.

— Nikt nie zamierzał tego robić — odparła gubernator. — Wspieraliśmy ich decyzję, i to w stu procentach. Darzymy ogromnym szacunkiem Inuitów i dokładamy wszelkich starań, by mogli żyć po swojemu. Nie jesteśmy jak

reszta Stanów Zjednoczonych, gdzie rdzennych mieszkańców zapędza się do rezerwatów. Respektujemy ich prawo do życia i polowania tam, gdzie zawsze żyli i polowali. Robimy wszystko, co możliwe, by zaoferować wsparcie. Mieliśmy w planach zainstalowanie nowych generatorów w Anaktue, a mieszkańcy otrzymywali kartki na żywność i cieszyli się nieograniczonymi prawami myśliwskimi.

— Zasiada pani w radzie nadzorczej jednego z przedsiębiorstw zajmujących się frackingiem?

— Zrezygnowałam, kiedy objęłam stanowisko gubernatora. Jestem jednak dumna, że byłam zaangażowana w pracę tych przedsiębiorstw i że wciąż mogę je wspierać. Firmy wydobywcze, w tym także frackingowe, nie są złoczyńcami, tylko pracodawcami. Oferują zatrudnienie Alaskanom, nie wyłączając Inuitów. I wszyscy mieszkańcy Alaski, nie wyłączając Inuitów, czerpią korzyści z bogactwa naturalnego naszego stanu dzięki Alaskan Permanent Fund. Wszyscy otrzymujemy roczną dywidendę z dochodów, jakie zapewniają inwestycje kapitałowe. Przedsiębiorstwa energetyczne strzegą naszej przyszłości. I dzięki nim mamy światło w amerykańskich domach.

— Poniżej tysiąca dolarów.

— Słucham?

— Zesłoroczna dywidenda. Dziewięćset dolarów. Niewiele w porównaniu z milionami zarobionymi przez przedsiębiorstwa energetyczne. Powiedziała pani wcześniej, cytując: „wspieraliśmy ich decyzję, i to w stu procentach”. Miała pani na myśli siebie i rząd Alaski czy też siebie i pozostałych członków rady nadzorczej Soagil Energy?

— Jak powiedziałam, nie zasiadam już w radzie nadzorczej. Ale, jak również powiedziałam, przedsiębiorstwa wydobywcze są dobrem dla Alaski i całej Ameryki.

— Co stanie się teraz, pani gubernator? Czy Soagil Energy zamierza prowadzić wydobywanie na terenie wioski?

— Poinformowano mnie, że Soagil Energy nie jest już zainteresowane tym obszarem. Przez szacunek wobec mieszkańców.

— A inne przedsiębiorstwa?

— Tego nie wiem, ale sądzę, że pójdą w ślady Soagil Energy. Proszę posłuchać, jeśli chce pani znaleźć jakiegoś złoczyńcę, to szuka go pani w niewłaściwym miejscu. Jedyni ludzie, którzy zachowują się jak kryminaliści w przemyśle energetycznym, to tak zwani ekowojownicy. Celowo prowadzili sabotaż przy odwiertach i zbiornikach kondensacyjnych, strzelali do rurociągów. Tak przy okazji, jeden strzał spowodował wyciek prawie miliona litrów ropy naftowej, co groziło klęską ekologiczną. Nie mam wątpliwości, że pewnego dnia spowodują pożar i będą próbowali obarczyć winą przedsiębiorstwa frackingowe, choć prawda jest taka, że ta metoda nie spowodowała ani jednego pożaru, nawet jeśli odwiert znajduje się na czyimś podwórzu, co z pewnością nie ma miejsca na Alasce.

*

Mama i pan Azizi nie otworzyli jak dotąd ust, więc nie rozmawiają ze sobą, ale pan Azizi spogląda na mamę co chwila. Ona nie rusza się w ogóle. Całe jej ciało jest skupione, jakby się bała, że jak poruszy brodą, to czegoś nie usłyszy. Myślę, że chodzi o tatę. Ciągnę ją za rękę, a ona obraca się w moją stronę.

Nie odzywa się przez chwilę i wiem, że się zastanawia, czy mi powiedzieć, czy nie, a ja chcę jej przypomnieć, że jesteśmy drużyną, ja i mama, i że po prostu musi mi powiedzieć.

*

Po wiadomościach nadano lokalną prognozę pogody; Yasmin ledwie ją słyszała.

— Mówili w radiu o pogodzie — wyjaśniła córce. — Będzie burza śnieżna. Nie wiadomo jeszcze, kiedy się zacznie.

Nienawidziła wykorzystywać głuchotę Ruby, by ukryć przed nią prawdę. Nigdy tego nie robili, nigdy nie odwracali od niej twarzy, by nie mogła czytać z ruchu ich warg. Uważali, że będzie lepiej, jeśli odczyta bolesne słowa z ich

ust albo jeśli będą milczeć, niżby mieli wykorzystywać jej głuchotę dla jakiejś korzyści. Lecz prognoza pogody była po części prawdą.

— Dotrzemy wcześniej do taty, prawda? — spytała Ruby.

— Na pewno.

— Powiedziałaś już panu Aziziemu?

— Jeszcze nie.

*

Śniadanie w Speyside, w wilgotnym pensjonacie o brudnych ścianach. Dzwoniła dziewczyna Russella. Dostał pięć lat za handel narkotykami. Yasmin spakowała się szybko, mówiąc Mattowi, żeby nie jechał; byłoby prawdopodobnie najlepiej dla wszystkich, gdyby tego nie zrobił.

Ale Matt i tak pojechał. Wyglądała przez okno w rozkołysanym pociągu powrotnym do Londynu i patrzyła, jak brązowe i upstrzone kałużami pola przemieniają się z wolna w twarde miejskie szarości. I czuła tuż obok siebie jego ciepło.

Nie był dla niej opoką w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Nie towarzyszył jej wtedy podczas odwiedzin u Russella ani podczas następnych wizyt. Nie poszedł z nią też do domu opieki, żeby posiedzieć z jej ojcem. Nie udzielał jej rad ani nie raczył mowami podnoszącymi na duchu. Ale czekał na nią na zewnątrz, często z teleskopem w samochodzie, butelką wina w bagażniku i śpiworami na plażę. Pokazywał jej raz za razem, że przeszłość nie oznacza przyszłości bez szczęścia.

ROZDZIAŁ 7

Przekraczali rozległą rzekę Jukon, zamarznąłą w zimie; most podtrzymywały betonowe słupy, ale w tej czerni nie widać było dna przepaści. Adeeb wiedział, że wzdłuż brzegów widniały ślady nóg dinozaurów, zachowane i skamieniałe w zastygłym błocie. Łatwiej przychodziło mu wyobrazić sobie wędrujące w dole niewidoczne prehistoryczne stworzenia niż jakiegokolwiek żywe zwierzęta.

Niebieskie światła zostały w tyle.

*

Nie chcę, żeby mama znów usłyszała coś w radiu albo w CB-radiu pana Aziziego i żeby nie wiedziała przez długi czas, co się dzieje. Zamierzam więc użyć Voice Magic. Tak się nazywa, jak „Hej, hokus-pokus! Słyszę i mówię! Ta dam!”. To program, który mam w swoim laptopie, taki, który zamienia czyjś głos w słowa napisane na ekranie. To część magiczna. A ponieważ ekran jest podświetlony, stanowi moją tajną broń, która pozwala mi słyszeć nawet w ciemności. Choć nie zawsze jest wygodnie zabierać wszędzie ze sobą laptop. I to nie działa, kiedy jest dużo głosów, bo miesza wszystko ze sobą. Ale jeśli jest tylko jedna osoba, to jest okej, więc wyobrażam sobie, że siedzę w ciemną noc z chłopcem, który chce wyszeptać mi czule słówka, a ja każę mu zaczekać i wyjmuję laptopa ze swojej wielkiej torebki. To żart! Nie mam torebki i nie mam chłopaka. MAM DZIESIĘĆ LAT i myślę, że to jest naprawdę głupie, że dziewczyny w szóstej klasie mają chłopaków i torebki.

Niemagiczna część polega na tym, że przemienia moje pisanie w mechaniczny głos. Wolę o wiele bardziej, jak ktoś czyta moje pismo, więc

użyłabym mechanicznego głosu tylko w jakiejś szczególnej sytuacji. Kiedy dostałam ten program, musiałam wybrać głos, który chciałam, tak jak mama, kiedy dostała nawigację satelitarną — język, i czy chce amerykański czy brytyjski angielski, potem kobietę czy mężczyznę, potem kogoś młodego czy starego (mama nie ma tego w nawigacji). Wiedziałam, że głosy chłopców, kiedy dorastają, stają się głębsze, ale myślałam, że głosy dziewcząt pozostają takie same. Tata powiedział mi, że młody głos brzmi wyraźnie i trochę dzwonkowato, jakby ktoś stukał w metalowy czajnik łyżeczką. Lata sprawiają, że głos brzmi ciężiej, ale głos starej osoby brzmi krucho i łamliwie, jakby był zrobiony z bardzo cienkiej porcelany. Ci ludzie od Voice Magic nie dają bardzo starego głosu, bo pewnie uważają, że nikt nie chce mieć głosu jak cienki kawałek porcelany, ale wydaje mi się, że byłoby super, gdyby czyjś głos przypominał dźwięk wazy z epoki Ming.

Kiedy miałam wybrać, pomyślałam sobie, że byłoby zabawnie mieć głos amerykańskiego mężczyzny. A ponieważ nie jest to MÓJ głos, pomyślałam sobie, że to podkreślę, ale mama wyglądała naprawdę na zmartwioną, kiedy to usłyszała, a ja przecież nie chciałam jej martwić. Więc zdecydowałam się na głos „angielskiej dziewczyny”.

Znam Jimmy’ego od czasu, jak byliśmy małymi dziećmi, a on nauczył się wielu znaków, nawet sobie tego nie uświadamiając. Tak czy owak, ja i Jimmy, kiedy byliśmy przyjaciółmi, mieliśmy swoje ulubione słowa, na przykład *testudo*, czyli żółw po łacinie — dziwne słowo. Mówiliśmy sobie *testudo*, a potem tak się śmialiśmy, że Jimmy puszczał bąka i nazywaliśmy to bąkowato-zabawne. Jednego dnia naszym słowem było „próżniowy”. Przez cały dzień mówiliśmy, że coś jest próżniowe — ludzie, banany, rolki papieru toaletowego, temperówki. Powiedział, że słowo „próżniowy” pochodzi ze środka odkurzacza próżniowego, który jest pełen śmieci. Wiedziałam od mamy, że chodzi o „próżnię”, co oznacza, że nic tam nie ma, więc wszystko wchłania, ale bardziej podobała mi się ta torba na śmieci Jimmy’ego. To było w tym samym tygodniu, kiedy wybrałam głos angielskiej dziewczyny, a Jimmy, jedyna osoba, której pozwoliłam go słuchać, oprócz taty i mamy, powiedział, że głos dziewczyny brzmi próżniowo. Więc ilekroć korzystam z tego programu, wiem, że mam głos jak worek próżniowy pełen śmieci.

Chcę jednak podziękować panu Aziziemu za to, że nas zabrał, a nie mogę poprosić mamy, żeby zrobiła to za mnie, bo powiedziałyby POSŁUGUJ SIĘ WŁASNYMI SŁOWAMI, RUBY, mając na myśli moje usta, a to jest nawet gorsze niż Voice Magic. I — a to właśnie jest szczególna sytuacja — chcę go poprosić, żeby zawiózł nas do samego Deadhorse.

*

Kiedy w wiadomościach pojawiała się Anaktue, Adeeb wyczuwał w ciasnej kabinie ciężarówki napięcie Yasmin. Nie wydawało mu się prawdopodobne, by była krewną albo znajomą jakiegoś mieszkańca, ale postać tego brytyjskiego dokumentalisty tłumaczyła pewne rzeczy. Zauważył na początku podróży dwie obrączki na jej palcu i założył, że jej mąż nie żyje. Nie wiedział, gdzie leży Anaktue, ale sądził, że musi znajdować się niedaleko koła podbiegunowego. Może razem z Ruby wybrały się na coś w rodzaju pielgrzymki, żeby odwiedzić miejsce, w którym zginął.

Usłyszał dziwny elektroniczny głos: „Dziękuję, że nas pan zabrał”. Zerknął na Ruby i zobaczył, że dziewczynka stuka w klawiaturę.

„I dziękuję za podłączenie odbiornika satelitarnego do mojego laptopa”.

Żałował, że nie nauczył się języka migowego. Cały świat powinien się go nauczyć. Nie byłoby wtedy obcego akcentu określającego człowieka jako kogoś odmiennego i gdyby ktoś chciał uniknąć obrazy, wystarczyłoby się odwrócić albo zamknąć oczy. I gdyby wszyscy potrafili migać, gdyby on potrafił, to ta wielka mała dziewczynka nie musiałaby korzystać z jakiegoś dziwnego głosu, który za nią mówił, tylko z własnych rąk. Choć nie umiałby obserwować jej znaków i jednocześnie prowadzić.

„To oznacza, że tata może przysyłać mi mejle” — powiedział elektroniczny głos i Adeeb zobaczył, jak Ruby uśmiecha się do niego serdecznie.

A więc jej ojciec żył, a przypuszczenie, że jest tym brytyjskim filmowcem, okazało się zapewne niesłuszne. Jednak Yasmin i Ruby porozumiewały się za pomocą języka migowego, wyraźnie zaniepokojone, a Ruby sprawiała

wrażenie coraz bardziej zdenerwowanej.

W radiu znów leciała muzyka klasyczna. Zaczął uderzać palcem w kierownicę w takt melodii, żeby dać im do zrozumienia, że nie zauważył ich milczącego sporu. Po mniej więcej dziesięciu taktach ich migowa rozmowa dobiegła końca; Ruby wyglądała na niezadowoloną, a Yasmin na jeszcze bardziej zaniepokojoną. I na wyczerpaną.

— Chce się pani trochę zdrzemnąć? — spytał ją. — Ten odcinek drogi nie jest specjalnie trudny. Obudzę panią, kiedy będziemy dojeżdżać do postoju.

Wymiana spojrzeń między matką i córką, ale niczego sobie nie przekazały.

— Dziękuję — powiedziała, a on był przekonany, że zamknęła oczy, by nie mógł jej zadawać więcej pytań.

— Chcesz, żebym powiedział ci coś ciekawego o Alasce? — zwrócił się do Ruby, a jego słowa pojawiły się na ekranie.

— Tak — usłyszał ten osobliwy głos.

— Alaskę sprzedali Amerykanom Rosjanie.

— Ile kosztowała?

— Około dwóch centów za akr.

— To niezbyt dużo.

— Niezbyt.

„Nie udzielaj im lekcji historii przy każdej kolacji” — powiedziała błagalnie Visha. Ale chłopcy chcieli, by to robił; z pewnością nie byli na tyle duzi, by ustępować mu dla świętego spokoju.

— Sądzę, że Dalton Highway to nieciekawa nazwa tej drogi, prawda? — ciągnął. — Kiedy się pomyśli, jak mogliby ją ochrzcić.

— Droga Widmowego Pociągu? — podsunęła.

— Droga Widmowego Pociągu i Rollercoastera?

— Droga Widmowego Pociągu, Rollercoastera i Lodowiska.

— Właśnie. Tak wiele trafnych nazw, a oni nazwali ją na cześć człowieka, który nazywał się John Dalton. Wiesz, co zrobił?

— Co?

— Umieścił satelity szpiegowskie wokół północnego koła podbiegunowego, żeby Ameryka wiedziała, czy ktoś dokonuje na nią

inwazji. Prawdopodobnie Rosjanie, którzy mieliby nadzieję, że uda im się odzyskać swoją ziemię. Tak mi się wydaje.

Uśmiechnęła się, a on był z tego zadowolony. Zastanawiał się jednocześnie, czy właśnie dlatego północna Alaska wydawała mu się wroga. Nie było to jedynie niehumanitarne zimno, posępność i ciemność; to miejsce stanowiło pogranicze jak na Dzikim Zachodzie, tyle że ludzie nie ustawiali konnych wozów w krąg, tylko satelity. Gubernator mówiła o ekoterrorystach, choć Adeeb słyszał, że człowiek, który ostrzelał rurociąg, był wiecznie pijanym przestępcą, niczym więcej. Bali się jednak zwykłego ataku terrorystycznego, dokonanego przez ludzi, którzy prawdopodobnie wyglądali w dużym stopniu tak jak on sam. Słyszał o planach rozmieszczenia punktów kontrolnych wzdłuż Dalton Highway i powołaniu specjalnego oddziału antyterrorystycznego, który miał strzec jednego z najcenniejszych amerykańskich rejonów z całą jego infrastrukturą. Jak by go potraktowali, afgańskiego uchodźcę, na takim punkcie kontrolnym? Jediną rzeczą, jaką udało mu się kiedykolwiek zniszczyć, był balonik, ale czyby mu uwierzyli? Zdążył się już nauczyć, że nie należy obnosić się z plecakiem czy zbyt obszerną kurtką.

— Wie pan, dlaczego rurociąg znajduje się tak wysoko? — spytała go Ruby za pośrednictwem swojego urzędnika.

Biegająca tuż obok rura wspierała się na wysokich palach. Dostrzegł uśmiech na twarzy dziewczynki i domyślił się, że odpowiada jej rola prezentera teleturnieju, który ma odpowiedź w kieszeni; jego chłopcy też tacy byli.

— Nie, nie wiem. A ty?

— Żeby karibu mogły przechodzić pod spodem, kiedy migrują — wyjaśniła. — Żeby wędrowały tą samą ścieżką, którą wędrują od tysięcy lat.

Szpiegowskie satelity i punkty kontrolne nie dla karibu, pomyślał Adeeb.

— Ale tata mówi, że z powodu frackingu niektóre ptaki migrują w złym kierunku i się gubią. Nikt jeszcze nie wie dokładnie, dlaczego tak się dzieje.

— To bardzo smutne.

— Tak.

Popatrzyła przez szybę, jej duże zielone oczy ledwie były widoczne

w świetle kabiny. Jakby uległa jakiemuś zauroczeniu.

— To zdumiewające miejsce, prawda? — odezwała się.

Gdyby nie widział jej oczu, pomyślałby, że żartuje.

— Prawdę mówiąc, nie jestem aż tak zachwycony — wyznał. Gdyby to od niego zależało, oddałby tę ziemię Rosjanom za darmo. — Jak dla mnie za mało tu kolorów. Wiesz, że słuchałem wcześniej Chopina?

— Tak.

— Wyobrażam sobie dzięki niemu, że jestem gdzie indziej.

— Gdzieś, gdzie kwitną kwiaty?

— Tak. I w innych miejscach. — Zawsze starał się znaleźć w myślach piękne obrazy związane ze swym nowym domem w Oregonie. — W słoneczne dni idziemy do parku i są tam dęby, nie jak te małe drzewka tutaj, tylko giganty. Kiedy słońce zachodzi w lecie, liście na samej górze z zielonych stają się żółte, jakby zamieniały się w złoto.

*

Mama powiedziała, że nie mogę zdradzić panu Aziziemu, dokąd tak naprawdę chcemy pojechać. Obiecała, że sama mu niedługo powie. Więc opowiem mu o swoich drzewach, tak jak on opowiedział mi o swoich.

— W lecie — mówię za pomocą Voice Magic — wciąż jest jasno na dworze, kiedy idę spać. Za moim oknem rosną drzewa. Nie wiem, jakiego rodzaju, ale są naprawdę wysokie, a ich gałęzie dotykają się nawzajem. Nie widać podnóża pni ani szczytów koron, tylko środek. Wszystkie te gałęzie zakryte liśćmi. Czasem sobie wyobrażam, że między gałęziami nie ma powietrza, jest tylko woda, i płynę między nimi, prześlizguję się i sunę po słonecznych pasażach liści.

Nigdy nie mówiłam nikomu o tym drzewnym pływaniu, ale on mi powiedział o swoich dębach, więc myślę, że to może być takie samo uczucie. I miło jest o nich myśleć, o naszych letnich zielonych drzewach, bo to dziwne być cały czas w ciemności.

Na moim ekranie pojawiają się nowe słowa: „Jaka jest twoja ulubiona

muzyka?”.

Nikt NIGDY nie zadał mi tego pytania. Jakby było najgłupszym pytaniem na świecie. Może chodzi mu o muzykę na bębnach albo na dzwonekch orkiestrowych.

— Drugi koncert fortepianowy Rachmaninowa — mówię. — Brahms i Beatlesi.

Voice Magic rozpoznaje te słowa, bo wypowiadałam je wcześniej, ale tylko do siebie, do nikogo innego.

Pan Azizi kiwa głową. Jakby nie był ani trochę zaskoczony.

— Może się trochę prześpisz? — zwraca się do mnie. — Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Naprawdę, naprawdę chcę się przespać. Jakby sen czaił się tuż za mną, żeby mnie porwać — zarzucić mi wielki i ciężki koc na głowę i uciec ze mną.

— Zaopiekuję się twoją mamą — mówi.

Kiwam głową i zamykam oczy, ale jestem zbyt niespokojna, żeby zasnąć, nawet jeśli porywa mnie ten ciężki koc. Więc myślę o pierwszej symfonii Brahmsa, bo czasem to pomaga.

Zapoznała mnie z nim pani Branebury, nauczycielka, która zorganizowała ten koncert na harfę. W ostatnim semestrze miałyśmy lekcję, tylko we dwie. Powiedziała, że uczyła się podstaw języka migowego, więc nie potrzebowałam specjalnego asystenta, chociaż lubię, kiedy jest przy mnie, bo to zabawne, że jestem tylko ja i zajmują się mną dwie dorosłe osoby. Pani Branebury musiała naprawdę ciężko wkuwać ten swój język migowy. Zapisywała mnóstwo rzeczy, ale też mnóstwo pokazywała.

Zorientowała się, że tak naprawdę nie lubię instrumentów perkusyjnych i że to niby-granie na dzwonekch orkiestrowych (napisała to) „było zabawne, ale na dłuższą metę nie stanowiło właściwej opcji muzycznej”. A potem mi powiedziała, że w muzyce nie chodzi wyłącznie o rytm, na wypadek gdybym się tym martwiła. Owszem, martwiłam się. Powiedziała, że chodzi o kadencję, melodię, harmonie, wysokie tony i niskie. Powiedziała, że w muzyce są obrazy i historie i że każdy może sobie wyobrazić, co chce. Powiedziała, że przedstawi mi swoją obrazową historię o pierwszej symfonii Brahmsa, a wtedy sama zobaczę, czy będę mogła przedstawić jej swoją.

Powiedziała, że to majestatyczny utwór, więc widzi góry z mnóstwem grzmotów i błyskawic, piękne i budzące lęk i podziw. Mam spróbować?

Powiedziałam, że dla mnie to pancernik w burzy, nie góry, bo uważam, że pancernik jest bardziej ekscytujący. A ona westchnęła. „Dziękuję ci, Ruby, od tej pory też tak będę to widziała”.

Mama mówi czasem „wielki jak pancernik”. Nie znam nikogo innego, kto by tak mówił.

Więc myślę o pierwszej symfonii Brahmsa i widzę ten duży okręt, szary i potężny, jak przebija się przez gigantyczne fale, a w górze unoszą się ciemne chmury, te, co to wyglądają jak armia skupiająca wszystkie siły na krawędzi nieba. Jest też kilka mew, które robią to, co robią mewy, jakby ścigają okręt, a potem szybują w niebo. I te mewy to wysokie tony, takie, jakie wydaje instrument dęty, bo przecież ptaki żyją czasem pośród trzcin, które śpiewają wysoko na wietrze.

Kiedy wciąż byliśmy przyjaciółmi, spytałam Jimmy'ego o jego ulubiony utwór muzyczny, oprócz popu; jest naprawdę muzykalny i uczy się gry na fortepianie, a także wiolonczeli; odparł, że drugi koncert fortepianowy Rachmaninowa. Powiedział mi, że brzmi jak chwytanie wiatru na srebrne łąso. I myślę, że musiał mnie kochać, skoro mi to powiedział.

ROZDZIAŁ 8

Wzdłuż poboczy drogi zbierały się zasypy śnieżne, zwięzając ją do pojedynczego pasma. Yasmin czuła, jak zamyka się wokół nich ciemność. Dwa razy omal nie zasnęła, ale zdołała zachować przytomność.

Słyszała, jak Adeeb pyta Ruby o muzykę, i wzdrygnęła się, sądząc, że to nietaktowne. Ale Ruby odpowiedziała na jego pytanie za pośrednictwem tej okropnej maszyny i Yasmin to poraziło. Ruby spała teraz, nie mogła więc jej spytać, skąd wiedziała o tej muzyce.

Ruby już od dwóch lat nie pozwalała nikomu słuchać, jak mówi; nie chciała w ogóle mówić. Yasmin próbowała wszystkiego i nie ustępowała, czego nienawidziła robić, i była wściekła, że Matt wybrał łagodniejszą taktykę spod znaku „niech robi, jak uważa”. Terapeuci mowy, jeden za drugim, natrafiali na ten sam milczący opór. Jeden z nich zachęcił Ruby, żeby zaczęła pisać na Twitterze i ilekroć to robiła, Yasmin czuła dotkliwy smutek, że jej córka rozmawia z obcymi. Gdyby tylko umiała porozumiewać się za pomocą ust, to z pewnością miałaby przyjaciół.

Kiedy dłonie Ruby przybrały kształt skrzydeł, pokazując anioła, była poruszona. Jadąc przez tę mroczną noc, myślała o tym, jak pokazuje się świt — kółko utworzone przez kciuk i palec wskazujący nad ręką oznaczającą horyzont.

Przypominała sobie wyraźnie podniecenie Ruby po lekcji angielskiego dla szczególnie utalentowanych dzieci.

„Uczyliśmy się o onomatopei! — oznajmiła Ruby, gdy tylko Yasmin spotkała ją przy bramie szkoły. Yasmin nie rozumiała, dlaczego słowa, które brzmią jak to, co opisują, rozjaśniają twarz jej córki. — Język migowy to bezustanna onomatopeja, mamó. Wizualna onomatopeja!”

Yasmin była poruszona trafnością tego stwierdzenia.

Jednak większość ludzi na świecie — a oznaczało to niemal wszystkich — nie znała języka migowego, więc bez względu na piękno i wizualność onomatopeiczną „anioła” Ruby musiała nauczyć się mówić za pomocą podniebienia, języka i warg.

Yasmin nie tyle chciała, by Ruby mówiła, ile by była słyszana.

— W porządku? — zwrócił się do niej cicho Adeeb, widząc, że nie śpi.

Choć musiał się koncentrować na prowadzeniu ciężarówki, czuła, że jest coś rozmyślnego w tym uporczywym patrzeniu na drogę, a nie na nią.

— Pani mąż... był w Anaktue?

W jego głosie pobrzmiwała serdeczność, a ona czuła napięcie wywołane swoimi kłamstwami.

— Tak — odparła.

— Ten dokumentalista? — spytał Adeeb.

Gadżet Ruby wciąż był włączony, słowa Adeeba pojawiały się w formie pisanej. Zamknęła laptopa.

— Nie zginął.

*

Adeeb dosłyszał pełną strachu zawziętość w jej głosie.

— Ale nikt go nie szuka — ciągnęła. — Wszystko się spaliło, więc nie ma żadnego schronienia, co najwyżej namiot, choć nawet tego nie jestem pewna, niewykluczone też, że jest ranny. Tutaj temperatura wynosi minus dwadzieścia jeden stopni Celsjusza, a tam, gdzie przebywa, jest jeszcze zimniej. Nie wiem, jak długo przeżyje.

Adeeb nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć albo zrobić. Ten policjant podał w radiu, że dokumentalista nie żyje.

— Policja... — zaczął.

— Myli się — przerwała mu. — Zabierze nas pan ze sobą do Deadhorse? Potem będziemy mogły polecieć awionetką do Anaktue.

Od Deadhorse dzieliło ich czterysta osiemdziesiąt kilometrów.

— Im dalej na północ, tym droga robi się niebezpieczniejsza —

powiedział. — Za tym postojem z restauracją, do którego niedługo dojedziemy, nie ma niczego przez prawie sto kilometrów, aż do Coldfoot. Trzydzieści kilometrów dalej znajduje się mała wioska Wiseman, ale leży w odległości pięciu kilometrów od Dalton, a droga dojazdowa jest od tygodni zamknięta. Mamy więc przed sobą ponad czterysta kilometrów pustki, a nawet gorzej. Nie ma tam szpitali ani jakiegokolwiek pomocy medycznej. Jeśli się rozkraczymy, a burza zacznie się wcześniej, nie będzie można nikogo powiadomić, bo nikt do nas nie dotrze.

— Kochamy go.

*

Yasmin zauważyła, że Adeeb patrzy na śpiącą Ruby.

— Ona i jej ojciec... są bardzo blisko. Nie potrafię tego wyjaśnić. Byłaby bez niego stracona.

Adeeb skinął głową, a ona zadała sobie pytanie, czy i on zna ból, jaki odczuwa dziecko, gdy umiera ukochany rodzic; przerażenie zrodzone z tego bólu, fale uderzeniowe, rozchodzące się bez końca, bo nic nie może ich powstrzymać.

— Żałuję, że musiałam ją tu przywieźć — powiedziała. — Że musiałam to zrobić. Nie miałam jednak wyjścia.

Adeeb podziwiał ją ogromnie — jej determinację, miłość do męża i odwagę. Poza tym kochała bezwarunkowo swe dziecko i strzegła je za wszelką cenę; widział to. Nie przyszło jej łatwo zdecydować się na tę podróż. Ale zrobiła to.

— Gdyby pańska żona była gdzieś tam, w głuszy... — odezwała się. — Co by pan zrobił?

I wszystko stało się jasne. Tak, poprosiłby o pomoc nieznanego, bez względu na niebezpieczeństwa drogi, i zabrałby ze sobą swoich chłopców, gdyby nie było wyjścia, i nie zatrzymałby się, dopóki by jej nie znalazł. Nic by go nie powstrzymało.

Zapowiadana burza nie groziła im przed dotarciem do Deadhorse.

Prześladujący go ból głowy nie nasilił się i był wywołany niepokojem, jaki odczuwał zawsze, jadąc tą drogą. Był jednym z najbardziej doświadczonych kierowców, prawdopodobnie najostrożniejszym, ponieważ musiał troszczyć się o własny wóz, nawet jeśli wykazywał pod tym względem zrozumiałe przewrażliwienie. Jeśli ktokolwiek mógł je dowieźć na miejsce bezpiecznie, to właśnie on.

— Zobaczmy, jaka będzie następna prognoza pogody — powiedział. — Jeśli okaże się, że możemy dojechać do Deadhorse przed burzą, to zabiorę was tam.

— Dziękuję.

Uśmiechnął się do niej.

— Moja matka byłaby zachwycona, mogąc panią poznać — zauważył.

Co by sobie pomyślała o kobiecie, która studiowała astrofizykę? Która z miłości do mężczyzny podróżowała w zimie z dzieckiem przez północną Alaskę? Wyrzuciłaby w górę ręce, pobrzękując bransoletkami, i rozwarłaby szeroko oczy, uosobienie najgłębszego zdumienia.

Umarła trzy miesiące przed tym, jak wyjechali z Afganistanu i przybyli do Stanów Zjednoczonych. Pomyślałaby, że staranie się o azyl upodabnia go do jednego z tych wariatów w książkach Dickensa, które czytała. I tak też był traktowany, gdy ludzie się nie bali, że wysadzi ich w powietrze. Nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić.

*

Zatrzymaliśmy się, w kabinie pali się jasne światło. Otwieram szybko Voice Magic. Mama pokazuje panu Aziziemu mapę, rozmawiają o Anaktue. Więc mama powiedziała mu, a pan Azizi się zgodził! Wiedziałałam, że to zrobi! A mama wygląda teraz inaczej.

Mówi, że w odległości jakichś trzystu siedemdziesięciu kilometrów znajduje się rzeka i że biegnie zakolem w stronę drogi. Przesuwa po niej palcem.

— A potem płynie na północ przez mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów

aż do samego Anaktue.

Jej palec dotyka Anaktue ostrożnie i delikatnie, jakby chodziło o coś cennego. Pan Azizi mówi, że ktoś musiał zapewne zbudować drogę, która łączy rzekę z Dalton Highway. I że droga-rzeka, którą minęliśmy, była przeznaczona dla przedsiębiorstwa górniczego, więc sprawdzono, że jest bezpieczna. Byłoby zbyt ryzykowne, gdybyśmy skorzystali z drogi-rzeki, której nikt nie sprawdził. I cały czas mówi „my” i „nas”, więc się cały czas cieszę, bo nawet jeśli nie możemy jechać po tej rzece i skorzystać ze skrótu, to i tak pomoże nam dotrzeć do taty. Mówi, że zatrzymamy się przy restauracji i weźmiemy dodatkowe jedzenie i wodę.

Wiem, że teraz wszystko będzie dobrze, więc zamykam oczy i znów zasypiam.

*

Wszystko, co Matt musiał powiedzieć, to „Czy zechcesz...”, by wiedziała, jaki jest koniec tego zdania, i odpowiadała: „Jeszcze nie”. Twierdził, że po prostu pytał: „Czy zechcesz... podać mi piwo/nie robić takiego hałasu/popatrzeć na to piękne niebo/nie zgarniać dla siebie całej pościeli/pocałować mnie”, ale miejsca, w których się to działo, zdradzały go, i ilekroć urządzali sobie piknik na plaży albo pili kawę na ambonie obserwacyjnej, albo patrzyli na nocne niebo, błękitne niebo czy niebo jakiegokolwiek innego rodzaju i niemal zawsze, gdy się kochali, wiedziała, że spyta: „Czy zechcesz...?”.

Nie był zdruzgotany, kiedy powiedziała: „Jeszcze nie”, ani nawet rozczarowany. Uodporniony za sprawą przepelnionej miłością przeszłości nie dostrzegał odmowy. Myślał, że chce go najpierw lepiej poznać, i słusznie. Powinna przecież wiedzieć wszystko o człowieku, za którego miała wyjść, zanim poświęciłaby mu resztę życia; nigdy sobie nie uświadamiał, że działa to w obie strony.

Wiedziała, że chce się z nią ożenić, od chwili gdy ujął jej twarz w dłonie i powiedział: „Widzę cię”; chciała, żeby spojrzał jej w twarz, powiedział to

i zdał sobie w pełni sprawę z tego, co widzi. Obawiała się jednak, że to niemożliwe.

*

Adeeb zajechał na parking przed przydrożną restauracją; Ruby wciąż spała. Lokal założył tej zimy młody kierowca, który rozumiał, że jego koledzy potrzebują towarzystwa przed długą i samotną jazdą na północ — miejsca, w którym przyjaciele mogliby dzielić się dramatycznymi opowieściami w drodze powrotnej do Fairbanks. Adeeb nigdy się tu nie zatrzymywał.

Cieszył się, że zrobi sobie przerwę. Na dystansie ostatnich ośmiu kilometrów tracił chwilami ostrość wzroku. Był zapewne bardziej zmęczony, niż to sobie uświadamiał. Zastanawiał się, czy nie wysiąść z wozu, ale zimno wywołałoby jeszcze silniejszą migrenę; „Mózg się mrozi!” — krzyczeli jego chłopcy, jedząc lody, i łapali się za głowy. Zimno nie służyło jego schorzeniu.

Na parkingu stały dwie ciężarówki Soagil Energy z ładunkiem rur, cysterna FBF i trzy wozy Am-Fuels z prefabrykowanymi domami na skrzyniach. Adeeb domyślił się, że te ostatnie jadą na południe, w stronę Fairbanks, bo ich ładunek wyglądał tak, jakby spędził już jakiś czas na Alasce. Kiedy ustawiał wóz, kierowcy Am-Fuels wsiedli do swoich maszyn i, tak jak przewidywał, ruszyli w stronę Fairbanks.

Powiedział, że popilnuje Ruby, żeby Yasmin mogła skorzystać z toalety i kupić coś do jedzenia.

*

Yasmin włożyła kurtkę, kominiarkę i rękawice, nim wysiadła z ciężarówki. Mimo tej ochronnej odzieży, zimno ją zaszokowało; przypominało to zanurzenie się w jeziorze, nie w powietrzu. Powąchała je i uświadomiła sobie, że chłód jest pozbawiony jakichkolwiek woni. Zastanawiała się, czy to dlatego, że jej drogi oddechowe nie funkcjonują prawidłowo — czuła zamarzające włoski w nosie — czy może dlatego, że

w tej temperaturze żadne molekuly nie mogły przenikać powietrza.

W restauracji było ciepłej, unosiła się tu woń kawy i potu. Przy dwóch laminowanych stołach siedzieli kierowcy, śnieg z ich butów wyznaczał ślady na podłodze. Była świadoma ich spojrzeń, kiedy kupowała napoje i kanapki u młodego, nieśmiałego sprzedawcy. Kiedy pakował zakupy do torby, spytała go o Anaktue. Może rozmawiano tu o tym.

— Chodzi o to miejsce, o którym mówili w wiadomościach? — upewnił się. — Inuicka wioska, która spłonęła? Składowali paliwo przy domach.

Jakiś kierowca z wielkim, tłustym brzuchem odwrócił się w ich stronę.

— Czy to nie tam są te wielkie złoża ropy łupkowej?

Jeden z mężczyzn przy sąsiednim stoliku odwrócił się, więc teraz obie grupy prowadziły rozmowę.

— Słyszałem, że dostali laptopy. Tylko po to, żeby mogli sobie poczytać o Soagil.

— Też tak słyszałem — przyznał inny. — I że mogliby mieć sto tysięcy dolców. Wystarczy, żeby kupić całe stado pieprzonych karibu.

— Ale byli przeciwni frackingowi na swoim terenie? — spytała Yasmin.

— Zgadza się — odparł jeden z mężczyzn.

Nieśmiały, młody sprzedawca rozmawiał bardziej z kierowcami niż z Yasmin.

— Poznałem jednego Inuitę, ze dwa miesiące temu, mieszkał w Anaktue, ale pracował przy stałych odwiertach Soagil w Prudhoe. Mówił, że by go zwolnili, gdyby jego rodzina się nie zgodziła. — Rozejrzał się, jakby przestraszony, że powiedział za dużo.

— Zatrudniają się w Prudhoe, żeby dostać gotówkę? — spytała Yasmin, chcąc podtrzymać rozmowę.

— Tak, wielu wciąż poluje, żeby zdobyć żywność, niektórym to wystarcza, ale muszą kupować skutery śnieżne, paliwo i tak dalej. Więc podczas zimy pracują.

— Gubernator mówiła, że firmy nie będą prowadzić na tym obszarze frackingu — powiedziała Yasmin. — Przez szacunek wobec mieszkańców Anaktue.

Mężczyzna z wielkim brzuchem pochylił się nad stołem.

— Tak, jasne. A turyści przyjeżdżają na Alaskę, żeby się opalać.

Nagle trzasnęły drzwi i Yasmin się odwróciła. To była Ruby, cała zapłakana, na jej twarzy malowała się rozpacz, kurtkę miała rozpiętą. Dziewczynka podbiegła do matki i zaczęła ją ciągnąć w stronę wyjścia. Yasmin zauważyła, że kierowcy wstają od stołów i idą razem z nimi, jeden z nich zapinał już kurtkę Ruby i naciągał jej kominiarkę na twarz. Tylko rękawice miała odpowiednio założone.

Adeeb leżał przygarbiony na kierownicy; był ledwie przytomny.

Dwaj kierowcy zdołali wyciągnąć go z ciężarówki, a potem, trzymając go między sobą, zanieśli do restauracji.

*

Adeeb zobaczył, że jego świat się rozmazuje i nie chce odzyskać ostrości, a potem stracił równowagę i nie mógł przetykać. Poczuł, jak obejmują go małe ramiona, ramiona dziecka, ale przecież jego chłopcy byli ponad trzy tysiące kilometrów stąd. Próbował otworzyć usta, ale nie mógł mówić.

Zrozumiał wtedy, dlaczego nienawidzi tej lodowej drogi, dlaczego się jej szczerze lękał. Bo tak właśnie się kończyła, posępna trasa do ciemnej nicości; dlatego tak tęsknił za kolorem.

A potem otoczyły go mocniejsze ramiona i wyciągnęły z ciepła na zimno. A potem znów się zrobiło ciepło. Przemawiała do niego jakaś kobieta. Miał nadzieję, że to Visha. Mówiła mu, że zabierają go do szpitala w Fairbanks, że zawiezie go jeden z kierowców. Ale to był przecież niewłaściwy kierunek. A potem przypomniał sobie szczupłą, pełną wdzięku kobietę i jej dziecko, i już wiedział, co ona zamierza zrobić. Musiał ją ostrzec przed krzyczącymi przeraźliwie wichrami i zabójczym zimnem, powiedzieć jej, że lawina może pogrzebać ciężarówkę, nawet gdy ta się porusza, i że nawet wewnątrz czterdziestotonowego pojazdu o osiemnastu kołach człowiek jest tylko biednym, nagim, dwunożnym zwierzęciem, że to zbyt niebezpieczne dla niej i tej małej dziewczynki, ale nie mógł otworzyć ust, żeby wypowiedzieć te słowa.

Usłyszał, jak kobieta mówi, że wkłada czek do jego kurtki i że gdyby coś się stało z ciężarówką, dopilnuje, by mu za nią zapłacono. A potem poczuł, albo zdawało mu się, że poczuł, jej wargi na swoim czole, gdy go pocałowała.

Pomyślał o swej łagodnej, inteligentnej, dzielnej matce, podzwaniającej żywo bransoletkami, pełnej czułości i poezji; nic dziwnego, że został tłumaczem armii amerykańskiej. Ale powinien był przewidzieć konsekwencje. Tak szybko musieli wyjeżdżać. A on odczuwał ulgę, że jego matka zmarła, więc nie musiał jej zostawiać. To było straszne odczuwać ulgę. Otaczali go mężczyźni, na ich twardych obliczach malowała się troska; okazywali mu serdeczność; ofiarowali schronienie, azyl.

*

Obudziłam się, ponieważ pan Azizi jakby się na mnie osunął. Był taki blady i miał zamknięte oczy. Wystukałam słowa na Voice Magic i powiedziałam, żeby się obudził, ale nie usłyszał, a nie mogłam już zrobić głośniej Voice Magic. Próbowałam do niego mówić, wyczuwając wibracje w krtani, jak każą mi robić terapeutyci mowy, ale nic z tego nie wyszło i nie wiem, czy to ja nie potrafiłam mówić głośno ustami, czy to on mnie po prostu nie słyszał. Potem próbowałam go objąć, żeby go podnieść, ale nie dałam rady. Włożyłam szybko kurtkę i rękawice, ale nie mogłam zapiąć zamka błyskawicznego. Otworzyłam drzwi, które były naprawdę ciężkie, i pobiegłam szukać mamy.

Dwaj ludzie niosą pana Aziziego do ciężarówki, inny zjawia się z kocem i go okrywa. Wydaje się, że od wieków byliśmy sami: ja, mama i pan Azizi, ale teraz już nie, a ludzie, którzy wydają się brutalni, bo tak wyglądają, wcale nie są brutalni.

Ciężarówka, w której jest pan Azizi, odjeżdża teraz do Fairbanks. Mama mówi, że wszystko będzie dobrze, jak tylko zabiorą go do szpitala. Uważa, że doznał łagodnego wylewu, ale już mu lepiej. Ma chyba rację, bo przed odjazdem podniósł rękę, jakby chciał pomachać, a nie mógł tego zrobić, kiedy był wcześniej ze mną w ciężarówce, więc myślę, że mu się poprawiło.

Na parkingu nie ma świateł. Jest tak zimno; jakby wokół kogoś zamykało się lodowisko i okrywało go wielkim lodowym prześcieradłem. Mama powiedziała, żebym zaczekała w restauracji, ale chcę się upewnić, że z panem Azizim wszystko w porządku. Lampy z tyłu ciężarówki, w której jedzie, są czerwone, spoglądam za tymi czerwonymi światłami, aż nie mogę ich dojrzeć, i teraz jest tylko ciemno.

Nie pomyślałam o tacie.

Myślę o panu Azizim, nie o tacie.

Powinnam też myśleć o tacie.

Bardziej o tacie, bo z panem Azizim jest teraz dobrze, jedzie do szpitala i siedzi w miłej, cieplej kabinie, a ludzie okryli go wełnianym kocem, a tata może jest zupełnie sam. I nie wiem, czy ma koc, a my musimy do niego dotrzeć. Ale jak mamy to zrobić bez pana Aziziego?

Inni kierowcy, mama i ja idziemy do restauracji, żeby się rozgrzać, i czekam, aż mama poprosi kogoś, żeby nas zawiózł do taty. Stoję, żeby widzieć jej wargi. Mówi tym ludziom, że czekamy na naszą wycieczkę, która ma się wybrać na koło podbiegunowe.

Ale dlaczego to powiedziała? Jeden z nich patrzy tak, jakby jej nie wierzył, pyta o coś, a ona coś odpowiada, a on wygląda teraz tak, jakby jej wierzył.

Kierowcy wychodzą, a ja wybiegam za nimi na mróz, bo jeden z nich musi nas zawieźć do taty.

Mama wychodzi za mną. Przytrzymuje mnie, żeby nie mogła iść dalej.

*

Obejmując Ruby, Yasmin patrzyła, jak ciężarówka prowadzona przez mężczyznę z potężnym brzuchem wyjeżdża z parkingu na drogę, która biegnie na południe. Inni kierowcy włączali już światła przed odjazdem. Powiedzieli jej, że wszyscy wracają do domu. Musiała jakoś kontynuować podróż, ale czy powinna prosić jednego z tych kierowców wracających do Fairbanks, żeby zabrał ze sobą Ruby? Pytania retoryczne, które kłębiły jej się w głowie. Jak mogłaby zostawić Ruby pod opieką obcego człowieka?

W sytuacji, gdy Ruby nie mogła poprosić nikogo o pomoc i nie mogła nawet zadzwonić do matki, gdyby tego potrzebowała? Kiedy ona sama nie mogła z nią rozmawiać i sprawdzić, czy córka jest bezpieczna? Musiała zatrzymać Ruby przy sobie.

*

Odjeżdżają wszystkie ciężarówki; podwójne czerwone światła, jedno za drugim, wracają tam, skąd właśnie przybyliśmy. Więc dlatego mama nie poprosiła ich, żeby zabrali nas do taty. Została tylko ciężarówka pana Aziziego. Teraz, kiedy zniknęły te wszystkie światła, wydaje się, że jest jeszcze zimniej. Człowiek z restauracji nie wyszedł na zewnątrz i jesteśmy tu całkiem same.

Mama wchodzi na stopnie kabiny wozu pana Aziziego i wyciąga rękę, żeby mi pomóc. Kabina nie jest zamknięta, więc mama wsiada do niej i ja też, i zamykamy drzwi. Pan Azizi zostawił kluczyki; mama zdejmuje rękawice i uruchamia silnik. W twarz dmucha nam ciepłe powietrze.

Ja też zdejmuję swoje wielkie rękawice, żebym mogła pisać. Mój laptop jest nastawiony na Voice Magic od czasu, jak próbowałam obudzić pana Aziziego.

— Jak dostaniemy się do taty?

Mama siedzi na fotelu pana Aziziego. Pociąga za dźwignię i jej fotel przesuwa się błyskawicznie do przodu.

— Zawiozę nas — mówi mama.

Myślę, że żartuje, ale teraz z kolei włącza światła.

Jak jesteśmy w domu, to jeździ toyotą auris, która jest całkiem mała i jest w niej dość miejsca tylko na zakupy, a teraz mówi, że będzie prowadzić tego PANCERNIKA MEGATRONA z całym wielkim budynkiem.

Jest inna niż zwykle, całkiem inna. Normalna mama jest trochę drobiazgową w pewnych rzeczach, żeby mój mundurek szkolny był wyprasowany, praca domowa odrobiona na czas i żeby wszystko było uporządkowane.

Ma w twarzy coś takiego, czego jeszcze nigdy nie widziałam, jakby nie była już po prostu mamą.

Przesuwa drążek biegów, a ja się śmieję, bo zamierzamy znaleźć tatę, w tej właśnie chwili!

Może dojedziemy aż do Anaktue i tata zobaczy, jak mama prowadzi, i pomyśli, że jest niesamowita! Wspaniała mama!

— Tata nigdy w to nie uwierzy — mówię i robię minę aaa!, bo nie można robić min na Voice Magic. — Czy pan Azizi nie będzie się gniewał, że wzięliśmy jego ciężarówkę?

— Myślę, że zrozumie — mówi mama.

*

Sprawdziła, czy Ruby ma zapięty pas, a potem nacisnęła stopą pedał, co wymagało wysiłku, nawet jeśli fotel był przesunięty maksymalnie do przodu. Wyjechała z parkingu na drogę i skierowała się na północ.

To była droga, nic więcej. Ponad czterysta kilometrów do Deadhorse. Wierzyła, że da radę. Prowadziła specjalnie przystosowaną ciężarówkę z podgrzewanym paliwem i alkoholem w sprężonym powietrzu w przewodach hamulcowych, i ze specjalnymi filtrami; rozumiała jej mechanikę. Wiedziała, że Adeeb zatankował w Fairbanks dostatecznie dużo ropy, żeby dojechać do Deadhorse. Nie miały telefonu, Adeeb zabrał swój satelitarny telefon ze sobą, ale wciąż miały odbiornik satelitarny, więc laptop Ruby był podłączony do internetu, no i było jeszcze CB-radio.

Właściciel restauracji był jedynym człowiekiem, który mógł widzieć, jak zabrała ciężarówkę, ale nie miała wątpliwości, że nie patrzył przez okno na parking; nawet nie wyszedł na zewnątrz, żeby zobaczyć ten dramat z Adeebem. Adeeb był jedynym właścicielem wozu, więc nie istniała firma przewozowa, którą by interesowało, gdzie znajduje się należąca do niej ciężarówka. Może nawet udałoby się jej dowiedzieć na miejsce w Deadhorse ten prefabrykat, nim ludzie, którzy byli jego właścicielami, zorientowaliby się, że zabrała go nieumyślnie, zabierając jednocześnie ciężarówkę; o ile można

było w ogóle zabrać nieumyślnie cały prefabrykowany dom, co okazało się jak najbardziej prawdopodobne.

Musiała patrzeć realistycznie. Było tylko kwestią czasu, nim ktoś by się zorientował i zgłosił sprawę. Wiedziała, że policja aresztowałaby ją za kradzież ciężarówki albo ładunku, albo za jazdę bez uprawnień, albo za złamanie jakichś innych przepisów, a nie wątpiła, że w tej chwili łamała ich mnóstwo. Po prostu nie wolno jej było do tego dopuścić. Nie wcześniej, nim dotarłaby do Matta. Niech potem policja ją aresztuje, wsadzi do aresztu, zrobi, co jej się tylko podoba. Gdy ona sama już do niego dotrze.

*

Zaręczyli się niemal dwa lata po jego pierwszych oświadczeniach. Dzień wcześniej była u niego w mieszkaniu nad rzeką, które jego rodzice pomogli mu kupić. Byli praktycznymi, rozsądnymi prawnikami z klasy średniej i Yasmin uważała, że są wspaniali, ale dokuczała żartobliwie Mattowi: „A więc i ciebie znaleziono pod krzakiem morwy?”. „To był urodzajny rok, jeśli chodzi o morwę”.

Tamtego sobotniego poranka spacerowali po chodnikach pokrytych liśćmi — żadnych graffiti na murach, żadnych policyjnych komunikatów z prośbą o zgłaszanie się świadków; jedynym niepożądanym dźwiękiem był hałas docierający od strony Heathrow.

Kupili lunch w delikatesach i szli właśnie do kiosku po gazety, kiedy jakiś samochód — niewłaściwego rodzaju, tani i poobijany — nadjechał wąską ulicą, tuż za nim darła się syrena. Wóz wskoczył na chodnik, zmierzając wprost na Yasmin, a Matt odepchnął ją, sam zaś znalazł się między nią a samochodem, jakby zasłaniał ją własnym ciałem. Największy impet uderzenia pochłonął słup latarni, Matt natomiast miał szczęście, umykając ze złamanym barkiem i pękniętymi żebrami.

Nazajutrz znalazła w kieszeni jego kurtki pachnącej miętówkami, papierosami i, o dziwo, długopisami, pierścionek noszący ślady licznych podróży, i włożyła go na palec.

Wszyscy sądzili, że powodem obecności jego pierścionka na jej palcu był heroiczny czyn Matta.

Podczas pierwszego roku małżeństwa wybrała się z nim w jego pierwszą podróż filmową, a on chodził z nią do planetariów, podzielał jej entuzjazm i starał się zrozumieć jej pracę doktorską. Wspólne życie w mieszkaniu nad rzeką było sekwencją późnych wieczorów w towarzystwie Matta i przyjaciół, seksu, pracy od wczesnych godzin rannych i nowego etatu; potem zaszła w ciążę i wydawało się, że życie rozrasta się nieprawdopodobnie. W trakcie tego wspólnego życia Yasmin czuła, że ich wzajemna miłość narasta i gęstnieje; wyobrażała sobie, że jej kotwicą jest jakaś metalowa kula w samym jądrze Ziemi, sześć i pół tysiąca kilometrów pod chodnikami, plażami i mokradłami, po których wędrowali.

Nie była już nieważka od samotności.

ROZDZIAŁ 9

Przez pierwszych kilka kilometrów dodawała jej siłę adrenalina, pełna zuchwałości odwaga i duch przygody, ale im dalej na północ, tym bardziej przerażająca stawała się rozległość arktycznej pustki, a ich izolacja bardziej niepokojąca. Yasmin zdawała sobie sprawę, że będzie musiała manewrować tym wielkim pojazdem na dystansie kolejnych czterystu kilkudziesięciu kilometrów.

Pokonała wąski zakręt i nagle w jej oczy uderzył blask światła, niespodziewany i oślepiający w tej czerni. Z naprzeciwka, po jednopasmowej drodze, jechała ciężarówka. Prawe pobocze kończyło się stromym uskokiem. Usłyszała, jak Ruby wydaje jakiś dźwięk, niczym krzyk. Rozległ się ostry zgrzyt metalu ocierającego się o metal, wóz zatrząsł się gwałtownie, ale jakimś cudem drugi pojazd zdołał się z nimi minąć. Serce waliło jej jak oszalałe. Siedząca obok Ruby zwymiotowała.

W CB-radiu odezwał się tamten kierowca, jego głos był stłumiony od gniewu.

— Kim, kurwa, jesteś? Dlaczego nie podałeś pieprzonej pozycji na drodze? Od tego jest cholerne radio!

Yasmin słyszała wcześniej, jak Adeeb podawał swoją pozycję, ale nie przyszło jej do głowy zrobić to samo. Zwróciła się do Ruby.

— Przepraszam, kochanie. Zatrzymamy się przy pierwszej okazji, żebyś mogła się przebrać.

*

Myślałam, że ta wielgachna ciężarówka uderzy w nas i zrobiło mi się niedobrze, i teraz tu śmierdzi. Otwieram okno, tylko troszeczkę, i do środka

wpada lodowato zimne powietrze, jak chmara os. Z boku drogi widać dużą pustą przestrzeń. Mama tam skręca i zapala w kabinie światło, żebyśmy się dobrze widziały. Bierze moją walizkę, która leży na łóżku pana Aziziego nad naszymi fotelami.

— Naprawdę mi przykro — mówi. — To wszystko moja wina. Pomogę ci się przebrać.

Grzejnik dmucha ciepłym powietrzem. Nie zdejmuję warstwy izolacyjnej, bo jest w porządku, ale muszę włożyć świeży arktyczny polar, który tata nazywa wełnianym niedźwiedziem. Na szczęście mama pomyślała o tym, żeby zabrać zapasowego niedźwiedzia. Zawsze myśli o takich rzeczach.

— Jeśli chcesz skorzystać z przenośnej toalety, to teraz jest właściwa chwila — mówi mama.

I nawet jeśli mówi to tylko mama, to i tak jest to krępujące. Wkładam spodnie narciarskie i kurtkę.

— Myślę, że powinniśmy poprosić policję, żeby dotarła do taty — mówię, bo gdyby ta wielgachna ciężarówka zderzyła się z nami, to nie byłoby nikogo, kto mógłby do taty dotrzeć.

Nic nie powiedziałam wcześniej o policji, która mogłaby go znaleźć, bo pomyślałam sobie, że jakby mama znalazła tatę, to zobaczyłby, jak bardzo go kocha, ponieważ wiem, że go kocha, ale on może nie wiedzieć, bo była taka zła na niego.

Ale i tak będzie mogła mu powiedzieć, że się starała. To nie jej wina, że pan Azizi zachorował, więc musiałyśmy poprosić policję. A tata będzie wiedział, że go kocha.

Mama nigdy nie prowadziła takiej ciężarówki. Wiem, że jest superbystra, ale myślę, że to naprawdę trudne.

— Nie możemy poprosić policji, żeby dotarła do taty — mówi mama.

— Ale będą szybciej, mają pewnie helikopter albo samolot i...

— Uważają, że tata zginął w pożarze.

Na zewnątrz jest czarno. Wszystko jest czarne. Jakby ktoś nałożył mi na twarz czarną plastikową torbę.

— Policja się myli, Ruby.

Chcę, żeby tata mnie objął, porozmawiał ze mną, przeczytał mi jakąś

historię i powiedział, że któregoś dnia będę miała mnóstwo przyjaciół, bo mnie bliżej poznają.

„Życie jest trochę jak statek i czasem się zdaje, że płyniesz sama, ale tak nie jest, bo ja jestem z tobą. I mama. I pewnego dnia będziesz miała załogę złożoną z samych przyjaciół i swoją rodzinę. Będziesz niczym transatlantyk, taki sam jak Queen Mary”.

Ale ja chcę tylko taty.

— Tata żyje. Nie jest martwy — pokazuje na migi mama, a ja jednocześnie pokazuję: „Nie jest martwy!”.

Słowo „martwy” pokazuje się w ten sposób, że celuje się palcami jak z pistoletu, i jest tak, jak byśmy do siebie strzelały.

Płacę teraz. Próbuję nie płakać. To nieprawda, co powiedziałam, że pokazałyśmy jednocześnie, ona zrobiła to trochę wcześniej ode mnie.

— Dotrzemy do niego, prawda, mamó?

*

Yasmin dostrzegła na twarzy Ruby nagie przerażenie, zrodzone z myśli, że straciła tatę.

— Tak — powiedziała. — Dotrzemy do taty. Będę jechać ostrożniej i korzystać z CB.

Włożyła gogle, potem naciągnęła duże polarne rękawice na spodnie rękawiczki i wyszła z wozu, po czym zamknęła szybko drzwi, żeby Ruby nie zmarzła.

Jak mogła być tak cholernie głupia, taka bezmyślna? Naraziła Ruby na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Postanowiła, że od tej pory będzie cały czas miała włączone CB i robiła dokładnie to, co robił Adeeb.

*

Mama wyszła, żeby wyrzucić moje śmierdzące ubranie, a ja piszę do taty.

Do: Matthew.Alfredson@mac.com

Temat: PRZEŚLIJ NAM MEJLA!

Od: Ruby.Alfredson@hotmail.co.uk

Drogi tato.

Błagam, błagam napisz do nas. Cokolwiek. Żebyśmy wiedziały, że wszystko z tobą w porządku. Mama i ja jedziemy do ciebie ciężarówką.

Kocham cię megatonicznie.

Puggle

Yasmin zostawiła w ciężarówce włączone światła, które rozpraszały mrok prymitywnego parkingu, osobliwego w tej śnieżnej głuszy. Zobaczyła tablicę informacyjną KOŁO PODBIEGUNOWE. Musiało to być w lecie turystyczne miejsce postoju, choć przypuszczała, że nawet wówczas mało kto się tu zjawia. Od wielu lat nie zastanawiała się nad przestrzenią, ale nie sposób było uciec od tego tutaj, na słynnym kręgu polarnym oplatającym Ziemię; wkraczały na sam szczyt planety.

Włożyła ubrudzone wymiocinami rzeczy Ruby do kosza na śmieci; przeraziła ją z własnej winy. Bezbronność córki przyprawiała ją o dojmujący ból i Yasmin przypominała sobie, jak czuła się bezradna, kiedy Ruby przyszła na świat, jak bardzo się lękała, że nie potrafi się nią odpowiednio zająć, że się do tego zupełnie nie nadaje; tym bardziej gdy się dowiedziała, że jej córeczka jest głucha.

Nagle pojawiło się wspomnienie, niezwykle wyraziste w tej ciemności. Nie wracała do niego latami, ale było tak, jakby wydarzyło się to zaledwie przed kilkoma minutami. Już wcześniej miała wrażenie, że czas nie jest linearny, że potrafi się zakrzywić, a emocje, których człowiek doznaje, znajdują w przeszłości swe bliźniacze odpowiedniki.

Późna noc w ich sypialni, karmiła właśnie dwutygodniową Ruby; jej włoski miękkie jak puch, ciało wciąż niczym przecinek, niewyprostowane. Matt spał w łóżku, kilkadziesiąt centymetrów dalej. Odsunęła wcześniej zasłony i wyjrzała przez okno. Gwiazdy świeciły przyćmionym blaskiem z powodu zanieczyszczeń unoszących się nad miastem; musiała wycęzać wzrok, żeby je widzieć. Nagle doznała takiego smutku na myśl o zmarłej

matce, że wzdrygnęła się gwałtownie, strasząc Ruby, która wyciągnęła nóżki i rączki niczym rozgwiżdża swe ramiona.

Tuliła do siebie dziecinne ciało i patrzyła, jak miniaturowe paluszki wokół jej kciuka zaciskają się i rozwierają; owinęła siebie i dziecko szlafrokiem, a zadawniony żal wdzierał się swym ostrzem w jej terazniejszość, ona zaś była wobec niego bezradna.

W zimowej ciemności i lodowatym chłodzie kręgu polarnego przypomniała sobie miękką wełnę szlafroka, kroplę mleka na brodzie Ruby, gdy jej główka odchyliła się we śnie do tyłu, rytmiczny oddech Matta, wrażenie, że odpływa daleko od wszystkiego, co dobre i pewne, i że Matt nie stanowi już ogniw łączącego ją ze szczęściem i bezpieczeństwem.

*

Dotykam kurtki mamy i jest tak, jakbym dotykała kostek lodu.

„Okej?” — pyta, a ja kiwam głową, ale nie czuję się okej, bo tata nie odpisał na mojego mejla.

— Dzielna dziewczynka — mówi mama.

Zdejmuje rękawice i te pod spodem, wyciąga rękę i ściska mi delikatnie dłonie. Jakby jej palce mówiły coś naprawdę miłego, nie zamieniając tego w słowa. Zwykle czuję się dzięki temu lepiej. Nawet jak w szkole dzieją się koszmarnie rzeczy, kiedy ludzie udają, że rozmawiają, żeby sprawdzić, czy wiem, że nie rozmawiają naprawdę, a mama zabiera mnie ze szkoły i w drodze do domu trzyma mnie za rękę, to wtedy czuję się lepiej. Nie całkowicie lepiej, ale okej; jest tak, jakbyśmy teraz wracały do domu, więc przez chwilę nie muszę o tym myśleć.

Czuję na dłoni niewielki ślad od jej obrączek.

*

Yasmin włączyła CB i przygotowała się na ponowną jazdę w ciemność. Wyprowadziła ciężarówkę z parkingu i skierowała się na północ.

— Mogę sprawdzić twoją pocztę, mamó? — spytała Ruby przez Voice Magic. — Na wypadek, jakby tata napisał do ciebie.

— Nie zrobił tego, kochanie.

— Ale na pewno pożyczył od kogoś laptopa. Pozwala wszystkim znajomym korzystać ze swojego terminalu, więc będzie na nim właściwe oprogramowanie. A terminal ma na pewno.

— Sprawdziłam mejle przed wyjazdem.

Kiedy czekali w Fairbanks, aż Adeeb przygotuje ciężarówkę, sprawdziła mejle, ale oczywiście żadna wiadomość nie była od Matta. Wszystko wrzuciła do kosza. Nie uświadamiała sobie wcześniej, ile czasu marnowała na rzeczy, które zasadniczo nie były warte uwagi.

— Ale to było wiele godzin temu, mamó. Mogę?

— To nic nie da.

— Proszę.

— No dobrze.

Ruby uwierzyłaby, że nie ma żadnego mejla tylko wtedy, gdy sama by zobaczyła, że żadnego nie ma.

Dotarły teraz na szczyt stromego wzniesienia; nie wiedziała, jak daleko ciągnie się po drugiej stronie, bo było zbyt ciemno, żeby widzieć dół. Zaczęła lodowy zjazd, starając się robić to powoli i cały czas naciskając hamulec, ale musiała nabrać odpowiedniej szybkości przed kolejnym pochyłym odcinkiem drogi i nie zsunąć się do tyłu. Zsuwanie się do tyłu, bez panowania nad wozem, byłoby bardziej niebezpieczne.

Kiedy zjeżdżała w dół stromego nachylenia, zmuszając się do tego, by jechać szybciej, niż wydawało się to bezpieczne, przypomniała sobie, jak kiedyś Matt, przyglądając jej się z irytacją i smutkiem, kiedy prasowała serwetki, odwrócił się nagle; uważał, że te wszystkie roboty domowe są absurdalne i niepotrzebne, nie rozumiał, że nie chodzi o prasowanie, zmywanie, dwa rodzaje warzyw; chodziło o stworzenie porządku i stabilności, o to, że poczucie bezpieczeństwa opiera się na drobnych szczegółach, takich jak wyprasowana serwetka w prążki.

Najpierw zaczął sobie żartować z jej domatorskiego zapału, z tego kamuflażu bogini domowego ogniska. Potem spoważniał, okazując troskę.

Zaproponował, że sam zajmie się Ruby, żeby ona mogła wrócić do zawodu pracownika naukowego w dziedzinie astrofizyki, ale Yasmin chciała sama zajmować się Ruby i już nie patrzyła na gwiazdy.

Raz zasugerował, że to dlatego, że Ruby jest głucha, i że ona próbuje odpokutować to w jakiś sposób. Ale nie była to prawda i gniewało ją, że mógł coś takiego pomyśleć.

Słyszała ich kłótnie wetkane w ciemność, mnóstwo drobnych nieporozumień rozdzielanych chwilami milczenia.

Złościła się tak wiele razy i często z powodu drobnostek. Patrząc teraz na dawną siebie, pomyślała, że jej złość przypominała bezkształtny płaszcz okrywający samotność, i nie była to ta dawna samotność, którą odczuwała po śmierci matki ani nawet jej dorosła wersja, ale coś innego i bardziej karzącego.

Wciąż zjeżdżali po stromym nachyleniu, a jej się wydawało, że osiągnęła właściwą prędkość, może trochę za dużą, więc nacisnęła hamulec. Jednak ciężarówka nie zwolniła i teraz wydawało się, że spadają w dół zbocza. Nacisnęła pedał hamulca jeszcze mocniej, lecz mimo to wóz nie zmniejszył szybkości i czterdziestotonowy kolos nabierał rozpędu, zabójcze prawo fizyki pchało go bezlitośnie. Wstała z fotela, przenosząc cały swój ciężar na hamulec, ale maszyna nie zareagowała, wymykając się spod kontroli; Yasmin była świadoma pędzącego coraz szybciej ciężaru i wiedziała, że niebawem przewrócą się albo rozbiją. Chwyliła mikrofon CB-radia i krzyknęła:

— Nie mogę zahamować!

Rozległ się spokojny, niespieszny głos:

— Pompuj. Hamuj pulsacyjnie.

Wcisnęła pedał hamulca, a potem cofnęła stopę, potem znów nacisnęła i puściła, i jeszcze raz. Ciężarówka zwolniła. Yasmin czuła w ustach suchość strachu. Odzyskawszy panowanie nad wozem, zdołała wjechać na przeciwległe wzniesienie.

Ruby wciąż się logowała na swoje konto i nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

W CB znowu odezwał się ten niespieszny głos:

— Wszystko w porządku, proszę pani?

— Tak. Dziękuję. — Głos miała maksymalnie spięty.

— Musi pani osuszyć hamulce, bo nie będą działać.

— Dziękuję — powtórzyła. Była gotowa dziękować bez końca, ktokolwiek to był.

— Żaden problem.

Wydawało jej się, że poznaje niespieszny, spokojny głos mężczyzny, który jej odmówił na parkingu. Rozumiała teraz, dlaczego kierowcy i dyspozytorzy dosłownie śmiali się jej w twarz na wieść, że chce z Ruby wyruszyć w tę drogę, i była to absolutnie uczciwa i możliwie stonowana odpowiedź. Nie byli okrutni ani nieskorzy do pomocy, tylko rzeczowi.

— Niech pani na siebie uważa, okej?

— Dzięki. Będę uważała.

W CB rozległ się inny głos:

— Z kim gadasz, Coby?

— Nie przedstawiła się jeszcze — powiedział swym zrównoważonym i współczującym głosem kierowca zwany Cobym. — Ale sądząc po akcencie, to Angielka, chyba ta sama pani, która chciała dziś po południu jechać do Deadhorse...

Yasmin się nie odezwała.

— Ktoś pozwolił pani wynająć ciężarówkę? — spytał Coby i parsknął śmiechem. — Kto by pomyślał.

— Ma prawo jazdy, co? — spytał drugi kierowca.

— Musi mieć — odparł Coby.

Yasmin nie wiedziała, co powiedzieć, a że się nie odezwała, prawda wyszła na jaw.

— Jezu Chryste — odezwał się drugi kierowca. — Jeśli nie uczyła się pani jeździć ciężarówką, to musi się pani zatrzymać, zjechać w jakieś bezpieczne miejsce. Rozumie pani?

Wyobraziła go sobie z ogniście rudymi włosami i piegowatą twarzą, poruszonego i rozzłoszczonego, ale nie agresywnego.

— Muszę dotrzeć do Deadhorse. Mój mąż zaginął, a ja muszę go znaleźć.

— Nie jest to robota dla policji? — spytał Coby.

Yasmin nie odpowiedziała.

— Droga panią zabije — powiedział rudowłosy kierowca. — Albo pani kogoś zabije. Musi pani zjechać na pobocze.

— Nie — odpowiedziała Yasmin. — Dopóki nie znajdę męża.

— Nie rozumie pani — ciągnął rudowłosy. — To niebezpieczne prowadzić ten wóz. Niebezpieczne dla pani, ale i dla nas. Spowoduje pani wypadek. Albo przytrafi się pani awaria i droga będzie zablokowana. Poza tym nadchodzi burza i to też nie jest bezpieczne.

— Przykro mi, naprawdę. Ale ktoś musi dotrzeć do mojego męża i w tej chwili mogę zrobić to tylko ja.

— Twarda z pani babka — przyznał Coby tym swoim serdecznym głosem. — Możemy przynajmniej pomóc pani dojechać do Deadhorse cało i zdrowo. Jaka jest pani pozycja?

Yasmin spojrzała na słupek przydrożny odmierzający dystans od początku Dalton Highway.

— Sto osiemdziesiąt siedem — odparła.

— Warto, żeby poznała pani kilka zasad obowiązujących na drodze — powiedział Coby. — Przede wszystkim duże ciężarówki mają pierwszeństwo. Czym pani jedzie?

Nie chciała mówić, że to wóz Adeeba, że tak naprawdę wcale nie wynajęła maszyny, co wymagałoby zapewne jakichś dokumentów i ubezpieczenia, tylko wzięła ją po prostu.

— Osiemnastokółowiec, czterdzieści ton — wyjaśniła, przypominając sobie, co powiedział jej Adeeb.

— W porządku, to dużo, ale może na drodze znaleźć się coś większego i wtedy musi pani to przepuścić. Poza tym to pani ma pierwszeństwo, jadąc na północ. Niech pani pilnuje, żeby światła przednie i tylne były czyste. Co jakiś czas musi się pani zatrzymać i przetrzeć je z błota. Zapomniałem o czymś?

— Niech się pani nigdy nie zatrzymuje w miejscu, gdzie nie będzie pani widać — dodał rudowłosy kierowca. — Na mostach, zakrętach, wzniesieniach. Cały czas patrzeć w lusterko boczne i jeśli ktoś będzie jechał z tyłu, to nie hamować zbyt gwałtownie.

— Jeśli dojdzie do awarii wozu, niech pani zjedzie z drogi i zapali race.

W CB odezwał się ktoś trzeci.

— Ma pani broń?

Wydawało jej się, że poznaje głos, ale nie potrafiła go zidentyfikować. Amerykański akcent w tych swoich odmianach był dla niej zbyt nowy, by mogła bez trudu dopasować go do konkretnej twarzy. Nie wyłapywała subtelnych różnic brzmienia.

— Nie.

— Okej, jeśli wóz się zepsuje i pojawią się wilki, których nigdy na własne oczy nie widziałem, to niech pani zostanie w kabinie — doradził.

— Musi pani słuchać informacji o pogodzie — dorzucił Coby. — Nasz dyspozytor aktualizuje je cały czas, będę je przekazywał przez CB, dobrze? W naszą stronę zmierza wichura, a to oznacza burzę śnieżną, prawdopodobnie dużą. Więc niech pani nasłuchuje.

— Tak. Dzięki.

Odłożyła mikrofon, ciesząc się z brzmienia tych przyjaznych głosów w ciemności. Nie czuła się już taka samotna i wystraszona. Czyjaś obecność, nieważne czyja, jawiła się jej jako światło dnia.

W rozmowie z kierowcami posługiwała się słowami „mój mąż”, podkreślała je, jakby to miłość małżeńska kazała jej podjąć takie ryzyko. Każdy wspólnie spędzony rok usprawiedliwiał tę podróż, a zobowiązania wynikające z przysięgi nakazywały podjąć ryzyko. O tym też próbowała siebie przekonać. Wiedziała jednak, że sił dodaje jej coś innego — jeden rok z tych dwunastu; zimowe słońce wpadające przez okno; stado gęsi na mokradłach; jej twarz w jego dłoniach.

Poczuła, jak po nodze klepie ją Ruby, cała rozpromieniona.

— Jest mejl!

Pojawiła się nadzieja, gwałtowna jak cios. Ale to nie mógł być Matt, oczywiście, że nie. Spojrzała w lusterko boczne; tylko niebieskie światła gdzieś daleko w tyle. Zatrzymała ciężarówkę na prostym odcinku drogi, nie gasząc reflektorów, i wzięła od Ruby laptopa.

ROZDZIAŁ 10

Ekran wypełniało zdjęcie dużego zwierzęcia, brutalnie zabitego. Nie miało jednego oka; noga została oderwana od ciała, kość błyszczała nagą bielą. Yasmin zareagowała instynktownie, nachylając się nad Ruby, by osłonić ją przed bezwzględnym napastnikiem kryjącym się gdzieś w ciemności. Nadawcą był Akiak@alaska.account.com.

— To piźmowół arktyczny. — Pokazała na palcach Ruby.

Kim był ten Akiak? Jak zdobył jej adres? Dlaczego jej to przesłał? Rozdawała zapisane przez Ruby karteczki wszystkim, którzy byli gotowi je wziąć, nie myśląc ani przez chwilę o tym, że może to być niebezpieczne.

— Możemy powiadomić policję, że tata żyje.

— To nie jest od taty.

— Jest! Tata ma pewnie przyjaciela imieniem Akiak i pożyczył od niego komputer, tak jak mi się wydawało.

— Tata nigdy by nam czegoś takiego nie przesłał.

Spojrzała w ciemność. Od dawna towarzyszyło jej wrażenie, że jest obserwowana, ale nie chciała temu ulegać. Pomyślała, że walczy z okrytymi czernią wiatrakami, choć wrażenie trwało uporczywie.

Akiak sugerowało swym brzmieniem imię inuickie. Może Matt znał tego człowieka. Nigdy go jednak nie pytała o tutejszych ludzi. Zła i zraniona z powodu czasu, jaki postanowił spędzić na Alasce — kolejne trzy miesiące po realizacji poprzedniego zlecenia — próbowała okazywać brak zainteresowania, by nie usprawiedliwiać jego drugiego życia pytaniami; może miała nadzieję, że jej obojętność będzie zaraźliwa, że jest rodzajem emocjonalnej i intelektualnej osmozy, a on nie zechce już wrócić.

Temat był oznaczony jako DSC-10023; pod zdjęciem widniały cyfry 68950119 149994621. Nic jej to nie mówiło.

— Czy tata wspominał ci kiedykolwiek o Akiaku? — zwróciła się do Ruby.

— Raczej nie, ale tata pożyczył jego komputer, więc pewnie są przyjaciółmi.

Ruby chyba nie wierzyła, że Matt przesłałby takie zdjęcie?

— Myślę, że tata chciał to przesłać do pracy — oznajmiła Ruby. — Ale posługuje się laptopem Akiaka, więc nie ma na nim swoich kontaktów, a twój adres zna na pamięć.

Ruby starała się uwiarygodnić fakt, że to zdjęcie jest od Matta, i Yasmin uświadomiła sobie, że jej córka nie bierze już na wiarę wszystkiego, co jej się mówi. Tak, powiedziała jej, że Matt żyje, ale Ruby to nie wystarczało, więc sama tworzyła konieczne dowody.

Yasmin przyglądała się uważnie zdjęciu, mając nadzieję, że uda jej się znaleźć jakieś wskazówki co do tożsamości Akiaka i miejsca jego pobytu. Zmasakrowany wół leżał na śniegu, oświetlony latarką, jak się zdawało, a zewsząd otaczała go ciemność. Powiększyła obraz. Nie dostrzegła ani śladu krwi, ale mogła się skrywać w gęstym futrze zwierzęcia, albo też wół został okaleczony już po swej śmierci. Może ten człowiek, Akiak, właśnie go znalazł, ale czy zmieniał to cokolwiek? Nie tłumaczyło w żaden sposób, dlaczego sfotografował zwierzę i dlaczego przesłał jej zdjęcie.

Próbowała dostrzec jakiś charakterystyczny element otoczenia, ale nie było na ekranie niczego prócz zabitego wołu leżącego na monotonnym śniegu. Mejl nadszedł pięć minut wcześniej.

*

Mama uważa, że ten mejl nie jest od taty. I to jest straszne zdjęcie. Ale czasem w głuszy dzieją się straszne rzeczy. A tata mówi, że trzeba widzieć zwierzęta takimi, jakimi są, a nie „disneyować” je. Ten pizmowół jest dziwny i pewnie dlatego tata potrzebuje go do pracy.

— Wilki zabijają pizmowoły — mówię mamie. — Bardzo trudno znaleźć jedzenie w zimie, więc zjadają każdy skrawek wszystkiego, co uda im się upolować. Nie pozostawiłyby tak wołu. To właśnie jest straszne i dziwne. Nie

zabito go po to, żeby go zjeść. I jest coś jeszcze dziwnego. Przynajmniej tak myślę. Wygląda jak duży, dorosły samiec, bo jego rogi są naprawdę wielkie i szerokie.

*

Yasmin widziała, jak Ruby stara się zapanować nad przerażeniem wywołanym przez zdjęcie, próbuje być nieodrodną córką swego ojca, traktującą dziką przyrodę bez uprzedzeń i wrażliwości typowej dla dziewczynki, która żyje w mieście.

— Kiedy wilki zabijają piźmowołu, musi to zrobić cała wataha — mówiła dalej Ruby. — Ponieważ woły są tak duże. Wilki je otaczają, a potem starają się odciągnąć jednego na bok. Wybierają najsłabszego, to znaczy młodego albo jeszcze małego. Więc myślę, że tata zrobił to zdjęcie, bo wilki zabiły dorosłego osobnika i potem go zostawiły.

Co Yasmin mogła na to powiedzieć? Lepiej, żeby Ruby myślała, że to wilki zachowały się w tak dziwny sposób, a nie jakiś sadystycznie okrutny człowiek.

Jeśli Akiak znajdował się gdzieś w tej ciemnej głuszy, to miałby skuter śnieżny albo sanie i psy husky; nie było na takim terenie innych możliwości.

Spuściła szybę w wozie i poczuła, jak policzek drętwieje jej od zimnego powietrza; zaczęła nasłuchiwać, ale docierał do niej tylko odgłos wiatru. Jak blisko musiałby się znajdować skuter, nimby go dosłyszała albo zobaczyła jego światła? Sanie byłyby bezgłośnie i niewidoczne.

Przypuszczała, że Akiak nie jest prawdziwym imieniem, bo ktokolwiek przesłał to zdjęcie, z pewnością pragnąłby ukryć tożsamość. Nie przychodził jej do głowy nikt, kto chciałby jej zagrozić. Może istniał jakiś powód, a ona była zbyt zmęczona, by go dostrzec. Tak bardzo pragnęła odzyskać jasność rozumowania. Gdyby potrafiła ustalić sekwencję zdarzeń, to niewykluczone, że ujawniłoby się coś ważnego, ale jej myśli rozbiegały się w miejscu, w którym powinny się łączyć. Nie spała od ponad dwudziestu czterech godzin.

Najpierw był instynktowny fizyczny odruch, by chronić Ruby, a potem inny, raczej głęboko zakorzenione przekonanie, że musi powiadomić policję. Ale tym samym wyszłoby na jaw, że siedzi w ciężarówce Adeeba; przyjechaliby tutaj i ją aresztowali albo przyjechali i zajęli się nimi, ale tak czy inaczej nie pozwoliliby jej dotrzeć do Matta.

Niebieskie światła z tyłu zachowały rozmiar i tkwiły statycznie w ciemności. Więc i on się zatrzymał. Może kierowca i człowiek nazywający siebie Akiakiem to była jedna i ta sama osoba, ale logika temu przeczyła. Nikt nie potrafiłby zabić i zmasakrować wołu, zrobić zdjęcie i przesłać je, jadąc jednocześnie po oblodzonej drodze.

Wcześniej wmawiała sobie, że jeśli zrobi się zbyt niebezpiecznie, to poprosi Adeeba, żeby zawrócił, albo zabierze się z jakimś kierowcą wracającym do Fairbanks. Teraz sama musiała zdecydować, czy nie zawrócić. Nie zamierzała tego robić, jeszcze nie teraz, ale czuła, że chwila, kiedy będzie zmuszona dokonać wyboru, zbliża się coraz bardziej, i że o tym wyborze przesądzi bezpieczeństwo Ruby.

Nie chciała myśleć o tym, co by to oznaczało dla Matta, ale konsekwencje majaczyły gdzieś na odległym horyzoncie jej umysłu — mroczny kształt okryty cieniami.

Znowu wyruszyła w drogę. Światło reflektorów osłabło, z trudem przenikając wszechobecną czerń, jakby zamykało się nad nimi jakieś ogromne wieko.

*

Wiem, że to tata wysłał mejla. Ale policja uważałaby tak jak mama, że „to od kogoś, kto się nazywa Akiak”. Może tata chce też, żebym zaczęła wcześniej pisać naszego bloga.

Lubię myśleć o tacie w inuickiej futrzanej kurtce, jak wysyła nam mejla. Ale tata w tej kurtce zamienia się jakby w tatę ubranego w podkoszulek Supermana i mruży oczy przed blaskiem słońca. To tak ciepłe i jasne wspomnienie, że chciałabym się w nie zanurzyć.

Wspinaliśmy się na górę Cairngorm z mamą, która powiedziała, że w poprzednim życiu musiałam być kozłem śnieżnym, a tata powiedział, że takim krótkowłosym, bo miałam na sobie tylko krótkie spodenki i podkoszulek, ale to dlatego, że szliśmy bardzo szybko, więc się zgrzałam. Przy śniadaniu tata powiedział, że chce, żebyśmy poćwiczyli korzystanie z bloga, który mieliśmy prowadzić wspólnie od Bożego Narodzenia. Dał mi specjalną ochronę na mojego laptopa i zainstalował program do swojego satelitarnego terminalu; jakbym była jego partnerem. Powiedział, że na Alasce musielibyśmy wspiąć się na wzgórze, żeby uzyskać satelitarne połączenie, więc i to warto przećwiczyć.

Dotarliśmy na szczyt Cairngorm, a on pokazał mi, jak podłączyć laptopa do terminalu satelitarnego.

— A potem go uruchamiasz — powiedział tata.

— Wiadomo — parsknęłam, a tata powiedział, że jeśli chodzi o technologię, trzeba być pedantycznym, a mama powiedziała, że słowo „pedant” pochodzi z greki i oznacza „niewolnika, który odprowadzał dzieci do szkoły”, i że to nie było zabawne być pedantem, więc nie powinnam być dla taty zbyt surowa. I oboje się roześmieli, a ja widziałam, jak bardzo się lubią, przez jedną chwilę, jak najlepsi przyjaciele, którzy śmieją się z tego samego. Tak jak ja i Jimmy ze słowa *testudo*.

— Wiesz, że satelity tworzą konstelacje? — spytała mama, a ja powiedziałam: „Podoba mi się!”.

Tata jednak nie jest aż tak bardzo zainteresowany satelitami. Mówi, że jest po prostu zadowolony, kiedy „coś działa zgodnie z przeznaczeniem”.

Tata kupił nam specjalne rękawice robocze, które są przeznaczone dla ludzi wykonujących trudne roboty w bardzo zimnych miejscach. Mówi, że rękawice z jednym palcem są cieplejsze niż zwykłe rękawiczki, bo palce to dziesięć małych grzejników, ale nie da się w takich rękawicach niczego pokazywać. Chciał, żebyśmy poćwiczyły w rękawiczkach, jakby to była próba kostiumowa. Mogłyśmy migać w specjalnych rękawiczkach, ale nie mogłyśmy w nich pisać, więc musiałyśmy je zdjąć.

Pokazał mi, jak wrzucić zdjęcie na bloga. I był bardzo podekscytowany. Ale mama się już nie uśmiechała. Nic nie wiedziała o naszym blogu. Myślała,

że tata pokazuje mi tylko swój terminal satelitarny. Nie było jej podczas śniadania. Udało mi się odczytać z jej warg kawałki tego, co mówiła. Było tam mnóstwo „prawdziwego” — „prawdziwych przyjaciół”... i „...nie chcę dla naszej córki świata wirtualnego, tylko prawdziwego”, na przykład. Powiedziała jeszcze coś o byciu samotnym i wyizolowanym, ale już nie patrzyłam na jej usta.

Martwiłam się, że tata mi powie, że nie możemy tego zrobić, ale po prostu mi to pokazał. Kiedy uzyskuje się połączenie, pojawia się mały obrazek satelity, który miga. W Szkocji trwa to tylko minutę. Tata powiedział, że w Europie jest tyle satelitów, że w górze przydałyby się skrzyżowania z sygnalizacją świetlną i panie, które pomagają dzieciom przejść przy szkole na drugą stronę ulicy. Ale w przestrzeni nad Alaską nie ma prawie żadnych satelitów, więc kiedy zobaczył migający obrazek, to pewnie zawołał „hura!”, i zrobił to za pomocą znaku amerykańskiego — uderzając się raz pięściami w pierś, a potem wyrzucając je w górę, HURA! — choć mnie tam nie było, wiem, że zawołał tym właśnie znakiem, bo go naprawdę lubi — a potem wprowadził adres mejlowy mamy, a jego mała skrzynka przesłała zdjęcie w przestrzeń kosmiczną, a potem do nas.

W Szkocji nie rozumiałam, jak superniesamowity jest terminal satelitarny, ale to prawdziwy cud świata. Bo w tym ogromnym, ciemnym i zimnym miejscu, gdzie nie ma domów, przewodów ani niczego innego, mała skrzynka taty łączy się z przestrzenią, a on przesyła nam zdjęcie. To jak mięczak, który miał pięćset siedem lat i żył w tym samym czasie, co Henryk VIII. Mięczak Tudorów! Niektóre rzeczy są tak zdumiewające, że zapierają dech w piersiach.

Zatrzymałyśmy się w zatoczce na poboczu, bo mama musi przetrzeć światła. Wkłada polarne ubranie, co trwa całe wieki, bo jest tyle warstw, a kiedy to robi, znów wysyłam tacie mejla: „Proszę, powiedz, że to ty! BŁAGAM!”. Po prostu kliknęłam „Odpowiedz”, żeby trafiło to do skrzynki odbiorczej Akiaka. Tata nie jest wścibski, więc może nawet nie zajrzeć do skrzynki przyjaciela. Nie ma żadnych innych adresów, bo musiałby się zalogować na swoje konto, co wymaga zręczności, więc musiałby zdjąć rękawice na całe wieki i zostałby tylko w tych ochronnych, i mógłby doznać

odmrożeń. Więc tego nie robi. Jeśli straci palce, nie będzie mógł ze mną rozmawiać.

Zdjęcie jest na pewno do jego pracy, nie na naszego bloga. Ale tak na wszelki wypadek zamieszczę je na blogu. Niczego nie udostępnię, dopóki nie będzie tu taty; to nasz wspólny blog.

Mama zdenerwowała się tym zdjęciem od taty. Nie trzeba było jej mówić, jakie jest dziwne. Ale wiem mnóstwo wspaniałych rzeczy o pizmowolach arktycznych.

— Pizmowoły wyglądają groźnie z tymi swoimi wielkimi rogami — mówię jej. — Ale wcale nie są takie, to łagodni roślinożercy. Mają długie włosy, które wyglądają jak broda...

— Możesz posługiwać się własnymi słowami, Ruby?

Posługuję się! Pokazuję własne słowa.

*

Yasmin czekała, a Ruby odwróciła się od niej, jak zawsze. Yasmin nie zamierzała jednak rezygnować i przestać ją prosić. Jej pełne determinacji pragnienie, by pewnego dnia córka została usłyszana, nie przygasało nigdy. Nie dała się zastraszyć tym zdjęciem. Wierzyła, że odnajdzie Matta, że nic mu się nie stało, że Ruby będzie z nią rozmawiać własnym głosem, a jeśli człowiek, który przesłał im mejla, obserwował ich gdzieś w ciemności, to przekonałby się z czasem, jak ona tę przyszłość urzeczywistnia.

Ubrana w termoizolacyjną odzież, włożyła specjalne rękawice robocze, które Matt dla nich kupił. Rękawice z jednym palcem nie zapewniałyby dostatecznej sprawności, jakiej wymagało trzymanie skrobaczki. Wsiadła z kabiny i szybko zamknęła za sobą drzwi, by nie pozbawiać Ruby ciepła.

Odetchnęła, a gdy mroźne powietrze dotarło do jej płuc, poczuła, jak ogarnia je szok. Odetchnęła ponownie, wciągając jeszcze więcej zimnego powietrza, i teraz zdawało jej się, że tonie.

Przysłoniła usta kominiarką. Znów odetchnęła i tym razem powietrze ogrzało się między materiałem a jej skórą, nim wciągnęła je w płuca.

Starając się oddychać ostrożnie, zaczęła czyścić skrobaczką wielkie szkło tylnych lamp; powietrze, które wydychała, uwięzione pod maską, zamarzało jej na twarzy.

Zimno wydawało się myśliwym, a ona ciepłą ofiarą. Opustoszały zimowy krajobraz za jej plecami jarzył się czerwono od blasku świateł.

Przykucnięta, próbując usunąć lód i brud ze szkła, wypatrywała niebieskich reflektorów w nadziei, że je zobaczy. Nie było ich widać w ciemności. Ani śladu.

Odrzuciła koncepcję, że kierowca i człowiek, który przesłał im mejla, to ta sama osoba, ponieważ było to w praktyce niemożliwe, zaczęła natomiast dostrzegać w kierowcy wozu z niebieskimi światłami swego obrońcę, ponieważ dopóki tu był, Akiak nie zaryzykowałby ataku.

Zimno mroziło jej brwi i rzęsy, ale też zmuszało do zachowania przytomności i wyostrzało myśli.

Jeśli ten osobnik zamierzał je zaatakować, to po co się trudził, by niepokoić je tym mejlem?

Odpowiedzią był strach.

Chciał, żeby zawróciła.

Jej rozumowanie przypominało szybki rytm *staccato*, precyzyjny niczym lot pocisku. Jakby wszelkie mentalne procesy, na podobieństwo fizycznych, musiały w tej niskiej temperaturze odznaczać się maksymalną oszczędnością.

Dlaczego ktokolwiek miałby nie dopuszczać do tego, by dotarła do Matta? Nie miał wrogów ani podstępnych zamiarów. Filmował przyrodę, a najgorszym wykroczeniem, jakiego się dopuścił, było pocałowanie kobiety niebędącej jego żoną.

Może nadawca tego niepokojącego mejla nie chciał, by dotarła do Anaktue, nie zaś do Matta, ale wydawało się mało prawdopodobne, że znalazłaby tam coś, co przeoczyła policja.

Istniało jedyne sensowne wytłumaczenie — Matt wiedział coś, najpewniej właśnie o Anaktue, a ten człowiek nie chciał, by uratowała męża, ponieważ oznaczałoby to ujawnienie sekretu, bez względu na jego charakter.

Skrobaczka spadła na ziemię; podniosła ją. Nie zapięła odpowiednio

rękawiczki na lewej dłoni i teraz do środka dostał się lód, paląc jej skórę jak kwas.

Co takiego mógł odkryć Matt?

Od chwili, gdy znalazła się na lotnisku, a jego nie było, chłonęła wszystko, co jej mówiono, próbując uchwycić się czegoś potencjalnie istotnego. Teraz, czyszcząc tylne światła okryte skorupą lodu i brudu, wracała myślą do tamtych chwil.

„Szefowie wszystkich firm frackingowych wiedzą, gdzie jest Anaktue. Mają próbki skał i wyniki odwiertów”.

„Anaktue siedzi na setkach tysięcy baryłek ropy łupkowej”.

„Poznałem jednego Inuitę, ze dwa miesiące temu, mieszkał w Anaktue, ale pracował przy szybach Soagil w Prudhoe. Powiedział, że by go zwolnili, gdyby jego rodzina nie podpisała zgody”.

„Nie wykazują już zainteresowania tym obszarem. Przez szacunek wobec mieszkańców”.

„Tak, jasne. A turyści przyjeżdżają na Alaskę, żeby się opalać”.

Te wszystkie głosy, w różnych miejscach i czasie, splatały się w jednym konkretnym punkcie.

Nie było wątpliwości, że policja zdołałaby ustalić, czy pożar był równoznaczny ze zbrodniczą grabieżą ziemi. Z pewnością odkryłaby, że doszło do podpalenia.

Teraz jednak, gdy przebywała w tym zimnie, zmuszona dosłownie walczyć, by oczyścić światła ciężarówki, uświadomiła sobie, jak trudno byłoby prowadzić śledztwo. Pracowała przy minus dwudziestu siedmiu stopniach Celsjusza, a chłód był drapieżny i bezlitosny. Chroniła ją odzież polarna, ale w Anaktue, wiele kilometrów na północ, byłoby jeszcze zimniej.

I ta ciemność nie do opisanie. Musieli pracować przy reflektorach, ustawiać je, wybierając to, co mają oświetlić, nie wiedząc, co przeoczyli w mroku. Jak w takich warunkach można było dotrzeć do prawdy, gdy nie podejrzewało się niczego innego poza katastroficznym błędem człowieka?

Pomyślała o Akiaku. Może nie był to żaden pseudonim, tylko prawdziwe imię. Może chciał, by jakiemuś przedsiębiorstwu zezwolono na wiercenia. Mężczyzna w przydrożnej restauracji mówił, że mieszkańcom proponowano

sto tysięcy dolarów.

Niska temperatura sprawiła, że brud przylgnał mocno do tylnych świateł; musiała odwrócić skrobaczkę i uderzać rączką, by rozkruszyć twardą skorupę. Kolana bolały ją od kucania, lewa ręka płonęła bólem.

Czy mogłaby przekonać policję, że pożar był grabieżą ziemi i że według niej Matt wiedział o tym? Że ktoś próbował ją zastraszyć?

Ale były to tylko domysły i spekulacje, nie miała nic na ich poparcie. Znowu groziło jej ryzyko, że policja po prostu nie pozwoli jej dotrzeć do niego i nikt by się nie spieszył, by ją zastąpić. Teraz, przebywając w tym morderczym zimnie, bała się o niego jeszcze bardziej. Nawet gdyby miał zapasy, nie wiedziała, jak długo zdoła przetrwać.

Ruby przyłączyła się do niej. Yasmin wystraszyła się w pierwszej chwili, ale zobaczyła, że córka jest odpowiednio ubrana i że ma na sobie odpowiednią odzież; pamiętała nawet o tym, żeby zakryć usta kominiarką i zapiąć właściwie rękawice.

Światło płynące z kabiny pozwalało im widzieć się dokładnie i porozumiewać.

— Czy tata mówił coś o jakimś przedsiębiorstwie naftowym, które zamierzało stosować na terenie Anaktue fracking?

Ruby skinęła głową i Yasmin poczuła lęk.

— Mieszkańcy tego nie chcieli — ciągnęła Ruby. — Corazon zorganizowała wszystkich.

W blasku kabiny pokazała na palcach „Corazon”.

Padające płatki śniegu wirowały w bursztynowym świetle.

— Tata ci powiedział o Corazon? — spytała Yasmin.

Ruby skinęła głową.

— Mówi, że jest niezwykle bystra.

*

Nie mogę uwierzyć, że mama i ja rozmawiamy w tej mroźnej ciemności. Jakbyśmy byli maciupeńkimi ludźmi, którzy gawędzą na dnie głębokiej

zamrażarki; pali się tylko małe żółte światełko, a wieko jest przymknięte. Ale wiem dlaczego. Bo tu, na zewnątrz, myśli się o dużych rzeczach. I wydaje mi się, że to duża rzecz dla mamy, bo Corazon i jej brat bliźniak Kaiyuk to najlepsi przyjaciele taty. Dzięki najlepszemu przyjacielowi nie jest się samotnym.

Kiedy tak rozmawiamy na dnie zamrażarki, chcę jej powiedzieć, że mi smutno, że nie spytała taty o jego przyjaciół, bo kiedy był w domu, to nigdy tak naprawdę nie spytała go o Anaktue ani Corazon i Kaiyuka, a ja wiem, że byłby superzadowolony, gdyby to zrobiła.

Mama mówi mi na migi, że musi zgasić przednie światła, nim będzie mogła je oczyścić. Są tak jasne, że potem nic by nie widziała. Mówi, żebym weszła z powrotem do kabiny, ale biorę tylko latarkę, którą zostawiła wetkniętą w śnieg i przyświecam jej, żeby widziała stopnie, bo są oblodzone.

Wyłącza światła i już nie widać drogi z przodu; wydaje się, że to niewielkie pasmo światła z kabiny, w miejscu, gdzie stoję, jest wszystkim, co pozostało na świecie.

Wciąż trzymam latarkę, żeby znów mogła zejść na ziemię. Kręci głową, bo nie zrobiłam tego, co mi powiedziała, nie weszłam do kabiny, ale mogę przysiąc, że się do mnie uśmiecha, nawet jeśli ma na twarzy kominiarkę.

Idę z nią na przód ciężarówki i przyświecam jej, kiedy się pochyla i skrobie wielkie reflektory.

To koszarne mieć kominiarkę na ustach, bo mój oddech robi się w środku wilgotny, a potem lodowaty. Tata powiedział, że inuickie kurtki mają wielkie włochate kaptury, a marznące powietrze ociepla się, nim dociera do nosa i ust, jakby twarz okrywała ciepła poduszka powietrza, i kiedy się je wydycha, nie zamarza na skórze. Choć mówi, że to się nie sprawdza na skuterach śnieżnych, ponieważ zimne powietrze leci na człowieka zbyt szybko. Moja kurtka jest tylko ze sklepu z odzieżą zimową.

Mam nadzieję, że tata jest teraz z Corazon i Kaiyukiem. Powiedział, że najpierw zaprzyjaźnił się z Kaiyukiem, a potem poznał Corazon i że było tak, jakby spotkał żeńską wersję Kaiyuka. Tata czasem żałuje, że nie ma bliźniaka, i spytał mnie, czy ja też żałuję, że nie mam siostry bliźniaczki. Powiedziałam, że nie, bo tak szczerze jedna Ruby wystarczy

prawdopodobnie każdemu, a on się roześmiał i powiedział, że absolutnie nie, ale nigdy nie mogłyby być dwie te same Rubys.

Corazon i Kaiyuk znają tę starą panią, myślę, że to ich daleka ciotka stryjeczna, i kiedy była młoda, to pomogła powstrzymać rząd przed próbą nuklearną w miejscu, gdzie łowili mieszkańcy jej wioski. Człowiek z rządu powiedział, że wioska powinna być wdzięczna za budowę portu i że są tak dobrzy w tych bombach, że mogliby zbudować port w kształcie niedźwiedzia polarnego. Ta ciotka powiedziała, że:

po pierwsze — nie potrzebują portu,

po drugie — wołałyby mieć prawdziwego niedźwiedzia polarnego.

Tata i ja uważamy, że jest superniesamowita.

Mama nie odzywa się, tylko czyści światła, potem obraca się do mnie i widzę w świetle latarki jej twarz, a także ręce.

— Tata mówił coś jeszcze? — pyta mnie mama. — O tej firmie naftowej?

Bierze ode mnie latarkę, żeby widzieć moje dłonie.

— Powiedział, że ropa powstaje z roślin i zwierząt, które umarły w pradawnych morzach — mówię. — Trwa to miliony lat, a my jesteśmy grabieżcami i chuliganami, złodziejami z przyszłości.

Był zagniewany i zdenerwowany.

„Wiercą na głębokości ponad trzech kilometrów... trzech kilometrów! A potem zabierają się do tego z boku i rozbijają truciznami skałę na drobne kawałki, żeby można było wypchnąć gaz albo ropę, a wiesz, co robimy z gazem i ropą, które potrzebowały milionów lat, żeby powstać, głęboko pod ziemią?”

„Włączamy suszarkę w słoneczny i wietrzny dzień?” — odparłam, bo wiedziałam, że chodzi o coś takiego. Tata nie lubi suszarek.

„Właśnie. Albo pędzimy samochodem po prostym odcinku drogi. Miliony lat... — Pomachał rękami w powietrzu. — Znikające w czterdzieści sekund”.

Mama trzyma latarkę, żebym trafiła z powrotem do kabiny.

Kiedy Yasmin weszła na schodki, ponownie sprawdziła, czy nie widać niebieskich świateł. Nie dostrzegła nawet śladu. Musiał zawrócić.

Dołączyła do Ruby w kabinie, materiał ich ubrań był sztywny od zimna. Zdjęły je z siebie, dotyk ciepłego powietrza na skórze był bolesny, lód na odzieży roztopiał się z wolna. Yasmin znalazła ręcznik kąpielowy Ruby, cały w niedorzeczne słońca, i wytarła zimną wodę. Dłonie wciąż miała sztywne i nieporadne od skrobania świateł, a skóra na lewym ręku wyglądała jak oparzona. Ruby pomogła jej zdjąć kurtkę. Kominiarka, pokryta od wewnątrz warstwą lodu, przywarła do skóry. Musiała ją oderwać; odniosła wrażenie, że jej twarz jest otarta do żywego.

Nawiew tłoczył ciepłe powietrze, wewnętrzne światło było jasne i kabina ciężarówki jawiła się jako przytulny azyl. Jednak wraz z ciepłem znów pojawiło się zmęczenie. Yasmin wiedziała, że w pewnym momencie będzie musiała się zatrzymać i trochę przespać, ale jeszcze nie teraz.

Włączyła CB-radio, sprawdziła, że ani z jednej, ani z drugiej strony nie nadjeżdża żadna ciężarówka, a potem wyruszyła drogą wiodącą na północ. Światło reflektorów sięgało dalej i było mocniejsze; jego snopy tworzyły w mroku długi na pół kilometra tunel pełen wirujących płatków śniegu.

ROZDZIAŁ 11

Wiatr zaczął się wzmagać, fale śniegu kłębiły się na drodze jak szyfonowe zasłony. Yasmin kręciła głowę na boki, żeby pozbyć się napięcia w karku. Ponownie spojrzała w lusterko boczne, ale nikt za nimi nie jechał.

Była taka dumna z Ruby, że trzymała latarkę w lodowatym zimnie i ani razu się nie poskarżyła. Mało kto znał odwagę jej córki, mało kto wiedział, jaka jest bystra i dowcipna, ponieważ z nikim nie rozmawiała. Ale pewnego dnia zrobiłaby to, a wtedy wszyscy by ją poznali.

Kłócili się bezustannie z Mattem o to, czy pozwolić Ruby posługiwać się językiem migowym, czy nakłaniać ją, by posługiwała się własnym głosem; o laptopa i internet, a przez ostatni rok podejmowali ważką decyzję w sprawie szkoły, do jakiej Ruby miała pójść we wrześniu. Integracyjna szkoła ogólnokształcąca mogła pochwalić się znakomitym zapleczem dla dzieci specjalnej troski, ale Mattowi się to nie podobało.

— Będzie „specjalna” — powiedział. — Wiesz, jak dokuczają sobie nawzajem? Jesteś „specjalna”.

Tak, Yasmin wiedziała o tym. I nie chodziło o kogoś tam, chodziło o Ruby. Skinęła głową, ale nie patrzyli sobie w oczy, bo zawiedli jako rodzice, jeśli chodzi o ochronę własnego dziecka. Yasmin uważała, że szkoła średnia będzie lepsza niż podstawowa, rozmawiali z dyrektorem, który dodawał im otuchy, ale Matt był nieprzejednany.

— Musi się nauczyć, jak przetrwać w prawdziwym świecie — oznajmiła Yasmin. Dlaczego tego nie rozumiał? — Jeśli przejdzie przez to teraz, przez najtrudniejszy okres, kiedy wciąż przy niej jesteśmy, kiedy jej pomagamy, to...

— W niczym to w tej chwili nie pomoże — przerwał jej Matt.

— Może nie teraz, ale...

— Gadanie o prawdziwym świecie to bzdura. Świat to milion różnych miejsc, a Ruby znajdzie sobie takie, w jakim będzie chciała przebywać.

Wtedy Ruby zeszła na dół i przerwała im, ale ich kłótnia ciągnęła się dalej, fragmentami, bez ustępstw i porozumienia z żadnej ze stron, ponieważ gdy chodzi o dziecko, nie ma mowy o kompromisie ani o tym, żeby zrezygnować z tego, co się uważa za słuszne.

W głębi ducha Yasmin pragnęła za wszelką cenę okazać Ruby serdeczność; nie zmuszać jej do tego, żeby porozumiewała się głosem, pozwolić jej posługiwać się językiem migowym i zabrać ją, natychmiast, ze szkoły integracyjnej, gdzie Ruby była taka nieszczęśliwa. Lecz gdyby to zrobiła, postąpiłaby tchórzliwie. Musiała znaleźć w sobie odwagę i myśleć o przyszłości, o Ruby w wieku osiemnastu lat, w wieku dwudziestu pięciu lat, w wieku, w jakim ona sama była teraz, gdy jej córka nie będzie miała przy sobie rodziców, którzy mogliby pomóc, nie każdego dnia. Musiała zrobić to, co słuszne, zaryzykować nawet nienawiść Ruby, ponieważ kierowała się miłością.

Znowu spojrzała w lusterko boczne. Podążały za nimi niebieskie światła.

Nie widziała ich, kiedy czyściła tylne lampy ciężarówki ani wyjeżdżając na drogę. Była pewna, że musiał zawrócić, ale zgasił tylko reflektory i czekał ukryty w ciemności, żeby znów za nią ruszyć.

Pomyślała o mężczyźnie na lotnisku, tym o farbowanych na blond włosach — o Silesianie Stennecie — o tym, jak uparcie patrzył jej w oczy, jak szedł za nią korytarzem, jak ujął ją za rękę.

Nie sądziła, by tak głęboka obsesja mogła się zrodzić w ciągu kilku minut, ale pamiętała jego blond włosy poznaczone strużkami potu, jego propozycję, że zajmie się Ruby, pragnienie, by była mu coś winna, choć zapewniał, że jest inaczej: „Nie będzie pani zobowiązana”. Oczywiście, byli też inni mężczyźni, na pozór rozsądni, którzy przyznawali się do miłosnego zauroczenia, gdy tylko ją zobaczyli; wokół niej uderzały pioruny, wstrząsały nią, ale nie tak od razu.

Czy głos, który pytał ją o broń, należał do Silesiana Stenneta? Nie zapamiętała jego brzmienia na tyle dokładnie, by mieć pewność, kto to jest, ale mogło równie dobrze chodzić o tego właśnie człowieka. Żywiła

przekonanie, że już gdzieś ten głos słyszała.

Jednak nie widziała Silesiana Stenneta od tamtej chwili na lotnisku, więc nie mógł wiedzieć, że wyruszyła w trasę.

Ponownie spojrzała na niebieskie światła w lusterku; utrzymywały ten sam dystans.

Wzięła do ręki mikrofon CB.

— Pozycja dwieście czterdziesty pierwszy kilometr, jadę na północ. Kierowca ciężarówki za mną... możesz mi powiedzieć, kim jesteś?

Nikt nie odpowiedział.

Ciszę w eterze przerwał niespieszny głos Coby'ego.

— Panią właśnie usłyszałem, odważna damo?

— To pan jedzie za mną? — spytała, modląc się, by był to właśnie Coby.

— Jestem na dwieście siedemdziesiątym trzecim kilometrze. W tej chwili nikogo przed sobą nie widzę — powiedział.

A więc znajdował się trzydzieści dwa kilometry na północ od niej.

— Właśnie dostałem najnowsze informacje o burzy — ciągnął Coby. — Ktoś jeszcze je dostał?

— Idzie wielka zawierucha — odezwał się ktoś. — Ogromna, pieprzona zawierucha.

— Mówią o wiatrach o sile huraganu — oznajmił Coby. — Minus czterdzieści pięć stopni. Nie wiedzą dokładnie, kiedy uderzy. Myślę, że za jakieś osiem godzin.

— Słyszałem, że jest ryzyko lawiny na przełęczy Atigun — odezwał się inny kierowca. — Nie zdążyli uprzątnąć śniegu, który spadł wczoraj.

— Pieprzone gówno — rzucił jakiś kierowca, inni też zaczęli przeklinać.

— Lawina pogrzebała trzy tygodnie temu ciężarówkę — poinformował Coby, jakby chciał jej wytłumaczyć, skąd te przekleństwa.

— Wieje północy wiatr, wystarczy godzina, żeby przeciążyć zbocze — powiedział ktoś inny.

— Nikt w tej chwili nie wyjeżdża z Fairbanks do Deadhorse — odezwał się kolejny głos. — Przynajmniej nikt z Northern Haulage i coś mi się zdaje, że inne firmy zrobią tak samo. Za duży koszt, żeby ryzykować utratę wozu w tej burzy.

— Rozumie pani, dzielna damo? — spytał Coby swym spokojnym i niespiesznym głosem.

— Tak.

— Może będziemy mówić sobie po imieniu.

— Yasmin.

Zobaczyła, że Ruby włączyła Voice Magic i że śledzi rozmowę.

— Powiedziałaś, że jesteś na dwieście czterdziestym pierwszym kilometrze? — upewnił się Coby.

— Tak.

— Dobra. Za daleko od Fairbanks, żeby zawrócić. Najlepiej dojedź do Coldfoot, to tylko czterdzieści kilometrów dalej. Czeka cię trudna droga, ale nie trudniejsza niż dotychczas. Zatrzymaj się tam i przeczekaj to draństwo. Dotrę tam przed tobą. Kawa już będzie czekać.

— Coś mi się zdaje, że postoiacie sobie w kolejce — odezwał się inny kierowca. — Każdy, kto nie może wrócić do Deadhorse albo Fairbanks, będzie tam siedział.

Czy kierowca wozu z niebieskimi światłami słuchał ich? Była o tym święcie przekonana. Adeeb mówił, że wszyscy kierowcy słuchają CB.

— Do zobaczenia na miejscu — odparła. — Jeśli mają tam motel, to się zatrzymam.

Odłożyła mikrofon.

— Nie możemy się zatrzymać — powiedziała Ruby. Voice Magic nadawał jej słowom to samo techniczno-bezosobowe brzmienie co zawsze, ale Yasmin wyczuwała drżenie córki.

— Nie zatrzymamy się — odrzekła Yasmin.

Od Deadhorse dzieliło ich jakieś osiem godzin jazdy, może trochę więcej, i gdy kierowcy rozmawiali przez CB, obliczyła średnią prędkość i dystans do pokonania i doszła do wniosku, że dadzą radę.

— Wciąż jedziemy do taty?

— Tak.

Postanowiła po dotarciu do Deadhorse nakłonić jakiegoś pilota awionetki, żeby zabrał je do Matta. Minus czterdzieści pięć stopni. Huraganowe wiatry. Musiała do niego dotrzeć.

Myślała oczywiście o niebezpieczeństwach, na jakie naraża Ruby, ale może dostrzegała ryzyko tam, gdzie go nie było. Widziała wciąż w tyle niebieskie światła, ale nie musiało to oznaczać, że ten człowiek je śledził. Po tej trasie jeździło wielu kierowców. Mógł się po prostu zatrzymać na poboczu, żeby odpocząć, i wyłączyć reflektory. Albo może też je czyścił i zgasił światła tak jak ona. Nie pojawiły się nowe mejle, dzięki Bogu. Niewykluczone, że był to jakiś przypadkowy, jednorazowy spam. Wyczerpanie przyprawiało ją o paranoję, a w tym krajobrazie nietrudno było odczuwać strach.

Prowadząc wóz, myślała o ich pierwszym spotkaniu, jej i Matta — żadnego miłosnego zauroczenia. Potem jej powiedział, że widywał ją na uniwersytecie, ale miał niczym nieusprawiedliwione opory wobec osoby tak nieprzyzwoicie pięknej. Albo też, jak wyznał, kierował nim darwinowski instynkt samozachowawczy w obliczu zbyt zacieklej rywalizacji; wolał nie narażać swoich kłów czy rogów.

A potem zagadał do niej i poznał ją bliżej, i zakochał się w niej, i bał się tych uczuć, jakie wobec niej żywił. Ale tak się stało. Z nim. Poległ. Nic nie mógł na to poradzić. A ona miała wrażenie, że są bratnimi duszami, nawet w tym strachu przed miłością. Jako fizyk z wykształcenia znała równania kinematyczne dla obiektu spadającego z wysokości, ale nie dostrzegała żadnej logiki we własnym „upadku miłosnym”; nie istniały równania i wykresy, za pomocą których można było wyrazić wszelkie konsekwencje.

Podczas gdy obsesja odnosiła się do chęci posiadania, do narcyzmu dotyczącego osoby ogarniętej tą obsesją, wiedziała teraz, że namiętność to miłość, która w swym najwyższym natężeniu każe człowiekowi przemierzać zimą arktyczną głąszę; i właśnie tu i teraz powinna kierować jego krokami.

Nagle czerń pojaśniała. Chmury, gnane zaciekłym wiatrem, rozdzieliły się i skąpały góry w iluminacji. W tym półświecie Yasmin dostrzegła, jak wysoko się znajdują, zobaczyła też stromy spadek przepaści, zaledwie metr od drogi po lewej stronie. Pragnęła, by ciemność wciąż trwała, a ona nie musiała patrzeć na groźną okolicę, scenę z opowieści gotyckiej, która nie miała w sobie nic miękkiego ani przyjaznego i w której czuła się jak nic nieznacząca drobinka.

Spojrzała w nocne niebo, w dawno zapomnianym odruchu z czasów dzieciństwa, kiedy to czuła się mała i zalękniona.

Zobaczyła trzy księżycy. Miała wrażenie, że rzeczywistość zachwiała się nagle.

Potem sobie uświadomiła, że dwa z nich są pozorne. Zdarzały się rzadko i były piękne; nigdy wcześniej ich nie widziała.

Wskazała niebo, by i Ruby mogła je zobaczyć.

— Są trzy księżycy! — oznajmiła Ruby przez Voice Magic.

— To księżycy poboczne.

— Dlaczego tu są? Dlaczego nie ma takich w domu?

— Nie są rzeczywiste. Tworzy je blask księżyca.

— Jak? Powiedz mi!

Zatrzymała ciężarówkę.

— Tam w górze, naprawdę wysoko w chmurach, znajdują się kryształki lodu. Blask księżyca odbija się od nich i tworzy księżycy poboczne. Ich właściwa nazwa to *paraselenae*.

Pokazała na palcach „*paraselenae*”. Przyszło jej do głowy, że jedyną ważną dla niej rzeczą, jakiej uczyła Ruby, było to, by próbowała mówić; bardziej zdumiewająca była świadomość, że *paraselenae* też jest ważne.

— *Paraselenae*. — Pokazała na palcach Ruby.

Potem chmury zakryły księżyc i znów zrobiło się ciemno. Yasmin ruszyła w drogę.

*

Podświetlany zegar na desce rozdzielczej wskazywał trzecią rano. Czarne serce nocy, pomyślała Yasmin, ale ta noc nie miała serca, gdyż nie zbliżał się blask dnia, by położyć jej kres. Znowu padał śnieg, płatki ukazywały się tylko w świetle reflektorów, jakby tworzyły się nagle w ciemności. Ręce i nogi miała ciężkie ze zmęczenia. Na zewnątrz było minus trzydzieści stopni Celsjusza.

Ruby poklepała ją po ramieniu.

Nadszedł kolejny mejl.

Chciała powstrzymać Ruby przed oglądaniem tego zdjęcia, ale było już za późno. Spojrzała w lusterko — niebieskie światła znajdowały się wciąż daleko — i zatrzymała ciężarówkę.

Cały ekran wypełniał lśniący czernią martwy ptak, nawet dziób i stopy pokrywała czerń, pióra odznaczały się metalicznym połyskiem, upiorne oczy były wybałuszone. Wydawał się tak demoniczny, że Yasmin wzdrygnęła się odruchowo.

Wspomnienie szkolnej wycieczki do Tower, ze wszystkimi drastycznymi szczegółami. Kruki pożerające herbatniki przesiąknięte krwią i królika, którego rozrywały na strzępy. Inne dziewczęta krzyczały, Yasmin patrzyła w milczącym przerażeniu.

W literaturze zachodniej, przez całe wieki, kruki były kojarzone ze śmiercią; padlinożercy karmiący się trupami na polach bitew.

Przyglądała się zdjęciu, szukając jakiejś wskazówki, by móc ustalić, kim był człowiek, który zrobił tę fotografię, i gdzie przebywał. Martwy ptak leżał skąpany w świetle latarki, zbyt jednak słabym, by się zorientować, jak go zabito. Na otaczającym go śniegu nie widniała nawet kropla krwi. Temat był oznaczony jako DSC-10021; pod zdjęciem widniały cyfry: 69051605 150116989.

Zobaczyła, że kierowca wozu z niebieskimi światłami też się zatrzymał. Nie potrafiła już tłumaczyć sobie obecności obu tych ludzi jako tworu własnej paranoi.

Z pewnością mogła się teraz zwrócić do policji. Ktoś nie chciał, żeby dotarła do Matta i Anaktue — a zatem Matt z pewnością żył. Czym jednak dysponowała? Makabrycznymi zdjęciami martwych zwierząt, przesłanymi przez człowieka, który mógł, ale nie musiał, nazywać się Akiak. Niewykluczone, że policja zlekceważyłaby te mejle, tak jak ona za pierwszym razem, jako crank albo spam. A ta droga stanowiła jedyną trasę północnej Alaski, więc w jaki sposób zdołałaby udowodnić, że kierowca wozu jadącego za nią ma złe zamiary, i nie narazić się jednocześnie na zarzut, że zachowuje się jak neurotyczka? Jednak jej i Ruby groziło niebezpieczeństwo; czuła to teraz dojmująco.

Gdyby nie zdołała przekonać policji, że Matt żyje, i uratować go,

musiałaby się zmierzyć ze strasznym wyborem. Czuła, jak ta koszmarna perspektywa rezygnacji, która pojawiła się w jej umyśle, przybiera realną postać, mającą gdzieś na tej ciemnej drodze.

— Możesz powiedzieć policji, że tata żyje! — powiedziała Ruby za pośrednictwem Voice Magic. — Przesłał nam już dwa mejle.

— Ruby...

— Tata kocha kruki. Są superniesamowite.

Czy nie uświadamiała sobie, że ptak jest martwy?

— Znam taką niezwykłą inuicką opowieść o kruku.

Yasmin, przestraszona i wyczerpana, nie mogła już znieść mechanicznego głosu. Nie mogła znieść tego, że Ruby nie próbuje posługiwać się swoim głosem. Ani tego, że przyszłość jej córki jawi się taka samotna.

— Proszę, bądź dobrą dziewczynką. Mów swoim głosem. Spróbuj. Proszę. Ruby odwróciła się od niej.

*

Mama wciąż nie wierzy, że to tata przesłał nam te mejle. Policja też by nie uwierzyła. Ale ja WIEM, że to on. Zamierzam napisać na naszym blogu o krukach, bo to będzie trochę tak, jakby tata był ze mną. Myślę, że będzie zadowolony, że sama zaczęłam, a potem, jak już będzie ze mną, udostępni mi to. Więc wstawiam zdjęcie i wszystkie cyfry, bo muszą być ważne, skoro tata je przesłał.

Postanowiliśmy prowadzić bloga, zanim wyjechaliśmy na wakacje do Szkocji, bo potem tata jechał prosto na Alaskę.

Płakałam, leżąc na łóżku, a Bosley próbował tego swojego merdania ogonem, ale nic to nie pomagało i moczyłam mu sierść, a potem przyszedł tata.

— Szkoła? — spytał i usiadł obok mnie.

Skinęłam głową.

— Niezbyt udany początek szóstej klasy?

— No.

— Przyjaciele czy wrogowie?

Tata wie, że to gorzej, kiedy przyjaciele są wredni, nie wrogowie.

— Przyjaciel — odparłam. — Jimmy.

— Był dla ciebie wredny? — spytał tata i wyglądał na zdziwionego, bo Jimmy od zawsze był moim najlepszym przyjacielem.

— Nie całkiem — powiedziałam. — Trochę.

— Może mi o tym opowiesz? — zaproponował, a kiedy tylko głaskałam Bosleya, to znaczy ciągnęłam delikatnie za uszy, co bardzo lubi, tata poradził: — Lepiej się pozbyć, niż trzymać.

To był żart, bo kiedy pierwszy raz tak powiedział, miałam zatrucie pokarmowe i uważałam, że to wstrętne, ale i zabawne, i od tego czasu mówi tak, kiedy uważa, że duszę coś w sobie, a on chce, żebym się uśmiechnęła.

Przystałam głaskać Bosleya, choć opierał głowę na moich udach, i powiedziałam tacie, że inni dokuczali Jimmy'emu, że jestem jego dziewczyną. Więc nie chciał, żeby znów go ze mną widzieli.

— Jimmy chce mieć dziewczynę? — spytał tata.

— Nie wydaje mi się. Nie rozmawiamy o takich sprawach.

— Byłby zawstydzony, gdyby inni myśleli, że ma dziewczynę?

— Może.

— Wydaje mi się, że nie lubi, kiedy mu się dokucza. Większość ludzi tego nie lubi — powiedział tata, a ja byłam pewna, że przemyślał to dokładnie. — Zwłaszcza gdy chodzi o dziewczynę. Jakąkolwiek dziewczynę. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Znowu zaczęłam głaskać Bosleya, bo nawet jeśli nie ma to nic wspólnego ze mną, to Jimmy był moim przyjacielem, a teraz już nie jest. I kocham go jak przyjaciela, chociaż teraz już nie mogę, ale wciąż go kocham. I nie wiem, jak mu powiedzieć, że można kochać kogoś, nie będąc jego dziewczyną albo chłopakiem, bo nie rozmawiamy o takich sprawach.

— To nie za wcześnie, żeby chodzić z dziewczyną albo chłopakiem? — spytał tata. — W wieku dziesięciu lat?

— Dziesięciu i pół. Wielu tak robi — powiedziałam.

— Przepraszam. Nie jestem na bieżąco.

Z tatą jest tak, że czeka, aż zacznie się mówić. Bosley merdał ogonem naprawdę szybko, ale wciąż nie czułam się szczęśliwa.

— Nie mam innych przyjaciół, tato.

Nie patrzyłam na niego, kiedy to powiedziałam. Trudno mówić coś takiego.

— Wiesz, że przyjedziecie na Boże Narodzenie na Alaskę? — powiedział.

Skinęłam głową. To ja bardziej chciałam pojechać i być z tatą na Alasce, niż on chciał wrócić do domu, ale to było wieki temu.

— Nie musimy siedzieć cały czas w Fairbanks, możemy wybrać się w podróż i poodkrywać. I możemy prowadzić razem bloga na temat zwierząt, które zobaczymy.

Był to superniesamowity pomysł, a tata wiedział, że tak myślę.

— Możemy robić zdjęcia i zamieszczać je na blogu, i pisać go razem. Możesz udostępnić link do Twittera. Będziemy trendować.

Od czasu, jak mam Twittera, tata wie o nim wszystko, więc wie też, że to głupie mówić, że będziemy trendy, tylko gwiazdy popu, filmu i temu podobni trendują, ale było zabawne pomyśleć, że też moglibyśmy.

Potem zaczęliśmy projektować naszego bloga i tata pokazał mi na swoim iPadzie wszystkie te zwierzęta i ptaki, które moglibyśmy zamieszczać. A potem, kiedy pojechaliśmy do Szkocji, ćwiczyliśmy razem.

I wiem, że mejle są od niego. Wiem na pewno.

Kiedy zamykam oczy, widzę tatę w Szkocji naprawdę wyraźnie: jego podkoszulek Supermana i jego uśmiech, i to, że się nie ogolił, więc ma zarost na twarzy. Ale nie widzę go, jak przesyła tu zdjęcia. Wyobrażam go sobie — jego inuicką kurtkę z włochatym kapturem, ale gdy patrzę na jego twarz, nie widzę go. To trudne, bo pewnie nosi gogle. Ale tak naprawdę nie chodzi o to. Bo wewnątrz tego wielkiego kaptura, pod goglami, jest twarz taty, tylko inna, przerażająca. To ta przyprawiająca o ciarki twarz Smarka, tego z blond włosami i szarym przedziałkiem, i galaretowatymi dłońmi.

Mama mówi, że koszmarne myśli same się podkradają, kiedy ktoś jest zbyt zmęczony, żeby je zwalczyć. Mówi tak pod koniec tygodnia, przed pracą albo szkołą. I myślę, że ma rację. Bo nawet jeśli nie mogę sobie wyobrazić jego twarzy, to i tak wiem, że to właśnie tata wysyła nam te zdjęcia.

Widać z tyłu małe niebieskie światła, jakby podążały za nami w ciemności.

*

Temperatura na zewnątrz spadła do minus trzydziestu trzech stopni, a śnieg sypał gęściej. Yasmin marzyła o tym, żeby się przespać, zamknąć na kilka minut oczy i się poddać. Nikt nie musiałby jej torturować: dwie noce bez snu i brak światła wystarczyłyby, żeby powiedziała wszystko. Jasna lampa jako narzędzie nacisku wydawała jej się czymś niezwykle pożądanym.

„Dzielna dama”, jak nazwał ją Coby. Upłynęło mnóstwo czasu od chwili, gdy ktoś tak o niej myślał. Ale wyczuwała w sobie tę zmianę; słyszała ją w swoim głosie, kiedy rozmawiała z Cobym i innymi kierowcami. Nie chodziło o to, że ten głos, ta osobowość były czymś nowym; nie, dobrze to знаła. I orientowała się, że jest taka, jaka była niegdyś — zdeterminowana, uparta, nawet dzielna, trochę szalona.

Zaszokowało ją, że przez lata czuła się bezbarwna i nudna. Charaktery otaczających ją ludzi były wyraźnie zdefiniowane, granice ich osobowości zdecydowanie nakreślone, ale nie jej. Tak, na jej barkach spoczywały zadania, obowiązki i miłość do Ruby, ogromna miłość, ale jak opisałyby to, kim była? Gdzieś po drodze zagubiła świadomość samej siebie.

Zobaczyła się w kuchni, po drugiej stronie świata, a kontrast między tamtą kobietą a tą tutaj mógł przyprawić o zawrót głowy. Otoczona zewsząd niezmierną pustką Alaski dostrzegła klaustrofobię swego domu, swoją własną klaustrofobię. I wiedziała, że była samotna nie z powodu dawnego, ale wciąż odczuwanego bólu po stracie matki ani z powodu odległości, jaka dzieliła ją i Matta, dosłownie i w przenośni, ale z powodu tęsknoty za tym, kim była niegdyś.

Dopiero teraz, w tej monochromatycznej krainie na samym szczycie planety, mogła zrozumieć siebie, jakby dystans i obojętność wobec jej życia po drugiej stronie świata pozwalały dostrzec własną historię.

I pragnęła powiedzieć o tym Mattowi; pragnęła mu wyjaśnić.

„Pocałowałem ją, bo tęskniłem za tobą”.

Wcisnęła mocniej pedał gazu. Była gotowa do niego dotrzeć.

ROZDZIAŁ 12

Niebieskie światła wciąż są za nami. Mama widzi je w lusterku. Bardzo często w nie patrzy. Boję się, że to ten smarkowaty człowiek. To wszystko moja wina. Znalazł mamę na postoiu ciężarówek w Fairbanks, ale ona o tym nie wie. Powinnam była jej powiedzieć, bo jak jeszcze byliśmy w Fairbanks, był z nami pan Azizi i mnóstwo innych ludzi, ale teraz jesteśmy całkiem same.

Jego twarz była bardzo blisko mojej, dzieliła nas tylko szyba.

Włączam Voice Magic.

— Niebieskie światła za nami — mówię i widzę, że jest trochę zaskoczona, że wiem o niebieskich światłach. — Wiesz, kto to jest?

Naprawdę mam nadzieję, że wie. Albo że nie obchodzi jej, kto za nami jedzie.

Kręci głową, a ja dostrzegam bez trudu, że się martwi, choć próbuje to ukryć. Muszę jej powiedzieć.

— To może być Smark — mówię i robię ten paskudny znak, palec w nosie, żeby wiedziała, o kogo mi chodzi.

— Owszem, był wredny — mówi. — Ale to nie on jedzie za nami. Nie ma się czym martwić. To jakiś inny kierowca.

Ale mówi tak tylko, żeby się nie martwiła.

— Kiedy byliśmy na tamtym parkingu z panem Azizim, Smark też tam był — mówię.

— Był na parkingu? — pyta zdziwiona.

— Tak.

— Myślisz, że widział, jak odjeżdżamy?

— Tak. Widział. Chciał z tobą rozmawiać. Ale nie chciałam, żebyś się martwiła. Bo martwiłaś się już o tatę.

— To było bardzo, bardzo miłe z twojej strony — mówi.

Ale to mama jest miła. Bo szczerze żałuje, że jej nie powiedziałam.

— To tylko Smark — mówi i robi ten paskudny znak, żeby mnie rozbawić.

— A my nie musimy przejmować się smarkami. Prześpij się trochę.

Naprawdę chce, żebym się przespała, więc zamykam oczy. Myślę o Szkocji i o tym, że wszyscy jesteśmy bezpieczni i szczęśliwi i że jest nam ciepło. Widzę trawę na pagórkach, która była sprężysta jak trampolina, i mnóstwo liliowego wrzосу, jakby ktoś skropił całe to miejsce fioletową farbą, i widzę mamę i tatę, jak się uśmiechają.

*

Yasmin zastanawiała się wcześniej nad Silesianem Stennetem, ale im dłużej jechała tą niebezpieczną trasą na północ, tym bardziej nieprawdopodobna wydawała się jej myśl, że ten człowiek ściga ją z powodu jakiejś niebezpiecznej obsesji.

Może jednak miał związek z pożarem.

Jeśli Matt wiedział coś o pożarze w Anaktue, to właśnie Silesian Stennet, bardziej niż jakaś firma, nie chciałby, żeby dotarła do męża; Silesian Stennet, który miał coś do ukrycia.

Wiedział, gdzie znajduje się Anaktue. Owszem, podał racjonalny powód, ale mimo wszystko. Uważał, że przyczyną katastrofy był fracking, nie zdając sobie sprawy, jakie to absurdalne — ogień wędrujący przez kilometry śniegu i lodu w mroźnym wietrze. Teraz, kiedy sama tego wszystkiego doświadczała, ta teoria wydawała jej się tym śmieszniejsza.

Lecz Silesian Stennet budził strach, nie rozbawienie.

„Lepiej, żeby zginęli wszyscy w małej wiosce niż na gęsto zaludnionym terenie. Jeśli zniszczenie jednej osady ma doprowadzić do zakazu szczelinowania hydraulicznego, to ja jestem za”.

Wydawał się podekscytowany; to właśnie wzbudziło jej obrzydzenie. Może sam podłożył ogień, uważając, że idealistyczne cele uświęcają koszmarnie środki. Ale nie wyszło tak, jak na to liczył. Nikt mu nie uwierzył,

że wioska spłonęła z powodu frackingu. Gdyby poszedł na policję albo do mediów, wyśmiano by go, tak jak wyśmiali go tamci mężczyźni na lotnisku. Ale może tego nie przewidział. A policja prowadząca w nieprzeniknionych ciemnościach śledztwo mogła nie dostrzec śladów podpalenia, nie wiedziała więc, że było to morderstwo. I nie znała jego powodów.

Pracował kiedyś dla przedsiębiorstwa naftowego; zajmował kierownicze stanowisko. Wciąż miał pewnie kontakty; bez trudu mógł się z kimś zabrać ciężarówką, może nawet sam ją prowadził.

Przypomniała sobie jego propozycję, że zaopiekuje się Ruby: „Popilnuję małej. Zajmę się nią”. Czy traktował Ruby jako dodatkowe zabezpieczenie?

Ruby usnęła na swoim fotelu. Yasmin czuła, jak ciało jej córki wznosi się i opada rytmicznie.

Zmęczenie uderzało w nią nieustępliwymi falami. Pomyślała o angielskich nadmorskich miejscowościach z wiktoriańskimi falochronami i miała nadzieję, że jej fortyfikacje są równie wytrzymałe, bo nie wolno jej było zasnąć. Jeszcze nie. Tęskniła za świtem, pragnęła wiedzieć, że nadchodzi, zamiast zagłębiać się w nieskończoną noc.

Nie widziała niebieskich świateł, musiał więc zostać daleko w tyle, ale była pewna, że wciąż za nimi jedzie.

Pokonała strome wzniesienie, czując ból w prawej nodze; wiedziała, że już niedługo zdoła wykręcać ją pod tak nienaturalnym kątem, jakiego wymagało naciskanie gazu. Ruby musnęła ją dłonią, wzdychając przez sen. Tylko adrenalina pozwalała Yasmin zachować przytomność.

Na szczycie wzniesienia ujrzała aureolę, jakby wschodziło słońce. Miała świadomość, że to nieprawda, że to miraż, taki jak na pustyni, gdy widzi się wodę, że to halucynacja zrodzona ze zmęczenia i pragnienia światła. Po chwili zobaczyła w dole skupisko domów — pomarańczowy blask lamp sodowych, reflektorów i migających neonów. Coldfoot.

Wjechała do miasta; Ruby wciąż spała. Była to mała osada, po obu stronach drogi stały niskie budynki. Mijając je, zwolniła do żółtego tempa. Z okien sączył się miodowy blask i zalewał śnieg. Niemal fizycznie odczuwała pragnienie towarzystwa innych ludzi i bezpieczeństwa, a każdy z tych domów przyciągał ją niepowstrzymanie.

Była tam też tonąca w powodzi świateł stacja benzynowa ze specjalnymi dystrybutorami dla ciężarówek, a obok znajdował się duży parking z jednopoziomową restauracją i motelem, zbudowanym z takich samych modułów jak dom, który wiozła. Mieszkała w jednym z największych miast świata, ale nigdy przedtem nie odczuwała tak dojmująco obecności cywilizacji.

Może udałoby się jej zostawić tu Ruby. Może jej córka byłaby tu bezpieczna. Ale kierowca wozu z niebieskimi światłami też by tu dotarł i rozpoczął poszukiwania. Wyobraziła sobie, jak poluje na nią w restauracji, w motelu i zamiast niej znajduje Ruby.

Coby mógłby się nią zająć, była tego pewna. Znaleźliby się też inni przyzwyczajeni ludzie, którzy by ją chronili. Ale musiałaby poprosić Coby'ego, upewnić się, że inni zasługują na zaufanie, a gdyby tylko ją zobaczyli, powstrzymaliby ją od razu od dalszej jazdy. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nie mogła też prosić Ruby, by sama odszukała Coby'ego, i odjechać, bo jak jej córka miała go znaleźć? Kto, u diabła, zrozumiałby na tym pustkowiu język migowy? Byłaby całkowicie bezbronna.

Ruszyła w stronę parkingu. Dwupasmowa droga była kiepsko oświetlona, między latarniami zalegały głębokie cienie. Stało tu już z piętnaście ciężarówek, przed nią sunęła jeszcze jedna. Prawdopodobnie wszyscy chcieli przeczekać burzę.

Objechała parking i znów skręciła w stronę Dalton Highway. Znalazła zacienione miejsce między dwiema latarniami i tam się zatrzymała. Widziałyby, jak nadjeżdża. I gdyby ich minął, wymknęłyby się. Miała nadzieję, że musiałby jej długo szukać, a w tym czasie zdołałaby go znacznie wyprzedzić.

Zgasiła światła, także te w kabinie, nie wyłączyła tylko ogrzewania. W boczną szybę uderzały bezgłośnie i bezlitośnie płatki śniegu, a duża szyba przednia była atakowana przez miękkie białe bataliony. Czuła, jak w tej ciemności i ciepłe jej twarz wiotczeje od zmęczenia. Spuściła odrobinę szybę; wążutki strumień lodowatego powietrza pozwalał zachować przytomność.

Osiem minut później pojawiły się niebieskie światła, zmierzając w stronę

parkingu po drugiej stronie drogi. Popełniła koszmarny błąd; zrozumiała, że blask reflektorów zmierzający w ich stronę zaleje kabinę światłem. Pochyliła się i zakryła sobą Ruby w daremnej próbie kamuflażu.

Nim blask reflektorów do nich dotarł, kierowca je wyłączył. Chciał pewnie ukryć ich charakterystyczną barwę.

Leżała, zakrywając swoim ciałem Ruby, więc nie widziała go w kabinie, kiedy mijał je w odległości kilkudziesięciu centymetrów; zorientowała się tylko, że ten mężczyzna prowadzi cysternę.

Uruchomiła silnik i odjechała, włączając światła dopiero wtedy, gdy znalazła się na drodze. Spojrzała w lusterko: ani śladu niebieskich reflektorów, tylko ginący w dali blask Coldfoot.

Adeeb powiedział jej, że miasto było ostatnim punktem, do którego dotarli poszukiwacze złota, a potem stracili odwagę i zawrócili. Rozumiała to. Oddalając się od Coldfoot, miała wrażenie, że napina linę, która zapewnia jej bezpieczeństwo, i że ta lina lada chwila pęknie, a ona zamiast na płyciźnie, znajdzie się w głębokim oceanie. Ludzie, którzy wzniesli Coldfoot, wiedzieli, że dalej już nie da się dotrzeć. Czuła, jak malejące światła przyciągają ją do ciepła i schronienia. Jechała dalej. Blask Coldfoot przygasał i zniknął na dobre, gdy pokonała zakręt.

Spojrzała w lusterko i zobaczyła tylko ciemność. Wiedziała, że kierowca cysterny pozostanie w Coldfoot do chwili, gdy się zorientuje, że jej tam nie ma, a potem za nią ruszy. Nasłuchiwała CB-radia, ale nie padło nawet słowo na jej temat; każdy, kto słyszał jej wcześniejszą rozmowę z Cobym, zakładałby, że jedzie w stronę Coldfoot albo że już tam dotarła i przeczekuje burzę.

Zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka, światło reflektorów było rozmazane przez padający śnieg i ciemność, ale wciąż jasne w kabinie, kiedy wóz je mijał, a potem zniknął, spiesząc w stronę Coldfoot. Po chwili znów zostały same.

Była szósta rano. Ciało i umysł Yasmin, nawykłe do rytmu dobowego, czuły się uwięzione w nocnej ciemności, jakby w jakiejś fałdzie czasowej. Nie należało spodziewać się już żadnych ludzkich osiedli, które mogły zapewnić świt stworzony przez człowieka.

Minęła kolejny słupek przydrożny; miały do pokonania trzysta siedemdziesiąt sześć kilometrów całkowitej pustki.

Jechała tak szybko, jak pozwalała jej na to odwaga, mroczny kilometr za kilometrem, i wyobrażała sobie, że podąża za nimi w ciemności cysterna, zbliżając się coraz bardziej. Ruby się poruszyła.

— Już ranek? — spytała.

— Tak.

— Jesteśmy blisko taty?

— Czeka nas jeszcze długa droga.

Jechała przez pozbawiony brzasku dzień, obserwując podświetlony licznik, podczas gdy jeden kilometr zamieniał się w dziesięć, potem w dwadzieścia. Śnieg zgęstniał, wiatr się nasilił — zwiastuny nadciągającej burzy. Czuła, jak brak snu przytępia jej refleks i obciąża kończyny. Zauważyła przez ostatnie szesnaście kilometrów, że cyfry na liczniku zaczynają się rozmazywać; mięśnie jej oka utraciły siłę potrzebną do skupienia wzroku. Wydawało jej się, że w tunelach wytyczonych przez światła reflektorów widzi ruchliwy cień, coś obdarzonego ciałem i pulsem. A potem to coś przybrało nagle postać płynną; otoczyła je czarna woda.

Yasmin dostrzegła kilka metrów dalej zatoczkę przydrożną; zdołała się tam zatrzymać. Wcześniej nie brała pod uwagę żadnych przystanków podczas tej podróży, ale fizycznie nie mogła już prowadzić. Poprosiła Ruby, żeby obudziła ją po piętnastu minutach.

Zamknęła oczy. W ciemności i ciszy przypomniawszy sobie pierwszą wspólną wyprawę do Cley, otaczający ich dźwięk morza, które grzmiało i milkło na przemian. Rozebrali się w ciemności, a wtedy sobie uświadomiła, że kocha zapach Matta i brzmienie jego głosu tak samo jak jego twarz i swobodę mówienia o rzeczach, które są ważne.

Powiedział, że to niewiarygodne, że się spotkali, oboje podczas wykładu z dziedziny, której nie studiowali. Ile wynosiło prawdopodobieństwo? Odpowiedziała, że cztery i pół miliarda lat temu, tak plus minus, Ziemię zbombardowały komety, przynosząc ze sobą lód, który się roztopił i zamienił w wodę. „Możesz to udowodnić?” — spytał. „Uderzyć satelitą w jakąś komętę i zmierzyć ilość wody” — odparła. „I?”. „Wodna bomba o pojemności

miliarda litrów w przestrzeni — odparła. — Komety uderzały i wywoływały erupcje wulkanów, w górę wzbijała się para, która zamieniała się w chmury, a potem padało przez tysiące lat. Ludzie spierają się o ilość tej wody i skąd się wzięła, ale bez względu na to, jak tu dotarła, voilà...”. Wskazała morze. Powiedziała, że szansa na istnienie planety z wodą podtrzymującą życie wynosi tryliony i tryliony do jednego, prawdopodobieństwo tak nikłe, że aż niewyobrażalne. To był cud. To, że się spotkali mniej więcej cztery miliardy lat później, nie studiując na tym samym wydziale, nie jest więc niczym niezwykłym.

Przypomniała sobie jego ciepło obok siebie i nierówne kamyki pod kocem, a potem poczuła, że zagłębia się w twarde jądro Ziemi i w Matta.

ROZDZIAŁ 13

Ruby spała obok niej. Yasmin włączyła lampkę w kabinie i zobaczyła swoją twarz jako światłocień w szybie na tle zewnętrznej ciemności.

Zostawiła włączone reflektory, ale nie było strumieni blasku. Czerń wydawała się zwarta jak kamień. Poczowała macki dawnego strachu przed uwięzieniem w zakopanej trumnie. Oddychając z trudem, włączyła wycieraczki, które niczym pługi zaczęły usuwać śnieg z szyby.

W snopach światła zobaczyła gęstą biel, którą podmuchy wiatru gnały brutalnie po całej drodze. Spojrzała na zegar. Spała dwie godziny. Zerknęła czym prędzej w lusterko boczne, ale nie dostrzegła nigdzie śladu niebieskich światła. Słupek rozdzielczy wskazywał, że kiedy spała, napadało trzydzieści centymetrów śniegu. Na termometrze było minus trzydzieści siedem stopni.

Włączyła CB-radio. Rozmawiali kierowcy z baz transportowych w Fairbanks i Deadhorse, a także z postoju ciężarówek w Coldfoot. Żaden z ludzi porozumiewających się przez radio nie był w trasie.

Na laptopie Ruby pojawił się kolejny mejl. Przesłał go, kiedy spała.

Na zdjęciu widać było jedynie śnieg, odetchnęła więc z ulgą. Światło latarki wydawało się słabsze niż na wcześniejszych zdjęciach, biel szybko przechodziła w otaczającą ją czerń. Z niechęcią powiększyła obraz i dostrzegła jakieś ciemne znaki. To były zwierzęta zakopane częściowo pod śniegiem, ich biała sierść zlewała się z nim całkowicie; tylko czarne obwódki wokół martwych oczu, jak grafit, i czarne czubki nosów świadczyły o ich obecności. Naliczyła pięć sztuk, ale mogło być ich też więcej. Próbowwała się zorientować, w jaki sposób zostały zabite, ale nie widziała ani krwi, ani ran. Może światło latarki było za słabe.

Czy ostrzegał je, że to właśnie się z nimi stanie — że zostaną pogrzebane bez śladu pod śniegiem?

Temat: DSC-10025; pod zdjęciem cyfry: 68945304 149992659.

Zwiększyła jasność do maksimum. W dolnym prawym rogu mogła dostrzec niewyraźny obraz husky z częścią uprzęży, może zapinką, połyskującą nieznacznie w blasku latarki. Kimkolwiek więc był ten człowiek, podróżował saniami, bezgłośny i niewidoczny w ciemności. Jak blisko się znajdował?

Blask lampki obudził Ruby. Yasmin miała już zamknąć laptopa, ale jej córka zdążyła zobaczyć zdjęcie.

— Wilki tundrowe — powiedziała.

*

Myślę, że tata wysłał to zdjęcie, żeby pokazać, co potrafią zrobić kłusownicy. Bo tylko ludzie zabijają wilki.

Ale te zwierzęta wciąż mają piękne, grube futra, a kłusownik zabrałby futra.

Musiała je dopaść zamieć i pogrzebać. Pewnie przywalił je nasyp śnieżny albo może nawet lawina.

— Trzeba zawiadomić policję, że tata żyje — mówię, bo teraz, kiedy nadeszły od niego TRZY mejle, mama zda sobie sprawę, że są od taty.

Ale mama się nie odzywa i wiem, że wciąż mi nie wierzy, więc i policja by nie uwierzyła. Nie wiem, jak sprawić, żeby ktokolwiek mi uwierzył. W światłach naszych reflektorów widać wielkie płachty śniegu, jak zmieniające kształt duchy, które nawiedzają drogę.

*

Yasmin znowu ruszyła w trasę. W przednią szybę uderzał śnieg, gęsty i szybki; wycieraczki pracowały z maksymalną prędkością.

Nagle reflektory zgasły, a one jechały w całkowitej ciemności. Zwolniła pospiesznie, starając się uniknąć poślizgu i modląc się w duchu, by nie wypadły z drogi. A potem z szyby spadł śnieg, wielka gruba warstwa. Zebrał

się na dachu kabiny, kiedy spały, i wreszcie zsunął się na szybę niczym monstrualna opaska na oczy.

Usłyszała w CB głos Coby'ego, mniej spokojny niż zwykle.

— Widział już ktoś tę szaloną kobietę?

A więc z dzielnej przemieniła się w szaloną; uważała, że to sprawiedliwa ocena.

— Jestem — odparła.

— Jezu, Yasmin, martwiłem się o ciebie.

— Zasnęłam.

— Jesteś w kabinie? Zglądałem do wszystkich ciężarówek.

Chciała mu powiedzieć prawdę, ale niewykluczone, że kierowca cysterny wciąż ich szukał w Coldfoot, i mógł to słyszeć.

— Yasmin?

Z pewnością odkryłby do tej pory, że nie ma ich w Coldfoot i już by za nimi jechał. Kiedy zastanawiała się, co powiedzieć, Coby domyślił się prawdy.

— Ruszyłaś dalej? — spytał.

Milczała.

— Jezu. Burza zacznie się za trzy godziny.

Trzy godziny. Niemożliwe, by dotarła do Matta albo nawet pokonała połowę dystansu do Deadhorse.

— Tak szybko? Jesteś pewien? — spytała.

— Nadchodzi naprawdę prędko. Musisz zawrócić.

— Gdzieś tam jest mój mąż. Nie przeżyje.

— Przykro mi z tego powodu, proszę pani — odezwał się inny kierowca.

— Ale nie dotrze pani do Deadhorse, a po drodze nie ma bezpiecznego miejsca, w którym można się zatrzymać. Jak pani już przejedzie góry, znajdzie się pani na północnym zboczu równiny arktycznej. Nie ma tam żadnych drzew, które mogłyby powstrzymać wiatr. Wałą tam wichury jak w samym piekle. Dwieście trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych pustki, pustki. Wie pani, jaka to powierzchnia? Całego stanu Utah. Może nawet większa.

— To po prostu wykluczone — powiedział ktoś inny. — Wiatr panią

przewróci, śnieg może zasypać, nie da się wysiąść z ciężarówki, żeby cokolwiek zrobić, więc nie naprawi pani hamulców, lin, niczego. Jeśli padnie silnik, zamarznie pani w kabinie.

Po chwili rozległ się głos Coby'ego, niespieszny i serdeczny.

— Nie dotrzesz na czas do Deadhorse, Yasmin. Nawet gdyby twoja ciężarówka miała turbo i był lipiec, rozumiesz? Musisz przeczekać w Coldfoot. Mąż będzie musiał uzbroić się w cierpliwość.

W takiej burzy, bez żadnej ochrony? Kiedy nawet doświadczeni kierowcy w swoich przytulnych kabinach potężnych ciężarówek szukali gdzieś schronienia? Słyszała przez zamknięte szyby zawodzenie wiatru.

— Zawracaj natychmiast, słyszysz mnie? — odezwał się Coby. — Ale najpierw musisz założyć łańcuchy śnieżne. Nawałnica nadchodzi cholernie szybko i robi się ślizgawka.

Ślizgawka. Tak powiedziałaaby mała dziewczynka. Yasmin od razu pokochała Coby'ego za to niedopowiedzenie.

— Więc potrzebujesz tych łańcuchów, nawet jeśli chcesz się zabić i jechać dalej. Wiesz, jak je założyć?

Zrozumiała, że chce, by najpierw założyła łańcuchy, a potem spróbuje ją przekonać, żeby zawróciła. Podchodził do tego krok po kroku, traktując ją cierpliwie i serdecznie.

— Nie.

— W porządku, są umieszczone obok kół, pod wozem. Kładziesz je przed kołami, najeżdżasz na nie, a potem spinasz.

— Okej.

— A później poszukasz miejsca, żeby zawrócić.

— Dziękuję.

Odłożyła mikrofon i spojrzała w lusterko. Nikogo za nią nie było. Zatrzymała ciężarówkę. Ruby uruchomiła wcześniej Voice Magic i przysłuchiwała się rozmowie.

— Wciąż jedziemy do taty — powiedziała. — Mówiłaś tym ludziom, że zatrzymamy się w Coldfoot, ale tego nie zrobiłaś, więc wciąż jedziemy do taty.

Stwierdzenie, nie pytanie, bo było nie do pomyślenia, by mogły zostawić

go samego w arktycznej burzy. Strach przed porzuceniem go na pastwę losu, strach, który najpierw nawiedził jej myśli, a potem zmaterializował się na drodze ciągnącej się przed nią, powrócił; wyczuwała go w ciemności.

Na razie musiała skupić się na łańcuchach, bo bez względu na to, co zamierzała zrobić, musiała je założyć.

*

Wkładając odzież ochronną, zobaczyła samą siebie, wiele lat temu, idącą słonecznym zadrzewionym chodnikiem z delikatesów w stronę kiosku z prasą; poobijany samochód, który wjechał na chodnik, i Matta, który ją odepchnął. Poprzez dźwięk arktycznego wiatru usłyszała metaliczny łoskot, gdy samochód uderzył w słup latarni; klakson rozbrzmiewający bezsensownie głośno i niecierpliwie, kiedy kierowca osunął się do przodu, zaledwie szesnastoletni.

Tego wieczoru rozmawiali i wiedziała, dlaczego mogą się pobrać. Nie dlatego, że zasłonił ją własnym ciałem, ale dlatego, że rozmawiali o chłopcu — co go do tego skłoniło; jaki dom, jaka rodzina, jaka szkoła, jaka bezradność — bo Matt starał się całym swym intelektem pojąć, co się stało.

I dlatego, że podczas gdy ich sąsiedzi z wyższej klasy średniej wymieniali się pełnymi wściekłości mejlami, pisząc o młodocianym piracie drogowym i o tym, że dobrze mu tak, i „dzięki Bogu, nikt niewinny nie został poważnie ranny”, Matt żałował chłopaka. Dlatego że następnego dnia zastał przy tej latarni jego matkę z goździkami w celofanie; kupił w kiosku taśmę i razem przytwierdzili kwiaty do stalowego słupa.

— Jesteś pocałunkiem mojego księcia — powiedziała mu. — I pocałunkiem na dobranoc, i butami, które pasują, i szklanym pantofelkiem, i przy tobie nie ma czegoś takiego jak próżnia w naturze, nie ma jej już we mnie. Kocham cię.

*

Śnieg jest jak grube kotary, od nieba do ziemi, niezliczone warstwy. Mama ubiera się we wszystkie ciepłe rzeczy, bo musimy założyć łańcuchy.

— Mogę pomóc — mówię.

Kręci głową.

— Poświecę ci — mówię. — A jeśli zrobi mi się za zimno, wrócę tutaj.

— Dziękuję. Ale naprawdę nie chcę, żebyś wychodziła na zewnątrz, okej?

— Okej.

— Obiecujesz?

— Okej.

Mama wciąż patrzy na mnie i czeka.

— Okej, obiecuję.

*

Nie zamierzała pozwalać, by Ruby ponownie wyszła na zewnątrz; dziecko mogło ulec hipotermii szybciej niż dorosły. Naciągnęła rękawice na osłonięte już dłonie i wysiadła z kabiny, po czym zamknęła jak najszybciej drzwi.

Chłód był szokujący w swej zajadłości. Wydawało jej się, że jest biały jak śnieg albo niebieski jak na kurku kranu z zimną wodą, ale rodził się w miejscu pozbawionym światła dziennego i był czarny — nieobecność jakiegokolwiek światła i koloru.

Usłyszała przeraźliwy krzyk i uświadomiła sobie po chwili, że to odgłos wiatru gnającego świeżo spadły śnieg po tym ubitym i zwartym, zalegającym pod spodem; białe zjawy przemykające po drodze i jałowym pustkowiu.

Włączyła latarkę Adeeba i znalazła łańcuchy. Próbowwała je odpiąć, ale nie mogła tego zrobić, trzymając jednocześnie latarkę. Wetknęła ją w śnieg i skierowała snop światła w stronę podwozia. Zdawało się, że łańcuchy przymarzły z powodu zimna do haków mocujących. Trudno było je odpowiednio uchwycić. Po trzech próbach zdołała znaleźć właściwy punkt oparcia i, wykorzystując całą swoją siłę, uwolniła je.

Znów musiała użyć latarki, żeby oświetlić koła. Potem ułożyła przed nimi łańcuchy.

Śnieg wokół opon nabrał bladego niebieskiego odcienia. Z tyłu, w ciemności, pojawił się blask reflektorów.

Uświadomił sobie, że nie było ich w Coldfoot i ruszył za nimi. Jej rozmowa z Cobym tylko to potwierdziła. Nie mogła się zorientować, jaki dystans ich dzieli.

Czuła, że kierowca cysterny jadącej za nią i człowiek przesyłający te drastyczne zdjęcia są w zмовie i że są coraz bliżej.

Wiatr zamienił się w zawodzącą syrenę, coraz głośniejszą; przerażona twarz szesnastoletniego chłopca w ciemności. Wiedziała, że umrze, nim do niego dotrą.

Jej gogle w tym ekstremalnym zimnie zaszły mgłą. Wymacała stopnie kabiny i zdołała wspiąć się na górę i wgramolić do środka, ale nie mogła znaleźć klamki, żeby zatrzasknąć drzwi.

*

Wkładałam rękawice, a potem nachyliłam się nad kolanami mamy, żeby sięgnąć drzwi i je zamknąć. Nie widzę oczu mamy pod goglami, co znaczy, że sama nic nie widzi. Pomagam jej zdjąć je i wycieram szkła. Rusza bardzo powoli i przejeżdża tylko mały kawałek. Nakłada kominiarkę i gogle i znowu wychodzi na zewnątrz. Obserwuję ją przez szybę na wypadek, gdyby mimo wszystko potrzebowała mojej pomocy.

*

Kucając przy ciężarówce, Yasmin obserwowała światła cysterny. Nie powiększały się, więc i on się zatrzymał. Jakby czekał na właściwy moment. Krzyk wiatru w ciemności przeszedł w niski jęk obiegający ciężarówkę. Zostawiła wcześniej latarkę wetkniętą w śnieg i skierowaną w stronę kół, ale przysypało ją. Zaczęła jej szukać, grzebiąc rękami w śniegu, jednak grube rękawice bardzo to utrudniały. Zdjęła je, zostawiając tylko spodnie cienkie rękawiczki na dłoniach. Po dwóch minutach znalazła latarkę i pospiesznie

włożyła rękawice, potem włączyła światło. Zauważyła, że opony ominęły łańcuchy o kilka centymetrów. Zrozumiała, że musi zrobić wszystko od nowa, i to szybko, ale o pośpiechu nie było mowy.

Czuła, jak wraz z powiewami wiatru umyka jej czas.

Zrozumiała, że nie dotrze do Matta przed burzą.

Niskie zawrozczenie wichru i ta cysterna z tyłu wzmagaly bezlitośnie jej strach.

Spojrzała w stronę kabiny, bursztynowe światło kąpało w swym blasku małą twarz Ruby przy oknie.

Spojrzała w ciemność i zobaczyła zmasakrowane ciało piźmowołu, kruka i pogrzebane wilki i usłyszała, jak burza przygotowuje się do uderzenia.

Pojawiła się przerażająca oczywistość — wybór, który uzmysłowiła sobie z całą ostrością. Musiała zawrócić. Nie było innego wyjścia. Tego oczekiwaby od niej Matt, a ona to czuła, bez udziału konkretnej, logicznej myśli. Najważniejsze było życie Ruby.

Postanowiła pomyśleć o Matcie, kiedy córka będzie już bezpieczna.

Gdyby myślała o nim teraz, nie potrafiłaby założyć łańcuchów, wsiąść do wozu i jechać; nie byłaby w stanie oddychać, mrugać ani przełykać.

Jeszcze dwukrotnie w ciągu mrocznej i mroźnej godziny nie zdołała założyć łańcuchów i musiała zaczynać wszystko od nowa. Światła cysterny nie zmieniły kształtu; kierowca stał na poboczu i czekał.

Kiedy próbowała znaleźć latarkę w śniegu, poczuła, jak metal obrączek, jej i Matta, robi się w tej arktycznej temperaturze coraz zimniejszy, a potem miękka skóra jej palca zaczęła do niego przywierać, jak wargi do pokrytej lodem żelaznej balustrady. Matt nie kłamał, kiedy mówił, że musi zdejmować obrączkę podczas pracy.

Pomyślała o tym, jak na posterunku policji trzymała ją w dłoni — metal ciepły w dotyku.

ROZDZIAŁ 14

Temperatura spadła w ciągu ostatnich piętnastu minut o kilka stopni. Yasmin założyła w końcu łańcuchy. Zbliżyła się do schodków i zobaczyła przez okno roztrzęsioną Ruby, jej bladą twarzyczkę. Weszła pospiesznie do kabiny.

Laptop był otwarty na nowym mejlu.

Zdjęcie przedstawiało martwego lisa polarnego o łagodnie zaokrąglonych uszach i wielkich oczach w miękkim białym futrze. Yasmin pragnęła go widzieć jako pluszową zabawkę, którą można kupić, niemożliwie puchatą i przymilną, nie jako żyjące niegdyś zwierzę, ale dziecięca bezbronność lisa i jego delikatne, miękkie piękno przypominało jej tak bardzo córkę, że poczuła, jak oddech utyka jej w krtani. Światło latarki dobywało z mroku tylko pysk tego szczenięcia. Wokół widniała krew.

Temat: DSC-10027; pod zdjęciami cyfry: 68733615 149695998.

Przesłał je cztery minuty temu.

Ruby sprawiała wrażenie zdruzgotanej, ale nie było czasu, żeby ją pocieszać; najpierw należało zapewnić jej bezpieczeństwo. Yasmin ruszyła czym prędzej, wypatrując dogodnego miejsca, żeby zawrócić.

*

Płakałam z Bosleyem i wtedy wszedł tata, i rozmawialiśmy o szkole i Jimmym, i powiedział, że możemy prowadzić razem bloga. Pokazał mi na swoim iPadzie zdjęcia pięknych zwierząt i ptaków. Było też zdjęcie małego liska polarnego. Tata powiedział, że ilekroć widzi szczenię lisa polarnego i patrzy na jego pyszczek, to widzi mnie bardzo dokładnie. Tak jak mamę i perydot w pierścionku.

Mały lisek na zdjęciu jest martwy.

Tata nigdy nie przesłałby mamie takiego zdjęcia.

Mejle nie są od niego.

Kiedy myślałam, że to tata przysyła nam mejle, to przyszło mi do głowy, że jest bezpieczny, bo ma laptopa i terminal, i że czuje się dostatecznie dobrze, żeby przesyłać nam takie rzeczy.

Pada tyle śniegu, wygląda to jak armia mrówek siafu. Jedna mała mrówka-śnieżynka nie potrafi cię zranić, ale miliony zabijają wszystko, nawet ludzi. Tata być może nie ma przy sobie niczego. Ani laptopa, ani koca, ani nawet noża. A jeśli śnieg go zaatakuje, a on nie będzie mógł się schować?

Znak, który mówi: „tata”, to T pokazane na palcach i ten kształt przyprawia mnie o płacz, choć staram się powstrzymać łzy. I nie jest dobrze, bo mama nie widzi, jak pokazuję na migi, ponieważ prowadzi ciężarówkę, więc włączam Voice Magic.

— Tata potrzebuje noża, żeby zrobić *aputiak* — mówię. — Może go nie mieć.

— Myślę, że ma ze sobą zestaw survivalowy — mówi mama. — Ma potrzebne narzędzia.

Czytam jej słowa na Voice Magic, raz za razem. Chciałabym znów być małym dzieckiem w zerówce i wierzyć jej, i myśleć, że tata jest bezpieczny.

Ale jestem w szóstej klasie i we wrześniu idę do szkoły średniej.

Wyglądam przez okno na mrówczy śnieg siafu, jakbym mogła go odegnąć, jeśli będę się w niego wpatrywała, ale wygląda, że jest go nawet więcej. Mama coś powiedziała, bo na Voice Magic pojawia się więcej słów:

— Musimy wrócić do Coldfoot i poczekać, aż burza minie.

Nie mówi tego poważnie.

— Wyruszymy, jak tylko burza przejdzie. Obiecuję, że od razu pojedziemy szukać taty.

— Nie! Nie możemy go zostawić! — próbuję krzyczeć, ale Voice Magic nie krzyczy. — Może umrzeć! Mamo, błagam! — To nie mój głos, to głupi, puchaty głos odkurzacza próżniowego. — Będę sama!

Piszę coś dla niej, żeby odczytała to moim głosem i podsuwam jej swojego laptopa. Skręca w stronę takiej dużej zatoczki i wiem, że chce tu zawrócić

i zostawić tatę.

Zatrzymuje ciężarówkę, ale silnik wciąż pracuje, bo czuję, jak mruczy pode mną.

— Tacie nic nie jest — mówi. — Zrobi sobie schronienie.

Kręcę głową i robi mi się niedobrze.

— To scenariusz numer dwa, Ruby. Tata wyruszył na wyprawę i zabrał ze sobą to, co jest potrzebne do przetrwania.

Ale tak naprawdę nie wierzy w scenariusz numer dwa. Chce tylko wierzyć, że taki scenariusz po prostu jest. Tak było nawet na lotnisku, kiedy po raz pierwszy w ogóle o tym powiedziała. Nie pomyślałam o tym słowami, po prostu to czułam. Ale nie przejmowałam się, bo przez wieki uważałam, że tata ma przy sobie ważne rzeczy, takie jak terminal, laptop przyjaciela i nóż.

— Udawałam, że wierzę w to, że tata wyruszył na filmową wyprawę — mówi mama, a ja jestem tak zaskoczona, że wywijam w głowie koziołka. — Udawałam przed policją, przed tobą, nawet przed sobą. Ale widziałam te zdjęcia piźmowołu i wilków tundrowych, i lisa polarnego, i kruka, i odciski skrzydeł pardwy górskiej, Bóg jeden wie, ile jeszcze jest tam stworzeń.

— Wydry kanadyjskie — mówię. — I sowy śnieżne, i zajęce amerykańskie. Całe mnóstwo zwierząt.

— Właśnie — mówi mama. — A tata przyjechał tu, żeby je sfilmować. I myślę, że wybrał się gdzieś dalej z kamerą, kiedy w wiosce wybuchł pożar. Więc miał ze sobą zestaw survivalowy, wszystko, czego potrzebował.

Uśmiecha się do mnie i wiem, że naprawdę w to wierzy.

— Powiedział mi, że *aputiak* ma odpowiedni kształt w razie burzy — mówię. — Bo jest zaokrąglony, a wiatr prześlizguje się górą.

— To prawda, nie pomyślałam o tym. No cóż, w jego zestawie są narzędzia, dzięki którym może zrobić *aputiak*, i teraz siedzi bezpiecznie w środku.

*

Kiedy jej obrączka i obrączka Matta przymarzły do jej palca, w jej pamięci

pojawił się nagle ten Matt, którego znała i kochała, i całą sobą odczuła jego przyzwoitość i uczciwość. Nie kłamał, mówiąc, że zdejmuje obręczkę do pracy. I nie kłamał, mówiąc, że przyjechał tu dla zwierząt.

Groźne mejle i ścigający ich kierowca cysterny budziły jej strach, tak, ale wzmacniały też jej przekonanie, że Matt żyje, bo ktoś nie chciał, by do niego dotarła.

Postanowiła odwiedzić Ruby do Coldfoot i poprosić Coby'ego, żeby się nią zaopiekował, a potem wyruszyć samotnie na poszukiwania Matta. Gdyby ci mężczyźni w Coldfoot próbowali ją powstrzymać przed dalszą jazdą, to musiałyby po prostu postawić twardo na swoim.

Wrzuciła bieg i spojrzała w lusterko, nim zaczęła zawracać. W oczy uderzył ją jaskrawy blask, oślepiając na chwilę. Cysterna była tuż za nimi, a bliskość płonących na pełnej mocy reflektorów sugerowała, że wóz ich staranuje. Była zmuszona umknąć czym prędzej z zatoczki i znów ruszyć na północ.

Musiała po prostu oddalić się od niego na dostateczną odległość, żeby zawrócić; wierzyła, że znajdzie do tego odpowiednie miejsce.

Ale nawet gdyby zdołała zawrócić, to musiałyby się z nim wyminąć, jadąc w przeciwną stronę. Zachowywał się wobec nich brutalnie i bezwzględnie, wiedziała to teraz. Zmusiłby je do zjechania z drogi, a były w górach; trasa z jednej strony kończyła się stromym spadkiem.

Ujęła szybko rękę Ruby i ścisnęła jej dłoń, potem sięgnęła po CB.

— Coby, jesteś tam?

— Yasmin, dobrze cię słyszeć. Kierujesz się teraz w stronę Coldfoot?

— Nie mogłam zawrócić. Kiedy zwolniłam i próbowałam to zrobić, omal nie staranowała mnie jakaś cysterna.

— Jezu.

— Jedzie za mną od wielu kilometrów. Możesz zawiadomić policję?

— Jasne. Trzymaj się, okej? Policja skontaktuje się z tobą na tym kanale.

Spojrzała w boczne lusterko. Cysterna przygasiła światła i się zatrzymała. Musiał słuchać rozmowy przez CB. Nie chciał, by policja znalazła go tak blisko niej.

Oznaczało to, że i ona może się zatrzymać, i przez chwilę doznawała

głębokiej ulgi; nie musiała przez jakiś czas prowadzić ciężkiego wozu.

— Przepraszam, mam — powiedziała Ruby. — Wcale tak nie myślałam.

Yasmin wiedziała, że Ruby jest przerażona obecnością cysterny, i była zdumiona, że jej córka ma dość siły, by okazywać serdeczność, i to szczerze.

Przypomniała sobie, jak mówiła Adeebowi, że Ruby będzie stracona bez ojca, i wystraszyła się, gdy jej córka sama to powiedziała; prawda tego stwierdzenia uderzyła ją, jakby owa wiedza pochodziła od kogoś innego, nie zaś tkwiła w niej cały czas. Stracona bez swego ojca, owszem. Zdruzgotana. Opuszczona. Tak — w przypadku tych wszystkich strasznych rzeczy. Ale nie sama, jak powiedziała.

W CB odezwał się męski głos.

— Pani Alfredson? Tu porucznik Reeve.

Pamiętała go z Fairbanks. Gdy tylko Coby powiedział o niej, zgłoszenie musiało trafić do niego.

— Jest pani na Dalton Highway? — spytał, wyraźnie poruszony.

— Tak.

— Gdzie jest pani dziecko, pani Alfredson?

— Ze mną.

Nie miała wątpliwości, że kierowca cysterny słucha. Jeśli był to Silesian Stennet, to i tak już wiedział, że Ruby z nią jest, ale ktoś inny mógł nie wiedzieć. Czy powstrzymałoby to tego człowieka przed brutalnym działaniem? Czy może zechciałby wykorzystać ich słabość?

W radiu panowała cisza. Wyobrażała sobie ludzi, którzy tego słuchali, i ich przerażenie. Zdawało jej się, że to przerażenie obraca się przeciwko niej. Jaka matka narażałaby własne dziecko na takie niebezpieczeństwo?

— Podobno ktoś chciał panią staranować? — odezwał się porucznik Reeve.

— Próbował nie dopuścić do tego, żebym zawróciła. Jedzie za nami przez ostatnie sto sześćdziesiąt kilometrów, może nawet od samego Fairbanks.

— Prowadzi pani ciężarówkę Adeeba Aziziego? — spytał ktoś inny, a jej się wydawało, że poznaje ten głos.

— Tak. On...

— Jestem na dwieście dziewięćdziesiątym kilometrze, jadę na południe.

Minąłem się z jego wozem jakieś trzydzieści kilometrów wcześniej. Nie widziałem w kabinie nikogo prócz tej pani.

Była pewna, że to ten sam mężczyzna, który pytał ją, czy ma broń.

— Po dwudziestu minutach zobaczyłem inną ciężarówkę, która jechała na północ — ciągnął mężczyzna. — I był to zwykły wóz dostawczy, nie cysterna. Tak jak powiedziałem, nikt za nią nie jedzie.

— Kłamiesz — powiedziała. — To ty, prawda? Ty prowadzisz tę cysternę z niebieskimi światłami. Jedziesz na północ, nie na południe. Jesteś tuż za mną.

— Hej, niech pani nie bierze mnie za kogoś innego.

Znów włączył się porucznik Reeve.

— Zrobimy tak, pani Alfredson. Spróbuje pani znaleźć jakieś miejsce, w którym można się zatrzymać, a my wyślemy helikopter, żeby zabrał panią i córkę. Okej?

Mówił do niej bardzo spokojnie, z rozwagą i rozsądkiem, jak ktoś, kto przemawia do człowieka stojącego na krawędzi i chcącego skoczyć.

— Tak.

Chciała powiedzieć mu o mejlach, o prawdopodobnym zagrabieniu ziemi i Silesianie Stennecie, ale w tej chwili nie uchodziła za wiarygodną osobę — pozbawiona męża nie zrównoważona kobieta, która ukradła ciężarówkę, naraziła własne dziecko na niebezpieczeństwo i wyobrażała sobie, że ściga ją jakaś cysterna.

Lecz gdy helikopter nadleciałby nad Dalton Highway, zobaczyliby, że jedzie za nią cysterna. Wiedzieliby wówczas, że kłamał. Musieliby jej wysłuchać. A ona przekonałaby ich, że Matt żyje, że najprawdopodobniej wiedział coś o Anaktue i właśnie dlatego ktoś próbował przeszkodzić jej w dotarciu do niego.

Niebieskie światła powiększały się; podjechał bliżej. Droga była dwupasmowa i prosta przez kilkaset metrów, nie na tyle szeroka, by dało się zawrócić ogromną ciężarówką, ale dostatecznie, żeby mógł ją wyprzedzić. I gdyby to zrobił, oznaczałoby to, że nigdy za nią nie jechał.

Znowu ruszyła przed siebie, zachowując dystans w śnieżnej nawałnicy.

Musiała to robić do chwili przybycia policji. Wielkie wycieraczki zgarniały

z szyby grube skupiska płatków, ale zapewniały jedynie względną widoczność, nic więcej.

Dotarła do wąskiego odcinka drogi, który biegł serpentyną wokół zbocza góry. Nie było tu dość miejsca, by cysterna mogła je wyprzedzić, więc zwolniła i się zatrzymała. Kierowca cysterny był zmuszony zrobić to samo. Zamierzała poczekać tu na policję. Widziała przed sobą dwa niewielkie świerki, przechylone na bok przez wiatr.

— To wszystko moja wina — powiedziała Ruby. — Zasnąłam.

— Nic nie jest twoją winą.

— Ale gdybym cię obudziła, to oddaliłybyśmy się od tego człowieka z tyłu i teraz byłybyśmy bliżej taty.

— Nie zrobiło to żadnej różnicy.

Ruby pokręciła głową.

— Wierz mi, żadnej różnicy — zapewniła Yasmin.

Dopóki nie zaczęła się ta koszmarna podróż, nie uświadamiała sobie, jak wspaniałomyślna jest dla niej Ruby; teraz, tutaj, córka brała na siebie całą winę, podczas gdy za wszystko — dosłownie za wszystko — odpowiedzialność ponosiła ona, Yasmin.

W CB rozległ się głos porucznika Reeve'a.

— Rozmawiałem z naszym zespołem ratowniczym. Przykro mi, ale helikopter nie może w tych warunkach wystartować.

Yasmin ruszyła natychmiast do przodu; wiedziała, że kierowca cysterny słucha tego i spróbuje je dopaść.

— Nawet gdyby zdołali do pani dotrzeć, co jest bardzo wątpliwe — ciągnął policjant — nie mogliby przy takich podmuchach wciągnąć na pokład ani pani, ani pani córki. Zbyt ryzykowne. Wiatr wieje z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a zapowiada się, że będzie jeszcze gorzej. Istny huragan.

— Tuż za nami jedzie cysterna z niebieskimi światłami. Próbuje zepchnąć nas z drogi.

— Sprawdziliśmy to. Żadna firma transportowa nie wysłała tam swojego wozu. Kierowcy czekają w Deadhorse, Fairbanks albo Coldfoot. Nikt inny nie jedzie w tych warunkach.

— Błagam, musi mi pan uwierzyć.

— Dotrzemy na miejsce i zabierzemy panią tak szybko, jak będzie to możliwe.

— Wysłano przecież helikopter do Anaktue na poszukiwania ocalałych ofiar pożaru — przypomniała Yasmin. — Choć była burza...

— Nie wiało tak mocno. Lot był ryzykowny, ale nie samobójczy. To nie to, co dzisiaj. Będzie bezpieczniej, jeśli przeczeka pani to wszystko w kabinie ciężarówki.

Niebieskie światła z tyłu tkwiły nieruchomo w ciemności, a więc zachowywał stały dystans. Zastanawiała się, czy go nie zgubić. Jednak droga była stroma, narażona na uderzenia wiatru i zdradziecka, a śnieg padał coraz gęstszy.

*

Jedziemy bardzo, bardzo powoli, ponieważ trudno zobaczyć cokolwiek w tej śnieżycy, i człowiek za nami też jedzie bardzo, bardzo powoli. Wydaje się, że poluje na nas w zwolnionym tempie. Ale jednak poluje.

Pojawia się tablica: OSTATNI ŚWIERK NA PÓŁNOCY — NIE ŚCINAĆ. Obok stoi martwe drzewo, białe od śniegu i lodu, jakby było zrobione z maleńkich kości. Ostatnie żywe drzewo na północy minęliśmy pewnie wiele kilometrów wcześniej.

*

Yasmin zobaczyła w lusterku, że niebieskie światła cysterny przesunęły się nagle na bok, nim znów powróciły na środek drogi. Pewnie wpadł w poślizg. Może się nie zatrzymał, żeby założyć łańcuchy. Przyszło jej do głowy, że może zsunie się po cholernym zboczach góry i będzie po nim. Albo, co nie byłoby tak korzystne, będzie musiał się zatrzymać i założyć łańcuchy, i że będzie mu to szło tak nieporadnie jak jej, więc potrwa godzinę, a ona w tym czasie zdoła go znacznie wyprzedzić.

Dojrzała w śnieżnej zawiei słupek przydrożny z liczbą trzysta osiemdziesiąt siedem. Wiedziała dzięki mapie Adeeba, że niedługo zaczną się zbliżać do Atigun, najwyższej przełęczy na Alasce. Po drugiej stronie leżała rozległa północna tundra nadbrzeżna, ciągnąca się aż do Oceanu Arktycznego.

Gęstą ciemność i śnieżycę przebijały tylko światła jej wozu, a za nią niebieskie światła cysterny. Ale czuła, jak w tym mroku podąża za nią jej wina — świadomość, że naraziła Ruby na takie niebezpieczeństwo — a za tą winą inna, bezgłówna: „Będę sama”.

ROZDZIAŁ 15

Gnany wiatrem śnieg padał poziomo na szybę, podczas gdy ciężarówka przebijała się przez zawieję. Yasmin nie widziała poboczy, polegając na słupkach odblaskowych, które świeciły przez moment pomarańczowo w blasku reflektorów. Czuła, jak potężny wóz przechyla się w narastającej wichurze.

Wyłączyła CB-radio po rozmowie z porucznikiem Reeve'em i nie uruchomiła go ponownie — nie chciała słuchać głosu kierowcy prowadzącego cysternę, choć tęskniła za głosem Coby'ego, człowieka, którego nigdy nie spotkała i którego najprawdopodobniej miała nigdy nie spotkać.

Widoczność była tak kiepska, że nie mogła się zorientować, jak blisko znajduje się cysterna. Upłynęło pół godziny od chwili, gdy widziała światła jego wozu.

*

Człowiek jadący cysterną chowa się za nami w śniegu i ciemności, ale nie wiemy gdzie.

Mama zatrzymuje ciężarówkę. Prosi mnie, żebym wyjęła jasną pomarańczową kamizelkę pana Aziziego, która jest w schowku w drzwiach po mojej stronie. Jest taka jak ta, którą każe mi wkładać, kiedy chcę pojechać na rowerze. Pan Azizi nosił ją, kiedy przygotowywał swój wóz w Fairbanks.

Podjeżdża do krawędzi drogi, tuż przy stromym spadku, i spuszcza szybę. Ciężarówka się chwieje, jakby palce wichru wdarły się do środka, a śnieg wlatuje do kabiny, mnóstwo śniegu, i osiada na kolanach mamy, naprawdę

szybko, jakby miała okno otwarte o wiele za długo i teraz była cała w bieli i zamieniła się w bałwanka.

Mama wyrzuca przez okno pomarańczową kamizelkę, którą od razu chwyta wiatr i niesie daleko, a potem prosi mnie, żebym wyjęła z walizki pana Aziziego jego rzeczy. Robię to, a ona je też wyrzuca. Ale nie jego kurtkę, pewnie dlatego, że kurtki polarne są superdrogie. Potem podnosi szybę. Wypatrujemy od jakiegoś czasu niebieskich świateł, ale wciąż ich nie widzimy.

Mama cofa ciężarówkę znad krawędzi zbocza, a później znów ruszamy przed siebie, w stronę stromego spadku. Potem powtarza ten manewr, a mnie się robi niedobrze. Mówi, że nasze ślady powinny być dostatecznie głębokie, żeby nie zasypał ich śnieg.

*

Była matką, która dokonywała korekty bajek, wykreślając z nich psychotyczne macochy, która nie pozwalała Ruby oglądać w telewizji niczego niedozwolonego dla dzieci. A teraz tłumaczyła Ruby, że kierowca cysterny zobaczy ubrania i ślady kół i pomyśli, że obie spadły z ciężarówką w przepaść. Najstraszniejsze wydawało się to, że tylko w ten sposób może ją pocieszyć.

— Zobaczy nasze ślady, które zostawimy, jak będziemy odjeżdżać — powiedziała Ruby.

— Nie będą takie głębokie, a śnieg szybko je zasypie.

— Ale wiatr może zwiać tę pomarańczową kamizelkę i ubrania na sam dół.

— I bardzo dobrze.

Bo wtedy ten mężczyzna pomyślałby, że zginęły, i właśnie o to chodziło. Wiedziała, że cokolwiek się z nimi stanie, ta podróż już zawsze będzie dla niej oznaczać kres dzieciństwa Ruby.

*

Droga jest taka stroma; czasem po jednej stronie widać góry podobne do gigantycznych koni, które unoszą się na tylnych nogach, jakby chciały zmiażdżyć człowieka kopytami. Po drugiej stronie jest tylko czerń i to jest nawet groźniejsze, bo mogłybyśmy spaść poza krawędź zbocza.

Pan Azizi powiedział mi, że przełęcz Atigun jest wysoka na czterysta metrów. Powiedział mi to, kiedy nie wiedział, że będziemy tędy przejeżdżać. I że będzie burza śnieżna, i że będzie nas ścigał jakiś człowiek. Nie wydaje mi się, by mi to powiedział, gdyby wiedział o tym wszystkim. Po obu stronach drogi są bariery, a mama mówi, że chronią przed runięciem w dół, ale przyjrzałam się jednej i pomyślałam, że wygląda dość marnie. Nie sądzę, żeby mogła zatrzymać taką ciężarówkę jak nasza, z tym całym domem.

Czasem widać jakiś mały znak w świetle reflektorów, to tylko strzałka wskazująca w prawo albo w lewo, a to oznacza, że mama wie, żeby skrócić kierownicą, bo inaczej wjechałybyśmy prosto w niebo, a potem spadały przez czterysta metrów. Nie wiem, jak długo by to trwało.

*

Wydawało się, że ten gęsty śnieg chce je zadusić. Yasmin dostrzegała tylko przelotnie słupki przydrożne na poboczu i myślała w panice, że słupek świecący po prawej stronie powinien stać po lewej i że zjadą z trasy, że barierka nie wytrzyma i że runą w przepaść. Nie mając pewności, co jest ziemią, a co niebem, gdzie jest lewo, a gdzie prawo, nie wiedząc, czy to noc, czy dzień, czuła, jak jej umysł ulega fizycznej dezorientacji wywołanej ciemnością i tej masie śniegu, więc nie wiedziała już chwilami, przed kim albo przed czym ucieka. Może te niebieskie światła podążające za nimi w mroku były fantomem, a ścigał ją koszmarny strach o Matta. Ale nie mogło tak być, bo w rzeczywistości prześladowało ją poczucie winy, świadomość, że zawiodła jako matka. I nie mogła zawrócić, by zmierzyć się z jednym i drugim. Jeszcze nie. Dopóki nie przewiozłaby Ruby przez tę górę.

*

Nie wiem, skąd mama wie, dokąd ma jechać. Gdybym to ja musiała prowadzić, nie miałabym pojęcia, gdzie jest droga. Pojawiają się małe pomarańczowe błyski, kiedy nasze światła trafiają na słupek, ale są tycie. Myślę, że tak samo jest z pilotami w nocy, wiecie, kiedy lądują z czarnego nieba i widzą tylko małe światełka, które ich naprowadzają. Ale gdy zbliżają się do ziemi, te światła robią się większe i są proste, a te tutaj pozostają naprawdę niewielkie i wiją się wokół góry.

Wibruje moja bransoletka, i ciężarówka wibruje, i te wibracje docierają do moich kości, jakbyśmy były harfami, mama i ja, i chcę myśleć o nas w ten sposób, ale wiem, że to zły dźwięk, bo mama jest taka przestraszona.

*

Z początku Yasmin myślała, że to jakaś eksplozja, ale hałas trwał zbyt długo, jakby zwarta ziemia, skały i lód tych wszystkich gór zamieniły się w grzmot. Usłyszała docierający z tyłu huk lawiny, nie wiedziała jednak, jak blisko jest ta lawina, nie wiedziała, czy się powiększa i obejmie je swoim zasięgiem. Oddalała się od niej tak szybko, jak tylko pozwalała jej na to odwaga. Potem hałas osłabł i ucichł. Słyszać było jedynie wycie gwałtownego wiatru, jakby w każdej chwili mógł wywołać zejście następnej śnieżnej lawy.

*

Mama mówi mi, że była lawina. Mówi, że ma dobrą wiadomość i nie tak dobrą. Ta druga jest taka, że lawina zablokowała drogę z tyłu, więc nie możemy wrócić do Coldfoot i nikt z Coldfoot nie może do nas dotrzeć. Myślę, że to nie jest w ogóle złe, bo chcę być bliżej miejsca, gdzie teraz jest tata.

— A dobra wiadomość? — pytam.

— Wydaje mi się, że cysterna została po drugiej stronie lawiny.

— Albo lawina wylądowała na niej!

Obie się trochę śmiejemy, bo choć droga biegnie wysoko i jest kręta,

i naprawdę trudno cokolwiek zobaczyć, najbardziej przerażający był ten człowiek z cysterny, a może go już nawet nie ma.

Niewiele rozmawiamy, ponieważ mama musi się bardzo koncentrować, żeby prowadzić. Więc nie rozmawialiśmy o człowieku, który przesyłał mejle, nie robimy tego od czasu, kiedy zrozumiałam, że to nie tata. Myślę, że to ten kierowca cysterny albo jego przyjaciel.

Mama rozpięła pas, żeby się pochyłać. Jej twarz jest blisko szyby, a palce przywierają do kierownicy, jakby mogła dzięki temu przyczepić nas do drogi.

*

Wiatr miał siłę huraganu, śnieg uderzał o przednią szybę, jakby Yasmin przebijając się przez samo jego jądro. Bała się, że cysterna też zdażyła przed lawiną i jest teraz tuż za nimi.

Zastanawiała się, czy nie wezwać pomocy przez laptopa Ruby albo przez CB-radio, ale rozmawiała już z policją, która nie mogła do nich dotrzeć przed końcem burzy.

Pragnęła pomówić z Cobym albo innymi kierowcami, ale obawiała się, że człowiek w cysternie, jeśli zdołał uniknąć lawiny, ją usłyszy. Wciąż żywiła nadzieję, nieznaczną, ale uporczywą, że jej podstępny plan się udał i że kierowca doszedł do wniosku, że spadły w przepaść.

Poczuła, jak kabina nachyla się, i uświadomiła sobie, że osiągnęły szczyt wzniesienia i teraz zjeżdżają w dół. Gdyby zeszła następna lawina, nie zdołałyby przyspieszyć i uciec przed nią; wpadłyby w poślizg i zjechała z drogi.

Dwukrotnie opony straciły przyczepność i przez kilka metrów sunęła do przodu bez jakiegokolwiek kontroli nad wozem, i musiała hamować pulsacyjnie, żeby zwolnić. Widziała tylko słupki na poboczach i czasem wydawało jej się, że zawodzi ją wzrok, że te pomarańczowe błyski są jak syreny wabiące ją ku otchłani i skałom kilkaset metrów w dół.

Słyszała płytki i przyspieszony oddech Ruby i domyślała się, jak

przerazona jest jej córka, nie mogła jej jednak dodać odwagi, skupiona całkowicie na prowadzeniu ciężarówki.

W końcu dotarły na dół niecki.

Zobaczyła w świetle reflektorów wielką falę śniegu, która przetaczała się coraz szybciej przez arktyczną tundrę.

Za plecami miały góry, które przecinały Alaskę barierą szeroką na ponad tysiąc sto kilometrów, góry niemożliwe do pokonania albo ominięcia, a przed sobą, w odległości dwustu siedemdziesięciu kilometrów, Deadhorse i Ocean Arktyczny.

Przypomniała sobie słowa jednego z kierowców: „...żadnych drzew, które mogłyby powstrzymać wiatr... wichury jak w samym piekle... Dwieście trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych pustki...”.

*

Wiatr jest MEGATRONOWO silny. Śnieg pada teraz jeszcze gęstszy; jakby istniał sufit śniegowy, który właśnie się na nas zwałił.

Ciężarówka zaczyna się trząść i myślę, że to wiatr nami rzuca, ale mama mówi, że to nie z powodu wiatru. Mówi, że mamy lód w kołach, więc nie obracają się właściwie, i musi go obtłuc. Nie mówi „bo inaczej ten człowiek nas dogoni”, ale wiem, że właśnie o to jej chodzi. Nie wiemy, czy zatrzymała go lawina. A plan mamy z tymi ubraniami pana Aziziego też mógł nie wypalić.

Znacie ten odkryty teatr w Rzymie? Ten, gdzie trzymali niewolników, a potem wpuszczali lwa? Jest tak, jakbyśmy były w tym ogromnym, zimnym, ciemnym teatrze, ale to nie lew zostanie na nas wypuszczony, tylko ktoś, kto zabija piźmowołu arktycznego i kruka, i wilki, i małego liska polarnego, choć nic mu w ogóle nie zrobiły.

*

Yasmin wkładała pospiesznie odzież termoizolacyjną, sfrustrowana, że

trwa to aż tak długo — spodnia warstwa, środkowa warstwa i zewnętrzna warstwa; jej palce zmagaly się pospiesznie z zamkami błyskawicznymi i rzepami. Przez ten czas mogła się do nich zbliżyć cysterna. Jednak temperatura na zewnątrz wynosiła minus czterdzieści jeden stopni i była jeszcze niższa przy mroźnym wietrze, a więc Yasmin potrzebowała wszelkiej możliwej ochrony, bo w przeciwnym razie doznałaby hipotermii i odmrożeń, a wtedy nikt nie pomógłby Ruby. Ubierając się, czuła ból w lewej dłoni, ale nie martwiła się tym; ból oznaczał, że nie ma uszkodzonych nerwów. Wsunęła młotek ze skrzynki z narzędziami do kieszeni kurtki, w prawej ręce trzymała latarkę. Chciała wziąć grube rękawice z jednym placem, ale nie zdołałaby wtedy utrzymać młotka, więc włożyła spodnie rękawiczki i te robocze.

Zostawiła ogrzewanie włączone i wyszła z kabiny. Kazała wcześniej Ruby ubrać się cieplej, by ochronić ją przed gwałtownym podmuchem zimna w chwili otwarcia drzwi.

Zeszła na pierwszy stopień i coś rzuciło ją na karoserię ciężarówki; uderzyła o metal twarzą, a potem wylądowała na ziemi. Leżąc w śniegu, pozbawiona tchu, odwróciła się w stronę domniemanego napastnika, z pewnością kierowcy cysterny, ale nikogo nie było. To wiatr o sile huraganu ją zaatakował. Jego dźwięk nie przypominał niczego, co kiedykolwiek słyszała w świecie przyrody, jakby silnik odrzutowy ryczący w tundrze. W prawej dłoni wciąż ścisnęła mocno latarkę. Instynkt przetrwania kazał jej najpierw zachować źródło światła, a dopiero potem myśleć o sobie. Dziękowała Bogu, że grube warstwy odzieży zamortyzowały upadek.

Śnieg padał tak gęsto, że wydawał się zwarty. Zaczęła posuwać się na dłoniach i kolanach, a potem na brzuchu, czołgając się w stronę podwozia ciężarówki.

Oczy ją piekły, wydawało jej się, że ma pod powiekami gorący popiół; skóra po ich wewnętrznej stronie paliła ją żywym ogniem. Kiedy upadła, przekrzywiły się jej gogle. Mruganie sprawiało coraz więcej trudności, jakby rzęsy skleiły się ze sobą.

Czuła otaczające ją zewsząd zimno, drapieznika stworzonego z ciemności.

Przeczołgała się po młotku, który wbijał się w nią boleśnie. Wyjęła go i wsunęła się pod ciężarówkę, gdzie znalazła schronienie przed arktycznym huraganem. Jej powieki przymarzły, rzęsy się zlepily. Ocierała twarz rękawem kurtki, raz za razem, ale nie pomagało. Jedynym jej ciepłem był własny oddech. Podciągnęła kominiarkę, zakrywając sobie oczy, które wraz z ustami znalazły się w mikroskopijnym środowisku, i stopniowo powietrze z jej płuc ogrzewało powieki; po chwili odmarzły i znów mogła widzieć. Ponownie opuściła gogle, ale wokół ich krawędzi zebrał się lód i szkła nie przylegały odpowiednio ściśle.

Oświetliła latarką koła — tak jak się obawiała, były pokryte skorupą lodu. Obtłukiwała go, ale był twardy niczym metal i nie chciał ustąpić. Próbowwała raz za razem. Coraz trudniej było jej utrzymać w dłoni młotek. Pomyślała o nadmorskiej podróży autobusem do Cley, dokąd tak często jeździła z Mattem, wiele lat wcześniej. Pierwszy postój Holme-next-the-Sea, potem Thornham, Titchwell, Brancaster, Brancaster Staithe. Ilekroć uderzała w lód, myślała o kolejnym nadbrzeżnym przystanku na trasie. Burnham Deepdale, Burnham Market, Burnham Overy, Holkham, Wells, Cley.

Gdy rąbnęła po raz dwudziesty, nie potrafiła sobie przypomnieć kolejnej nadmorskiej wioski, nawet jej nazwy, i nie była w stanie utrzymać już młotka. Utrata pamięci i słaby uchwyt dłoni były początkowymi oznakami hipotermii. Wiedziała, że musi wrócić do kabiny.

Skierowała w mrok strumień światła latarki. Niebo, ląd i śnieg zlały się w jedną całość, obcą i nieskończoną. Pomyślała, że tak właśnie wygląda żal, że tak jawił się jej umysł, kiedy umarła matka — bezbrzeżnie posępna samotność.

Gdzieś tam był Matt.

Wykrzyknęła jego imię w nieprzeniknioną ciemność, jak najgłośniejszym. Lecz choć jej usta przybrały odpowiedni kształt, a płuca przemieniły imię w dźwięk, stłumił go wiatr, a ona nie wiedziała nawet, czy z jej krtani dobyło się cokolwiek. Miała wrażenie, że stworzyła wokół siebie próżnię; nie mogła być już pewna własnej obecności w tym miejscu.

Weszła z powrotem po schodkach, zmagając się z wiatrem, który próbował oderwać ją od kabiny wozu; stopy miała zdrętwiałe.

Zostawiła włączone światła i stojąc na ostatnim stopniu, widziała skalistą wychodnię, nieco wyższą niż ciężarówka, jakieś dziesięć metrów dalej; z jednej strony wrzynała się w nią droga. Było to schronienie, gdzie mogły przeczekać burzę.

Odwróciła się, chcąc sprawdzić, czy dostrzeże cysterne, ale ciemność i gęsty śnieg nie pozwalały niczego zobaczyć; nie potrafiłaby też usłyszeć niczego przy tej wichurze. Ale i ten człowiek nie był w stanie widzieć ich ani słyszeć. I żadne z nich nie mogłoby prowadzić wozu w takich warunkach. Musiał przeczekać, tak jak one.

*

Mama wsiada z powrotem do kabiny. Ma na twarzy czerwone ślady, a skóra wokół gogli krwawi, jakby pogryzło ją zimno. Zdejmuję jej rękawice, które są całe oblodzone. Nawiew jest nastawiony na pełną moc.

Mama powoli rusza, kierownicę trzyma tylko prawą ręką, bo lewa za bardzo ją chyba boli. Jest tyle śniegu. Jakbyśmy tkwiły w samym jego środku.

Ciężarówka wciąż się trzęsie, podskakuję na fotelu, a pas wrzyna się we mnie.

Mama się zatrzymuje, widzę maciupkie szczeliny w śnieżycy.

— To dobre miejsce, żeby przeczekać burzę — mówi mama.

Wiatr nie może tu przewrócić naszego wozu. Tylko kołysze nim, jakby nie umiał objąć nas swymi dłońmi do końca.

Mama uśmiecha się do mnie.

— Nawet jeśli ten kierowca pokonał górę, to i tak nie będzie mógł nas znaleźć w takiej burzy.

Bałam się burzy i człowieka z cysterny, i tego wielkiego mrocznego teatru z człowiekiem, który przysyłał nam mejle; za bardzo się bałam, żeby bać się także o tatę.

Robię znak T.

Mama mnie obejmuje. Wciąż ma na sobie grubą kurtkę, jej rękawy pokrywa lód. Zdejmuje ją, żebym nie drżała z zimna przez ten lód.

— Siedzi w swoim *aputiaku* — mówi. — I nic mu się nie stanie. Inuici musieli przez wieki znosić takie burze.

Widzę, że naprawdę w to wierzy. *Aputiak* jest o wiele lepszy niż namiot, bo wichry mógłby namiot porwać.

*

Yasmin wiedziała teraz, że Matt mówił prawdę o obrączce i o tym, że przyjechał tu w zimie, żeby filmować przyrodę, i że powiedział Ruby, że potrafi zbudować *aputiak*. Teraz wierzyła w to wszystko. Ufanie Mattowi oznaczało, że być może nic mu nie grozi.

Bała się panicznie o niego, jakby strach był żywą istotą w jej wnętrzu, ale nie mogła pozwolić sobie na to, żeby o nim myśleć, nie w tej chwili. Jeszcze nie. Najważniejsze i jedyne, co mogła zrobić, to przeprowadzić bezpiecznie Ruby przez tę burzę.

ROZDZIAŁ 16

Mama wyjmuję wszystko z naszych walizek i wkładamy to na siebie. Zaczynamy od najbardziej obcisłych rzeczy, a na wierzch wkładamy te obszerniejsze. Z rękami jest najtrudniej i mama pomaga mi przeciągnąć rękawy przez inne rękawy, choć nie może posłużyć się lewą dłonią, bo lód ją oparzył. Pomaga mi włożyć na sam wierzch kurtkę pana Aziziego, która pachnie mydłem cytrynowym, tak samo pachniał pan Azizi, tyle że o tym nie wiedziałam, dopóki nie poczułam tego zapachu cytrynowego i nie pomyślałam o nim. Chcę, żeby mama też włożyła kurtkę, ale nie robi tego.

Nasze światła są zgaszone, więc nie widzimy nic na zewnątrz. Czasem się zdaje, że się posuwamy, ale to wiatr w nas uderza. Mama chyba coś słyszy, bo sztywnieje, jakby grała z kimś w „marmurki-posągi”.

Mama mówi, że kiedy zjawią się policjanci i wezmą nas do helikoptera, to przekona ich, że tata żyje, i PRZEKONA, żeby wyruszyli go szukać. Mówi, że uprowadzi ich cholerny helikopter, jeśli będzie trzeba. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby wymawiała słowo „cholerny”, ale tata często je wypowiada, nawet jak chodzi o byle co, na przykład korki na ulicach. Podoba mi się kształt, który przybierają jej usta, kiedy to mówi, jej wargi otwierają się szeroko, jakby naprawdę była zdecydowana.

Wciąża na mnie śpiwór pana Aziziego — i on też ma cytrynowy zapach. Mówi, że powinnam się przespać, bo czas upływa szybciej, kiedy się śpi. Gdy byłam mała, mówiła, że spanie jest jak podróż w kosmos, odlatuje się na chwilę, ale gdy wraca się na Ziemię, okazuje się, że trwało to tu znacznie dłużej. Więc zamykam oczy.

Yasmin była zadowolona, że Ruby nie słyszy gwałtowności wiatru; był jak arktyczny wir wysoko nad nimi w stratosferze, zstępujący na Ziemię pod postacią huraganu, kołyszący ciężarówką i ciskający w tundrę poziome lawiny śniegu.

Zewnętrzny termometr wskazywał, że temperatura na dworze wynosi minus czterdzieści dwa stopnie, a przy mroźnym wietrze było jeszcze zimniej. Termometr w kabinie wskazywał plus dziesięć. Miały na sobie wszystkie ubrania, ale nie wiedziały, jak długo przetrwają, kiedy silnik zgaśnie.

Włączyła CB-radio, chcąc wierzyć, że policja mimo wszystko odważyła się stawić czoło burzy i huraganowi i że przybywa na pomoc; nawet myśląc o tym, zdawała sobie doskonale sprawę, że byłoby to szaleństwem. Ale w radiu słyhać było jedynie kierowców, którzy utknęli w Deadhorse, Coldfoot i Fairbanks; narzekali na opóźnione kursy i stracone pieniądze. Ich głosy jednak dodawały jej otuchy, więc zostawiła CB włączone.

Ruby zasnęła. Yasmin ujrzała w myślach bladą twarz i drżące ciało córki, kiedy zobaczyła zdjęcie liska polarnego i zrozumiała, że tych mejli nie wysyłał jej ojciec; Ruby sądziła wtedy, że tata nie ma żadnego zestawu survivalowego ani schronienia.

Przypomniała sobie, jak szukała miejsca, żeby zawrócić.

„Nie! Nie możemy go zostawić!”.

Zobaczyła kawałek dalej odpowiedni odcinek drogi.

„Może umrzeć! Mamo, błagam!”.

Ruby podsuwała jej laptopa, gdy tam dotarły.

„Będę sama!”.

A cysterna pojawiła się tuż za nimi, jej światła ją oślepiały, i musiała jechać dalej, droga była stroma, omiatana wiatrem, zdradziecka, a ona nie potrafiła myśleć o tym, co powiedziała Ruby ani co napisała na swoim komputerze; czuła jednak, że gdzieś w ciemności majaczy kształt jej matczynej porażki.

Otworzyła ostatni dokument na laptopie Ruby.

To są moje słowa, mamó. To ja mówię.

To ja

KRZYCZĘ!

To jest mój głos.

To jestem ja.

Matt to rozumiał. I jeszcze bardziej go za to kochała.

Pogłaskała materiał kominiarki, którą nosiła Ruby, jakby w ten sposób mogła wygładzić zmarszczki zmęczenia i niepokoju na jej twarzy.

Otworzyła blog córki.

aweekinalaskablog.com

Cześć, to jest blog o naszym pobycie na Alasce, autorstwa Matta Alfredsona, który jest przyrodniczym dokumentalistą, i Ruby Alfredson.

(Myślisz, że jest okej, tato? Napiszesz prawdopodobnie coś znacznie lepszego, nie będę miała W OGÓLE pretensji, jeśli to zmienisz. Nie zamierzam niczego udostępniać, dopóki cię tu nie będzie. Na razie zamieszczam zdjęcie piźmowołu arktycznego. Usuniemy te kawałki, zanim je udostępniemy!).

Ruby wgrała zdjęcie zmasakrowanego piźmowołu i starannie skopiowała wszystkie liczby.

(To do twojej pracy, tato? Mam nadzieję, że tak, bo ludziom czytającym naszego bloga mogłoby się zrobić niedobrze, gdyby to zobaczyli. To duży piźmowół, a wilki zwykle nie zabijają takich dużych. Był chory czy ranny? Ale zobaczymy takiego, który jest żywy, prawda? Więc napiszę o piźmowołach, a wtedy będziemy mogli zamieścić inne zdjęcie, a ty będziesz mógł dodać wszystko, co pominęłam).

Yasmin przypomniła sobie twarz Ruby, kiedy ta próbowała za wszelką cenę przemienić ten groteskowy obraz w coś stanowiącego część świata przyrody, coś, co przesłałby jej ojciec. I uświadomiła sobie, że Ruby nie bierze już na wiarę wszystkiego, co jej powie. Że musi sama sobie stworzyć dowody przemawiające za tym, że jej ojciec żyje. Czuła wściekłość i głęboki żal, że Ruby została podstępnie nakłoniona do tego, by sądzić, że te zdjęcia pochodzą od ojca. Z taką sumiennością zamieszczała na blogu to wszystko, co przesyłał jej ten człowiek.

Piźmowoły arktyczne są naprawdę duże i wyglądają groźnie, ale to łagodni roślinożercy, i mają duże kopyta tylko po to, żeby mogły rozbijać lód i dostać się do wody, i chodzić po śniegu tak, żeby się w nim nie zapadać. Inuici nazywają piźmowołu *umingmak*, co znaczy „brodaty”.

Yasmin przypomniała sobie, jak Ruby opowiadała jej o piźmowołach, ona jednak jej przerwała, prosząc, by używała własnych słów, skupiona tylko na tym, by Ruby posługiwała się swoimi ustami. I Ruby musiała wyczuć jej brak zainteresowania — czy ona, Yasmin, próbowała choćby go ukryć? Zaczęła czytać to, co Ruby by jej powiedziała, gdyby pozwolono jej mówić.

Piźmowoły arktyczne są bardzo odważne. Watahy wilków polują na nie i zawsze zabijają te najmniejsze (prawie zawsze). Więc kiedy piźmowoły widzą watahę wilków, wszystkie dorosłe osobniki ustawiają się w krąg wokół cieląt i tych małych. Ustawiają się tyłem do środka kręgu, a na zewnątrz rogami, żeby wyglądać na bardzo groźne. Jakies sto lat temu ludzie na nie polowali, a piźmowoły tworzyły to swoje koło, otaczając małe, i nie poruszały się, a myśliwi tylko strzelali do nich i strzelali. A kiedy jeden z piźmowołów zostawał ranny, to inne go otaczały i próbowały chronić. Myśliwi uważali, że są głupie, ale tak naprawdę są bardzo odważne.

Yasmin była poruszona tym opisem zwierząt dokonany przez Ruby i jej wiedzą. Otworzyła następną stronę bloga.

Ruby zamieściła zdjęcie martwego kruka i skrupulatnie skopiowała liczby.

(Opowiadałeś mi dużo o krukach, zamierzam więc napisać, co wiem, a potem będziesz mógł dodać wszystko, co pominęłam).

Kruki są największymi z ptaków śpiewających i wyśpiewują mnóstwo różnych pieśni. Śpiewają, kiedy są wystraszone, a czasem wtedy, kiedy po prostu ze sobą rozmawiają. Wydają skrzeczące odgłosy i dźwięki stukania, ale przede wszystkim lubią śpiewać.

Kruki wybierają sobie męża albo żonę i zostają razem przez całe życie. Są niezwykle wierne. Czasem spędzają ze sobą aż trzydzieści lat.

Kiedy latają, lubią wywijać fikołki w powietrzu albo robić beczkę. Czasem trzymają w dziobie patyk, kiedy fruują, albo piórko, i podają je sobie, jakby się bawiły w piłkę.

Yasmin niemal słyszała, jak Matt gawędzi z Ruby o krukach, i wyobrażała sobie zachwyt córki; czuła ciepło łączące tych dwoje.

Kiedy małe kruki przychodzą na świat, zostają z rodzicami przez rok. Czasem jest też trzeci kruk, jak kruczy ojciec chrzestny, i pomaga rodzicom zdobywać jedzenie dla młodych i je uczyć. Kruki to superniesamowici naśladowcy i często robią żarty; potrafią imitować inne zwierzęta, a nawet ludzi.

Kruki zostają na Alasce przez całą zimę. Jeśli jest jakieś zaśnieżone wzgórze, to uwielbiają się po nim ślizgać, jak na sankach, i robią to po kolei, jeden po drugim. I bawią się nie tylko ze sobą, bawią się też z innymi zwierzętami, nawet takimi jak wilki i niedźwiedzie. Czyż nie jest to niezwykle?

Tak, pomyślała Yasmin, jest niezwykle. Znów spojrzała na zdjęcie i zamiast zobaczyć demonicznego ptaka zachodniej literatury i brzydkie zniewolone symboliczne ptaszyska w londyńskiej Tower, ujrzała skrzydlate stworzenie, które śpiewa, zjeżdża z górki i dochowuje wierności partnerowi przez całe życie. Nic dziwnego, że Ruby tak bardzo lubiła kruki; nic dziwnego, że lubił je również Matt. Uświadomiła już sobie, że miał tu co filmować, mnóstwo fauny i flory, ale widziała też, dlaczego pragnął to zrobić.

Ruby chciała jej opowiedzieć jakąś inuicką historię o kuku, ale ona kazała jej posługiwać się własnym głosem. A potem, kiedy Ruby nie posłużyła się swoimi ustami, pomyślała, że prawdopodobnie nie istnieje żadna historia o kuku.

Przeszła do następnej strony bloga.

Ekran wypełniło zdjęcie martwych wilków, prawie zakopanych w śniegu. Ponownie dostrzegła błysk uprząży w dolnym prawym rogu, gdzie widać było niewyraźną sylwetkę husky.

Ruby nie powiedziała jej nawet słowa o wilkach. Nie przekazała ani jednego faktu. Nawet nie próbowała tego robić.

Jak często uciszała Ruby, nie zdając sobie nawet z tego sprawy?

(Dlaczego zrobiłeś to zdjęcie, tato? Dlatego że biedne wilki zostały uwięzione w śniegu? Myślałam, że zwierzęta na Alasce potrafią unikać śnieżnych pułapek. Myślę, że te zdjęcia nie są do naszego bloga, tylko do twojej pracy. I że opowiesz mi o wszystkim, jak już się zobaczymy.

Ale i tak chcę prowadzić naszego bloga, bo kiedy to robię, to jest tak, jakbyś był ze mną.

I zobaczymy wilki, prawda? Takie, które są żywe i mają gęste białe futro. Więc napiszę o tym teraz, o wilkach, które razem kiedyś zobaczymy).

Yasmin usłyszała w CB brzmienie swego imienia.

— Okej, Yasmin, założę się, że słuchasz w tej chwili radia.

Włączyła je piętnaście minut wcześniej, spragniona towarzystwa ludzkich głosów. Zwiększyła moc odbiornika. To był Coby.

— Jeśli słyszałaś mnie już z tuzin razy, to przepraszam, że się powtarzam. I każdy, dosłownie każdy, kto mi teraz przerwie, bo ma serdecznie dosyć, pogada sobie ze mną w Coldfoot.

Wydawało się, że szalejąca na zewnątrz burza jest spokojniejsza.

— Dobra. Jest więc z tobą córka — ciągnął Coby i z pewnością musiał nią za to pogardzać, ale ton jego głosu wciąż był serdeczny. — Musimy się nią zająć, zgadza się? Pilnuj, żeby tobie i jej było ciepło, wtedy przetrwacie tę burzę. Rozmawiałem z chłopakami w Coldfoot i razem ułożyliśmy ściągę. Najważniejsze rzeczy, które trzeba zrobić.

Pomyślała, że jak już będzie po wszystkim, to bardzo jej się spodoba pomysł ze ściągą na temat przetrwania arktycznej burzy w samym środku tundry na Alasce. Słyszając Coby'ego, który z nią rozmawiał, wierzyła, że

nadejście czasu, kiedy to się już skończy.

— Po pierwsze — musisz włożyć każdą sztukę odzieży, którą masz pod ręką. Jeśli masz trzy czapki, to wkładasz trzy czapki, rozumiesz? Śpiwory, ręczniki, cokolwiek, bierzesz i owijasz się tym.

Miała wrażenie, że da jej na koniec złoty medal, i miała ochotę się pochwalić, że zrobiła dokładnie tak, jak jej kazał.

— Włączyłaś pewnie ogrzewanie na pełną moc? Ale musimy się upewnić, że z wydechu w twojej ciężarówce nie wydobywa się tlenek węgla.

Yasmin wiedziała, że ludzie uwięzieni w samochodach trują się czasem tlenkiem węgla z powodu śniegu blokującego rurę wydechową. Ale rura wydechowa w ciężarówce znajdowała się bardzo wysoko, więc nic takiego jej nie groziło.

— Możesz zobaczyć, co wychodzi z twojej rury wydechowej? — spytał Coby. — Jeśli tak, to czy wygląda to dziwnie, jak gęsty skłębiony dym? To by znaczyło, że coś jest uszkodzone.

A więc to awaria, nie zablokowanie wydechu, byłaby problemem. Ale w żaden sposób nie mogła dojrzeć w tej ciemności i śnieżycy wylotu rury wydechowej. Nawet gdyby jej się udało, powiewy wiatru od razu rozpraszająby spaliny.

— Domyślam się, że wiatr rozwiewa dym, ale nim zaczęło wyc na całego, słyszałaś jakieś hałasy dochodzące z podwozia? Głośne stuki? Dziury w wydechu mogą dawać taki efekt.

Yasmin nie zarejestrowała żadnego dziwnego odgłosu, ale miała tyle na głowie, że i tak by niczego nie usłyszała. Widziała lód wbity w opony, twardy jak żelazo i niszczycielski; mógł spowodować uszkodzenia w układzie wydechowym. I jeśli doszło do nich w części znajdującej się pod kabiną, to tlenek węgla mógł przedostawać się do jej wnętrza.

Zostawiła wcześniej włączone ogrzewanie, kiedy zasnęła po wyjeździe z Coldfoot, ale od tamtej pory ciężarówka dostała nieźle w kość.

Otuliła śpiworem Ruby, potem zgasiła silnik; ogrzewanie i oświetlenie wyłączyły się natychmiast.

— Założmy najgorszy scenariusz. Że doszło do awarii. Więc kiedy silnik będzie pracował, uchyl trochę szyby po obu stronach, żeby wpuścić świeże

powietrze i żeby nie zbierała się trucizna. Brady, który siedzi obok mnie, radzi, żeby uruchamiać silnik na dziesięć minut co godzina, więc sędzę, że będzie w porządku, jeśli popracuje przez pięć minut co pół godziny.

Spojrzała na zegar w laptopie Ruby, który był włączony i naładowany. Miała pół godziny przed ponownym uruchomieniem silnika.

— Adeeb ma w kabinie skrzynkę z narzędziami — ciągnął Coby, spokojnie i powoli. — Najprawdopodobniej w schowku między fotelami, jeśli jego kabina jest taka sama jak moja. W skrzynce trzyma na pewno nóż. Musisz rozciąć pokrowiec siedzeń i wyjąć izolację. Potem okryjcie się tym. Głowy też.

Yasmin zajrzała do schowka i znalazła nóż z wysuwającym ostrzem, grubą taśmę, śrubokręty i mały czekan. Wyjęła nóż.

— Nie wiem, czy słyszałaś tę wiadomość, jaką przekazała ci policja? — mówił dalej Coby. — Ale tak jak powiedzieli, nie wolno ci opuszczać kabiny, aż nie przestanie wiać. Nie rób tego pod żadnym pozorem. Zaczekaj chwilę, inni dorzucają coś od siebie.

Wyobraziła sobie tych kierowców siedzących wokół stołu w restauracji w Coldfoot, nad kubkami gorącej kawy, przytupujących, żeby ogrzać stopy, bo i tam pewnie było zimno. Nie wiedzieli, czy żyje, czy w ogóle tego słucha; wzruszało ją, że mimo wszystko starają się jej pomóc.

— Okej, słuchaj uważnie, Yasmin. To naprawdę ważne. Musisz zachować przytomność, bo trzeba pamiętać o wyłączeniu silnika i ogrzewania. Jeśli zaczniesz ci się robić zimno, ruszaj jak najmocniej rękami i nogami, żeby pobudzić krążenie. Wiem, że kabina nie jest duża, ale ruszaj się, ile tylko zdołasz.

Rozcięła siedzenie nożem. W środku była gąbka. Gdyby udało się jej zrobić dostatecznie duży otwór, to mogłaby wyjąć spory kawałek i owinać nim Ruby, zapewniając jej dodatkową warstwę izolacyjną.

— Gabe mówi, żeby przywiązać coś kolorowego do anteny, jak już będziesz mogła wyjść bezpiecznie na zewnątrz. Ale myślę, że ci w helikopterze będą cię widzieć dokładnie, tylko ty jesteś na drodze, więc tak bardzo się tym nie przejmuj.

Zamilkł na chwilę i Yasmin zaczęła się obawiać, że już go nie usłyszy.

— Wiem, że nie możesz odpowiadać — ciągnął Coby. — Myślisz, że jedzie za tobą jakiś psychol. Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale powiedzmy, że tak jest. Myślisz, że tak jest, więc okej. Nie chcesz odpowiadać ani niczego zdradzać, zgadza się? Więc będę robił swoje i udzielał ci lekcji, dopóki ta burza nie przeminie. Zrozumiałas? Dobrze.

Żałowała, że nie może mu podziękować.

Na zewnątrz było minus czterdzieści trzy stopnie. W środku wciąż dziesięć. Nie wiedziała, jak szybko spadnie temperatura w kabinie. Gdyby zrobiło się bardzo zimno, zamierzała obudzić Ruby, kazać jej się ruszać i pobudzać krążenie.

Ruby przysunęła się do niej w ciemności, a Yasmin czytała dalej to, co jej córka napisała na blogu.

Wiem, że wielu ludzi boi się wilków, ponieważ uważają, że są one jak ten w *Czerwonym Kapturku* — paskudne zwierzęta, które lubią zabijać inne stworzenia. Albo że wilki wydają przerażające dźwięki. Ale wilki wcale takie nie są, zwłaszcza te tundrowe. Są naprawdę piękne z tym swoim gęstym futrem, które chroni je przed zimnem. I wilki tundrowe nie są takie duże. Myślę, że ludziom najmniej podoba się to, że wilki są w stadzie i że osaczają zwierzynę, na przykład stado pizmowotów, a potem odciągają małego i go zabijają. Ale wilki są znacznie mniejsze od pizmowotów, więc muszą robić to jako wataha. I muszą jeść, bo inaczej by umarły. I nie mają dość siły i energii, żeby ścigać inne zwierzęta, bo zachowanie ciepła na Alasce jest najważniejsze, więc tropią zwierzę, którego schwytanie pochłania najmniej energii.

Tak czy owak, jemy jagnięta, prawda? Nikt nie chce jeść starego barana. Choć nie wydaje mi się, by wilk przejmował się bardzo tym, jak smakuje pizmowot.

Yasmin potrafiła sobie wyobrazić, jak Matt się uśmiecha, czytając to, i jaką radość sprawiłby mu ten blog. I Ruby pisała o wilkach, odnajdując sens w tym, ile energii poświęca się na przetrwanie.

Wydawało jej się, że kiedy Ruby siedzi ze swoim laptopem, to jest samotna, że opuszcza świat rzeczywisty, żeby wejść w cyberprzestrzeń zamieszkaną przez obcych; nie uświadamiała sobie, że mogą tam istnieć intymne światy.

Przypomniała sobie Szkocję, swoją wściekłość na myśl, że Ruby będzie prowadzić bloga; nie rozumiała, że chodzi o Matta i Ruby, że jest to miejsce, w którym mogą się spotykać i być blisko siebie. Jedno z wielu miejsc. I sama mogła — powinna — znaleźć jakieś miejsce, żeby być razem z Ruby.

Była jeszcze jedna strona na blogu. Wydawało jej się, że kiedy Ruby zobaczyła martwe szczenię lisa polarnego, jego uroczy pyszczek zbryzgany krwią, to zrozumiała w końcu, że zdjęcia nie pochodzą od jej ojca, i przerwała pisanie.

Temperatura w kabinie spadała szybko. Zdjęła rękawicę z prawej dłoni i dotknęła twarzy Ruby, tak jak robiła to bezustannie, kiedy córka była chora. Czoło miała ciepłe; pomyślała, że pozwoli jej jeszcze spać przez chwilę. Potem przeczytała ostatnią stronę.

(Widziałam dziś coś superniesamowitego, tato! Chcę, żeby ten blog dotyczył najbardziej zdumiewających rzeczy na Alasce i mam nadzieję, że to okej. Nie mam zdjęcia, ale może uda się nam je zrobić, kiedy będziesz z nami).

Widziałam trzy księżyce!

Słowo daję!

Był ten, co zwykle, i dwa inne, po obu stronach, i są zwane księżycami pobocznymi. Mama powiedziała mi o nich wszystko. Ich właściwa nazwa to paraselenae. Powstają za sprawą światła, które odbija się od kryształków lodu. Są piękne. Trzy księżyce wyglądały tak, jakby dzieliły pomiędzy siebie niebo.

W kabinie było ponad minus dwa, na zewnątrz minus czterdzieści trzy. Pozostało jeszcze piętnaście minut do uruchomienia silnika i ogrzewania.

Otworzyła nowy dokument na laptopie Ruby i wpisała:



Widać nasze oddechy, są jak dym. Ubrania pana Aziziego nie mają już cytrynowego zapachu, nie pachną już niczym; zabił to mróz.

Wiatr kołysze naszą ciężarówką jak pancernikiem na wzburzonym morzu.

Mama jest teraz mamą sierżantem i mówi, że musimy włożyć wszystkie rzeczy — WSZYSTKIE, Ruby. Więc wyciągamy nawet nasze ręczniki do twarzy i wkładamy je do naszych czapek, żeby była dodatkowa warstwa, a kiedy znów się zrobi ciepło, moje włosy będą pachnieć pastą do zębów. W szkole pozwolili mi wyjechać podczas semestru, pod warunkiem że przyniosę wszystkie prace domowe, a teraz wydzieram strony z zeszytów, żeby zrobić z nich kolejną warstwę. Będzie to najlepsze w świecie usprawiedliwienie — MUSIAŁAM podrzeć prace domowe, bo inaczej mogłam doznać hipotermii!

Włożyłam mapę pana Aziziego pod polar, bardzo ostrożnie, bo jest na niej zaznaczone Anaktue, a tam jest tata, więc nie chcemy jej podrzeć.

Mama sprawdza termometr. Tutaj jest minus sześć stopni, a na dworze minus czterdzieści cztery. Pali się małe światełko w kabinie i na Voice Magic. A mama i ja włożyłyśmy specjalne rękawice, które dał nam tata, więc wciąż możemy rozmawiać na migi. Bałabym się, gdybyśmy nie mogły ze sobą rozmawiać.

Mama mówi, że według niej jesteśmy w samym oku burzy. Wyglądam przez przednią szybę, żeby sprawdzić, czy nie obserwuje nas złe oko, jak Sauron we *Władcy pierścieni*, ale widać tylko odbicie naszych twarzy. Choć nie wyglądają jak nasze twarze, bo mamy gogle i kominiarki, a na głowie mnóstwo czapek.

Przytupujemy teraz i machamy rękami, a mama mówi, że musimy też zachować CZUJNOŚĆ. Mówi, że zadaniem każdej z nas jest pilnować, by druga nie zasnęła. Więc będziemy sobie opowiadać ciekawe rzeczy. Ja zacznę, ale nie wiem, co mamie powiedzieć. Widzi chyba, że nie wiem.

— Możesz mi opowiedzieć tę historię o inuickim myśliwym na lodowym morzu? — pyta.

Chciałam jej to opowiedzieć wieki temu, kiedy jeszcze jechałyśmy

z panem Azizim, bo to naprawdę taka zabawna historia i myślałam, że ją rozbawi. Ale wtedy uważała, że nie jest interesująca.

— Na pewno? — pytam.

— Oczywiście — mówi i widzę, że uśmiecha się promiennie pod kominiarką, jak to mama.

— Okej. Pewien myśliwy siedział sam obok przerębli na lodowym morzu — mówię. — Łód wyglądał jak część lądu, bo był bardzo, bardzo gruby.

Kiwa głową, zachęcając mnie, żebym mówiła dalej, jakby naprawdę była zadowolona.

— Musiał siedzieć nieruchomo. Przez godziny, godziny i godziny. Wiatr nasilał się coraz bardziej, chyba tak jak teraz, i oderwał kawałek lodu od lądu, a ta kra popłynęła na morze. Trzeba wspomnieć, że myśliwy nie wiedział nawet, że łód, na którym siedzi, się oderwał. Nie wiedział, że między nim a brzegiem jest głębia. I zaniósł tego biednego myśliwego na krze daleko w morze. Tata powiedział, że taki myśliwy nieraz topił się albo zamarzał na śmierć. Ale jego rodzina zawsze robiła sobie nadzieję, że wróci.

Tak powiedział tata — robić sobie nadzieję. Ale myślę, że powinno TRZYMAĆ się nadziei, bo nadzieja to taka ciepła rzecz, którą chce się mieć blisko siebie.

— Ruby? Powiedziałaś, że rodzina robiła sobie nadzieję?

Martwi się, że nie jestem CZUJNA, ale ja właśnie myślę o nadziei.

— Tak. Bo to był *isiqsuruk*... — Pokazuję na palcach „*isiqsuruk*”. — Co oznacza: silny i wytrzymały myśliwy. Dotarł na krze aż do samej Syberii. A następnej zimy wrócił do domu i rodziny po zamrzniętym morzu.

Mama uśmiecha się do mnie, ale widzę przez gogle łzy w jej oczach i myślę, że łzy ranią, bo jej oczy są bardziej czerwone.

— To wspaniała opowieść, Ruby.

Też tak myślę, ale wolałabym, żeby opowiedział jej to tata, bo opowiada o wiele lepiej ode mnie.

Przytupujemy stopami w wielkich butach, które są ciasne, bo włożyłyśmy tak dużo skarpet, i udajemy, że maszerujemy na paradzie przed pałacem Buckingham, a turyści robią zdjęcia, i wyobrażam sobie, że przed tym pałacem jest mnóstwo śniegu, a żołnierze w niedźwiedzich czapach

przestają maszerować i zaczynają bitwę na śnieżki, więc biegnę w miejscu i udaję, że też rzucam śnieżkami. Mama mówi, że świetnie mi idzie. Jest jej trudniej niż mnie, bo musi się przygarbić, kiedy maszeruje na niby i rzuca śnieżkami.

Termometr pana Aziziego wskazuje ponad minus osiem w kabinie i minus czterdzieści pięć na zewnątrz.

Teraz podskakuję, i mama też, choć to takie przygarbione skoki, i machamy rękami, jakby ktoś, kogo dobrze znamy, wygrywał wyścig, a my go dopingujemy, i ustalamy, że to Bosley podczas psiej gonitwy, choć Bosley podbiegłby do tłumu, merdając ogonem, i prosił, żeby go pogłaskać. Nasze ręce zderzają się ze sobą, więc nie możemy machać jak należy.

Mama mówi, że jestem jak ten człowiek z chorągiewkami na lotniskach, co to pokazuje samolotom, gdzie zaparkować, i że mam do czynienia z jumbo jetem, którego pilot jest krótkowzroczny, więc muszę machać rękami superszeroko.

— Powiedziałaś panu Aziziemu, że lubisz muzykę? — mówi i pokazuje na palcach „Brahms”.

Nie wiedziałam, że słuchała, kiedy rozmawiałam z panem Azizim.

— W jego symfonii jest pancernik w sztormie — mówię, a mama się uśmiecha. Myślę, że mama też by chciała, żebyśmy były w środku muzyki.

— Jaką muzykę jeszcze lubisz? — pyta.

Ale to jej kolej, żeby powiedzieć mi coś ciekawego.

— Proszę, Ruby, tak chciałabym wiedzieć.

— Lubię też pop — mówię. — Najbardziej Beatlesów, bo w ich piosenkach są obrazki.

— *Yellow Submarine*? — pyta mama. — Uwielbiam to.

— Tak, i jeszcze *Octopus's Garden*. Najbardziej lubię *Lucy in the Sky with Diamonds*. I lubię piosenkę Rihanny o diamentach i gwiazdzie.

Pokazywanie na palcach męczy, jakby moje ręce ukończyły właśnie długi bieg. Nie widać już w szybie naszych twarzy. Od środka pokrywa ją lód i tworzy koliste wzory. W niektórych miejscach jest grubszy niż w innych.

— Ruby? Rozmawiamy o muzyce?

— Czasem lubię do niej tańczyć — mówię. — Jeśli muzyka gra

dostatecznie głośno.

Posługuję się amerykańskim znakiem „tańca”, robiąc z lewej ręki parkiet i tańcząc na nim dwoma palcami prawej.

Patrzę na mamę i widzę po jej oczach ukrytych za goglami, że cieszy się z tego, i żałuję, że nie powiedziałam jej wcześniej.

— Wyczuwam muzykę na podłodze, tak jakby, jeśli nie ma dywanu, a potem czuję ją w sobie. I mogę naśladować inną osobę, która tańczy, a jak jeszcze pokazuje słowa, to też jest bardzo dobrze.

Jimmy powiedział, że jestem superniesamowitą ekstratancerką („ekstra” było naszym słowem tamtego tygodnia i uważaliśmy, że jest słowem jak hipis we fioletowych dzwonach).

— Gdzie tańczysz? — pyta mama. Naprawdę chciała, żebym chodziła na lekcje baletu w szkole, ale nie lubię baletu.

— U Jimmy’ego — mówię. — Jego matka zawsze wrzeszczy, żeby ściszył muzykę, ale nie słucha.

Powiedziała, że muzyka jest ogłuszająca!, co ja i Jimmy uznaliśmy za bardzo zabawne.

— Brawa dla Jimmy’ego — mówi mama. — Mam wspaniały pomysł. Możemy zatańczyć!

Powietrze kłuje, kiedy się oddycha, jakby się wdychało mrówki siafu z ich ostrymi szczypcami. Myślę, że gdyby się dotknęło kłamki bez rękawiczki na dłoni, to skóra by do niej przywarła.

— Zaśpiewam — mówi mama. — Rihanna!

Krzywię się, choć nie może tego zobaczyć, bo mam kominiarkę na twarzy. Ale wie, że się domyślam, że żartuje sobie ze mnie.

— Będę więc Johnem Lennonem, nie Rihanną — mówi, a jej oczy za goglami wciąż są roześmiane.

Ściąga maskę, żebym mogła czytać z jej warg, jak śpiewa *Lucy in the Sky with Diamonds* i pokazuje jednocześnie. Tata mówi, że śpiewanie jest cudowne ze względu na dźwięk, nawet jeśli nie rozumie się słów. I myślę, że pokazywanie też takie jest. Piękne samo w sobie.

Śpiewanie i pokazywanie są podobne.

Mama pokazuje i śpiewa o drzewach mandarynkowych i marmoladowych

niebiosach. I dobrze jest o nich myśleć, bo przestaje się myśleć o zimnie i własnym strachu.

Słowa mamy to małe kłęby bieli i jest śmieszne, że słowa tak wyglądają; jakby się widziało, że są zrobione z oddechu. Zastanawiam się, czy każde słowo ma swój własny specjalny kształt. Terapeuci mowy opowiadali mi o dźwiękach oddechowych, a teraz je widzę. Może, jakbyśmy mieszkali w jakimś zimnym miejscu, nauczyłabym się odczytywać w powietrzu słowa-kształty.

Mama pokazuje teraz piosenkę Rihanny o diamentowych gwiazdach. Obie mamy ochotę chichotać, kiedy pokazuje spadającą gwiazdę. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam, ale mama w ostatnim semestrze opowiadała mi o seksie, ponieważ idę do szkoły średniej i powinnam wiedzieć o pewnych rzeczach. Powiedziała, że znak dla „gwiazdy” jest bardzo podobny do znaku dla „waginy”, więc trzeba bardzo uważać, kiedy pokazuje się „gwiazdę”. Potem obie śmiałyśmy się bez końca, a ona powiedziała jeszcze, że według niej „gwiazda” to bardzo miła nazwa dla waginy. Więc kiedy w piosence Rihanny pokazuje „gwiazdę”, śmiejemy się, ale to boli, bo te mrówki siafu gryzą w środku.

Mama mówi, że nie ma czegoś takiego jak spadająca gwiazda. To tak naprawdę drobny pył i kamyki, które wlatują w atmosferę ziemską, a potem się spalają. Myślę, że byłaby to jeszcze lepsza piosenka, bo to jest naprawdę ekscytujące, no i nie trzeba by się martwić o to nieporozumienie, spadającą gwiazdę/waginę.

Nie tańczymy tak naprawdę, poruszamy się tylko, jak się da, i udajemy, że tańczymy. Potem mama przestaje śpiewać i tańczyć, a jej oczy pod goglami nie marszczą się od uśmiechu.

— Nie spędzasz już tak dużo czasu z Jimmym? — pyta.

Jest taka piosenka, którą śpiewali w szkole:

*Jimmy i Ruby,
Siedzą na drzewie,
I się całują
Jak ptaszki na niebie*

„Drzewie” i „niebie” się rymuje, powiedzieli.

Nie ma drzewa na naszym podwórku szkolnym. Gdyby było, WSPIĘŁABYM się na nie z Jimmym albo rozbiła obóz.

To beznadziejna, tandetna piosenka.

— Ruby...? — pyta mama.

*

Yasmin czekała, aż Ruby odpowie, ale córka nie zrobiła tego. Matt powiedział jej, że Jimmy i Ruby nie są już tak zaprzyjaźnieni; martwiła się tym ze względu na Ruby, ale sądziła, że zachęci ją to do szukania nowych znajomych.

Siedząca obok Ruby nawet nie drgnęła. Yasmin wyczuwała w jej sztywnym, nieruchomym ciele straszliwą samotność.

— No dobrze, Ruby, tańczymy dalej!

Nie powinna była pytać o Jimmy’ego. Trzeba było zmuszać ją do ruchu. Gdyby tylko mogły chodzić, biegać, skakać naprawdę, ale tkwiły uwięzione w tej małej i lodowatej kabinie, czekając, aż burza zelżeje. Wciąż miała opuszczoną kominiarkę, żeby Ruby widziała jej wargi, tak samo jak palce; starała się za wszelką cenę sprawić, by Ruby skupiała się i zachowywała przytomność.

Termometr wskazywał teraz minus dwanaście stopni w kabinie, a na zewnątrz minus czterdzieści pięć i pół stopnia. Musiała odczekać jeszcze osiem minut przed uruchomieniem silnika, ale nie wiedziała, czy Ruby zdoła tak długo wytrzymać.

*

Coraz trudniej oddychać, moje płuca napęlniają się mrówkami i nie ma już miejsca na powietrze. Pojawia się potwór stworzony z zimna, twardy jak brzeg krawężnika, i zmierza po ciemku w naszą stronę, i przedziera się przez szybę i drzwi, i okna, a jedyną bronią przeciwko niemu jest ciepło, ale

nie mamy ciepła. Próbuję tańczyć, żeby potwór odszedł, i trzymam mamę za rękę, ale nie mogę tańczyć; moje nogi nie chcą się poruszać. Potwór przysuwa się do mnie bliżej i pokazuje zęby, całe rzędy zębów ostrych jak brzytwa, i chce mnie pociąć na małe kawałeczki, i pokazuję mamie: „Pomóż mi!”, a ona włącza silnik. Od razu.

*

Ogrzewanie jest włączone od trzech minut i mama zapaliła główne światło. Mój laptop się ładuje. Szyby muszą być spuszczone, ale tylko trochę. Lód na szybie jest wciąż gruby i tworzy koliste wzory. Widzi się własny oddech, ale powietrze nie kłuje tak bardzo, kiedy się je wciąga w płuca, i potwór odpełził odrobinę, ale nas obserwuje, tuż obok, w ciemności. Mama otwiera stronę na moim blogu, a ja chcę, żeby ją zamknęła.

— Ile jeszcze mamy czasu? — pytam mamę.

— Dwie minuty.

Próbuję nie bać się tego, co będzie, kiedy ogrzewanie znów zostanie wyłączone.

— To wspaniały blog, Ruby. Czytałam go, kiedy spałaś.

Kręcę głową i jestem zła. Byłam głupia, myśląc, że te mejle są od taty.

— Coś ci napisałam. To nie tekst. Po prostu coś ciekawego.

Patrzę na laptopa, włączam blog i widzę, że napisała „.” I że znajduje się na osobnej stronie.

— Co to jest?

— Powiem ci za chwilę. Jak będę opowiadać tę moją ciekawą historię.

Minuta upłynęła i potwór znów się skrada, drapiąc pazurami w szybę, i czeka, żeby dostać się do środka, a mama wie o tym, bo bierze mnie za rękę i ściska mi dłoń. A potem puszcza, żeby mi powiedzieć:

— Ta burza się skończy. I wszystko znów będzie dobrze.

Próbuję być taka jak ona i się nie bać.

— Muszę znowu wyłączyć ogrzewanie. Przykro mi.

*

Kabina ogrzała się do minus dwóch stopni przy pracującym silniku; temperatura nie doszła nawet do zera i znów miała spaść. Yasmin bała się, że tym razem spadnie jeszcze bardziej.

— Okej, skierowałaś już samolot na właściwe miejsce, to powiem ci teraz coś interesującego.

— O tej kropce? — Ruchy dłoni i palców Ruby były powolne.

— Tak.

Ruby wstała, z trudem utrzymując równowagę; nie ogrzała się dostatecznie. Yasmin wiedziała, że trzeba będzie niebawem uruchomić silnik, ale tym razem postanowiła utrzymywać go na chodzie jak najdłużej.

*

— Gdybyś wydrukowała tę stronę z laptopa — mówi mama — to biały papier byłby kosmosem, a ta kropka miałaby wielkość Ziemi.

Patrzę na . i myślę o mamie, o sobie i tacie, żyjących na . i o tym, jak byśmy się zmieścili.

— To nie jest zbyt dokładne — mówi mama. — Kropka powinna znajdować się w książce pełnej czystych kartek. I nie tylko w jednej, ale w setkach tysięcy książek w tysiącach bibliotek.

Patrzę na . . Jesteśmy tacy maciupęncy. Jakbyśmy nic nie znaczyli.

Mama się uśmiecha.

— A wiesz, co jest zdumiewające? — pyta, a ja kręcę głową. — Że w ogóle istnieje ta kropka! Że istnieje ta niezwykła planeta Ziemia, z wodą i atmosferą, które podtrzymują życie. I jesteśmy tutaj. Jakie jest w tym wypadku prawdopodobieństwo, Ruby?

Próbuję się uśmiechnąć do mamy, ale krzywienie warg jest takie męczące.

— Machaj rękami — mówi mama.

Nie mogę nimi machać. Mój jumbo jet roztrzaska się o sąsiedni samolot.

— Opowiedz mi o wizycie w szkole dla niesłyszących — prosi mama.

Wie, że to coś, co mnie rozbudzi. Ale chciałabym, żeby powiedziała mi więcej o naszej kropkowej planecie. I to jej kolej, żeby mówić mi interesujące rzeczy.

— Naprawdę chciałabym o tym usłyszeć.

*

Yasmin przypomniała sobie, jak Ruby i Matt wrócili do domu. Ruby powiedziała: „To była tylko szkoła, mamo”, a ona odczuła ulgę, że Ruby nie prosi, by ją tam posłano.

Ale „to tylko szkoła, mamo” było niezwykle. Jej szkoła integracyjna oznaczała samotność, wyczerpanie, niejednokrotnie okrucieństwo. Nigdy nie oznaczała „tylko” szkoły.

Ruby pokazywała coś na palcach, ale jej ruchy były niezborne i Yasmin nie mogła jej zrozumieć.

*

Chcę powiedzieć mamie, że nie jestem głuchą dziewczynką, że jestem Ruby. Ale kiedy próbuję pokazać słowa, moje palce nie pracują właściwie. Chcę jej powiedzieć, że w szkole dla niesłyszących można być dobrym w strojeniu głupich min albo beznadziejnym w matematyce, ale myśleć o genialnych zabawach podczas przerwy i opowiadać ogromniaste kłamstwa, które są śmieszne, więc nikt się nimi nie przejmuje i wszyscy chwytają od razu twoje żarty, i rozumieją cię, i poznają lepiej. A nawet jeśli nie od razu, to z czasem tak. A najlepsze jest to, że jeśli ludzie niewłaściwie o tobie myślą, to można to zmienić. Dziewczęta w tej szkole też pewnie lubią koniki i kotki bardziej niż wydry kanadyjskie, ale mogę im powiedzieć, dlaczego wydry kanadyjskie są superniesamowite.

Moje myśli są jak ten udawany mały królik, który pędzi po torze wyścigowym, a moje palce są chartami, które próbują złapać myśli i przemienić je w słowa, ale są zbyt powolne, więc niczego nie mogę mamie

pokazać.

Czuję, jak ten królik zwalnia coraz bardziej, a potem się kładzie. Jestem atakowana przez sen i wiem, że powinnam POZOSTAĆ PRZYTOMNA, RUBY, ale sen będzie ciepły. Cięży mi głowa, jakby zamontowana na sprężynie; jakbym cała składała się z głowy, a reszta była zrobiona z gumy.

Mama klepie mnie i pokazuje na palcach: RUBY, NIE WOLNO CI ZASNAĆ!

On jest tuż za mną. Nogi mam zbyt ociążałe, żeby się ruszyć. Nie mogę uciec. Potwór zaciska szczęki wokół mojej twarzy, moich rąk i nóg, a jego ostre jak brzytwa zęby wgryzają się w każdą moją cząstkę.

*

Ruby traciła przytomność. Yasmin zaczęła pospiesznie grzebać przy stacyjce i uruchomiła silnik. Istniało ryzyko zatrucia tlenkiem węgla, ale Ruby mogła umrzeć z powodu hipotermii, gdyby nie udało jej się ogrzać. Temperatura w kabinie ciężarówki spadła do minus piętnastu i pół stopnia, na zewnątrz do ponad minus czterdziestu ośmiu. Ruby była nieprzytomna.

*

Ogrzewanie było włączone od dziesięciu minut. Yasmin zdjęła Ruby kominiarkę i zobaczyła, jak blada jest jej córka. Przysunęła usta do jej twarzy i tchnęła ciepłym powietrzem swego ciała na zimną skórę. Żałowała, że nie może krzyknąć i obudzić jej falami dźwiękowymi uderzającymi w bębniuszki uszne, które znajdowały się tak blisko nieświadomego umysłu. Mogła jednak posługiwać się tylko dotykiem. I nie potrafiła jej obudzić.

Jak mogła zrobić jej coś takiego? Nie była już w stanie przypomnieć sobie tych wszystkich kroków i decyzji, które doprowadziły do tego, że Ruby leżała teraz obok niej nieprzytomna. Nie pamiętała już powodów i usprawiedliwień. Nie mogła jednak marnować energii na nienawiść do samej siebie. Jeszcze nie. Musiała ratować Ruby przed śmiercią.

Wiedziała, co ma zrobić, ale nie była pewna, skąd to wie, nie była przekonana, czy pamięta dokładnie. Przeczyło to intuicji, ale rozebrała się, palce miała nieporadne i obolałe. Ciepłe powietrze z nawiewu zdarło z niej warstwę odrętwienia i teraz zimno odzierało z niej skórę do żywego. Zdjęła też ubranie z Ruby, starając się nie uwalniać jej ze śpiwora; zostawiła jej kominiarkę na twarzy i czapkę na głowie. Potem sama wsunęła się do śpiwora. Ruby wydawała się mniejsza i lżejsza, jakby oziębienie pozbawiło ją ciężaru.

Ruby drżała gwałtownie, kiedy Yasmin ją obejmowała. Czuła, jak jej własne ciało się ochładza, i miała nadzieję, że dzieli się swym ciepłem z córką.

Wcześniej widziała chłód jako drapieżnika stworzonego z ciemności, jako żywą istotę. Teraz jednak wydawał jej się nieskończenie, okrutnie bezosobowy — zamarznięta ciemność, wchłaniająca w siebie człowieka. Czuła, jak wypełnia jej puste zakątki, jak osadza się pod postacią lodowatego szpiku w jej kościach, a potem wszelka świadomość wyciekła z niej wprost w arktyczną czern.

ROZDZIAŁ 17

Ruby już nie drżała. Yasmin doznała najczystszej przerażenia. Po chwili usłyszała oddech Ruby, równy i miarowy, i poczuła ciepło jej skóry. Termometr wskazywał, że temperatura w kabinie wozu wzrosła do jedenastu stopni. Na zewnątrz było minus dwadzieścia sześć.

Spała niemal dwie godziny przy uruchomionym silniku i włączonym ogrzewaniu. Dzięki Bogu, nie doszło do awarii układu wydechowego pod kabiną; do środka nie przeniknął tlenek węgla. Z pewnością zasługiwały na ten łut szczęścia. Lód po wewnętrznej stronie przedniej szyby zaczął się roztopiać, tworząc małe kałuże.

*

Mama budzi mnie i uśmiecha się, a ja czuję się szczęśliwa, choć nie wiem dlaczego.

Burza przeszła! NIE JEST JUŻ ZIMNO! Potwór lodowy leży roztopiony na całej desce rozdzielczej, a ja nalewam mamie bąbelkowego szampana, wyciągam petardy i czuję się żywa, aż mnie mrowi, jakby każda komórka mojego ciała była żywa, jakby wiwatowała i strzelała petardami przez okno, prosto w śnieg.

Kabina już się nie kołysze, ani odrobinę. Wszystko znów pachnie; moje włosy pachną pastą do zębów! Mama pokazuje mi na migi, że policja przybędzie wkrótce.

— I każesz im zabrać tatę ich cholernym helikopterem? — pytam.

Mama mówi: absolutnie! i mówi, żebym nie przeklinała i włożyła na siebie ubranie. Powinnam czuć się dziwnie, że nie mam niczego na sobie, ale tak nie jest.

Mówi, że jestem jej dzielną dziewczynką.

*

Kiedy zatrzymały się w tym miejscu podczas burzy, Yasmin była w stanie widzieć tylko na kilka metrów; teraz blask reflektorów ujawniał pokryty śniegiem bezmiar aż do granicy światła, a dalej sięgający w ciemność, po Ocean Arktyczny. Wiedziała już, że są tam zwierzęta i ptaki, które potrafią przetrwać w zimnie i mroku, a świadomość, że są obecne, łagodziła jałową surowość krajobrazu i nadawała mu pulsujące ciepło.

— A jeśli trudno będzie uprowadzić helikopter policyjny, żeby dotrzeć do taty? — spytała Ruby.

— Chyba nie trzeba będzie porywać śmigłowca. Myślę, że zasłużyliśmy na ich szacunek, pokonując góry, unikając lawiny i przeżywając arktyczną burzę w samym środku tundry. Teraz nas wysłuchają.

— Tak — odparła ze śmiechem Ruby.

Yasmin była przekonana, że policja uwierzy jej też w historię z cysterną, bo przecież nikt nie przejechałby przez przełęcz Atigun przy takiej pogodzie z powodu jakiegoś urojenia.

— A jeśli pomyślą, że spadliśmy w przepaść? — spytała Ruby.

— Bo wyrzuciłyśmy przez okno ubrania pana Aziziego i zostawiłyśmy te ślady? Śnieg na pewno je zasypał razem z ubraniami, zanim skończyła się burza. Policja wkrótce nas znajdzie.

*

Przez chwilę nic nie mówimy, czujemy się tylko szczęśliwe i jest nam ciepło, a potem mama pokazuje:

— Dlaczego nie lubisz mówić ustami?

Boję się, że mnie beszta; że zawiodłam, jak zawsze. Ale nie robi tego. Widzę to. Naprawdę chce wiedzieć.

— Kiedy pokazuję albo piszę, widzę te same słowa, które widzi osoba,

z którą rozmawiam — mówię mamie. — Tak jak teraz. Widzę swoje ręce i ty widzisz moje ręce, i widzimy razem słowa. Ale jeśli mówię ustami, to tylko słuchająca osoba słyszy moje słowa. Ja nie. — Przystaję mówić, bo jestem do niczego, lecz po chwili dodaję: — Boję się, kiedy mówię swoim głosem.

Mama mnie nie obejmuje, i dobrze, bo nie chcę, żeby mnie obejmowała. Patrzy na mnie naprawdę poważnie, jakby chciała wiedzieć jeszcze więcej.

— To tak, jakby mnie już nie było — mówię. — Kiedy mówię własnym głosem, znikam.

Mama kiwa głową. Widzę, że rozumie.

*

Yasmin przypomniła sobie, jak w burzy nawoływała Matta. Ale choć jej wargi i język przybierały odpowiedni kształt, a płuca wyrzucały z siebie oddech tak głośno, jak było to tylko możliwe, jego wykrzyczane imię zmiotł wiatr o sile huraganu, i sama nie wiedziała, czy z jej ust dobiegł się jakikolwiek dźwięk. Czowała się dezorientowana i odsłonięta, jakby utworzyła wokół siebie próżnię.

Bez względu na to, ile powietrza dobyłaby ze swoich płuc Ruby, jak doskonale byłyby ruchy i koordynacja jej języka, warg i podniebienia, i tak nie słyszałaby własnego głosu, a świat wokół niej by milczał. Od chwili, gdy ukończyła trzy lata, chciała, żeby w każdym pokoju znajdowało się lustro. Yasmin rozumiała teraz to pragnienie potwierdzania własnej obecności w jakimkolwiek miejscu.

Włożyły odzież termoizolacyjną, nim wysiadły z kabiny. Nie panował już zabójczy chłód burzy, ale było minus dwadzieścia pięć stopni i wciąż panowała ciemność.

*

Wyszliśmy z kabiny i jesteśmy supersztywne, jak lalki zapakowane w zbyt ciasne pudełko. Jestem pewna, że tata robi to samo, co my, bo *aputiak* też nie

jest za duży, więc przeciąga się i przytupuje. Wypatruję zwierząt, ale niewiele mogę zobaczyć w tej ciemności. I nie chcę wypatrywać za mocno, bo boję się, że zobaczę człowieka, który zabija zwierzęta, choć nie przesłał nam niczego od bardzo dawna i mama mówi, że chyba zrezygnował. Zresztą i tak policja niedługo tu będzie.

Mama klepie mnie lekko w ramię. Jej dłonie w świetle płynącym z kabiny kazały mi spojrzeć w górę.

TO SUPER, NIESAMOWICIE, EKSTRA, CZADOWO PIĘKNE!!! Nad nami świecą niezliczone gwiazdy i gdziekolwiek się spojrzy, dach i ściany nieba migoczą i błyszczą. Nie tak jak w domu, kiedy widzi się gwiazdy, bo tu jest tak ciemno. Ciemno wszędzie, gdzie tylko się spojrzy. Czarno, czarno, czarno. Ale na ogromniastym niebie są diamenty i punkciki laserów, i tysiące kawałeczków światła słonecznego, schwytanych i uwięzionych. Jak cekiny na aksamicie i światło załamujące się na szkłe. I są magiczne, i są prawdziwe!

Mama patrzy w górę, z odchyloną głową, i wiem, co myśli:

SUPER, NIESAMOWICIE, EKSTRA, CZADOWO PIĘKNE!!!

*

Yasmin nigdy nie widziała tak pięknego, nieskazitelnego i doskonałego nieba nocą; ani śladu ludzkich skażeń przyćmiewających światło, powietrze czyste jak lza. Podczas burzy czepiała się myśli, że Matt jest bezpieczny. Teraz, patrząc na ten niezwykły nocny firmament, jeszcze bardziej utwierdziła się w swoim przekonaniu. Przeżył, a policja miała go odnaleźć i potem znów byliby razem.

Szukała na niebie Polaris. Od trzynastego roku życia obserwowała nocne niebo, najpierw przez lornetkę, potem przez teleskop podczas wypraw do planetarium, i za każdym razem, by ustalić własne położenie w stosunku do gwiazd, lokalizowała Polaris, stałą Gwiazdę Polarną, wyznacznik północy. I czuła więź z żeglarzami i odkrywcami sprzed wieków, którzy nawigowali za pomocą tej właśnie gwiazdy.

Odszukała Polaris na niebie. Zrozumiała, że stoi na szczycie planety.

*

Wypatrujemy na niebie policyjnego helikoptera, a mama pokazuje mi tymczasem Wielki Wóz i tłumaczy, jak potem odnaleźć gwiazdę zwaną Polaris, która wyznacza północ.

— To jest to samo co Gwiazda Północna? — pytam.

— Tak. Jesteśmy na samym szczycie Ziemi, Ruby — mówi. — Świat obraca się wokół nas.

Śmieję się, a ona mówi:

— To prawda! Wyobraź sobie niewidzialny sznurek, który biegnie z kosmosu w dół, przecina miejsce, w którym stoimy, a potem przechodzi przez całą Ziemię i wychodzi na dole, to znaczy na biegunie południowym. Ziemia wiruje na tym sznurku, więc tak naprawdę wiruje wokół nas.

Strasznie mi się to podoba.

Wciąż spogląda w niebo, ale po chwili poważnieje.

— Muszę użyć twojego laptopa, okej?

Wchodzi do kabiny, a ja za nią, bo chcę jej powiedzieć coś, o czym może nie wie. Tata powiedział mi, że kiedy ptaki migrują, to wykorzystują do tego Gwiazdę Północną. Tak właśnie znajdują w ciemności drogę powrotną. Pisklęta obserwują w nocy gwiazdy, żeby się o nich uczyć. Słowo daję! Myślę, że mama i tata mogliby się podzielić notatkami na temat superniesamowitej Gwiazdy Północnej.

Otwiera laptopa i patrzy na zdjęcie biednego piźmowołu, całego poszarpanego, i teraz przewija w dół, do liczb: 68950119 149994621.

— Myślałam, że te liczby są powiązane z liczbami tematu, DSC, ale tak nie jest — mówi. — Przypuszczam, że liczby z DSC mają coś wspólnego z formatem pliku kamery, ale te dłuższe sekwencje cyfr to coś innego.

Musi widzieć, że nie rozumiem, bo porusza palcami bardzo uważnie.

— Dzielimy Ziemię na segmenty jak obraną mandarynkę — mówi. — A linie między segmentami są nazywane południkami. Wszystkie spotykają

się na biegunie północnym, bardzo blisko miejsca, w którym się teraz znajdujemy, i na biegunie południowym, po drugiej stronie, tam gdzie wychodzi kawałek niewidzialnego sznurka.

Otwiera zdjęcie biednych wilków. Widzę, że chce naprawdę szybko coś zrobić, ale powstrzymuje się, żeby rozmawiać ze mną swoimi dłońmi.

— I są niewidoczne kręgi, które biegną inaczej, jak hula-hoop wokół Ziemi, i są to równoleżniki. Jednym z bardzo ważnych hula-hoop jest północne koło podbiegunowe. Jego szerokość geograficzna to sześćdziesiąt sześć stopni pięćdziesiąt sześć minut, a potem są mniejsze liczby oznaczające sekundy, dwie piątki, jeśli dobrze pamiętam. Koło podbiegunowe południowe ma taką samą szerokość geograficzną, tyle że oznacza się ją literą S, jak *south*.

Wskazuje liczby pod zdjęciem wilków: 68945304 149992659.

— Jeśli postawić przecinek w pierwszym zestawie cyfr, to otrzymamy szerokość geograficzną, trochę na północ od kręgu polarnego.

Nie rozumiem, ale nie ma to większego znaczenia, bo jest tak, jakby mówiła sama do siebie za pomocą języka migowego. Tata też czasem tak robi, ale nigdy nie zauważyłam, by mama to robiła.

Pisze 68,945304.

— To samo zrobimy z drugim zestawem cyfr, dodamy tylko minus, bo jestem pewna, że chodzi o długość geograficzną na zachód od południka zerowego.

Pisze: —149,992659, a ja nie mam pojęcia, co robi. Potem otwiera każdy mejl po kolei i zapisuje wszystkie liczby na odwrocie mapy pana Aziziego; mówi, że moim zadaniem jest wypatrywanie helikoptera policyjnego.

*

Yasmin sądziła niegdyś, że długość i szerokość geograficzna, prócz tego, że stanowią pomysłowe i praktyczne narzędzie, potwierdzają prawo ludzkości do posiadania planety. Lubiła te globalne i niewidoczne oznaczenia o wiele bardziej niż arbitralne i krwawe linie wytyczane dla

każdego kraju. Te linie, wszechogarniające w swej naturze, ze swą bezstronną matematyczną logiką i naukową precyzją, sprawiały, że świat wydawał jej się znacznie bezpieczniejszym miejscem. Podobało jej się też, że owa historyczna metoda kartograficzna wykorzystywana jest każdego dnia w monotonii współczesnego życia, kiedy to ludzie w swoich samochodach posługują się GPS, nie uświadamiając sobie, że są bezpiecznie prowadzeni dzięki współrzędnym szerokości i długości geograficznej, wytyczanym za sprawą triangulacji sygnałów satelitarnych w przestrzeni kosmicznej.

Może właśnie dlatego, że kojarzyła je z bezpieczeństwem i porządkiem, nie uświadomiła sobie od razu, czym są te liczby. Ich zestawienie z groteskowymi zdjęciami stanowiło kamuflaż, dlatego ich charakter umknął jej ścisłemu umysłowi. A może po prostu te koszmarne obrazy przykuły bez reszty jej uwagę; była zbyt przerażona i zmęczona, by się zorientować, o co chodzi; do tego potrzebny był spokój i klarowność myśli.

Starając się zapanować nad sobą, weszła w Google Earth. Liczby określiłyby miejsce pobytu tego człowieka z dokładnością do kilkudziesięciu centymetrów. Miał niebawem zyskać fizyczną obecność w konkretnym miejscu, które znajdowało się gdzieś w ciemności.

Wpisała w polu wyszukiwania liczby znajdujące się pod zdjęciem zmasakrowanego wołu, dodając przecinek i znak ujemny: 68,950119, — 149,994621.

Na ekranie pojawił się glob, potem się obrócił, ukazując północną część planety — Rosję, Kanadę i Alaskę — potem została tylko Alaska, która zaczęła się przesuwac, by w końcu znieruchomieć.

To musiało być to miejsce, gdzie zabił i sfotografował pizmowołu arktycznego.

Umieściła ikonę pinezki tam, gdzie znajdował się wół, i przesunęła kursorem, szukając szczegółów.

Zobaczyła na mapie Anaktue.

Posługując się linijką, zmierzyła odległość między zabitym zwierzęciem i wioską. Wynosiła ona prawie trzynaście kilometrów.

Dlaczego podał jej lokalizację? Zrobił to z pewnością niechcący. Przyszło jej do głowy, że jego terminal satelitarny ma wbudowany GPS

i automatycznie załączył zdjęcie, a on się nie zorientował.

Wpisała w polu wyszukiwań liczby, które pojawiły się ze zdjęciem kruka: 69,051605, —150,116989.

Kruk znajdował się dokładnie w Anaktue. Czy Matt widział tego człowieka?

Nie mogła mieć pewności, że czas przesłania mejli odpowiada fizycznemu dystansowi, ale na takim pustkowiu musiały występować zakłócenia.

Wpisała liczby widniejące pod zdjęciem z wilkami: 68,945304, —149,992659.

Ponownie oznaczyła miejsce i dokonała pomiaru. Wilki znajdowały się w odległości zaledwie ośmiuset metrów od piżmowołu.

Wpisała liczby z ostatniego mejla, który otrzymała wraz ze zdjęciem liska polarnego: 68,733615, —149,695998.

Oddalił się od wilków na odległość prawie dwudziestu dziewięciu kilometrów, zmierzając w stronę przeciwną do Anaktue.

Zajrzała do poczty. Godzinę wcześniej, kiedy spały, przyszedł nowy mejl.

*

To zdjęcie było najgorsze. Rodzina wydr kanadyjskich. Matka, ojciec, trójka potomstwa. Wydry kanadyjskie są bardzo płochliwe, ale jak nikt ich nie widzi, to lubią się bawić, dorosłe także: w chowanego, w rzuć i złap, wszelkiego rodzaju zabawy. I są wspaniałymi pływakami, i budują superniesamowite zapory, z maciupenkimi otworami, żeby wchodzić i wychodzić i czuć się bezpiecznie.

Mama prosi mnie, żebym wprowadziła współrzędne do Google Earth. Chce chyba, żebym nie myślała o biednych wydrach, ale nawet jak nie patrzę na zdjęcie, to widzę je całkiem wyraźnie.

*

Yasmin wyszła z kabiny. Stojąc na górnym stopniu, wypatrywała na niebie helikoptera, ale nie dostrzegła żadnego światła oprócz gwiazd. Nadstawiała uszu, ale nic do niej nie docierało, nawet szum wiatru; wokół tylko niezmierna cisza i bezruch.

Wydawało jej się, że słyszy oddech i kroki. Z pewnością przywoływała te odgłosy w wyobraźni, strasząc sama siebie.

Ruby stuknęła w szybę kabiny.

Przyszedł następny mejl.

Ekran wypełniało zdjęcie gwiazd, ich blask dziurawił ciemność; to samo niebo, które teraz było nad nimi. Yasmin poczuła się nagle szokująco bezbronna, jakby stała przed nim naga. Skąd przyszło mu do głowy przesłać im coś takiego? Jakby znał ukryte zakątki jej umysłu.

Ruby wprowadziła współrzędne wydr do Google Earth. Oddalił się o ponad piętnaście kilometrów od miejsca, w którym wysłał mejla z liskiem, i wciąż zwiększał dystans dzielący go od Anaktue.

Wprowadziła współrzędne gwiazd: 69,602132, —147,680371.

Zdjęcie zostało zrobione w odległości ponad dziesięciu kilometrów od wydr. Jeszcze dalej od Anaktue.

Zapewne uciekał.

Myślała, że ten gwiazdny obraz to ostatni akt zastraszenia, ale zamiast jej grozić, zdradzał swoją lokalizację. Mogła powiedzieć policji, gdzie ten człowiek dokładnie się znajduje.

Wzięła mikrofon CB.

Nie było połączenia.

Próbowała uzyskać je raz za razem, ale bez skutku. Poczula w głębi duszy strach.

— Zrobimy tak — zwróciła się do Ruby. — Spróbuj przesłać policji mejla i napisz, że muszą dotrzeć tu jak najszybciej. Powiedz, że nie mamy już CB. Spróbujesz?

Ruby skinęła głową.

— Dobra dziewczynka. Obtlukę lód z opon. Nie chcę, żeby ciężarówka pana Aziziego tu została. Wolalabym, żeby jeden z policjantów odprowadził ją na miejsce.

Miała nadzieję, że Ruby uwierzy w to kłamstwo; musiała natychmiast stąd odjechać. Włożyła rękawice, wyjęła ze skrzynki Adeeba czekan i wyszła na zewnątrz.

Stojąc na górnym stopniu, znów nasłuchiwała kroków i oddechu, ale panowała cisza. Śnieg gnany wcześniej wiatrem o sile huraganu kłębił się na drodze i tundrze, ale nie zebrał się wokół ciężarówki, jak się tego obawiała.

Wczołgała się pod wóz z latarką Adeeba. Ułożyła ją odpowiednio i wyjęła z kieszeni czekan. Jej oparzona lodem lewa ręka promieniowała ostrym bólem, kiedy wsparta na niej obtłukiwała prawą dłonią lód.

*

Mama i tata nie pozwalają mi zaglądać samej do Google, a nauczyciele zawsze podają nam stronę, jeśli potrzebujemy internetu, żeby odrobić pracę domową, więc nigdy wcześniej nie robiłam czegoś takiego. Wpisałam „policja na Alasce” i wyszło mnóstwo rzeczy, ale nie wiem, co jest właściwe. Wydawało mi się, że trafiłam na stronę, która by nam pomogła, ale to tylko dla tych, którzy chcą pracować w policji. Wpisuję „policja w Fairbanks”, bo to jedyne miasto, jakie znam, oprócz Deadhorse, a nie wiem, czy w Deadhorse jest jakaś policja. Wyskakuje strona! Są na niej numery telefonów, ale nie mamy telefonu. Szukam i szukam, bo musi gdzieś tu być adres mejlowy, ale nie ma, a ja nie wiem, co robić.

Moja bransoletka wibruje i dokładnie w tym samym momencie połączenie internetowe zostaje przerwane.

Mama biegnie do mnie, wskakuje szybko na stopnie i wsiada. Patrzy na mnie i jej twarz jakby cała się uśmiecha, choć wciąż wygląda na zmartwioną. Mówi, żebym zapięła pasy, ale nim zapinam, ona już rusza. Moja bransoletka wibruje tylko wtedy, gdy jest jakiś bardzo głośny hałas.

Mama oddycha superszybko, widzę to nawet przez te wszystkie warstwy ubrania. Pewnie obtłukła lód, bo ciężarówka już się nie trzęsie.

Włączam Voice Magic, bo wiem, że mama nie może pokazywać, kiedy prowadzi. Voice Magic nie potrzebuje internetu.

— Powiedziałaś policji? — pyta mnie mama.

— Przykro mi — mówię.

Patrzy tylko przed siebie i prowadzi. A po chwili chyba dostrzega, jak źle się czuję, bo jej twarz łagodnieje, i mama mówi:

— W porządku, naprawdę. Policja i tak jest już w drodze.

*

Yasmin skończyła właśnie obtłukiwać najgrubszy lód, kiedy usłyszała strzał rozzierający mroźną ciszę i trzask, gdy pocisk uderzył w coś znajdującego się na ciężarówce. Zobaczyła, jak z wozu spada odbiornik satelitarny. Pobieгла w stronę Ruby i zdążyła zauważyć na drodze oddalające się światło latarki; jej blask odbijał się przez krótką chwilę w metalu cysterny. Przez cały czas ten człowiek nie tkwił po drugiej stronie lawiny, tylko przeczekiwał burzę. A potem podkrađł się do nich w ciemności i uszkodził antenę CB; zestrzelił odbiornik satelitarny.

Zamierzał prawdopodobnie zrobić coś jeszcze gorszego, ale najpierw chciał się upewnić, że nie będą mogły wezwać pomocy przez radio albo satelitę.

Jechała teraz szybko, skręcając dwa razy gwałtownie, żeby ominąć zasy, które zebrały się na drodze.

— Co to był za hałas? — spytała Ruby.

Nie wiedziała, co jej powiedzieć.

— Mamo?

— Ktoś uszkodził talerz satelitarny — odparła. — Myślę, że ten ktoś, nieważne kto, nie chce, żebyśmy z kimkolwiek rozmawiały. Ale policja zjawi się już niedługo.

Miała nadzieję, że zauważą ich bez trudu. Nie było tu żadnych drzew ani nawet krzewów; poza tym wiozły na ciężarówce wielki, cholerny prefabrykat. Jak trudno byłoby je nie zauważyć?

Nie miały CB ani połączenia satelitarnego. Najbliższy dom znajdował się w odległości ponad stu sześćdziesięciu kilometrów.

*

Trzeba było napisać do kogoś ze szkoły, może do Jimmy'ego, bo znam jego adres na pamięć. Myślałam o tym, ale przyszło mi do głowy, że w Anglii jest noc i że nie utworzyłby mojego mejla do rana, a to by było za długo. Ale nie wiem, czy tam jest noc. Nie wiem nawet, czy noc jest tutaj. Wydaje się, że noc jest wszędzie. Jakby połknęła dni.

Wyglądam przez okno po swojej stronie, bo mam nadzieję znów zobaczyć ślady skrzydeł pardwy górskiej, ale jest tylko śnieg i ciemność.

I nagle wiem, co trzeba było zrobić. Chwytają mnie mdłości.

— Mogłam użyć Twittera — mówię mamie.

— Nic nie mogłaś zrobić. Naprawdę.

Uważa prawdopodobnie, że to głupi pomysł. Ale nie jest. A teraz jest za późno.

Zanim tata wyjechał na Alaskę, chciał się upewnić, że między moich followersów nie wkradnie się żaden troll, jak w tej grze *Three Billy Goats Gruff*, ze mną jako koziołkiem.

Powiedział: „Twoi followersi tweetują z tobą jak szaleni. Jakbyś miała sześćset piskląt dzwonnika trójsopłowego”.

Powiedział tak, bo tylko pisklęta ćwierkają, a dzwonniki trójsopłowe są naprawdę bardzo głośne, więc ich małe też są hałaśliwe.

„Chociaż — powiedział — niektórzy uważają, że lirogon wspaniały jest głośniejszy”.

Roześmiałam się, bo myślę, że to superniesamowite, kiedy słowo „wspaniały” jest częścią czyjegoś imienia.

„A gdybym cię nazywał Wspaniałą Ruby?” — spytał.

To byłoby po prostu żenujące.

„Widzisz — powiedział potem. — Masz followersów w każdym miejscu. W Ameryce, Australii, Japonii, Kanadzie, w całej Europie. Wszędzie”.

Więc gdzieś musi być dzień, więc ktoś dawno by już nie spał i zobaczył mojego tweeta z prośbą o pomoc, i byłby to ktoś dorosły i wiedziałby, co robić.

Teraz jest za późno.

Mama ściska mi rękę.

— W porządku — mówi. — Naprawdę.

Nie wydaje mi się, że jest w porządku.

— Zawrócił — mówi mama. — Nie widać za nami świateł. Już od dawna.

Patrzę w lusterko boczne. Ma rację. Za nami tylko czerni. Wypatruję bez końca i nikogo tam nie ma.

— Wie, że szuka nas helikopter policyjny, i nie chce, żeby go też znaleźli — mówi mama. — Ucieka. Tak samo jak człowiek, który wysyłał nam mejle.

Wzdycham, jakbym mówiła: hura! Mama się śmieje.

Jedziemy przed siebie godzinami, a ja cały czas patrzę w lusterko i nikogo nie ma.

*

Ruby klepnęła ją w ramię. Na poboczu drogi ze śniegu wystawał słupek, rozłupany na górze, tam, gdzie powinna znajdować się tablica. Obok słupka widać było skręt.

Gdyby Ruby nie patrzyła przez okno po swojej stronie i nie zaalarmowała jej, Yasmin nie zauważyłaby zjazdu. Przypomniała sobie, jak oglądała mapę Adeeba, mając nadzieję, że gdzieś tu biegnie droga-rzeka, którą mogłyby dojechać do Anaktue. Widziała wtedy rzekę Alatnę, płynącą blisko trasy. Teraz dotarły do tego punktu. Adeeb mówił, że drogą rzeczną można by jechać tylko wtedy, gdyby zbudowano drogę łączącą. To musiała być właśnie ta droga. Yasmin przypuszczała, że firma Soagil Energy zaczęła już montować infrastrukturę.

Anaktue znajdowało się w odległości jakichś sześćdziesięciu kilometrów. Jeśli rzeka-droga była bezpieczna, to dotarłyby do Matta w ciągu niespełna dwóch godzin. Załoga helikoptera zdołałaby je na pewno zauważyć; znajdowałby się blisko Dalton Highway, a ich ciężarówka była duża. Yasmin wierzyła, że uda jej się doprowadzić policję do Matta.

Zjechała z trasy na prymitywny trakt.

ROZDZIAŁ 18

Droga kończyła się nad rzeką skrzyżowaniem w kształcie litery T. Anaktue leżało na północy. Lód na rzece w tamtym kierunku nie nosił żadnych śladów, które wskazywałyby, że ktokolwiek po nim ostatnio jechał. Rzeka skręcała pod ostrym kątem jakieś trzydzieści metrów dalej i Yasmin nie widziała, co się znajduje za tym zakolem. Po przeciwnej stronie umieszczono na lodzie słupki przydrożne, dowodzące niezbicie, że kierowcy korzystają z tego odcinka. Yasmin przypuszczała, że człowiek zabijający zwierzęta i wysyłający jej mejle mógł uciekać tędy z Anaktue.

Jazda po nieoznakowanym i niesprawdzonym lodzie byłaby zbyt niebezpieczna. Yasmin zrozumiała, że musi zawrócić. Próbowała to zrobić, ale ciężarówka była ogromna i trudna w manewrowaniu, a promień skrętu zbyt duży, by udało się to za jednym zamachem.

Wiedziała, że musi zawrócić na trzy — skręcić na oznakowany odcinek, następnie wycofać się na odcinek prowadzący do Anaktue, a potem wjechać z powrotem na drogę dojazdową.

Bez trudu wprowadziła ciężarówkę na trasę ze słupkami, a później zaczęła cofać. Gdy tylne koła znalazły się na lodzie pokrywającym drogę, która zmierzała w stronę wioski, wóz się zatrząsł; Yasmin bała się, że pokrywa lodowa jest zbyt cienka i niestabilna. Ruszyła do przodu i po chwili ciężarówka znów znalazła się w bezpiecznym miejscu. Nie mogła wjechać tyłem na drogę dojazdową; było na to za mało miejsca. Musiały tu zaczekać.

Zgasiła silnik, spuściła szybę i zaczęła nasłuchiwać warkotu helikoptera, ale do jej uszu dotarł tylko trzask pękającego lodu. Pomimo że ciężarówka stała na oznaczonym odcinku rzeki, była za ciężka. Po tej drodze nie mogły jeździć tak duże wozy. Nie miała pojęcia, jak odzepić skrzynię z ładunkiem i tym samym zmniejszyć wagę samochodu. Bała się nawet tego próbować, bo

doświadczenia z łańcuchami śnieżnymi dowodziły, że nawet gdyby wiedziała, co robić, a nie wiedziała, nie potrafiła sobie radzić w niskiej temperaturze. Postanowiła ruszyć powolutku do przodu i wjechać na następny odcinek lodu.

Załoga helikoptera wciąż mogła je bez trudu zauważyć — nie oddaliły się zbyt daleko od Dalton Highway, a rzeczna droga była odsłonięta.

*

Wyobraźcie sobie wielką rzekę. Potem wyobraźcie ją sobie pokrytą w ciemności lodem. A my po niej jedziemy! Mama mówi, że lód jest tak gruby, że go nie przebijemy i że inni ludzie przed nami po nim jeździli, bo ustawiono tu słupki. Dziwnie jest myśleć, że pod nami są żaby, na samym dnie rzeki, bo tam jest najcieplej. Jest tam też mnóstwo różnych ryb, ale niewiele wiem o rybach.

— Może znów będziemy sobie mówić o interesujących rzeczach? — pyta mama. Pewnie i ona się trochę boi.

— Tak.

— Chciałabyś zacząć?

— Okej. Pamiętasz, jak pytałaś mnie o szkołę dla głuchych?

Mama kiwa głową. Teraz, kiedy palce mam sprawne, mogę jej powiedzieć.

— Jedna dziewczyna powiedziała mi, że społeczność niesłyszących daje komuś imię-znak.

„Społeczność niesłyszących” brzmi trochę sztywno, ale Anna, tak ma na imię ta miła dziewczyna, powiedziała, że to jest super. „Superniesamowite?” — spytałam. A ona powiedziała z miejsca, tak, superniesamowite!

— Jakie to imię? — pyta mama.

— Anna się dużo śmieje, więc jej imię-znak to Chichot. A jej tata śmiał się z dowcipu znajomego, jak był w pubie — Anna mówi, że cała jej rodzina dużo się śmieje — ale kiedy się śmiał, to piwo pociekło mu na koszulę i teraz jest nazywany Kapką.

— Kapką? Naprawdę?

— Tak. Ale wielu ludzi ma imiona, które w ogóle nie są zabawne.

— A jakie byłoby twoje imię?

— Nie mogę go wybrać. Inni je wybiorą.

Wydaje mi się, że mama jest trochę smutna.

— Wciąż będę Ruby — mówię jej. — Ale będę też miała inne imię. Mogę być sobą, ale też więcej niż sobą.

Mama nic nie mówi przez chwilę, a ja się boję, że myśli, że to okropne, bo wybrali dla mnie imię Ruby razem z tatą.

— Myślę, że to wspaniale — mówi mama.

Ja też tak myślę, dopóki nie będzie to Kapka.

— Co interesującego chciałabyś usłyszeć? — pyta.

— Coś o kosmosie.

— Okej. Wiesz, że panuje tam całkowita cisza? Nawet gdy gwiazdy eksplodują, to nie wydają żadnego dźwięku?

— Więc w kosmosie wszyscy słyszą podobnie jak ja.

— Tak. Lubię myśleć o tym, jak tam jest spokojnie. Miliardy lat ciszy.

Mnie się też to podoba.

*

Yasmin rozmyślała o ciszy w przestrzeni kosmicznej. Na kursie z filozofii, na którym szydełkowała, pojawiały się zagadnienia w rodzaju: „Jeśli runęło jakieś drzewo, i nikt tego nie widział, to czy naprawdę się to wydarzyło?”, wyrażane w nieco bardziej, choć nie tak bardzo, dojrzałym i poważnym języku teorii wiązki i idealizmu subiektywnego. Dla Yasmin, kiedy już zdiagnozowano u Ruby głuchotę, przemieniło się to w: „Jeśli drzewo runęło, i była przy tym tylko Ruby, to czy wydało jakikolwiek dźwięk?”. Uważała, że jeśli fale dźwiękowe nie uderzają w błonę bębenkową i nie są zamieniane w impulsy nerwowe wędrujące do mózgu, to istnieją jako wibracja w leśnym powietrzu, delikatne drżenie nad omszałą ziemią, rozkołysanie pobliskiego drzewa, drgnienie liścia muskającego delikatnie twarz jej córki.

— Twoja kolej — powiedziała do Ruby.

— Okej. Wiedziałaś, że Inuici posługują się językiem migowym, obok tego zwykłego? Jakby to było coś normalnego?

— Nie, nie wiedziałam. To wspaniale.

— Tata opowiedział wszystkim mieszkańcom wioski o mnie, i jest tam taka stara pani, która chce mnie nauczyć niektórych znaków.

Yasmin nie powiedziała jeszcze Ruby, że wszyscy mieszkańcy wioski zginęli w pożarze; nie wiedziała, jak to zrobić.

— Tata mówi, że jeśli jest lodowato zimno i wieje wiatr, to trzeba zasłonić twarz szalikiem i trudno wtedy odpowiadać na pytania głosem ust, więc jeśli uniesie się brwi, to znaczy „tak”, a jeśli zmruży się szybko oczy, to znaczy „nie wiem”. Ale mają też znaki dla bardziej skomplikowanych rzeczy.

Widziała, że będzie musiała jej wkrótce powiedzieć.

— I mają te naprawdę wspaniałe słowa oznaczające różne rzeczy. Jest słowo, które znaczy „gościa oczekującego jedzenia”. Tata powiedział, że to bardzo użyteczne słowo. I... zatrzymaj się! Musimy się zatrzymać!

*

Mama zatrzymuje ciężarówkę, a ja wyskakuję z kabiny na lód. To rodzina wydr.

Dzieci i rodzice kulą się do siebie na lodzie. Widzę ich wilgotne futra, ich otwarte oczy i wąsy. Dotykam jednej z wydr, jakbym ją głaskała, a potem widzę, że nie ma łapy.

Nagle pojawiają się na lodzie te wszystkie kolory, jest różowy, zielony i niebieski, i patrzę w górę, i widzę, że na niebie tańczą płachty światła, i nienawidzę ich. To jak kiepski film Disneya, ale gdyby to był film Disneya, to rodzina tych wydr nie byłaby martwa. Jest też pies husky. On także jest martwy. Musiał należeć do jakiegoś człowieka, bo husky nie są dzikie. A światła wciąż tańczą, jakby to wszystko było ładne, jakby to był bal pod koniec *Śpiącej królowny*, a wróżki przemieniały jej suknię i barwiły na niebiesko/różowo/niebiesko/różowo i chcę, żeby PRZESTAŁY, i żeby znów było ciemno.

*

Po odsłoniętej twarzy Ruby płynęły łzy. Po raz pierwszy od chwili, gdy to wszystko się zaczęło, Yasmin widziała, jak Ruby naprawdę płacze.

— Jak ktoś mógł to zrobić? — krzyczała Ruby swymi dłońmi. — Dlaczego?

Yasmin otoczyła ją ramieniem, bo jej własne dłonie nie potrafiły sformułować odpowiedzi. Zauważyła, że łzy przymarzają do policzków córki. Niebo nad nimi było promiennie zielone i różowe, przetaczały się po nim fale światła. Usłyszała trzask lodu, głośniejszy niż wcześniej.

Ruszyła czym prędzej razem z Ruby w stronę kabiny i zobaczyła tuż obok ciężarówki głębokie pęknięcie w lodzie. Jadąc, ominęły je o jakieś trzydzieści centymetrów. Po drugiej stronie wozu dostrzegła idealnie okrągłą dziurę, z której rozchodziły się we wszystkich kierunkach rysy. Wyglądała jak wybita w lodzie przez pocisk albo wiertło. Yasmin zastanawiała się, czy człowiek, który zniszczył drogowskaz, próbował także zdestabilizować lód i zniszczyć drogę. Przejechała między dwiema dziurami.

Wsiadły do kabiny.

Zdjęcie wydr zostało zrobione zaledwie osiem kilometrów od jego ostatniego miejsca pobytu.

Ruszyła powoli, kawałeczek po kawałeczku, tyle, żeby przenieść ciężar wozu na następny odcinek lodowej drogi. Gdyby posuwała się tak wolno, policja bez trudu by do nich dotarła, nim one by się do niego zbliżyły.

Wokół nich płonęła zorza polarna, a światła były promiennie zachwycające.

— To piękne, prawda?

Lecz Ruby nie odpowiedziała.

*

Jeśli ktoś uważa, że coś jest okropne, bo jest piękne, to nie jest to już piękne, prawda?

— Alaska słynie z zorzy polarnej — mówi mama. — Ludzie przyjeżdżają

tu z całego świata, żeby ją zobaczyć.

Nie chcę, żeby mi opowiadała o zorzy polarnej, bo to pewnie jakaś sztuczka. Powie mi, że jej tam nie ma i że jest zrobiona z czegoś innego, tak jak *paraselenae*.

— W górze, nad planetą Ziemia — mówi mama — jest jak na wojnie.

*

Ruby odwróciła się, żeby na nią spojrzeć. Yasmin rozumiała, że córka potrzebuje kosmicznego odpowiednika dla martwych stworzeń na lodzie; że dla niej to teraz dobro i zło; dopadł ją dziecięcy świat w małej skali.

— Słońce ciska w nas wiatrem słonecznym, który zmierza w naszą stronę z prędkością milionów kilometrów na godzinę. Czasem dochodzi do koronalnego wyrzutu masy. To około dziesięciu miliardów ton plazmy, co się równa stu tysiącom pancerników, i może być szerokie na pięćdziesiąt milionów kilometrów. I te wyrzuty oznaczają, że wiatr słoneczny pędzi na nas z prędkością ponaddźwiękową.

Ruby skinęła głową. Yasmin zauważyła, że córka patrzy teraz na światła.

— Ziemię otacza magnetyczna tarcza. Niewidzialna bańka. Nazywa się magnetosferą. Wiatr słoneczny uderza w tę tarczę. I to jest to, co obserwujemy w tej chwili. Te światła to tarcza chroniąca naszą planetę.

Gdy Ruby spojrzała w niebo, Yasmin pomyślała o metalu w jądrze Ziemi, tworzącym podczas jej obrotu pole magnetyczne, które wędruje przez tysiące kilometrów w przestrzeń kosmiczną i chroni ich.

Po raz pierwszy otaczającą je ciemność ożywiały barwy.

Zdjęcia zwierząt i ptaków sprawiły pomimo swej drastyczności, że Yasmin zaufała Mattowi, a blog Ruby pozwolił jej zrozumieć, dlaczego chciał być na Alasce, lecz gdy ujrzała niezrównane piękno nocnego nieba, kiedy zobaczyła Polaris i pojęła, że znajduje się na ziemskiej osi, kiedy zobaczyła zorzę polarną rozgrywającą kosmiczną bitwę nad jej głową, zaczęła dzielić z Mattem pasję, jaką darzył to miejsce. Ona też przybyła w zimie na drugą stronę świata właśnie po to i jej zaufanie do niego jeszcze się pogłębiło.

Potem światła zgasły, a one znów pograżyły się w ciemności.

Zobaczyła w lusterku dwa niebieskie księżyce. Wydawało jej się, że to złudzenie optyczne, bo z pewnością nie mogła to być prawda. Niemożliwe, by za nimi jechał.

Niebieskie światła były wyraźnie widoczne.

Dlaczego miałby ryzykować, że zostanie znaleziony tak blisko nich? Z pewnością słuchał CB-radio i dowiedział się, że policja dotrze do nich po burzy. Na litość boską, ten człowiek odezwał się wcześniej w CB i osobiście rozmawiał z policją. Przypomniała sobie jego kłamstwa, obcy głos, który wydał jej się znajomy, jego zapewnienia, że jedzie na południe, nie na północ; że minął się z nią trzydzieści kilometrów wcześniej i że nikogo innego na drodze nie widział. Podał nawet dokładną i jednocześnie fałszywą lokalizację, dwieście dziewięćdziesiąty kilometr. Wtedy nie zastanawiała się nad tym, jak bardzo jest precyzyjny. Teraz jednak budziło to jej podejrzenia. Bała się, że wnioski będą niepokojące, ale nie miała wyboru i musiała to wszystko przeanalizować.

Więc podał swoją lokalizację, dwieście dziewięćdziesiąty kilometr. Nie wydawało się to szczególnie ważne; fałszywy szczegół, element większego kłamstwa. A potem powiedział, że minął się z nią trzydzieści kilometrów wcześniej. Z obliczeń — policja też by ich dokonała — wynikałoby, że znajdowała się na trzysta dwudziestym kilometrze na północ od niego.

Zatrzymała się na niespełna dziesięć sekund, żeby rzucić okiem na mapę Adeeba. Słupek przydrożny z liczbą trzysta dwadzieścia znajdował się co najmniej sześćdziesiąt cztery kilometry od miejsca, w którym faktycznie przebywały. Nie fałszował jedynie swojej pozycji; fałszował ich pozycję.

Ale mogłaby przysiąc, że powiedziała policji, gdzie się znajduje. I policja spytała o ich lokalizację... nie, ponieważ policja sądziła, że już to wie dzięki uczynnemu kierowcy cysterny. A ona była zbyt zajęta i zbyt przerażona, żeby myśleć jasno.

Przypomniała sobie, jak ciężarówka przechyliła się w gwałtownym wietrze, a wściekły śnieg uderzał w szybę, kiedy ten człowiek okłamywał policję; godzinę później burza zaatakowała na całego. Policja musiała przypuszczać, że ona, Yasmin, przejechała w tych warunkach co najwyżej

szesnaście kilometrów. Nikt by nie przypuszczał, że pokonały przełęcz Atigun.

Szukano ich na południe od Gór Brooksa. Nikt nie szukał ich tutaj, na obszarze północnej tundry.

*

Człowiek jadący cysterną znów jest za nami. Ale policja dotrze tu niebawem i znajdzie go, i wsadzi do więzienia, ale najpierw mama każe im zabrać nas do taty.

Wydaje się, że jest nawet ciemniej, bo na niebie była zorza polarna, a kiedy zniknęła, zostawiła po sobie cień, jak kolejną warstwę ciemności.

Droga-rzeka robi się coraz węższa i myślę, że to jest trochę tak jak dorastanie. Nie można zawrócić i się cofnąć, nawet jeśli jest się przerażonym i bardzo się tego chce. Nie można znów być dzieckiem, które idzie do zerówki.

Na dworze robi się zimniej. Termometr pana Aziziego pokazuje prawie minus dwadzieścia osiem stopni.

*

Yasmin musiała trzymać Ruby z daleka od kierowcy cysterny. Ale im szybciej się od niego oddalała, tym bardziej się przybliżała do człowieka wysyłającego mejle.

Nie miały zapiętych pasów. Gdyby ciężarówka zapadła się w lodzie, nie miała pojęcia, ile czasu zajęłoby im wydostanie się z wozu. Wiedziała od Adeeba, że w wodzie człowiek umierał z powodu hipotermii, nim się utopił.

Przygnieciona brzemieniem zagrożenia z tyłu, z przodu i z dołu, patrzyła na gwiazdy, ale te nie mogły już przynieść jej pociechy ani dodać sił. Czuła własne tchórzostwo. To jej brak odwagi sprawił, że Ruby znalazła się w takim niebezpieczeństwie.

Od chwili, gdy ten policjant w Fairbanks powiedział jej, że Matt nie żyje,

nie odważyła się spocząć, podążała uparcie przed siebie, ignorując wszystkich, narażając Ruby, starając się za wszelką cenę go odnaleźć, bo bała się zatrzymać w miejscu i zmierzyć z faktami. Nie chodziło o to, że Matt potrzebował pomocy, ale o to, że go rozpaczliwie potrzebowała i nie miała dość odwagi, by stawić czoło życiu bez niego.

Kiedy zaczęła się burza, wierzyła, że Matt jest bezpieczny w *aputiaku*. Jakim jednak dowodem dysponowała? Wszystko, co miała, co kiedykolwiek miała, sprowadzało się do wiary, która z samej swej natury nie potrzebowała żadnego dowodu własnego istnienia. Wiara to była miłość, nadzieja i zaufanie, nic więcej.

Gdy otrzymała te przerażające zdjęcia, wolała wierzyć, że przysłano je, bo Matt żyje, a ten człowiek nie chce, by znalazła męża. Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy jest w tym jakaś logika.

*

Mama kazała mi włożyć wszystkie ubrania. Ubiera się i jednocześnie prowadzi, więc jej pomagam. Zakładam kominiarkę i gogle, ale mama nie zakłada swoich, bo nie będzie widziała wyraźnie, dokąd jedzie.

*

Ciężarówka zatrzymała się nagle. Yasmin wcisnęła mocno pedał gazu, ale nic się nie stało. Poczula, jak coś ciągnie wóz do tyłu. Wyrzała przez okno. Usłyszała głośnie stęknienie, a potem kabina zaczęła się przechylać. Ich ładunek przebił lód i tonął.

*

Biorę latarkę, jak kazała mi mama, ale mam też laptopa. Wsuwam go pod kurtkę, a potem wyskakuję na lód. Mama wyrzuca torbę z naszym jedzeniem na zewnątrz i też wydostaje się z kabiny, trzymając racę i śpiwór pana

Aziziego.

Dom się przechyla i wybija wielką dziurę w lodzie; nasza torba z jedzeniem wpada tam, tak jak dom, kawałek po kawałku, jakby w zwolnionym tempie. Moja bransoletka wibruje, więc ciężarówka musi robić mnóstwo hałasu, kiedy tonie w rzece. Światła reflektorów kierują się ku niebu, jak szperacze. A potem też znikają pod wodą.

Razem z mamą uciekamy, bo lód wokół nas pęka; przeskakujemy przez te pęknięcia. Teraz wszystko jest niebieskie.

Odwracam się i widzę, że to światła cysterny zabarwiły wszystko na niebiesko. Rzeka musi być naprawdę głęboka, bo nie widać już ani naszego domu, ani kabiny ciężarówki.

Niebieskie światło przygasa, bo reflektory cysterny się kurczą. Pewnie się cofa. Chyba się boi, że lód pęknie jeszcze bardziej, a on też się zanurzy i zrobi się jedna wielka dziura, w której też się znajdzie.

Mama trzyma mnie za rękę, oddaliśmy się od cysterny, biegnąc po lodzie. Dostaję kolki i mama wie o tym, bo przez chwilę idziemy, wciąż trzymając się za ręce, a potem biegniemy i znów idziemy.

*

Kiedy wyskoczyły z tonącej kabiny, Yasmin usłyszała strzał, ale Ruby nie wiedziała, że kierowca cysterny do nich wypalił. Pociągnęła za sobą Ruby po pękającym i trzaskającym lodzie. Kiedy wydało jej się, że pokonały około ośmiuset metrów, zatrzymała się. Znajdowały się teraz poza zasięgiem jego broni, a otaczający je lód był stabilny.

Uklękała, próbując rozpakować racę Adeeba, podczas gdy Ruby przyświecała jej latarką. Jednak jej okryte grubym materiałem palce nie mogły sobie poradzić z cienkim opakowaniem, więc zdjęła rękawice i zaczęła pracować dłońmi w spodnich ochraniaczach. Ogarnęła ją panika na myśl, że nie ma zapalek, ale stwierdziła, że może się posłużyć wiekiem pojemnika i potrzebę o nie końcówkę racy. Udało jej się dopiero za szóstym razem. Raca poszybowała w niebo, ciągnąc za sobą smugę światła, a Yasmin

włożyła czym prędzej rękawice.

Patrzyły na czerwony błysk, który trwał na nocnym niebie, jakby przyłączył się do gwiazd. Może policja zwiększyła obszar poszukiwań i dostrzegła światło, a może znów zaczęły latać samoloty i pilot jednego z nich to zobaczył. Raca zgasła i po chwili nad ich głowami znów świeciły tylko gwiazdy.

Przypuszczała, że człowiek, który przysyłał im mejle, znajduje się w odległości zaledwie ośmiuset metrów, i że dostrzegł ten blask. Musiała jednak zrobić wszystko, by wezwać pomocy. Bez schronienia i ciepła Ruby nie przetrwa długo. Miały jej laptopa, ale bez terminalu satelitarnego był bezużyteczny.

Kucając na lodzie, Ruby zdjęła grube rękawice i otworzyła komputer. Z dłońmi okrytymi jedwabnymi, cienkimi rękawiczkami napisała:

Mam ci opowiedzieć historię o kuku? Tę, w którą wierzą Inuici?

Chciałabym bardzo usłyszeć tę historię. Dlaczego nie spróbujesz pisać w specjalnych rękawicach, które dał nam tata?

Nie mogę pisać w rękawicach. Te cienkie wystarczą przez chwilę, mamo. Kiedy zmarzną mi palce, włożę te specjalne.

Na początku czasu kruk stworzył świat uderzeniami skrzydeł. Jest tam dłuższy kawałek o wróblu, ale pominię go, bo nie jest najlepszy.

OK.

Kruk kochał wszystkich ludzi i zwierzęta, które stworzył, i chciał się dowiedzieć o nich czegoś więcej. Pewnego dnia, gdy wiosłował w swoim kajaku, zobaczył wieloryba, i kiedy wieloryb ziewnął, kruk wpłynął do jego wnętrza.

Wieloryb zamknął paszczę i zrobiło się bardzo ciemno. Kruk wiosłował dalej, aż dotarł do białych żeber wieloryba, które się wokół niego wznosiły.

Tata powiedział, że te białe zebra były jak kolumny z kości słoniowej. A w środku znajdowała się piękna dziewczyna, która tańczyła.

Muszę włożyć teraz rękawice.

Ruby włożyła rękawice i obie zaczęły chodzić, zataczając duże koła, i machać rękami. Yasmin włączyła latarkę Adeeba, żeby widzieć, dokąd idą, po czym szybko ją wyłączyła. Musiały oszczędzać baterię. Powinna była pomyśleć o zabranii czegoś, czym można by rozpać ogień, co zapewniłoby światło i ciepło. Położyła dłoń na ramieniu Ruby, prosząc, by zwolniła kroku. Musiały podtrzymywać krążenie, ale nie wolno im było się spocić, bo pot parował ze skóry, pozbawiając ciało ciepłoty i przyspieszając hipotermię. Bała się tego, gdy uciekały przed kierowcą cysterny i pękającym lodem, dlatego właśnie szły i biegly na przemian.

Wciąż patrzyła w niebo, mając nadzieję, że zobaczy małe ruchome światła samolotu albo helikoptera, którego załoga dostrzegła racę, ale niczego nie zauważyła.

Ruby znów przykucnęła na lodzie, pisząc na laptopie w cienkich rękawiczkach.

Dlaczego nie ma tu policji?

Jestem pewna, że niedługo się zjawi. Ktoś w końcu zauważy naszą racę. To cudowna historia. Możesz pokazać mi resztę na migi?

Ale wtedy musiałabyś włączyć latarkę, żeby widzieć moje dłonie, i zużywałybyśmy baterię.

Kruk zobaczył, że do rąk i stóp tańczącej dziewczyny przyczepione są sznurki. Sznurki doczepione były także do serca wieloryba.

Kruk zakochał się w dziewczynie, zdjął z siebie dziób i pokazał jej ludzką twarz.

Chciał zabrać piękną, niesamowitą dziewczynę z wnętrza wieloryba i poślubić ją. Ale dziewczyna powiedziała, że nie może opuścić wieloryba,

bo jest jego sercem i duszą.
Moje palce są zbyt zimne.

Ruby przestała pisać i włożyła grube rękawice. Zamknęła laptopa i światło zniknęło.

Yasmin usłyszała w ciemności jej głos.

— Piękna dziewczyna tańczyła wewnątrz wieloryba. Kruk zauważył, że gdy tańczy szybko, to i wieloryb płynie szybko, a gdy tańczy wolno, to i wieloryb płynie wolno.

Głos dochodzący z ust Ruby był cichy, ale Yasmin wydał się czysty i piękny. I słyszała w nim odwagę córki.

— Kruk zapomniał, że dziewczyna nie może opuścić wieloryba, i chwycił ją, a potem wyfrunął z nią na zewnątrz.

*

Nie lubię tego robić, ani trochę — przybierać ustami różne kształty i wykonywać te drobne ruchy językiem, zębami i wargami i mieć nadzieję, że dobywają się właściwe dźwięki i zamieniają w słowa. Ale tylko tak można rozmawiać w ciemności. Mama trzyma mnie mocno za rękę i jest to jedyna dobra rzecz w mówieniu ustami, bo możemy się jednocześnie trzymać za ręce. Ale nie słyszę, co mama mi odpowiada, i może dlatego trzyma mnie za rękę.

Ćwiczyłam z Voice Magic i Dragon Dictate. Mówię coś i patrzę, co się napisało, a potem dalej próbuję. Korzystam też z lustra, jak każe mi robić mój terapeuta mowy, i kładę dłoń na gardle, żeby wyczuwać wibracje, i przystawiam ją do ust, żeby czuć nieznaczne podmuchy powietrza. Bywają dni, że napisane słowa to bełkot. Ale kiedy indziej jest lepiej. Było wtedy przyjemnie i byłam sama, i mogłam to robić, kiedy chciałam, i nie było nikogo, kto słyszałby, jak robię błędy. Albo słyszał, że idzie mi dobrze. Chcę, żeby głos moich ust był czymś, co sama chcę robić. Mam nadzieję, że mama rozumie tę historię, którą jej opowiadam.

— Gdy kruk odleciał z piękną dziewczyną w niebo, wszystkie sznurki popękały — mówię głosem swoich ust. — A wieloryb nieruchomiał w morzu coraz bardziej.

*

Yasmin wydawało się, że czeka na ten moment latami, ale Ruby posługiwała się swoim głosem od chwili, gdy nauczyła się języka migowego, tylko że ona jej nie słuchała.

— Wieloryb umarł, a dziewczyna w ramionach kruka robiła się coraz mniejsza, coraz mniejsza, aż w końcu zniknęła — powiedziała Ruby. — I wtedy kruk zrozumiał, że wszystko, co żyje, ma serce i duszę.

Ruby przestała mówić, a cisza rozbrzmiewała w uszach Yasmin tak głośno, że wstrząsnęło to nią.

Nasłuchiwała, ale śnieg wchłaniał w siebie każdy dźwięk. Spojrzała w ciemność, ale ta wchłaniała wszelkie światło i kolor. Nie mogły ruszyć dalej, bo człowiek, który przysyłał im mejle, był przed nimi. Nie mogły zawrócić i odejść, bo ryzykowały, że znajdą się w zasięgu broni kierowcy cysterny. Były uwięzione w tych przerażających granicach, a poza nimi ciągnęła się nieprzekraczalna zapora gór i Ocean Arktyczny: pudełko w pudełku.

Dopóki była w drodze, chcąc odnaleźć Matta, mogła wierzyć, że żyje; mogła wyprzedzać fakty. Teraz jednak fakty stanęły do konfrontacji, jakby ścigały ją od samego gabinetu porucznika Reeve'a w Fairbanks, i tutaj, w tej lodowatej głuszy, otoczyły ją ze wszystkich stron.

Matt mówił prawdę o obrączce i zwierzętach, a tym samym mówił też prawdę o Corazon, ale to nie znaczyło wcale, że on żyje.

Jej miłość do niego nie oznaczała, że on żyje.

Nie mogła już zbliżyć się do niego bardziej ani uciec dalej od strachu.

Czuła, jak jej bezruch jest przyćmiony przez mroźną nieruchomość bezdrzewnej tundry; wymuszona martwota w obrębie rozleglejszej martwoty.

Nieosiągalne gwiazdy nad jej głową były oddalone o lata świetlne.

W tej ciemności i ciszy musiała w końcu zmierzyć się z prawdą.

Nie żył.

Zginął w poniedziałek po południu, kiedy ona i Ruby były wciąż w Londynie.

Wykrzyczała swój ból, rozrywając ciszę, a Ruby z pewnością poczuła to na skórze, ten monstrualny dźwięk.

Usłyszała swe imię, powracające do niej z mroku.

Wiedziała, że to nie może być prawda.

Matt zawołał ją ponownie.

ROZDZIAŁ 19

Mama biegnie i trzyma mnie za rękę, a ja muszę biec superszybko, żeby za nią nadążyć, ale jest lodowato i ślisko, więc jednocześnie jakby mnie podtrzymuje. W drugiej ręce trzyma latarkę pana Aziziego i jej światło podskakuje, gdy tak biegniemy.

W naszą stronę zbliża się jakieś światło. Boję się, że to człowiek, który zabijał zwierzęta. Ten blask szybko rośnie; on też pewnie biegnie i jest coraz bliżej.

Ktoś świeci mi prosto w twarz i nic nie widzę. Przyciąga mnie do siebie i obejmuje, i czuję ciepłą poduszkę powietrza wewnątrz futrzanego kaptura i widzę jego twarz. Przywieram do niego, jakbym mogła w nim cała zniknąć.

Tata trzyma mnie mocno i patrzy na mamę.

— Jak się tu znalazłyście? — mówi do niej. — Jakim cudem się tu znalazłyście?

*

Yasmin musiała go dotknąć, by uwierzyć, że Matt żyje. Podeszedł do niej, trzymając Ruby za rękę; zdjęła kominiarke, pragnąc poczuć na skórze dotyk jego skóry. Przysunęła do niego twarz i pocałowała go, i poczuła jego ciepło, smak jego oddechu, jego wargi, wdychała zapach jego ciała i chciała, by ten smak i zapach były silne, aby każdy zmysł w jej ciele uwierzył, że go znalazła.

Sądziła, że ta ziemia ciemności i lodu to jej Hades, najeżony niebezpieczeństwami, i było to jak pakt — jeśli przezwycięży strach, zaryzykuje wszystko, co ma, to wówczas zdoła go przywołać z krainy martwych. Objęła go, całując, przywierając do niego, jakby mógł być jej odebrany.

Matt spojrział na nią i zobaczył cenę, jaką zapłaciła za to, by do niego dotrzeć — skórę miała obtartą i krwawiącą, w podkrążonych oczach ujawniało się wyczerpanie. Tak wspaniała i tak nieprawdopodobnie dzielna. Zdjął rękawicę i gdy przesuwał palcami po jej twarzy, pozwolił sobie wierzyć, że jest tu z nim i że znów będzie mógł ją objąć.

Poczuł, jak Ruby przysuwa się do nich. Musiał je jak najszybciej zabrać w ciepłe miejsce.

*

Mama i tata patrzą na siebie, jakby każde z nich było sztuczką magiczną albo znacznie lepiej: jakby ich twarze były superniesamowitym cudem.

Szczęście jest jak ogromny balon we mnie. Gdybym wyszła na zewnątrz, wszystko rozbłysłoby jasnymi kolorami; nie ma mowy, by zostało ciemne i zimne. Ale nie chcę wychodzić na zewnątrz, chcę zostać tutaj, z tatą i mamą.

Aputiak taty to najprzytulniejsze miejsce, jakie można sobie tylko wyobrazić. Mama, tata i ja siedzimy w środku i jest *qulliq*, który oświetla i ogrzewa wnętrze. Jest też długi tunel przy wejściu, ze skórą karibu jako drzwiami i z małym otworem w dachu, żeby mógł się wydostawać dym z *qulliq*a.

Mama chce, żebym weszła do śpiwora, który wzięła z kabiny ciężarówki pana Aziziego. Już jest mi ciepło, ale mówi: „Tak na wszelki wypadek”. Jest tu mnóstwo miejsca, żeby się wyciągnąć. Tata powiedział, że zbudował to także dla husky, żeby mieć je na oku, ale myślę, że muszą siedzieć na zewnątrz i się chłodzić. Husky za bardzo się rozgrzewają, nawet gdy jest lodowato zimno. Tata mówi, że jego zapasy skończyły się wczoraj i że *qulliq* będzie się palił jeszcze tylko przez parę godzin, i to chyba mama miała na myśli, mówiąc: „Tak na wszelki wypadek”. Na zewnątrz pali się ognisko, obok naszego *aputiaka*, ale tata mówi, że zgaśnie za mniej więcej godzinę. Wygląda na bardzo zmartwionego, ale ja się w ogóle nie martwię. Już nie.

Tata ma brodę, jest cała zamrożona, a lód na niej się roztapia z powodu

qulliq. Powiedział, że zobaczył naszą czerwoną racę i pobiegł sprawdzić, kto to jest, i nigdy by mu do głowy nie przyszło, że to my, a potem usłyszał mamę.

Tata nie rozumie, jak tu dotarliśmy, a mama jest cała roztrzęsiona i zapłakana, więc mówię mu, jak podwieziono nas ciężarówką, a potem wszystko o tym, jak pan Azizi zachorował, więc mama sama prowadziła.

— Przez północną Alaskę? — pyta tata, jakby nie mógł w to uwierzyć.

Mówię, że tak, i widzę, jaki jest z niej dumny — ze Wspaniałej Mamy!

— Jechaliście w tej wielkiej burzy? — pyta mnie, a ja kiwam głową.

— Pewnie się bałaś — mówi.

— Było mi zimno.

— Nie wątpię.

— Mama i ja tańczyłyśmy, żeby się rozgrzać.

Opowiadam mu też o człowieku z cysterny, ale mówię, że nie musimy się nim więcej martwić, bo przestał nas ścigać, kiedy nasza ciężarówka zapadła się pod lód.

Kiedy z nim rozmawiam, bierze mamę za rękę, i myślę, że chce się upewnić, że nic jej się nie stało i że naprawdę tu jest.

— Przysyłałeś nam mejle, prawda? — mówię do taty.

— Tak. Ale nigdy nie sądziłem... — Jego palce przestają się poruszać, jakby nie wiedział, co powiedzieć. — Myślałem, że siedzicie bezpiecznie w Fairbanks albo wróciłyście do Londynu. Nigdy mi się nie śniło...

Jego palcom znów brakuje słów i wygląda na bardzo zmęczonego i zranionego. Nie widziałam tego wcześniej. Mój balon szczęścia był za duży. Jego wargi są całe spękane i krwawią.

— Wszyscy zginęli? — pyta go mama.

— Tak.

Mówi o całej wiosce; o wszystkich swoich przyjaciółach; o starszej pani, która chciała uczyć mnie inuickich znaków. O wszystkich. Ale tata nie zginął.

— Corazon? — pyta mama i jest taka smutna.

Tata kiwa głową i rozmawiają ze sobą oczami, a mnie się wydaje, że to język, którego nie potrafiłby zrozumieć nikt inny.

Jego dłonie się poruszają, ale powoli, jakby słowa żądliły.

— I Kaiyuk, jej brat bliźniak. Wszyscy. Powiniennem tam być.

Zaczyna coś mówić, ale milknie, a moja bransoletka wibruje. Z zewnątrz dociera światło i śnieżne ściany naszego *aputiaka* pokrywają się bladym lodowym złotem. Mama i tata wkładają gogle i wybiegają na zewnątrz, a ja wydostaję się ze śpiwora i biegnę za nimi.

Od razu uderza mnie silny powiew, jakby trąba powietrzna chciała zbić mnie z nóg, i jest blask tak oślepiający, jakbym patrzyła na słońce, a hałas sprawia, że zaciskam zęby.

Jasne światło gaśnie, łoskot ustaje. Mrugam kilka razy, bo wciąż jestem oślepiąca, a potem wraca ciemność. Mama zapala latarkę i widzę, że na śniegu stoi helikopter, wygląda jak wielka czarna ważka, której skrzydła poruszają się coraz wolniej, aż wreszcie nieruchomieją. Na boku maszyny jest napisane: Policja Stanowa Alaski. Z helikoptera wysiada jakiś człowiek; twarz ma zasłoniętą czarną gumową maską i goglami i wygląda jak owad. Ma odznakę na ramieniu — Policja Stanowa Alaski. Odwraca się, żeby zamknąć za sobą drzwi i zatrząskuje je chyba z całej siły, bo moja bransoletka znów wibruje. Teraz idzie w naszą stronę.

*

Kapitan Grayling zobaczył grupkę ludzi na śniegu, dwoje dorosłych i małą dziewczynkę; rodzinę w samym środku głuszy, w niemal trzydziestostopniowym mrozie; ulga zwała go niemal z nóg.

— Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu. Jesteście cali i zdrowi? I wasza mała córeczka, też nic jej nie jest?

— Nie — odparła Yasmin Alfredson.

Pochylił się, żeby dostosować się do wzrostu dziewczynki, a ona odsunęła się od niego. Ściągnął maskę.

— Przepraszam, wyglądam groźnie.

Ale ona nadal nie chciała się do niego zbliżyć; uświadomił sobie boleśnie własną winę. To przez niego ona sama i jej matka ruszyły w głuszę Alaski.

Nie chronił ich. Nic dziwnego, że ta mała dziewczynka nie chciała mieć z nim do czynienia, a on podziwiał jej hart ducha.

Ujął rękę Matthew Alfredsona, przypominało to bardziej serdeczny uścisk niż podanie dłoni.

— Jak przeprosić człowieka za to, że uważało się go za martwego?

*

Kapitan Grayling był starszy, niż Yasmin początkowo sądziła; twarz miał drobną i znękaną. Wszedł z nimi do *aputiaka*, wczołgując się przez tunel.

— Widział pan cysterne? — spytała.

— Tak. Kierowca siedzi w helikopterze. Okazuje się, że nie jest mistrzem, jeśli chodzi o zawracanie ciężarówką.

— Wie pan, kim jest?

— Nic nie mówi w tej chwili, ale wyciągniemy z niego prawdę.

Urwał na chwilę i Yasmin dostrzegła na jego twarzy cień winy.

— Zacząłem was szukać w chwili, gdy się dowiedziałem, że jesteście na Dalton Highway — powiedział. — Ale zaczęła się burza, użycie helikoptera było wykluczone. Zacząłem was szukać na nowo, gdy tylko wiatr ustał na tyle, że można było lecieć. Przeczesałem każdy kilometr trasy na południe od przełęczy Atigun i nic nie znalazłem. Więc skierowałem się na północ.

Domyślała się, że wierzył w lokalizację podaną przez kierowcę ciężarówki i że zaczął ich szukać w tundrze dla spokoju sumienia, motywowany bardziej nadzieją niż oczekiwaniem mającym jakieś realne podstawy.

— Burza przeszła, widoczność znacznie się poprawiła — mówił dalej. — Potem zauważyłem waszą racę, więc skierowałem się w tamtą stronę. Znalazłem cysterne. Potem zacząłem was szukać. Wiatr i lód uszkodziły łopatę wirnika. Udało mi się tu dotrzeć, ale nie jest bezpiecznie startować ponownie. Wezwałem przez radio pomoc. Przylecą i zabiorą nas.

— Jak długo to potrwa? — spytał Matt.

— Godzinę, może trochę dłużej. Nawet dla śmigłowca to cała wyprawa.

*

Kapitan Grayling zobaczył, że Yasmin Alfredson pokazuje coś córce na migi, i wtedy sobie uświadomił, że mała jest głucha. Jej bezbronność wstrząsnęła nim do głębi.

— Jesteś na mnie zła, tak? — zwrócił się do dziewczynki. — Ja też jestem zły na siebie.

Yasmin przetłumaczyła jego słowa, ale dziecko nie okazało zrozumienia.

— Powinienem był uwierzyć twojej matce — zwrócił się do niej. — To moja wina, że wybrałyście się w tak przerażającą podróż. Sam powinienem zająć się poszukiwaniami twojego taty.

Yasmin znów przetłumaczyła i tym razem dziewczynka skinęła głową, a on odniósł wrażenie, że nie odsuwa się od niego już tak bardzo. Powiedziała coś matce.

— Wie pan, czy Adeeb Azizi czuje się dobrze? — spytała Yasmin.

Skinął z uśmiechem głową i pokazał „okej”, bo tylko to potrafił pokazać.

— Szukałem pana — zwrócił się do Matta. — Latałem nad obszarem wokół Anaktue niezliczoną ilość razy, żeby mieć pewność.

— Kiedy to było? — spytał Matt.

— W poniedziałek po południu i potem, w nocy.

— Wtedy byłem już prawie pięćdziesiąt kilometrów dalej — powiedział Matt.

*

Tata rozmawia swoim głosem z tym policjantem i pokazuje mi wszystko na palcach. Robi tak zawsze, kiedy jest ze mną i z kimś, kto nie zna języka migowego; to naprawdę trudne, bo w języku migowym gramatyka jest inna i trzeba też posługiwać się twarzą. A tata jest taki zmęczony.

— Dwa razy opuściłem Anaktue — mówi. — Pierwszy raz w zeszłą środę. To przynajmniej tydzień temu, prawda?

Kapitan Grayling kiwa głową, ale nie wiem, jaki dziś jest dzień; wydaje

się, że jechałyśmy przez jedną długą noc, która połyka dni.

*

Yasmin miała tak wiele pytań do Matta, ale wiedziała, że musi wysłuchać jego historii z ostatnich kilku dni, wszelkich szczegółów i drobiazgów, tak jak on musiał jej wysłuchać, bo były to dni, które oznaczały załamanie, a potem odrodzenie, bez względu na to, co działo się przedtem.

— Powiedział pan, że opuścił Anaktue w zeszłą środę? — upewnił się kapitan Grayling.

ROZDZIAŁ 20

Matt obudził się wcześnie, po bezsennej nocy spędzonej na łożku polowym, z myślą o czekającej go podróży. Corazon spała w swojej izbie, ale jej brat Kaiyuk był już na nogach i zajmował się husky. Matt słyszał ich szczekanie w nieruchomości poranka i głos Kaiyuka, który je karmił. Rozmawiali do późna i Matt przypuszczał, że jego przyjaciel postanowił się nie kłaść.

Włożył *atikluk* na kurtkę *atigi* i wyszedł na zewnątrz, zdezorientowany jak zawsze z powodu gwiazd i księżyca, wciąż widocznych na niebie, jakby nie miały pojęcia, że powinny dawno zniknąć. Powiew wiatru przegnał w nim resztki senności.

Minął skupisko drewnianych domów i chat, bzycający hałaśliwie budynek z generatorem i ruszył w stronę zagrody dla psów. Można było dostrzec z tego miejsca, że dwa domy przechylają się niebezpiecznie; ich fundamenty osadzone były na wiecznej zmarzlinie, która w ciągu kilku ostatnich lat zaczęła się roztapiać.

Kaiyuk zdążył już założyć psom uprząż i teraz ustawiły się na swoich miejscach, każdy uwiązany osobną linką pociągową. Miała to być dopiero druga samotna wyprawa Matta z zaprzęgiem, i dłuższa niż ta poprzednia. Kaiyuk udzielał mu ostatnich rad, tłumacząc, że powożący jest przewodnikiem sfory i że należy dopilnować, by husky zawsze o tym wiedziały. Potem wręczył mu wyciętą z kamienia lampę w kształcie półksiężyca, swój własny *qulliq*. „Jeśli chcesz się zasymilować...” — powiedział, uśmiechając się szeroko. Potem obaj mężczyźni uściskali się mocno, Matt zaś poczuł siłę ich przyjaźni. Nie obudził nikogo innego, żeby się pożegnać przed wyprawą; nie wydawało się to konieczne.

*

Spojrzał na Yasmin i Ruby, które siedziały w *aputiaku* blisko niego, i na kapitana Graylinga. Nie był pewien, jak długo milczał, ale sądził, że tylko kilka chwil i że wspomnienia, podobnie jak sny, wydają się długie, gdy się ich doświadcza, ale w rzeczywistości trwają mgnienie oka.

— Opuściłem wioskę wcześniej, około szóstej — powiedział. — Prawie wszyscy jeszcze spali. Poprzedniego wieczoru wyprawiliśmy przyjęcie dla Akiaka, powitalną balangę w związku z jego powrotem do domu.

— Akiaka Iqua? — spytał kapitan Grayling.

— Tak.

— Ustaliliśmy, że pracował także przy odwiertach w Prudhoe — wyjaśnił kapitan.

— Nie poinformował nikogo oficjalnie, że rezygnuje. — Akiak chciał odejść, nim zostałby zwolniony przez Soagil Energy; nie zamierzał dawać tym draniom takiej satysfakcji. — Dowiedział się, że mój laptop został uszkodzony i podczas tego przyjęcia dał mi swój. Powiedział, że to był prezent od tych z Soagil, rodzaj łapówki, ale gdy zaczęli grozić, nie chciał mieć do czynienia ani z nimi, ani z ich podarkami.

Matt wziął MacBook Air, ale ponieważ komputer nie miał opakowania ochronnego, bał się, że może nie działać w niskich temperaturach. Będąc dobrej myśli, włożył sprzęt do starego opakowania, które niezupełnie pasowało, a potem schował wszystko do plecaka podróżnego.

— Użył pan skutera śnieżnego? — spytał kapitan Grayling, a Yasmin domyśliła się, że nie jest już pewien ustalonych faktów.

— Nie, sań i psiego zaprzęgu.

Kaiyuk wykorzystywał psy do wyścigów i podobnie jak wszyscy w wiosce uważał, że Matt jest odrobinę stuknięty, jeśli nie chce używać podczas swej ekspedycji skutera, ale i tak zaproponował mu skorzystanie ze swojego zaprzęgu. Matt tłumaczył, że nie chce wystraszyć sowy śnieżnej, którą miał nadzieję znaleźć, i wszyscy byli na tyle wyrozumiali, by nie wspomnieć, że osiem psów husky może wystraszyć ptaka równie skutecznie co skuter.

Wyjeżdżając z wioski, zobaczył Kaiyuka i Akiaka, wciąż trochę pijanego

po wieczornym przyjęciu; obaj mężczyźni mu pomachali. Ponad dźwiękiem starego pomrukującego generatora docierały do niego głosy dzieci bawiących się na śniegu.

*

Przez cztery godziny Matt skupiał się bez reszty na prowadzeniu psów i na tym, by trzymać się pewnie na saniach. Przyszło mu do głowy, że jeden z prowadzących husky, inteligentna suka Puqik, pozwala mu łaskawie cieszyć się rolą przewodnika sfory.

Kiedy po raz pierwszy zjawił się w Anaktue, jego ubranie pochodziło ze specjalistycznego sklepu internetowego; teraz nosił *atıkluk* i *atigi*, z futrem karibu po wewnętrznej stronie, i *mukluki* zamiast butów śnieżnych. Nikt nie robił sobie żartów z tego, że przejmuje miejscowe obyczaje.

Nad głową wciąż miał gwiazdy i księżyc, tak jak poprzedniej nocy, gdy kładł się do łóżka, i czasem mu się zdawało, że tu, w tym miejscu, żyje w niekończącej się chwili, że na Dalekiej Północy czas się rozciąga i rozrasta niewyobrażalnie. Pomyślał o półprzezroczystej ćmie arktycznej, spędzającej aż do czternastu zim jako gąsienica, by osiągnąć dojrzałą postać na zaledwie kilka dni w porze letniej; każda ich godzina musiała wydawać jej się długa jak okrągły rok.

Jego latarka czołówka dobywała z mroku tylko biel śniegu i futra psich grzbietów. Słysząc było jedynie dźwięk wydawany przez płozy i oddech husky, które ciągnęły go niezmordowane. Mógłby podróżować w ten sposób tysiąc lat wcześniej i widziałby ten sam krajobraz, nosił to samo ubranie, poruszał się w ten sam sposób, i ta myśl nadawała rzeczom właściwą perspektywę, tak konieczną zwłaszcza w jego przypadku, gdyż wiedział, że już zbyt długo uważa się za kogoś ważnego i że oznacza to słabość i egocentryzm, i że nie jest to uczciwe wobec świata. W arktycznej tundrze nie sposób było czuć się kimś ważnym; człowiek miał jedynie wrażenie, że jest złączony z czymś nieograniczonym przez czas i przestrzeń.

Osiągnął zgodny rytm z psami i saniami, jakby podświadomie, i mógł

swobodnie rozmyślać o Corazon. Pojmował, że bliskość, jaka ich łączy, zrodziła się z tej bliskości i miłości, jaką odczuwał też wobec Kaiyuka, jej brata bliźniaka, i że nie było to romantyczne uczucie, tylko głęboka przyjaźń, która związała go z obojgiem. Że być może pragnie cząstki tej miłości, jaką jedno i drugie sobie okazywało, ale to był wyłącznie ich przywilej. Corazon odpowiedziała na jego pocałunek z przyjaźni, jak sądził, jakby domyślała się jego potrzeby i postanowiła odpowiedzieć na nią chwilowo. Nie pragnęła niczego więcej, a on miał nadzieję, że gdyby było inaczej, nie posunąłby się dalej. Wydawało się, że sam pocałunek jest już swoistą zdradą.

I z pewnością właśnie dlatego był tutaj sam, a prawdziwy powód jego wyprawy sprowadzał się do tego, by odzyskać nad sobą kontrolę, uświadomić sobie w pełni, że zdradził żonę.

Popatrzył na ogromną tundrę w kleszczach zimna i poczuł tę zamarzną ciszę; pomyślał, że łatwiej tu zmierzyć się spokojnie z własnymi sprawami ogromnej wagi. Niebo nad jego głową było bezkresne, zasypane gwiazdami.

Upłynęły cztery dni od chwili, gdy pocałował Corazon; dwa od chwili, gdy rozmawiał z Yasmin. Lecz nie to jawiło się uporczywie i wyraźnie w zimowym spokoju, który go otaczał; przypominał sobie coś innego, dźwięk fal i chrzęst kamyków pod stopami, adidas mokre od kałuż słonej wody. Spojrzał przez jej lunetę na nadmorskie nocne niebo, a Yasmin pokazywała mu galaktyki. Ale tak naprawdę patrzył bardziej na nią niż na gwiazdy — na piękną dziewczynę, która nie czyniła użytku ze swojej urody i wydawała się nią poirytowana, która domagała się uwagi dla swego intelektu; na partyzancką dziewiarę, która spogląda w niebo; utalentowaną, pełną pasji, zabawną, wrażliwą; na jej zdumiewającą nieprawdopodobność.

I wciąż ją kochał; kochał równie mocno w tundrze Alaski, jak tamtej nocy, kiedy leżała w jego ramionach na plaży w Cley. Ale wydawało mu się, że wciąż kocha dziewczynę, której już nie ma, jak jedną z tych martwych gwiazd, o których mu kiedyś mówiła, a których światło nadal było widoczne nie dlatego, że ludzie żyją w ich przyszłości, ale dlatego, że spoglądają na ich przeszłość.

„Pocałowałem ją, bo tęskniłem za tobą”.

Czuł własne tchórzostwo w bezlitosnym uścisku intymności łączącej go z Corazon i wiedział, że nikt nie potrafiłby wypełnić tej pustki, jaką zostawiła po sobie Yasmin.

Miał jednak zobowiązania wobec Yasmin jako kobiety, którą teraz była, i wobec Ruby, by uczynić ich wspólne życie jak najlepszym, nie zaś wykluczać się z niego. Bez względu na to, jak bardzo niezwykła i nieodparta wydawała mu się Alaska, musiał do nich wrócić. Postanowił spędzić w podróży trzy dni, a potem spakować swoje rzeczy w Anaktue i wrócić do domu.

Początkowo zamierzał spędzić tu kolejne osiem tygodni, filmując ptaki i zwierzęta, które nie wyemigrowały, tylko pozostały na miejscu, by przetrwać chłód. Wziął własny sprzęt fotograficzny, terminal i laptop Akiaka, żeby przesyłać zdjęcia do swojej wytwórni filmowej, ale zostawił je w plecaku; nie miało to już znaczenia.

Nakarmił husky, a potem rozbił namiot i zapalił *qulliq*, wykorzystując polarną bawełnę jako knot, tak jak mu pokazał Kaiyuk. Temperatura płomienia zaskoczyła go; wystawił lampę na zewnątrz w obawie przed wywołaniem pożaru.

Popatrzył na pustkowie, które wydawało się surowe i niezmierzone, ale wiedział, że pod śniegiem tundra stworzona jest z maleńkich roślin, że to kruchy ekosystem, który łatwo zniszczyć i którego nie sposób odtworzyć. Na obszarze rosyjskiej tundry widoczne były ślady opon pojazdów z czasów drugiej wojny światowej.

Londyn wydawał się tu gorączkowy, jego ulice i domy dziwnie szalone i natarczywe, zapchane do granic możliwości obiektami, które wymagały bezustannej uwagi; nikt nie mógł wyróżniać się długo na tle takiego obrazu. Na Alasce ludzie byli wyraźniej określani. Ostatnio jednak sama wioska stała się bardziej hałaśliwa i mniej spokojna, ponieważ ludzie spierali się o to, jak nie dopuścić do frackingu ich ziemi przez Soagil Energy. To Corazon koordynowała działania protestacyjne wymierzone w firmę, jednocząc mieszkańców. Czasem korzystała z jego terminalu, żeby uzyskać dostęp do internetu; postanowił, że go zostawi, kiedy będzie wracał do Anglii.

Uwolniony od bariery obiektywu, zobaczył tę krainę wyraźniej i tym silniej odczuł jej magnetyczne przyciąganie. Nieskażona przez człowieka, ziemia ta miała własną tożsamość, duszę i istnienie; zrozumiał żywione przez Inuitów przekonanie, że w każdej rzeczy zawiera się jej duch.

Pewnego wczesnego ranka ten śnieżny krajobraz zyskał oczy, które patrzyły na niego w bystrym skupieniu. Dopiero gdy śnieg się poruszył, zauważył, że jego częścią są pióra białej pardwy, która umościła się w odległości kilkudziesięciu centymetrów.

Zjawił się tu w lecie i widział płowo umaszczone pardwy, zające o brązowych futrach i szare lisy o złotawobrazowym odcieniu, brązowe wilki; teraz ich pióra i futra były białe, jakby uczynione z samego śniegu. W ostatni wieczór widział śnieżną sowę w locie, jej białe skrzydła miały rozpiętość półtora metra; wydawało się, że ptak jest wycięty z samego nieba.

Dziewiczość tej krainy i niezmierna samotność, równowaga wszelkiego szczegółu większej całości, wszystko to kazało mu w niej dostrzegać bardziej żywy poemat niż konkretne miejsce.

Ostatniej nocy niebo było bezchmurne, Księżyc w pełni pograżał zaśnieżony obszar w opalizującym niebieskim świetle. Pamiętał, jak Yasmin powiedziała mu, że księżycowy blask, który dociera na Ziemię, to odbita od Słońca iluminacja, a także światło gwiazd i blask samej planety. Powiedziała mu, że światło nie jest tak naprawdę niebieskie, że jest takie z powodu efektu Purkiniego, skazy ludzkiego oka. Pomyślał wtedy, że to, co wiemy, jest przetworzone przez nasze skazy i czasem dzięki nim piękniejsze.

*

Spojrzał na Yasmin w blasku *qulliq* i zauważył, że dziewczyna, którą tak kochał w przeszłości, znów powróciła, dostrzegł też wyczerpaną, niezwykle kobietę, jaką była teraz, tak dzielną w swej miłości do niego. Ujął jej twarz w dłoń.

Kapitan Grayling zobaczył, że Matt pokazuje coś na migi Yasmin. Był zaskoczony ich czystą i głęboką miłością, jaką sobie okazywali. Znalazł

obrączkę Matta w pogorzelisku Anaktue i pomyślał, że małżeństwo, które symbolizowało, jest skończone. Ich bliskość wydała mu się poruszająca, bolesna. On sam rozstał się z żoną — towarzyszyły temu spokój i desperacja — rok po śmierci ich syna. Zauważył, że mała dziewczynka odsuwa się od ojcowskich rąk, by dać rodzicom tę chwilę prywatności, ale musiał poznać do końca historię Matta.

— Co się stało potem? — spytał.

Matt odwrócił się do niego.

— W piątek rano zaczęła się burza lodowa. Czekałem, aż się skończy, by wyruszyć z powrotem do Anaktue.

*

Deszcz zamarzał na wszystkim, czego tylko dotknął, pokrywając psią uprząż, linki zaprzęgu i namiot warstwą lodu. Obtłukł go, a potem wyruszył w drogę powrotną, stęskniony za przyjaciółmi, za rozmowami i śmiechem przy kolacji. Zamierzał im powiedzieć, że wraca do Anglii, ale był przekonany, że większość z nich jest zdziwiona, że w ogóle zjawił się tu podczas miesięcy zimowych. Cieszył się na myśl, że opowie Kaiyukowi o zaprzęgu, przechwalając się odrobinę, jak to potrafił poradzić sobie z psami.

Zanim opuścił wioskę, on i Corazon powrócili na chwilę, z niejaką niezręcznością, do swej bliskiej przyjaźni. Dała mu przed tą jego szaleńczą, saneczkową wyprawą nóż do cięcia śniegu, nie jakiś zabytkowy, tylko nowoczesny, taki jak ona, powiedziała. Musiał się teraz przyznać, że nie użył go ani razu do budowy *aputiaka*. Że ograniczył się do namiotu i śpiwora termoizolacyjnego. Nie był inuickim myśliwym, który potrafi przetrwać w głuszy. Podejrzewał, że będzie się z niego śmiała.

*

— Było południe, kiedy dotarłem do Anaktue — powiedział Matt.

Gdy zbliżał się do wioski, jeden z husky próbował się wyrwać z zaprzęgu, a on zmusił go do posłuszeństwa.

— Nie paliły się światła i nic nie było słychać. Myślałem, że to środek nocy i że coś stało się z moim zegarkiem.

*

Świeciły nad nim gwiazdy i panowały ciemności, ale był dzień albo noc. Czas w tym miejscu przypominał pokrytą śniegiem bezdrzewną tundrę, pozbawioną jakichkolwiek znaków, według których można by się orientować.

Nie mogło to jednak być południe, bo paliłyby się światła, a w mroźnym powietrzu słychać byłoby głosy, dźwięk otwieranych drzwi i brzęk towarzyszący gotowaniu stawy.

Nasłuchiwał. Nic jednak do niego nie docierało. Nigdy nie było tu tak cicho. Nawet w środku nocy napędzany ropą generator buczał mechanicznie i postękiwał. Jeśli się wyłączał, ludzie szybko się orientowali, a wtedy zjawiał się ktoś i go uruchamiał. Pod koniec listopada temperatura spadała zbyt szybko, by nikt tego nie zauważył.

Anaktue błyszczało w świetle latarki. Burza lodowa zaatakowała też wioskę, pokrywając ją nieskazitelną warstwą lodu, otaczając każdy dom i każdą chatę jakby szkłem. Śnieg na ziemi też wyglądał jak glazurowany. Ale przecież ktoś by po nim chodził, naruszył go, otwierając drzwi albo okna. Wydawało się, że na tę wioskę spłynął czar albo spadła klątwa.

Otworzył drzwi zapieczętowane lodem i wszedł do pierwszej chaty, w której mieszkał jego przyjaciel Hiti z rodziną. Pomimo przejmującego zimna na dworze wewnątrz domostwa cuchnęło biegunką i odrobinę czosnkiem; omiótł je strumieniem światła latarki.

Hiti leżał na podłodze kuchni, okrywając kocem swego dwunastoletniego syna. Dłonie mężczyzny były poplamione na niebiesko, jakby zanurzył je w atramencie. Twarz dziecka kryła się pod tkaniną. Żona leżała jakiś metr dalej, trzymając ich młodsze dziecko, także owinięte w koc; twarz miało

zakrytą. Matt pomyślał, że ich dzieci umarły pierwsze, a rodzice owinęli je, nim sami umarli. Usłyszał w tej ciszy jakiś hałas i odwrócił się przestraszony. Dostrzegł dużego ptaka, który musiał wlecieć tu za nim; gwałtowne ruchy przemieniały go w niewyraźną plamę czerni, potem przemknął obok i wyfrunął na zewnątrz.

Wbiegał do chat, po kolei. Ten sam smród. Nikt nie przeżył. Brakowało tylko Kaiyuka i Akiaka. Obaj byli sprawni i młodzi, miał nadzieję, że zdołali umknąć przed tym, co się tu wydarzyło. Znalazł ich w odległości około pięćdziesięciu metrów od wioski. Przypuszczał, że próbowali wezwać pomoc.

Corazon znajdowała się w chacie starszego sąsiada, a on pomyślał, że przysłała się nim zaopiekować. Tak jak u innych, ręce miała niebieskiego koloru, a podłogę plamił kał.

Czuł, jak przepływa przez niego adrenalina, zmuszając do biegu, ciało miał spięte, umysł pracował na najwyższych obrotach. I wtedy światło latarki dobyło z mroku martwego czarnego ptaka na białym śniegu. Kruka. Od razu znieruchomiał. Jego pragnienie niesienia pomocy tym ludziom nie miało sensu. Nic dla nich nie mógł zrobić; już nic nigdy nie mógł dla nich zrobić. Jego poczucie, że czas rozciągnął się w nieskończenie rozległą chwilę, odnosiło się w przerażający sposób do śmierci i wyrzutów sumienia.

Wrócił do domu Hiti i starannie zakrył kocem twarz jego syna. Zauważył, że na ścianie wisi skóra karibu, cenny skarb chłopca. To był jego *anjungaun* — pierwsza myśliwska zdobycz młodego człowieka.

Chłopiec zastrzelił karibu wraz z Hiti we wrześnie, a potem wyznał Mattowi, że płakał, kiedy zabił zwierzę, że czuł się jak potwór. Ale później razem z ojcem podcięli mu tchawicę, żeby uwolnić jego ducha. Pokroili je wspólnie, a matka zamroziła kawałki mięsa na gulasz, który mieli spożywać przez tę długą zimę aż do wiosny, tłuszcz zaś posłużyłby jako paliwo do *qulliq*, a skóra jako materiał na kołdrę albo ubranie. Ale ponieważ był to jego *anjungaun*, powieszono go z dumą na ścianie domu. W lecie chłopiec miał się wybrać na całonocną wyprawę myśliwską i zabrać skórę ze sobą, by zrobić z niej *aputiak*. Jego ojciec oznajmił, że pewnego dnia syn będzie z pewnością *isiqsuruk*, silnym i wytrzymałym myśliwym. Chłopiec powiedział, że skoro

uwolnili zwierzęcego ducha i nie zmarnowali nawet kawałka jego ciała, to jest dumny ze swego pierwszego polowania.

Matt zdjął skórę karibu ze ściany i zapłakał.

ROZDZIAŁ 21

W ciszy *aputiaka* Matt przypomniał sobie jazgot psów Kaiyuka, wyjących do czarnego nieba, na którym gwiazdy kryły się w chmurach; ich głosy przypominały gwałtowny lament.

Yasmin ścisnęła go za rękę, jakby razem z nim wchodziła do tych domów. Nie przekazywał tych wszystkich szczegółów Ruby, nie chciał, by te obrazy zagnieździły się w jej głowie i by wiedziała, że zawiódł swoich przyjaciół.

— Nie mogli w żaden sposób wezwać pomocy — powiedział. — Zabrałem ze sobą terminal satelitarny. Nawet z niego nie skorzystałem.

— To nie była twoja wina — zapewniła Yasmin. — Matt, posłuchaj, błagam. To nie była twoja wina. Nie mogłeś wiedzieć.

Twarz kapitana Graylinga zdradzała szok wywołany tym, co mówił mu Matt.

— Myśli pan, że cierpieli przed śmiercią? — spytał, a Matt poczuł się zaskoczony tonem współczucia w głosie policjanta.

— Tak. Ale wtedy nie wiedziałem o tym jeszcze.

— Znalazł ich pan w zeszły piątek? — spytał kapitan.

— Tak.

— Policja sądziła, że wszyscy zginęli w pożarze — powiedziała Yasmin.

— Nie rozumiem.

— Doszło do strasznego pożaru — wyjaśnił kapitan Grayling. — Wszystko spłonęło do gołej ziemi. Nie sposób się było zorientować, że zginęli wcześniej.

— Ktoś podpalił wioskę? — spytał Matt, nie kryjąc przerażenia.

— Niewykluczone, że chodzi o wypadek — zauważył policjant. — Może był włączony jakiś grzejnik, kiedy umarli, albo piecyk, od którego zaczął się cały ten pożar.

Yasmin przypomniała sobie, że to kapitan Grayling dowodził akcją poszukiwawczą w Anaktue. To musiał być okropny widok. Rozumiała, dlaczego nie chciał przyznać, że chodzi o celowe podpalenie. Oznaczałoby to, że ktoś zabił tych ludzi dwukrotnie.

— Myślałem, że policja ich znajdzie — powiedział Matt. — Może nie w ciągu paru dni, ale byłem pewien, że w końcu zostaną odnalezieni.

Mieszkańcy wioski mieli przyjaciół i krewnych poza Anaktue, które leżało na uboczu, ale nie było odcięte od świata. Ludzie przylatywali tam awionetkami, a ci z wioski opuszczali ją w ten sam sposób. Zakładał, że ktoś znajdzie ich prędzej czy później i powiadomi policję.

Yasmin zwróciła się do kapitana.

— Gdyby znalazł ich pan przed pożarem, to wiedziałby pan, że Matt żyje. Zorientowałby się pan, że wśród zabitych nie ma zwłok białego człowieka z Zachodu.

Kapitan Grayling skinął głową. Milczał przez kilka chwil, jakby starał się nad sobą zapanować.

— Ustalimy, jak było z tym pożarem — zwrócił się do Matta. — Ale chciałbym wiedzieć, co naprawdę stało się wcześniej w Anaktue. Myślę, że może mi pan w tym pomóc.

*

Tata ściągnął specjalne buty i teraz krwawią mu stopy, a niektóre palce są czarne, jakby ktoś posmarował je pastą do obuwia.

Mówię tacie, że też chcę wiedzieć, co się stało, więc czytam z ruchu jego warg to, co mówi. Nie chcę jednak, żeby pokazywał, bo jest taki zmęczony. Mówię, że będę patrzyła w inną stronę, jeśli coś będzie zbyt straszne. Przykrywam jego biedne stopy śpiworem i próbuję je ogrzać, a kiedy to robię, on się do mnie uśmiecha, jakby był tym dawnym tatą.

— Obok jednego z domów znów zobaczyłem martwego kruka — mówi tata swoim głosem i pokazuje to także, choć mówiłam, że nie musi tego robić.

*

Powiedział im wcześniej o tym kruku? Albo pamiętał to tak wyraźnie, że tylko mu się wydawało, że powiedział?

Zaczął padać śnieg, białe płatki osiadały na czarnym ptaku.

— Zrobiłem mu zdjęcie.

Nie chodziło o dowody czy utrwalenie jakiegoś śladu; ten kruk jawił się jako epitafium dla inuickich mieszkańców wioski i wyrażał coś, czego on sam nigdy by nie potrafił wyrazić.

— A potem odszedłem stamtąd po raz drugi.

*

Planował dotrzeć do pasa startowego; sądził, że za parę dni powinien przylecieć jakiś samolot. Wciąż miał namiot, a na saniach zapasy dla siebie i psów, jeszcze z pierwszej wyprawy. Kaiyuk kazał mu wziąć podwójne porcje, na wypadek burzy. Mógł spokojnie czekać na samolot.

Psy nie chciały odejść. Musiał użyć całego autorytetu i siły, żeby ruszyły się z miejsca. Suka Puqik, jeden z psów prowadzących, zdawała się rozumieć, że muszą się stamtąd zabrać, a pozostałe podążyły w końcu za nią.

Kiedy oddalił się od Anaktue, zaczął padać gęstszy śnieg. Wioska za jego plecami ginęła w bieli i ciemności, miał wrażenie, że porzuca tych ludzi. Psy ciągnęły, śnieg był coraz gęstszy, aż w końcu nie potrafił odróżnić tego, co było przed nim, pod nim i nad nim: jednowymiarowa biel, w której mógł podróżować równie dobrze po niebie, jak po ziemi.

Trzyście kilometrów za Anaktue śnieżycą zelżała i znów zaczęły się ukazywać różnorodne płaszczyzny trójwymiarowego świata. Blask jego latarki ujawnił czarne kształty na śniegu.

Kiedy się zbliżył, uderzyła go w nozdrza charakterystyczna woń; ta sama, którą wyczuwał wewnątrz chat, ohydna nawet w lodowatym powietrzu. Ujrzał stado martwych piźmowołów, te mniejsze były niemal całe zakopane

w świeżo spadłym śniegu. Duży byk został częściowo zjedzony, kiedy już zdechł, bo nigdzie nie było widać krwi.

Coś błysnęło w świetle latarki. Kawalek dalej dostrzegł otwór w lodzie, a nurt pod spodem odbił blask latarki. Tu, gdzie stał, rzeka zamarzała, a potem przykrył ją śnieg. W miejscu, w którym lód był najcieńszy, woły musiały zrobić przerębel kopytami, żeby dostać się do wody.

Zajrzał do dziury. Strumień był szybki. Tuż pod powierzchnią tkwił ofiodon, uwięziony z powodu ostrego kawałka lodu; jego skrzela uległy już częściowemu rozkładowi.

Nie chciał wierzyć dowodom, które miał przed oczami; nie chciał myśleć, że ten kruchy i czysty łąd, biały poemat, w którym żył zaledwie od wczoraj, jest przesiąknięty smrodem trucizny.

Tak jak nie chciał przyznać, że zapach piźmowołów łączy je w jakiś sposób z mieszkańcami wioski. Był to szczegół zbyt groteskowy, zbyt poniżający i nie miał związku z pięknem ludzi i zwierząt.

Osiemset metrów dalej natknął się na sforę martwych wilków, większość zdążył już zasypać śnieg. Przyszło mu do głowy, że pożywiły się padliną wołów, a może napiły się też z rzeki.

Mieszkańcy Anaktue czerpali z niej wodę, by starczyło jej na dwa kolejne dni, i trzymali ją w zbiornikach; zadanie to spoczywało na barkach najsprawniejszych mężczyzn i kobiet. Akiak i Kaiyuk wybierali się nad rzekę, kiedy wyruszał w pierwszą podróż. Akiak nie musiał tego robić, ponieważ wrócił niespodziewanie, więc okazał szczodrość, pomagając swemu przyjacielowi.

Jednak mieszkańcy Anaktue gotowali wodę przed jej spożyciem.

Śnieg wciąż padał, przysypując łagodnie zwierzęta.

*

Matt opowiedział im, jak zrobił zdjęcia piźmowołu i wilków, wykorzystując terminal satelitarny, by ustalić dokładną pozycję. Terminal nie funkcjonował na tyle długo, by próbować podłączyć go do laptopa, ale

pozwolił ustalić szerokość i długość geograficzną. Zapisał liczby w notatniku, posługując się ołówkiem. Długopis zamarznął.

— Użyłeś współrzędnych bez przecinka — powiedziała Yasmin.

— Chciałem je szybciej zapisać. Pomyślałem, że później to poprawię.

Yasmin wyobrażała sobie, jakiej wytrwałości, fizycznej i mentalnej, wymagało stanie w temperaturze prawie minus trzydziestu stopni najpierw z aparatem w rękę, potem terminalem i wreszcie ołówkiem. I rozumiała, dlaczego zapisywał tylko to, co najważniejsze. Musiał to robić w cienkich rękawiczkach; nie chciał ryzykować odmrożenia palców, bo oznaczałoby to, że nie będzie mógł porozumiewać się z Ruby.

— Zamiast skierować się na wschód, w stronę pasa startowego, ruszyłem na południe, wzdłuż rzeki, podążając śladem martwych zwierząt i ptaków na brzegu. Szedłem pod prąd, w stronę źródeł.

*

Yasmin rozumiała, że Matt uważał za swoją powinność wobec mieszkańców wioski udokumentowanie tego, co się wydarzyło, i ustalenie prawdy, ale z pewnością mógł dotrzeć do pasa startowego i poczekać na awionetkę; ktoś inny mógłby się wszystkim zająć, na przykład policja. Domyślał się, że chce o to spytać, choć milczała.

— Śnieg pokrywał wszystko, zawieja niemal pogrzebała piźmowoly i wilki. Jeszcze trochę i zwierzęta zniknęłyby na dobre. Niczego nie można było dostrzec. Nie pozostałby żaden ślad.

Skinęła głową; żywił zapewne nadzieję, że policja odnajdzie mieszkańców wioski, a potem zacznie go szukać. Nie wiedział o pożarze i o tym, że właśnie z powodu pożaru uznano go za zmarłego. Nie wyobrażał sobie, że można być tak straszliwie samotnym przez tak długi czas.

*

Husky Kaiyuka stanowiły jego jedyne żywe ogniwo z Anaktue.

Przekrzykując wiatr, wołał do każdego z nich po imieniu, którego nauczył go Kaiyuk. Na przedzie biegła Puqik, co znaczyło „Bystra”; obok niej biegł Umialik, co znaczyło „Król”; potem Quakliq, czyli „Szeł”, i Nuturuk, czyli „Ubity Śnieg”; następnie Siku, „Lód”, w parze z Koko, „Czekoladą”. Na samym końcu był Qannik, „Śnieżynka”, i Pamiuqilavuk, co, jak twierdził Kaiyuk, oznaczało „Machający Ogonem”, ale Matt nie wiedział, czy przyjaciel przypadkiem nie żartuje sobie z niego.

— Puqik, biegnąca na przedzie, znalazła jakąś padlinę nad rzeką i zjadła ją, nim zdołałem cokolwiek zrobić.

Został z nią, dopóki nie zdechła, żałując po raz pierwszy w swej pracy, że nie ma broni. Jego przyjaciele umierali bolesną śmiercią.

Bez Puqik pozostałe psy trudno było prowadzić; musiał robić wszystko, by go słuchały. Jego jedynym źródłem światła była latarka na dynamo; zużył ją niemal całkowicie przed następnym nakręceniem, wiedząc, że będzie musiał to robić w cienkich rękawiczkach.

Czasem wydawało mu się, że zgubił rzekę, a potem dostrzegł ciemny kształt obok jej brzegu i wiedział już, że natknął się na zatrutego zwierzaka albo ptaka. Robił zdjęcie, ustalał współrzędne i notował; potem znów przemierzał ciemny okaleczony ląd, szukając trucizny.

— Czy to samo stało się z twoimi przyjaciółmi, tato? — spytała Ruby. — Oni też zostali otruci? To była trucizna, nie ogień?

Matt skinął głową; nie chciał, by Ruby poznała tę historię, ale przekazywał ją, ponieważ córka chciała wiedzieć, co się stało. Już dawno ustalili z Yasmin, że nigdy nie będą wykorzystywać jej głuchoty dla jakichkolwiek korzyści, nawet jeśli miało to ją chronić.

— Drugiej nocy w moim prymusie skończyło się paliwo — powiedział. — Za bardzo wiało, żeby rozpalić *qulliq*. Nakarmiłem husky, ale nie miałem jak roztopić śniegu, żeby je napoić.

Przez dwa następne dni, ilekroć wiatr łagodniał, zapalał *qulliq* i roztopiał śnieg, by mieć wodę dla psów i siebie.

— W niedzielę w nocy miałem już za sobą czterdzieści kilometrów. Uwiązałem psy do śledzi namiotu. Były głodne. Dawałem im połowę racji, starając się oszczędzać zapasy. Następnego ranka dwóch brakowało.

— Których? — spytała Ruby.

Po pierwszej wyprawie z Kaiyukiem powiedział jej, jak się nazywają.

— Pamiuqilavuka i Nuturuka. Znalazłem Nuturuka przy otrutym zającu. Też był chory.

Wydawało się, że pies znajduje się na pewnym podłożu, ale gdy Matt poszedł po niego, grunt się załamał.

— Tato? Co się stało?

— Leżał na cienkim lodzie pokrywającym rzekę i wpadł do wody. Zdechł, bo była bardzo zimna.

— Ale miał przecież specjalne gęste futro. Mówiłeś mi to. Powiedziałeś, że husky przegrzewają się, nawet gdy jest bardzo zimno.

— Był chory, więc zbyt szybko się oziębił.

Rzeka na odcinku, na którym znajdował się razem z psem, była stosunkowo płytka, ale szybka. Matt nie próbował ratować psa, pozwolił, by porwał go nurt — utonięcie albo hipotermia oznaczała lżejszą śmierć.

— A co z Pamiuqilavukiem? — spytała Ruby, pokazując palcami merdający szybko ogon.

— Nie mogłem go znaleźć. Myślę, że też wpadł do wody. Zginął bardzo szybko, Puggle.

— Tak.

— Pokonaliśmy kolejne sześć i pół kilometra.

*

Stopy i wierzchnie spodnie były mokre, ponieważ pokonywał lód na rzece. Miał na sobie trzy warstwy, tak jak inuiccy myśliwi, ale zimno je przenikało. Odczuwał odmrożenia w stopach i goleniach jak elektrowstrząsy. Nogi mu osłabły, stopy zdrętwiały; z trudem utrzymywał na saniach równowagę. Cały czas, pomimo hałaśliwego wiatru, wołał psy po imieniu, ale stopniowo zapominał, jak który się wabi. Wiedział, że cierpi z powodu zimna i że umrze niebawem, jeśli się szybko nie ogrzeje.

Zatrzymał zaprzęg. Mokra odzież wchłaniała z jego ciała resztki ciepła,

a nie miał jak jej wysuszyć. Nie było tu niczego do rozpalenia ognia, drzewa ani nawet gałązki. Wiatr siekł jak maczety, choć nic nie stało mu na drodze. Przy takich podmuchach nie zdołałby zapalić *qulliqqa*, nie wspominając już o podtrzymaniu ognia. Nie miał źródła ciepła.

*

Tata mówi, że wiedział o nadchodzącej burzy, ponieważ wiało coraz mocniej i robiło się coraz zimniej. Próbował rozbić namiot, ale ziemia była zbyt twarda, żeby wbić odpowiednio kołki. A potem pojawił się wielki podmuch wiatru i porwał namiot jak koronkową chusteczkę przytrzymywaną pinezkami. Próbował go gonić, ale namiot zniknął w dali.

Mówi, że próbował uwiązać husky, żeby nie uciekły i się nie otruły, ale ciężko było wbić kołki. To okropne myśleć o tacie, który był tak zmarznięty i samotny, na tej twardej, twardej ziemi.

— Dlaczego nie wysłałeś nam mejla? — pytam. — I nie powiedziałeś, że to ty i że potrzebujesz pomocy?

— Chciałem, Puggle, ale laptop Akiaka zmarzł. — Uśmiecha się. — Dosłownie.

Też się uśmiecham, jak buźka na reklamówce, ale w środku czuję się smutna.

— Nie chciał się włączyć — mówi tata. — Mój pokrowiec nie chronił go należycie. Myślę, że za bardzo zmarzł, żeby działać. Ekran też trochę popękał.

Patrzy na mamę tym nowym spojrzeniem i widzę, że chce coś jej powiedzieć, pewnie na migi, bo tak jest bardziej prywatnie, ale potem policjant im przerywa.

— To musiało być w poniedziałek — mówi. — Kiedy szukaliśmy pana podczas burzy. Ale udało się panu to zbudować.

— Nie. To, o czym pan mówi, to była moja pierwsza próba — mów tata i uśmiecha się do mnie. — To było naprawdę beznadziejne, Puggle. Nigdy przedtem tego nie robiłem, przyglądałem się tylko, jak robią to Kaiyuk

i Corazon. Potrafili zbudować *aputiak* w dwadzieścia minut, a ja potrzebowałem wielu godzin. Nawet wtedy wyglądał kiepsko.

*

Rozumował za bardzo jak londyńczyk, a nie jak Inuita. Jeśli miał przeżyć, to musiał pomyśleć o tym, co oni by zrobili. Wziął nóż Corazon i zaczął wycinać z zasy blok śniegu, starając się przywrócić palcom koordynację. Niektóre bloki pękały, a więc nie nadawały się do niczego, i musiał zaczynać od nowa. Kiedy już doszedł do wniosku, że zgromadził ich dostatecznie dużo, przystąpił do budowy *aputiaka*.

Przez cały ten czas — drżąc na całym ciele, czując w odmrożonych stopach bolesne ukłucia — myślał o Yasmin i Ruby, widział w ciemności ich twarze, jakby na końcu jakiegoś tunelu, i wydawało mu się, że gdy zbuduje już *aputiak*, to do nich dotrze. Przypominał sobie głos Kaiyuka, wznoszący się ponad wyciem wiatru, wyjaśniający cierpliwie: „Nie szereg za szeregiem, tylko spirala. Potem uszczelniamy złączenia śniegiem”. Jednak ten głos był bardziej wyrazisty niż wspomnienie, jakby ten człowiek był tutaj, razem z nim, i Matt bał się, że wyziębienie przyprawia go o halucynacje; mimo wszystko brzmienie tego głosu przynosiło mu pociechę.

Kiedy już ukończył robotę, wpelził do środka, niewymownie przemarznięty. Udało mu się zapalić *qulliq* za dziesiątym razem. Ciepło go niemal wystraszyło. Zamknął wejście śniegiem i zdjął mokre rzeczy, żeby je wysuszyć. Wyjął z laptopa Akiaka baterię, potem położył ją razem z komputerem obok *qulliq*, mając nadzieję, że dzięki ogrzaniu sprzęt znów zacznie działać. Potem zasnął, tracąc co pewien czas i odzyskując świadomość; blask lampy lśnił na śnieżnych ścianach.

Obudził się, z trudem oddychając, dym z *qulliq* wypełniał schronienie; musiał wziąć nóż i wyciąć dziurę, żeby przewietrzyć *aputiak*. Nie drżał już jednak gwałtownie.

Nazajutrz rano odmrożone stopy pokryły się czerwienią i pęcherzami. Dwa psy, Umialik i Qannik, zerwały się i uciekły. Poprzedniej nocy dał im

skąpe racje, odeszły więc w poszukiwaniu jedzenia. Zostały mu już tylko Koko, Quakliq i Siku. Napawała go obrzydzeniem myśl, że nim doznał poczucia straty, odczuł ulgę, że potrafi przypomnieć sobie ich imiona. Postanowił, że następny *aputiak*, jaki zbuduje, będzie mógł pomieścić też psy.

Włożył baterię do laptopa, który włączył się na jakieś pięć sekund, ale potem klawiatura przestała działać; zauważył, że ogrzanie sprzętu doprowadziło do kondensacji wewnątrz ekranu. Owinął komputer w lekki ręcznik, licząc na to, że uda mu się go osuszyć, a potem umieścił go w plecaku.

Zostawił nędzny *aputiak* i przeszedł pięć kilometrów wzdłuż rzeki; stopy miał skrwawione i poczerniałe od odmrożeń. Trzy pozostałe psy ciągnęły sanie uwolnione od jego ciężaru. Miał tylko latarkę, którą oświecał sobie drogę, maleństwo w bezkresie czarnego krajobrazu; wydawało mu się, że jest jedynym żyjącym człowiekiem na planecie ciemności i lodu.

W blasku latarki pojawił się słupek orientacyjny. Był to pierwszy ślad ludzkiej obecności od niemal czterech dni, on zaś wiedział, że dociera do źródła trucizny. Dostrzegł więcej słupków, oznaczających rzekę jako drogę.

Potykając się, pokonał dwa i pół kilometra tej trasy, kiedy usłyszał nieznaczny trzask.

Poświecił latarką, szukając przyczyny, i znalazł dziurę w lodzie; w miejscu, gdzie przejechał wóz ciągnięty przez husky, utworzyły się pęknięcia. Powiększył otwór nożem. Kilka głazów tworzyło zlewisko oddzielone od bystrego nurtu; zobaczył grubą warstwę martwych ryb i żab, już w częściowym rozkładzie.

Zrobił kilka kroków i poczuł pod stopami coś miękkiego. Poświecił sobie i zobaczył martwe wydry na lodzie.

Zrobił zdjęcie, ale sprawiło mu to trudności; bał się, że do wnętrza aparatu dostał się śnieg. Chciał za wszelką cenę wrzucić fotografie do sieci, gdzie nie byłyby narażone na niską temperaturę, ale wątpił, czy uda mu się uruchomić laptop Akiaka. Przypomniawszy sobie, że w jakiś dziwny sposób łatwiej mu było myśleć o problemach z aparatem i komputerem, niż skupiać się na rodzinie wydr. Obok nich leżał Qannik.

*

Tata mówi, że zobaczył też wydry kanadyjskie i zrobił im zdjęcie. Wydawało mu się, że zbliża się do źródła trucizny.

Mówię mu, że kiedy zobaczyłam tę rodzinę, to się popłakałam, a on kiwa głową, bo rozumie. Jakby nasze historie łączyły się teraz, historia mamy, taty i moja, i znów jesteśmy jedną historią.

Kiedy zobaczyłam husky obok wydr, pomyślałam, że ten zły człowiek pozwolił mu umrzeć, ale teraz wiem, że tata próbował się nim zająć. Qannik znaczy Śnieżynka i choć wyglądał miękko i delikatnie, był bardzo silny i zawzięty.

Tata szedł po drodze-rzece, tak jak my, i kiedy tu dotarł, wiedział, że znalazł truciznę. Mówi, że sprawdził teren w górę rzeki i że nie było tam martwych ryb i martwych zwierząt. Mówi, że trucizna wzięła się stąd.

Wszyscy wkładają ciepłe rzeczy i wychodzą z *aputiaka*. Tata mówi, żebym została w ciepłe, ale nie ma mowy; nie chcę stracić go z oczu, nawet na minutę.

*

Ognisko jest superjasne, więc widzę dłonie mamy i taty. Płomienie wyglądają jak duchy próbujące uciec w ciemność.

— Palilo się, kiedy tu dotarłem — mówi tata do policjanta. — Nie bardzo wiem, co próbowali zniszczyć. Podsycałem płomienie, mając nadzieję, że pilot je dostrzeże.

Policjant mówi coś do mamy, a ona mi tłumaczy:

— Cywilne samoloty nie latają tutaj. My też nie, jeśli nie mamy konkretnego powodu.

Wiem, że chodzi mu o to, że szukał mamy i mnie i dlatego zobaczył naszą racę; raca sięga znacznie wyżej niż ognisko. Nasza wyglądała jak czerwona gwiazda.

Nikt nie szukał taty prócz mnie i mamy.

Tata wkłada do ogniska jakąś deskę, jest jeszcze więcej płomieni i ciemność robi się pomarańczowa, gdy duchy uciekają.

Widzę gigantycznego metalowego potwora, który wznosi się ku marmoladowemu niebu.

— Szyb frackingowy — mówi tata.

*

Zbliżył się do blasku ogniska i w jego świetle zobaczył strzelistą wieżę, wysoką na czterdzieści metrów, przypominała średniowieczną katapultę zrobioną z metalu atakującego ziemię. Potem zaczął myszkować latarką, jej maleńki snop blasku oświetlił wielki kompresor, cysterny, wieżby rurowe i pompy frackingowe. Była tam też częściowo rozebrana siłownia z generatorem, na ziemi leżały reflektory strumieniowe. Znalazł dwadzieścia dwa odwierty w promieniu półtora kilometra od szybu. Dziury w ziemi przypominały księżycowe kratery wielkości jezior, przypuszczał, że to zbiorniki odpadowe. Nawet w tym zimnie wyczuwał chemiczne trucizny, ich woń drapała go w nos i gardło. Pomimo ujemnej temperatury ciecz w tych dołach nie była pokryta lodem, a światło latarki, zamiast odbijać się w jej powierzchni, było wchłaniane przez jej ciemną lepkość.

Na przestrzeni tysięcy kilometrów wokół tego miejsca rozciągała się biała od śniegu tundra, a pod jej powierzchnią krył się kruchy i nieskażony ekosystem. Ale tutaj była ona poznaczona bliznami metalu i kraterów, a pod jego stopami biegly na głębokości trzech kilometrów rury frackingowe, jak żyły rozsadzające glebę.

Mieszkańcy wioski bali się, że fracking zatruje ich ziemię i wodę i zniszczy ich styl życia. Bali się, że wywoła u nich choroby. Analizował i badał wraz z Corazon wszelkie zagrożenia związane z frackingiem. Było koszmarną ironią, że to nie szyby obok Anaktue ich zabiły, tylko odwierty prowadzone przez inną firmę, ponad sześćdziesiąt kilometrów dalej.

— Wie pan, w jaki sposób zatruto rzekę? — spytał kapitan Grayling.

— Mogła pęknąć obudowa jednej z rur i doszło do wycieku chemikaliów

w płynie stosowanym przy szczelinowaniu — odparł Matt. — Albo uwolniono truciznę, kiedy szczelinowano skały. Albo ktoś po prostu pozbył się toksycznych odpadów. Istnieje wiele możliwości.

*

Policjant zdjął maskę i widzę po jego twarzy, że i on uważa, że to jest paskudne miejsce. Może ją zdjął, ponieważ wie, że trochę mnie przeraża; albo może zrobiło mu się za ciepło przy ognisku.

— I zbudowałeś naprawdę dobry *aputiak*? — pytam się taty za pomocą specjalnego znaku dla tego słowa.

— Tak.

— Z dziurą na dym i drzwiami ze skóry — dopytuję.

— Zgadza się. Trochę mnie to kosztowało, Puggle.

*

Kiedy zbudował *aputiak*, zapalił *qulliq* i położył obok niego laptopa owiniętego w ręcznik. Po czterech godzinach ekran zaświecił, a on poczuł, że nie jest już sam. Nie było go w wiosce, kiedy ginęli jej mieszkańcy, kiedy go potrzebowali, ale teraz mógł przynajmniej dać świadectwo temu, co się stało. Podłączył aparat do komputera Akiaka, a ten automatycznie przestawił się na iPhoto. Kliknął „Przenieś wszystko” i jego zdjęcia zostały przegrane na dysk.

Otworzył pierwszą fotografię i zaczął umieszczać współrzędne oznaczające miejsce wykonania zdjęcia w polu opisu, ale ekran co rusz przygasał, a on bał się, że urządzenie lada chwila padnie. Opisywał jak najszybciej każde zdjęcie, po prostu kopiując liczby uwiecznione ołówkiem, nie mając czasu na nic więcej.

Znał już współrzędne dla Anaktue i umieścił je przy zdjęciu kruka.

Sfotografował też szyby frackingowe i krater, mroczne w blasku ogniska, i obliczył współrzędne, ale na zdjęciach nie było żadnych dowodów

trucizny. Dowód widniał na fotografiach zwierząt i ptaków.

Musiał zamieścić zdjęcia w internecie, gdzie byłyby bezpieczne, nienarażone na działanie lodu czy wilgotnego, skrajnego zimna, ale najpierw zamierzał przesłać mejla Yasmin; w jakiś sposób wyrazić swą miłość do niej określoną myślą i słowami.

Wpisał jej adres, a wtedy ekran zamrugał raz i zgasł. Owinął laptopa i położył obok *qulliq*. Godzinę później ekran zaświecił niewyraźnie. Działała tylko myszka. Klawiatura w ogóle nie funkcjonowała. Wciskał literę za literą, ale bez rezultatu. Czuł się tak, jakby pozbawiono go głosu. Pomyślał o Ruby, o tym, że ludzie nie rozumieli, że jej znaki to słowa, o jej odwadze i dzielności.

Przyszło mu do głowy, że może mimo wszystko uda mu się przesłać zdjęcia i współrzędne. Miał adres Yasmin, a myszka działała. Wyszedł z *aputiaka*.

*

— Wysłałem mejle stamtąd — mówi tata. Wskazuje wzgórze, które wygląda na tle pomarańczowego blasku ogniska jak wielka czarna wycinanka. — Musiałem znaleźć niczym niezakłóconą przestrzeń nad satelitą.

— Pewnie bolały cię stopy — mówię. Widziałam w *aputiaku* jego biedne pociemniałe palce.

— Trochę, ale nie za bardzo — mówi. — W przypadku stóp odmrożenie nie jest takie groźne. W najgorszym razie stracę jeden palec albo dwa, a można z tym żyć.

Porozumiewa się ze mną głosem dłoni.

Ujmuję jego ręce i oglądam po kolei palce, bardzo dokładnie. Uśmiecha się i pokazuje, że nic się z nimi nie stało.

*

Wspinaczka sprawiała trudności, stopy miał zdrętwiałe od odmrożenia, grunt był nierówny i zdradziecki z powodu lodu. Dotarł na szczyt i próbował osadzić w ziemi latarkę, żeby w jej świetle podłączyć przewód między laptopem i terminalem, ale przewracała się i pokrywała śniegiem. Gdyby ekran świecił, byłoby mu łatwiej, ale był przyciemniony i popękany i nie zapewniał dostatecznej iluminacji.

Zdjął rękawice i mając na dłoniach te cienkie, zaczął szukać opuszkami palców wejścia do kabla.

Udało mu się podłączyć laptop do terminalu, który zaczął szukać satelity. Posługując się myszką, otworzył iPhoto, a potem kliknął zdjęcie piżmowołu arktycznego. Następnie kliknął „Udostępnij”, a później „Mejl”. Sprawdził pole opisu, żeby współrzędne zostały przesłane automatycznie wraz ze zdjęciami. Zdążył wpisać adres Yasmin, zanim klawiatura zamarzała, więc posłużył się myszką, żeby skopiować i wkleić jej adres do pola odbiorcy. W polu tematu automatycznie pojawił się numer zdjęcia z jego aparatu cyfrowego. Nim kliknął „Wyślij”, spróbował jeszcze z klawiaturą, pragnąc za wszelką cenę, by działała i by mógł napisać do Yasmin. Klawisze były jednak zamarznęte.

Kiedy terminal uzyskał połączenie satelitarne, Matt przesłał zdjęcie piżmowołu, ale gdy próbował zrobić to samo z następnym zdjęciem, stracił połączenie i musiał zaczynać wszystko od nowa. Wiedział, że może przesłać tylko niewielką część zdjęć, które wykonał. Co pięć minut wsuwał dłonie w grube rękawice, żeby je ogrzać. Po półgodzinie ekran laptopa zgasł. Musiał wrócić do *aputiaka* i zaczekać, aż sprzęt znów zacznie działać, a potem ponownie wspiąć się po oblodzonym zboczu wzgórza. Niezdolny do jasnego i logicznego myślenia, fizycznie wyczerpany, stracił poczucie czasu. Wciąż czepiał się nadziei, że klawiatura zacznie działać na tyle, by mógł wpisać swoje inicjały i powiedzieć w ten sposób Yasmin, że to on.

Czuł, jak wokół niego narasta burza — wiatr był coraz dokuczliwszy, śnieg padał szybciej i gęściej, aż w końcu go oślepił. Podczas ostatniej wędrówki w dół zbocza musiał posuwać się na czworakach, chłostany przez lodowatą wichurę, odzieraną przez nią z ciepła. Ten napastliwy chłód wydawał się koszmarnie bezosobowy i okrutny.

Nie wiedział już, jaki to dzień, i myślał, że nie ma już dni, że Ziemia się nie obraca, by napotkać tarczę słoneczną, że jest tylko ciemna noc duszy, kiedy to gwałtowne sztormy rozbijają czas na drobne kawałki.

Dotarł do *aputiaka*, a *qulliq*, co wydawało mu się cudem, wciąż płonął. Chowając się przed żywiołami, pomyślał o Kaiyuku i Corazon, którzy podzielili się z nim swymi umiejętnościami.

*

Tata nie powiedział nic o Quakliq, Koko i Siku, ale to były jedyne husky, jakie mu pozostały.

— Czy Quakliq, Koko i Siku były z tobą w *apukiaku* podczas tej megatronowej burzy? — pytam go.

Wygląda na smutnego i wiem, że wydarzyło się coś strasznego. Mówi mi, że nie było ich, kiedy wrócił do *aputiaka* po wysłaniu mejli. Mówi, że straciły powożącego i liderów zaprzęgu i że były naprawdę głodne, więc zdziczały i oszalały. Uciekły w burzę, a on nie mógł pójść za nimi i ich znaleźć.

Nie chcę, żeby był smutny i żeby myślał o psach.

— Widziałeś po burzy gwiazdy? — pytam.

— Czyż nie były zdumiewające? — odpowiada.

Rozmawiamy na migi, więc jest to prywatne.

— Przesłałeś mamie zdjęcie — mówię.

— Nie wiedziałem, że widziała je w rzeczywistości — mówi i uśmiecha się do mnie. — Kiedy to tak dorosłaś? — pyta.

Chyba wie, że próbowałam go pocieszyć.

— Ogrzewałeś dłonie — mówię.

— Miałem ciepłutkie rękawice i *qulliq*.

— Myślałeś, że ktoś spieszcy ci na ratunek? — pytam.

— Szczerze?

— Szczerze.

— Na początku tak, ale z upływem czasu traciłem nadzieję.

Był chyba pewien, że nikt go nie uratuje.

— Nawet przy współrzędnych? — pytam, bo choć miały pokazać, gdzie znajdują się zwierzęta, pokazywały także, gdzie znajduje się tata.

— Uważałem, że są trochę enigmatyczne — mówi i wiem, że „enigmatyczne” oznacza naprawdę trudną krzyżówkę. — I nikt nie wiedział, że to ja.

— Ja wiedziałam — mówię. — Przez większość czasu.

Tata bierze mnie za rękę, więc przez chwilę nie mogę nic powiedzieć.

— Nie miałeś żadnego jedzenia — mówię.

— Niewiele.

— Powiedziałeś, że *qulliq* się wypala i że ognisko też ma zgasnąć.

— Zrobiłoby się bardzo ciemno — mówi.

To byłoby takie przerażające przebywać tu samemu, w ciemności i zimnie.

— Ale mama odczytała współrzędne — mówię.

— Jadąc przez całą Alaskę — dopowiada tata, a na jego twarzy pojawia się wielkie a!

— I zobaczyłeś naszą rasę — mówię.

— I usłyszałem mamę, która robiła wielką wrzawę.

— A potem ty zrobiłeś wielką wrzawę?

— Tak. I zobaczyłem, jak biegniecie w moją stronę, ty i mama. Jesteście najbardziej zdumiewającymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkałem w życiu...

Moja bransoletka wibruje i dłonie taty nie pokazują już słów.

*

W ciemności rozbrzmiała syrena. Yasmin odnalazła źródło dźwięku pod postacią helikoptera, dwieście metrów dalej.

— Jest w kajdankach? — spytał Matt.

— Nie, bo nie wybiera się donikąd — odparł kapitan Grayling. — Nie stanowi zagrożenia. Macie na to moje słowo. Wyjdę i uciszę ten piekielny hałas.

Kiedy Yasmin słuchała opowieści Matta, była zbyt przejęta niebezpieczeństwami, jakie towarzyszyły mu podczas jego podróży, by myśleć o własnych, a tym samym zapomniała o kierowcy cysterny.

Spojrzała w ciemność, w stronę promieniującego łagodnym blaskiem *aputiaka*, nie helikoptera. Teraz znów czuła jego obecność za plecami, przytłaczająco bliską. Nie potrafiła wyobrazić go sobie jako człowieka z twarzą, ale jako niebieskie światła, które ją prześladowały. A jego głos jako syrenę.

*

Policjant poszedł uciszyć hałas helikoptera, więc przy ognisku jest tylko tata, mama i ja. Zawsze rozmawiają przy mnie na migi albo pozwalają czytać z ruchu swoich warg, a ja myślę, że chcieliby zostać sami.

— Pójdę do *aputiaka* — mówię. — Trochę mi zimno. I jestem senna.

To po części prawda. *Aputiak* świeci żółtym ciepłem przez śnieżne ściany, jak przytulna jaskinia.

— Zaprowadzę cię — mówi tata.

— To blisko. Jestem dostatecznie duża, żeby przejść taki kawałek sama.

— Tak, jesteś — mówi i daje mi latarkę.

*

Yasmin zakryła twarz maską; ciepło ogniska powoli wygasało.

— Zdjęcie gwiazd... — powiedziała.

— Rodzaj pożegnania — wyjaśnił Matt.

Po tej strasznej burzy niebo jasne od gwiazd było niezwykle, a on pomyślał o Yasmin i zrobił zdjęcie. Przypomniawszy sobie, jak skupił się na stronie praktycznej: na zrobieniu zdjęcia, podłączeniu aparatu do laptopa i myszce, żeby nanieść współrzędne z fotografii szybu. Nie bardzo wierzył, by się domyśliła, że zdjęcie jest od niego i że zrozumie te współrzędne, i wiedział, że nie jest to powód, dla którego je przesłał.

— Pożegnanie było nieco pesymistyczne — powiedziała, a on pomimo maski na jej twarzy potrafił dostrzec, że się uśmiecha.

— Trochę — przyznał. — Nie po raz pierwszy pomyślałem, że odejdę.

— Że odejdiesz?

— Siłę się na niedomówienie.

— Z powodzeniem. A kiedy był pierwszy raz?

— Kiedy porwało mi namiot w głąb tundry, mój laptop zamarznął, a ja nie myślałem o *aputiaku*. W ogóle nie myślałem.

— Cierpiałeś z powodu wychłodzenia i odmrożeń i byłeś wyczerpany. Nic dziwnego.

Dźwięk syreny urwał się nagle. Kapitan Grayling dotarł zapewne do helikoptera.

— Ale myślałem o tobie — wyznał.

Pocałowała go.

— Powinnaś sprawdzić, kto jest w śmigłowcu, prawda? — spytała.

— Nie musisz.

— Dlatego pozwoliłeś Ruby pójść do *aputiaka*?

— Nie. Ale wiedziałem, że musimy o tym porozmawiać.

Zdawała sobie sprawę, że jest niezwykle opiekuńczy i kochała go za to, że nie okazuje tego teraz, że nie podchodzi do helikoptera, mówiąc, że zabije tego człowieka, że nie tłumii jej niepokoju agresją.

— Będę musiała się z nim prędzej czy później spotkać — zauważyła.

— W sądzie. Kiedy będzie miał po bokach barczystych strażników.

— Tak.

Ale tak długo za nią podążał i prześladował ją. Musiała stawić mu czoło.

*

Byłam już blisko *aputiaka*, gdy w świetle latarki zobaczyłam kawałeczek brązowego futra na śniegu. Wiedziałam, że to Siku. To jedyny husky z brązowym paskiem na grzbiecie. Myślę, że chciał wrócić do taty, żeby przy nim umrzeć.

Próbowałam go podnieść, ale jest bardzo ciężki, więc ciągnę go po śniegu. Nie zostawię go. Wiem, że nic nie czuje tak naprawdę, ale mimo to nie chcę, żeby leżał tak sam na śniegu.

Wciągam go do *aputiaka*. A potem płaczę przez chwilę z powodu tego wszystkiego, co powiedział mi tata.

*

Matt i Yasmin spotkali kapitana Graylinga w odległości pięćdziesięciu metrów od helikoptera.

— Wie pan, kto to jest? — spytała Yasmin. — Dowiedział się pan?

— Nazywa się Jack Deering. Jest właścicielem i prezesem Am-Fuels. To firma frackingowa.

— Więc to jego szyby? — spytał Matt.

— Tak.

Yasmin próbowała sobie przypomnieć, gdzie widziała nazwę Am-Fuels. Na tamtym parkingu dla ciężarówek, kiedy Adeeb stracił przytomność; stały tam trzy ciężarówki Am-Fuels z prefabrykowanymi domami. Wszystkie wracały do Fairbanks, gdzie zanim jeszcze ruszyli w trasę, widziała wiele wozów tej firmy.

— Chcę go zobaczyć — powiedziała Yasmin.

Była pewna, że wie, kto to jest. Szła uparcie w stronę helikoptera.

W kabinie pilota paliło się światło. Podeszła bliżej i przez boczną szybę zobaczyła jego twarz z profilu; nie zauważył jej jeszcze.

Przypomniała sobie lotnisko i desperackie pragnienie, by dotrzeć do Matta; jedno i drugie zlewało się ze sobą tak bardzo, że to jej pragnienie wydawało się gorączkowe i hałaśliwe.

Twierdził, że nazywa się Jack Willimas, nie Jack Deering. Powiedział jej, że tego dnia żaden samolot już nie wystartuje i zaoferował pomoc. Wydawał się miły; była z nim jego córka. Ale Jack Deering i tamta dziewczyna w kolejce nawet się do siebie nie zbliżyli; potrzebował tylko wymówki, by usprawiedliwić swoją obecność na lotnisku. Prawdopodobnie podążał za

nimi od chwili, gdy przyleciały z Anglii.

Przypomniała sobie, że większość mężczyzn w hali odlotów nosiła firmowe czapki FBF, ale kilku, w tym i Jack, miała inne, z emblematem Am-Fuels; Silesian Stennet powiedział, że FBF zostało przejęte przez Am-Fuels. Nikt nie wiedział, kim jest Jack, no bo jak często szef przebywa wśród robotników? Prawdopodobnie tylko w ich hali podano komunikat o nieczynnym pasie w Deadhorse.

Nienawiść Jacka do Silesiana, zielonego aktywisty, była szczera, ale nie chodziło mu o ich dobro. I poszedł za nimi, by się upewnić, że Silesian nie powie nic więcej. Bo ten człowiek był na właściwym tropie. Tyle że mieszkańców wioski nie zabiły wyziwy z szybów Am-Fuels po przebyciu ponad sześćdziesięciu kilometrów północnego terenu, tylko trucizna w rzece.

Jack mógł z łatwością wziąć cysterne; miał ich zapewne mnóstwo.

Siedzący w helikopterze mężczyzna odwrócił się. Napotkała jego spojrzenie i popatrzyła mu twardo w oczy. Ostatecznie był tylko człowiekiem. To on pierwszy odwrócił wzrok.

— Odeślą go do więzienia — powiedział Matt. — W Ameryce. Więc będą go dzieliły od ciebie i Ruby tysiące kilometrów.

— Tak.

Wrócili do ogniska, skąd widzieli ciepły blask *aputiaka*, w którym schroniła się Ruby. Grayling siedział tymczasem w kokpicie maszyny, chcąc się dowiedzieć, kiedy przyślą zastępczy helikopter.

Na ziemię spadło bez pośpiechu kilka płatków śniegu.

*

Głaszczę Siku i NIENAWIDZĘ człowieka, który go skrzywdził. Wiem, że to ten mężczyzna w helikopterze. Chcę, by wiedział, co zrobił Siku i innym zwierzętom. Chcę mu powiedzieć, że się go NIE BOJĘ i że nie powstrzymał nas przed znalezieniem taty. Chcę być dzielna jak mama i tata. Żegnam się z Siku i wychodzę z *aputiaka*. Trochę pada i płatki śniegu kłują jak iskierki,

więc muszę wciągnąć maskę. Omijam ognisko, dlatego mnie nie widzą. Stoją blisko siebie, jak dwie dłonie, które się trzymają. Twarz mamy jest wewnątrz jego wielkiego kaptura, i jestem pewna, że się całują, więc to dobrze, że zostawiam ich samych.

Zbliżam się coraz bardziej do helikoptera, zostawiając za sobą tatę, mamę i ognisko. Mama powiedziała mi, że kiedyś bardzo bała się ciemności, ale pewnej nocy uniosła roletę w sypialni i spojrzała w mrok, i zamiast czerni zobaczyła mnóstwo gwiazd.

Mogę zajrzeć przez okno helikoptera. W środku jest jasno. W moją stronę obraca się jakiś człowiek, więc szybko gaszę latarkę.

Myślałam, że to będzie ten człowiek z pachnącymi dłońmi, ale to ten uśmiechnięty lizus z superdrogim zegarkiem, który nosi codziennie.

Siedzi tam jeszcze jeden człowiek. To policjant. Przysuwam się trochę i widzę w świetle twarze ich obu, i myślę, że nie widzą mnie w ciemności. Policjant nie ma na twarzy maski. Uśmiechnięty lizus wygląda na złego i mówi:

— Och, na litość boską, David... — Potem coś, czego nie widzę, a potem uśmiechnięty lizus mówi: — Znaleźliśmy go... — I dużo innych rzeczy, ale nie widzę wyraźnie ich warg, żeby wiedzieć na pewno, co mówią.

Policjant wysiada z helikoptera. Wygląda na zagniewanego, potem naciąga kominiarkę.

Biegnę do mamy i taty, do ogniska. Ale nie włączyłam latarki i się przewracam. Policjant przechodzi obok i nawet mnie nie widzi.

Jest teraz z mamą i tatą przy ognisku. W blasku płomieni widać na jego twarzy czarną gumową maskę.

Stoję kawałek za nim i trochę z boku, więc mnie nie widzi, ale mam nadzieję, że mama i tata mnie widzą. A potem mama mnie zauważyła, więc kładę palec na ustach — cicho sza. Mama wygląda na zdziwioną, ale nic nie mówi do policjanta. Pokazuję jej:

— Zły człowiek mówi do policjanta „David” — literuję palcami „policjanta” i „David”. — A potem powiedział: „Znaleźliśmy go”.

Mama patrzy na policjanta, jakby była superzainteresowana tym, co mówi, więc on nie widzi jej dłoni na wysokości talii, pokazujących mi

palcami: „Idź do *aputiaka* najszybciej, jak możesz”. Nie chcę zostawiać mamy i taty, ale robię to, co mi mówi. Pokazała ten znak dla *aputiaka*, mój i taty, więc teraz to także jej znak.

*

Matt zauważył, że Yasmin rozmawia z nim na migi. Myślał, że chce powiedzieć coś intymnego i że pragnie prywatności przy kapitanie Graylingu, a on też pewnie tak pomyślał, bo się uśmiechnął, trochę po ojcowsku.

— Próbowaleś się do mnie dodzwonić? — spytała Matta. A potem, pospiesznie: — Odpowiedz tak samo.

— Tak. Podczas pierwszej burzy. Kiedy porwało mój namiot, a ja nie potrafiłem myśleć jasno. Pragnąłem usłyszeć twój głos.

Jego telefon satelitarny spoczywał na dnie plecaka; rozładowany od początku jego pierwszej wyprawy z husky i całkowicie bezużyteczny, gdy odkrył, że mieszkańcy wioski nie żyją. Ale podczas tego pierwszego ataku burzy, cierpiąc na wychłodzenie i odmrożenia, zdesperowany, przypomniał sobie coś, co wcześniej uznawał za wątpliwe.

— Wsunąłem telefon pod ubranie, blisko skóry — pokazał na migi. — Miałem nadzieję, że ciepło ciała ogrzeje baterię, dostarczy trochę energii. Pobiegłem. Było tam wzgórze, wspiąłem się na nie tak szybko, jak tylko zdołałem. I zadzwoniłem do ciebie.

Sądził, że to daremne. Ale w ciemności i wyjąłym wietrze uzyskał kilkusekundowe połączenie, które pokonało kontynenty i oceany.

— Straciłem połączenie, zanim zdążyłem się odezwać.

Yasmin starała się ukryć emocje, pokazując Mattowi:

— Powiedział mi, że znalazł w wiosce twój telefon.

Zastanawiała się, czy udałoby im się odkryć prawdę wcześniej i czy zyskaliby dzięki temu trochę czasu i przewagi, ale wątpiła w to. Znajdowali się pośrodku dziczy, bez możliwości ucieczki, schronienia czy przeżycia.

— Gdzie jest Ruby? — pokazał na migi Matt.

— W *aputiaku*.

Była świadoma, że kapitan Grayling ich obserwuje, już bez cienia ojcowskiej troski. Odsunęła się od niego odrobinę i być może w tej właśnie chwili zrozumiała.

— To nie tak — powiedział. — Próbowałem zrobić to, co słuszne.

Tuż obok znajdował się wielki zbiornik odpadowy, woń trucizny przeszywała mroźne powietrze.

— Nigdy nie chciałem narażać was na niebezpieczeństwo — ciągnął. — Musicie mi uwierzyć. Potrzebowaliśmy tylko okazji, żeby wam wyjaśnić, żebyście zrozumieli, dlaczego ten wypadek nie może wyjść na jaw. Jeśli tak się stanie, być może fracking zostanie na stałe wstrzymany na terenie Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie wykaraskamy się z wojen na Bliskim Wschodzie. Nie mogłem do tego dopuścić.

— Skąd zna pan Jacka Deeringa? — spytał Matt.

— Jesteśmy kuzynami. Chce zaproponować wam dużą sumę pieniędzy.

— Sądzi pan, że jest na to cena?

— Nie, nie sędzę — odparł Grayling.

Yasmin poczuła gniew wobec tego człowieka.

— Mówił pan, że szukał Matta.

— Szukałem — zapewnił Grayling. — Myślałem, że doszło do strasznego pożaru i że komuś udało się uciec. Zrezygnowałem z poszukiwań dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy dwadzieścia cztery ciała, o jedno więcej, niż wynosiła populacja wioski. Z dokumentacji wizowej wynikało, że niejaki Matthew Alfredson przebywał w Anaktue. Znalazłem obrączkę ślubną z jego inicjałami.

Yasmin pomyślała, że musiał być niegdyś przyzwoitym człowiekiem; wciąż wyczuwało się to w jego głosie.

— Dopiero później, tej samej nocy, Jack zadzwonił do mnie — mówił dalej Grayling. — Powiedział, że doszło do wyjątkowo rzadkiej awarii w szybie frackingowym i że zapłacił jednemu ze swoich ludzi, żeby podpalił wioskę dla zatarcia śladów.

Kawałek pomalowanego drewna w ognisku sypnął iskrami w czarne niebo, a popiół spadł na kominiarkę Yasmin.

— Ludzie w Anaktue zginęli — ciągnął. — To był koszmarne wypadek. Ale nic nie mogłem na to poradzić. Pomyślałem, że postąpię słusznie, starając się zapobiec konsekwencjom, które stanowiłyby katastrofę.

Urwał; słychać było tylko syczące płomienie, gdy na ognisko spadały płatki śniegu.

— Jack powiedział mi, że zabezpieczenia w szybie przestały działać w wyniku nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności. Zgodziłem się z nim, że ta tragedia byłaby jeszcze większa, gdyby jakiś wypadek, jeden na milion, spowodował, że fracking zostanie wstrzymany w całym kraju, zapewne na zawsze. Patrzył na to w szerszej perspektywie.

Yasmin pomyślała, że być może wierzy w tę historię, że być może jest w stanie przedstawić się w pozytywnym świetle.

— Powiedział mi pan, że znalazł telefon Matta — zwróciła się do niego, a on drgnął, słysząc gniew w jej głosie.

— Byłem przekonany, że zginął. Pomyślałem, że jeśli będzie pani wierzyć, że to on do pani dzwonił, to przedłuży to tylko pani cierpienia.

— Okłamał mnie pan z dobroci?

— To był jedynie bluff, coś, co by panią przekonało, żeby zrezygnować z poszukiwań.

Wydało jej się, że odczuwa w ciemności bliskość czegoś odrażającego.

— Wziął pan udział w mistyfikacji i kłamał, żeby chronić samego siebie — oznajmiła.

— Nie. Nie wiedziałem, kto do pani dzwonił, ale byłem przekonany, że to nie mógł być on.

— Ma pan w ogóle pojęcie, co pan zrobił? — spytała, pragnąc stłumić ten ton rozsądku w jego głosie, pragnąc, by objawił się człowiekiem, jakim naprawdę był.

— Muszę wyjaśnić parę rzeczy — odezwał się Jack.

Zbliżał się do nich, czarny polarny strój czynił go prawie niewidzialnym w tej ciemności; tylko płomienie ogniska odbijające się pomarańczowo w goglach świadczyły o jego obecności.

Stanął tuż obok Yasmin, jego głos był spokojny.

— Przeraziła go pani, wyskakując z tą opowieścią o telefonie od męża. Od

razu do mnie zadzwonił. — Głos Jacka brzmiał inaczej; musiał ukrywać akcent na lotnisku i w CB-radiu. — Powiedziałem mu, że ten pracownik, któremu kazałem podłożyć ogień, widział wśród ofiar człowieka rasy białej. Gdyby nie to, od razu wysłałby na poszukiwania pani męża wszystkich kumpli z policji i funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego. Wyjąłby te swoje zabawki z syrenami i światłami i ruszyłby na ich czele. Straciłby z oczu większy obraz.

Pokazała Mattowi na migi, że według niej Grayling może im pomóc, że może nie jest taki zły. Jack chwycił ją za dłonie i przytrzymał mocno, zmuszając tym samym do milczenia.

— A potem odezwała się pani w CB, mówiąc o cysternie, która za panią jedzie — ciągnął. — Davey to usłyszał. Szybko skojarzył sobie fakty. Zadzwonił do mnie na telefon satelitarny i zmusił do przyznania, że nie byłem z nim całkiem szczery. Nie byłeś zadowolony, co, Davey? Wciąż myślałeś, że jesteśmy dzieciakami. Że możesz zadzierać nosa i mnie pouczać.

Yasmin wysunęła dłonie z jego uścisku, ale ogień i tak był już zbyt słaby, żeby porozumiewać się w jego świetle na migi.

— Kiedy już go uspokoilem na tyle, by mnie wysłuchał, wyjaśniłem mu, że nie ścigam pani, tylko śledzę. Że Matthew Alfredson wie prawdopodobnie o awarii. I że zapewne znów zechce zadzwonić do żony. Miała pani zaprowadzić nas do niego i w ten sposób mielibyśmy szansę porozmawiać z wami i wytłumaczyć, jaka jest stawka, nie mając na karku całej chmary policjantów.

Yasmin pomyślała, że Jack świetnie się bawi i że nie chodzi o władzę, jaką miał nad nimi, tylko o władzę, jaką miał nad Graylingiem.

— Ale gdyby Matt zadzwonił ponownie — zwróciła się do policjanta — to wiedziałabym, że mnie pan okłamał.

— Nie Davey — powiedział Jack. — Policja stanowa. Funkcjonariusze. Nie wiedziałyby pani, komu ufać. Pomyślałem, że podziela to na naszą korzyść. I nie jest to dalekie od prawdy. Fracking ma zwolenników na bardzo wysokich stanowiskach.

— Dlaczego, do licha, wziął pan w tym udział? — zwrócił się Matt do

Graylinga. Wyczuwał instynktownie jego przyzwoitość dzięki temu, jak się dotąd wobec nich zachowywał, i trudno było mu to pogodzić z człowiekiem, który stał obok niego w odległości kilkudziesięciu centymetrów.

— Potrzebowałem okazji, żeby wyjaśnić panu wszystko — odparł Grayling. — Uważałem, że to ważne nie tracić z oczu pełniejszego obrazu. Chodzi tu o większe dobro. Musiałem o tym pamiętać.

— Była burza — przypomniała Yasmin. — A my w niej tkwiłyśmy, bo nie pozwolił nam zawrócić.

— Powiedziałem, że zajmę się wami w drodze — powiedział Jack. — Że dopilnuję, by nic się nie stało.

Yasmin pomyślała, że wcale nie tłumaczy się przed Graylingiem, tylko znów chęłpi się władzą nad nim.

— Uwierzył mu pan? — zwróciła się do policjanta.

Grayling milczał.

— Bo zgadzało się to z tym, czego pan chciał. Bo w przeciwnym razie zostałby pan zdemaskowany?

— Szukałem was — zapewnił Grayling. — Dopóki helikopter mógł latać. Gdy tylko burza zelżała, znów zacząłem was szukać. Nikt nie zamierzał wyrządzać wam krzywdy, słowo daję. I teraz też nikt nie zamierza tego robić.

— Czy pański helikopter jest uszkodzony? — spytał go Matt.

Grayling zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

— Jak już wspomniałem, potrzebowałem czasu, żeby z wami porozmawiać, wyjaśnić pewne sprawy...

— Łączył się pan z kimkolwiek przez radio? — przerwał mu Matt. — Czy ktoś ma się tu zjawić?

Grayling znów milczał. Wiatr wzbijał z ogniska popiół, który wirował ku spadającym płatkom śniegu.

— Pójdę do córki — oznajmił Matt i oddalił się od Graylinga i Jacka, kierując się w stronę *aputiaka*.

Yasmin pomyślała, że pozwolili mu odejść, bo i tak oboje nie mieli dokąd uciec ani jak wezwać pomocy.

— Gdzie się według policji znajdujemy? — spytała Yasmin Graylinga.

Nie odpowiedział.

— Chodzi o lokalizację, którą podał Jack? Na południe od przełęczy Atigun?

Milczał dalej, a Yasmin poczuła do niego obrzydzenie.

— Nie próbowałem was złapać — zwrócił się Jack do Yasmin, jego głos w ciemności brzmiał cicho. — Chciałem tylko, żeby doprowadziła mnie pani do męża.

Ale już zdążyła się domyślić, dlaczego nie pozwolił im zawrócić. Gdy już dotarła do drogi-rzeki wiodącej do tego miejsca, musiał się zorientować, dokąd zmierza. Dopiero wtedy strzelił do niej i Ruby.

Odwróciła się od obu mężczyzn i ruszyła za Mattem. Zmierzając w stronę *aputiaka* przez czarny lodowy krajobraz, nie myślała o Jacku ani Graylingu, ani o tym, co działo się teraz, tylko o zdjęciu gwiazd, które przesłał jej Matt, o tym, jak wędrował przemarznięty i z odmrożeniami, przyciskając komórkę do ciała, żeby usłyszeć jej głos.

Matt wyszedł właśnie z *aputiaka*. Zorientowała się po jego postawie i twarzy, że stało się coś bardzo złego.

*

Trzymam otwarty laptop i oświecam sobie nim drogę, bo latarkę zostawiłam dla taty i mamy. W tym świetle śnieg i lód są zielonkawe, a ja patrzę na zielonkawy śnieg, nie na ciemność. Mam też plecak taty z terminalem, więc jest on bezpieczny i suchy. Mój laptop jest umieszczony w specjalnej osłonie taty, a ekran jest zakryty przez przezroczysty plastik. Pada śnieg, ale tylko trochę. Na środek ekranu spadła duża śnieżynka, ale otarłam ją rękawicą.

Znajduję się dość wysoko, bo kiedy patrzę w dół, to widzę ognisko, jest jak mała pomarańczowa kropka. A obok stoi *aputiak* i wygląda jak mały żółty węgielek. Jeśli będę pilnowała, żeby pomarańczowa kropka i mały żółty węgielek były zawsze za mną, jeśli wchodzę pod górę, a nie schodzę na dół, to znaczy, że zmierzam we właściwym kierunku i dotrę na szczyt.

*

Otaczała ich niezmierna ciemność, a w niej, gdzieś tam, była Ruby. Dziesięcioletnia. Prawie minus trzydzieści stopni. Zabrała laptopa i terminal. Gdyby Jack i Grayling się o tym dowiedzieli, nikt nie potrafiłby przewidzieć, co by zrobili. Oboje, Yasmin i Matt, milczeli ogarnięci strachem i związani czymś większym niż miłość.

Gdyby ruszyli za nią, to Jack i Grayling zorientowaliby się, że Ruby odeszła, ale jak mogli jej nie szukać?

Yasmin krztusiła się, jej przerażenie było wręcz fizyczne. Ruby groziła hipotermia i odmrożenia. Co by się stało, gdyby nie zdołali jej odnaleźć? Umarłaby samotnie.

Dostrzegli w ciemności jakieś kształty zmierzające w ich stronę. Po chwili zjawiał się Jack, zakrywając twarz kominiarką; trzymał broń. Za nim szedł Grayling.

Matt pomyślał o Siku w *aputiaku*. Tylko dziecko zrobiłoby coś takiego; tylko dziecko ratowałoby martwego psa i wciągnęło go do środka, żeby nieść mu pomoc. I tylko dziecko nakryłoby go śpiworem, żeby wyglądało, że znajduje się na jego miejscu, jakby mogło się to okazać skuteczne. Jej niewinność w obliczu tych mężczyzn wydawała się wstrząsająca.

— Gdzie jest pani laptop ze zdjęciami? — spytał Jack, zwracając się do Yasmin.

— Był w ciężarówce, kiedy zatonała pod lodem.

— Nie umie pani kłamać — oznajmił Jack i obrócił się w stronę Matta. — Pański terminal? Też jest w igloo?

— Przestał działać na tym zimnie — wyjaśnił Matt. — Więc go zostawiłem.

Jack zrobił krok w stronę *aputiaka*, ale Yasmin stanęła przed nim, zagradzając mu drogę.

— Nasza córka musi się przespać — powiedziała. — Jest przerażona i wyczerpana.

Może powinna powiedzieć im prawdę, a potem mogliby wyruszyć na poszukiwania. Bo jakie zagrożenie stanowiła dla nich Ruby? Była

dziesięcioletnią, drobną, małą dziewczynką. Nawet gdyby udało jej się włączyć terminal i laptop... a nie udałoby się z pewnością, nie w tej ciemności i temperaturze minus trzydzieści stopni. Ale nawet gdyby się udało, do kogo wysłałaby mejla? Kogo poprosiłaby o pomoc? Znała w ogóle czykolwiek adres?

— Chcę usłyszeć, co ma pan do powiedzenia — zwrócił się Matt do Graylinga. — Mówił pan, że zamierza wyjaśnić pewne sprawy. No cóż, chciałbym wiedzieć.

Pomyślał, że jedyny sposób, by Ruby przeżyła, to nie dopuścić, żeby ruszyli za nią, sprowokować ich do rozmowy, a Yasmin wiedziała, że ma rację. Nawet jeśli Ruby nie stanowiła zagrożenia, wciąż postrzegali ją jako potencjalne ryzyko i z pewnością by za nią ruszyli.

— Okej — powiedział Grayling. — Pomówmy przy ognisku, niech dzieciak śpi. — Jakby pragnął tą drobną uprzejmością zrównoważyć coś brutalnego. Zwrócił się do Jacka. — Taki był nasz plan. Żebyśmy wyjaśnili.

Ruszyli w stronę ogniska; dopalały się w nim resztki drewna.

— Co więc się tu właściwie wydarzyło? — spytał Matt.

— Pękła obudowa szybu — odparł Jack. — Doszło do skażenia przepływu wstecznego. Prawdopodobnie arsenem. Powędrował rzeką jako smuga. — Ton jego głosu był obojętny, niemal nonszalancki. — Zaczęło się od tego, że mój brygadzysta wpadł w panikę... wszystkie te martwe zwierzęta i ryby. Nic niezwykłego w pobliżu odwiertów frackingowych, ale tym razem było inaczej. Wiedziałem, że w dole rzeki mieszkają Eskimosi, wysłałem jednego z pracowników, żeby to sprawdził. Powiedziałem, co ma robić.

Mattowi zdawało się, że widzi w ciemności jakiś kształt, i zaczął wyteżać wzrok, ale to był tylko cień ostatnich płomieni ogniska, nic więcej.

— Ludzie mieszkający w Anaktue gotowali wodę przed spożyciem — powiedział Matt.

— Gotowanie tylko zwiększa stężenie arsenu — odparł Jack obojętnym tonem.

— Czy jeszcze jacyś inni ludzie...

— Tylko jedna eskimoska wioska, o której nikt nie słyszał — przerwał mu Jack.

— Więc zniszczyliście dowody?

— Zapłaciłem człowiekowi, który podłożył ogień. Śnieg załatwił resztę.

— A tutaj?

— Mój brygadzysta spanikował, pieprzony idiota, zaczął wszystko rozbierać. Rozpałił ognisko.

— Niepotrzebnie się martwił, co? — spytał Matt.

— Nic nie świadczyło o tym, że pojawił się jakikolwiek problem. To bystra rzeka, nurt płynie z prędkością około ośmiu, może szesnastu kilometrów na godzinę, smuga arsenu dotarłaby zapewne do Oceanu Arktycznego, a badania rzeki wykazałyby, że jest czysta. Ale jak powiedziałem, facet spanikował, kazał się wszystkim spakować i wyjechać. Zniszczył nawet pieprzoną drogę.

Yasmin szukała w ciemności śladów Ruby i wiedziała, że Matt z trudem się powstrzymuje, by nie robić tego samego, że zmusza się, by patrzeć na Jacka.

— Wszystkie te zbiorniki odpadowe są pełne — zauważył. — Były takie w momencie wycieku?

— Ludzie nie zawsze przestrzegają norm bezpieczeństwa tak, jak powinni.

— Więc wylaliście truciznę do rzeki? — spytał Matt.

— Tak jak właśnie powiedziałem, niektórzy ludzie nie przestrzegają norm bezpieczeństwa tak, jak powinni. Są po prostu leniwi.

— Jeśli rzeka płynie z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę, to smuga arsenu dotarłaby do wioski w ciągu czterech godzin.

— Nikt nie pomyślał dostatecznie szybko, żeby ostrzec mieszkańców — oznajmił Grayling.

Yasmin wydało się, że słyszy szczyry smutek w jego głosie. Próbowwała dostrzec jego oczy, mając nadzieję, że znajdzie w nich jakieś miłosierdzie, ale zamierające światło ogniska odbijało się od jego gogli; nie mogła pod nie zajrzeć.

— Problem, jaki się tu pojawił, polega na tym, że nie jest to wyciek, który skaził tylko szyb, jak w przypadku większości awarii — powiedział Jack. — Ludzie, którzy decydują o polityce energetycznej, to nie prostaki, które

czerpią wodę z pieprzonej studni.

Ognisko zamierało; szyb i elementy stanowiska frackingowego nie były już widoczne w ciemności. Yasmin bała się, że niebawem zniknie wszystko, co mogłoby ich doprowadzić do Ruby. Ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby to ci mężczyźni ruszyli za nią.

— Podobno miał pan dobry powód, żeby to zatuszować — zwrócił się Matt do Graylinga. — Wciąż nie wiem, o co chodzi.

— Rzeka to co innego niż szyb — powiedział Grayling. — Rzeki są w ruchu. Jeśli dochodzi do wycieku, mogą zatruć wszystko w dole swego biegu. Znaczna część naszej wody pitnej pochodzi z rzek i strumieni. Ludzie będą się bali trucizny, która popłynie z ich kranów. Tak jak ludzie, którzy decydują o naszej polityce energetycznej. Ci, którzy nie mają zdania na temat frackingu, nigdy nie pozwolą na niego w przyszłości. A ci przeciwni frackingowi wykorzystają ten wypadek w stu procentach.

— Nie sądzi pan, że mają prawo się bać? — spytał Matt.

— Nie — odparł Grayling. — To, co się tu wydarzyło, to tragiczny, jednostkowy incydent. Doszło do całej serii niefortunnych zdarzeń, a zabezpieczenia nie zadziałały z powodu koszmarnego przypadku.

Yasmin, słuchając Graylinga, miała nadzieję, że może nie kłamie, że po tym, co powiedział, pozwoli im odejść, a potem znajdą Ruby.

— Każdy rodzaj energii ma swoją cenę — ciągnął Grayling. — Musimy wybrać taką, której koszt jest najniższy. Dzięki frackingowi możemy dobywać paliwo tutaj, pod naszą własną ziemią. Nikt z tego powodu nie weźmie nas jako zakładników. Nie musimy toczyć o nie wojen.

— Musicie zrozumieć, że Alaska broni reszty Stanów Zjednoczonych — powiedział Jack. — Zawsze broniła. Najpierw przed komunistami, a teraz przed Arabami. Dostarczaliśmy Ameryce paliwo z normalnych szybów, a potem frackingowych. Interior Alaski ma ogromne zasoby, tutaj, pod ziemią, która do niczego innego nie służy. Dwa miliardy baryłek ropy, osiemdziesiąt trylionów stóp sześciennych gazu. Nie pozwolimy, żeby spieprzyła nam to jakaś banda Eskimosów.

W głosie Jacka ujawniała się jego agresywna i bezwzględna natura. Był człowiekiem, który nie zamierzał się cofać przed walką ani konfrontacją;

Matt pomyślał, że może uda mu się to wykorzystać, by utrzymać go z dala od Ruby.

Jack ruszył w stronę *aputiaka*.

— „Nam” spieprzyła? Rozumie pan przez te Stany? — spytał Matt.

— Inne kraje to nie mój problem — odparł Jack.

— Uważa się pan za patriotę?

Jack przystanął.

— Bez wątpienia. Dzięki frackingowi nasz kraj podźwignął się z recesji. Stał się niezależny. Silny. Nie możemy być przywódcami wolnego świata, jeśli będziemy uzależnieni od zagranicznych dostawców energii.

Ruszył dalej.

— Kiedy astronauta po raz pierwszy wyruszyli w przestrzeń kosmiczną — powiedziała Yasmin — zrobili zdjęcia Ziemi. I wtedy wszyscy mogli zobaczyć, że to jedna planeta, piękna niebieska planeta w ciemności kosmosu.

— Zwierzęta i ptaki nie mają pojęcia o krajach — dodał Matt. — Niektóre migrują tysiące kilometrów, przez cały świat. Dla nich to też jedna planeta.

— Co, teraz jesteście pieprzonymi ekologami? — spytał Jack, ale się zatrzymał i nie zmierzał już w stronę *aputiaka*.

— Mówimy tylko, że mamy szerszy obraz niż pan — powiedział Matt i zwrócił się do Graylinga. — A pan mnie nie przekonał. Jeszcze nie.

— Prawda jest taka, rzeczywistość jest taka, że mamy własne terytoria — powiedział Grayling. — A ludzie biją się o ropę. Wysyłamy naszych chłopców, żeby ginęli.

— Sądzi pan, że fracking położy kres wojnom? — spytał Matt.

Usłyszał za plecami jakiś dźwięk i odwrócił się, żeby złapać Ruby, ochronić ją swoim ciałem przed tymi ludźmi, ale to tylko silniejszy powiew wiatru poruszył stosem pojemników na odpady.

*

Dotarłam na szczyt, bo kiedy przeszłam kawałek, moje stopy zaczęły

zstępować w dół, więc zawróciłam.

Wiatr uderza mnie po twarzy ŁUP! ŁUP!

Nie widzę żadnych gwiazd, tylko ciemność i śnieg spadający bezustannie, jak pierzaste, zimne, białe kwiecie.

Tam, w górze, ponad miejscem, z którego leci kwiecisty śnieg, są satelity.

Przypominam sobie tatę w Szkocji, jak mówił mi, co mam robić. Wyjmuję jego terminal z plecaka i rozjaśniam maksymalnie ekran laptopa, ale wciąż trudno zobaczyć, gdzie włożyć kabel, żeby połączyć laptopa z terminalem. Próbuję znaleźć wejścia, ale w rękawicach to supertrudne. Zdejmuję je i zostaję tylko w tych cienkich.

Podłączyłam urządzenia i zrobiłam to, co pokazywał mi tata. Moja klawiatura nie zamarza dzięki specjalnej osłonie.

Terminal szuka satelity w przestrzeni. Na ekranie widnieje „Wyszukiwanie”...

Otwieram nasz blog, taty i mój, ze zdjęciami i współrzędnymi, które pokazują, gdzie umarły zwierzęta nad rzeką. Kiedy terminal znajduje satelitę, udostępnię je, nawet te głupawe kawałki rozmów z tatą, bo nie mam czasu ich usunąć. Mam nadzieję, że tata nie będzie miał pretensji, że to robię, bo to jest sytuacja podbramkowa.

Palce marzną mi coraz bardziej.

Na ekranie wciąż jest „Wyszukiwanie”...

Mama powiedziała, że grupa satelitów jest nazywana konstelacją. Ale myślę, że nade mną jest tylko jeden albo może dwa.

*

Ognisko już zgasło, został tylko popiół pod postacią rozżarzonych ospowatych punkcików. Pragnienie bycia z Ruby przyprawiało Yasmin o koszmarny skurcz żołądka; czuła, jak jej własne palce próbują dotknąć dziecka, którego nie było.

Matt spierał się z Graylingiem i Jackiem, starając się skupić na sobie ich uwagę i mówiąc im, że następne wojny będą się toczyć o czystą wodę.

Yasmin pomyślała, że patriotyzm Jacka jest cienki i kruchy jak skorupka jajka, że kieruje nim niepowstrzymana chciwość i pycha i że lada chwila przerwie rozmowę i ruszy w stronę *aputiaka*, a potem odkryje, że Ruby zniknęła. Jack zabiłby ich bez litości czy skrępowań, wiedziała o tym, ale mimo wszystko istniała szansa, że Grayling go powstrzyma.

— Wiecie, ile potrzeba wody, żeby dokonać frackingu w jednym szybie? — spytał Matt. — Dwadzieścia pięć tysięcy metrów sześciennych. Wody, która jest legalnie skażona przez trujące chemikalia, żeby zamienić się w płyn szczelinujący. Nikt nie wie, jak się go potem pozbyć. Pomijając wyciek do ziemi, warstwy wodonośnej, rzek — mówił z przekonaniem, pamiętając kampanię protestacyjną mieszkańców Anaktue, ale wciąż skupiał uwagę na ciemności, jakby mógł dostrzec Ruby, gdyby wyteżył dostatecznie wzrok. — Pewnego dnia czysta woda stanie się tak samo cenna jak ropa — ciągnął. — Tym bardziej że możecie ograniczyć potrzeby energetyczne. Jeśli dojdzie do sytuacji kryzysowej, możecie wrócić do czasów sprzed wynalezienia elektryczności i samochodu. Żyć jak Inuici. Ale woda jest nieodzowna do życia i jest globalna. W wojnach o wodę nie będzie chodziło o władzę, tylko o przetrwanie.

— Dość się już nasłuchaliśmy — oświadczył Jack i zwrócił się do Graylinga. — Uruchomię helikopter. Ty zajmij się terminalem i laptopem.

Grayling się nie poruszył. To Jack miał odlecieć stąd śmigłowcem, jak przyszło Yasmin do głowy, ale nie wiedziała, czy Grayling byłby jego pasażerem.

— Nie możemy ich tu zostawić — powiedział Grayling. — Nie mają gdzie się schronić. Ani jak się ogrzać.

— Ale ich zostawisz, Davey. Tak jak nie powiedziałaś swoim kolegom, gdzie się znajdują podczas burzy.

— Myślałem, że sam ich znajdę i...

— Wciąż nie powiedziałaś swoim kumplom, gdzie się w tej chwili znajdują, prawda? — Jack zmierzał w stronę *aputiaka*. Grayling nie odpowiedział. — Davey jest najstarszy — ciągnął Jack. — Jedenastu kuzynów, a on jest na szczycie. Lubi, kiedy patrzą na niego z podziwem, zawsze tak było. Nawet jako chłopiec musiał być uwielbiany. Dobry chłopiec,

dobry facet, dobry policjant. Nawet jego syn zginął patriotycznie... wspaniały image, co, Davey?

Grayling milczał. Doszli do *aputiaka* oświetlonego od środka przez *qulliq*. W ich goglach odbijał się blady żółty blask.

Matt dostrzegł błysk metalu. Jack mierzył z pistoletu do śnieżnego schronienia. Obaj, on i Grayling, sądzili, że Ruby jest w środku.

— Nigdy nie zamierzałem tego zrobić — oznajmił Jack, nie kryjąc gniewu. — Ale nie zostawiliście mi pieprzonego wyboru.

W padającym śniegu rozbrzmiał huk, metal przebił śnieżną ścianę. Yasmin krzyknęła.

— Lepiej zrobić to szybko — powiedział Jack, a Matt pomyślał, że ten człowiek wierzy, że zbrodnia jest mniej straszna, jeśli ofiara umiera krócej.

Gdy znów strzelił, Yasmin zapragnęła, by fale dźwiękowe popłynęły przez ciemne powietrze i dotarły do Ruby, która zrozumiałaby wówczas, że napastnik ma broń i że trzeba się gdzieś ukryć.

Wypalił ponownie, a ona pomyślała o padającym drzewie, o tym, jak ten dźwięk przeradza się w omszałe drzenie, w liść muskający policzek Ruby; próbowała wyobrazić sobie coś kojącego, jakby mogła w ten sposób córce pomóc.

Qulliq wewnątrz schronienia, przywalony spadającym śniegiem i lodem, zgasł.

Jack zapalił latarkę. Jej światło błysnęło na odznace na rękawie Graylinga, a potem padło na jego twarz. Niczego nie zdradzała.

Jack wszedł do zniszczonego *aputiaka* i nie znalazł dziecka, tylko martwego husky, poszarpanego kulami. Matt zauważył, że widok psa go rozwścieczył.

*

To trwa tak długo. Myślę o spryskanym farbą liliowym wrzosowisku w Szkocji, o śmiesznej koszulce taty z wizerunkiem Supermana, o ciepłe, ale jest smoliście czarno, ciemno i tak zimno. Myślę o tacie w tym miejscu,

całkiem samym, zdany na siebie. Też muszę być dzielna.

Mam ikonkę migającego satelity!!!

Nasz blog wszedł do sieci. Ze zdjęciami, współrzędnymi i wszystkim!

Ale nie mamy żadnych followersów na naszym blogu. Ani jednego. Nikt nawet o nim nie wie. Nikt go nie zobaczy i nie pomoże.

Nie widzę złotego blasku *aputiaka* ani pomarańczowej kropki ogniska. Nie wiem, jak wrócić do taty i mamy.

*

Jack kazał Mattowi i Yasmin zdjąć kurtki, kominiarki i gogle. Kiedy zamykał ich ochronne odzienie w helikopterze, rzucili się biegiem w stronę wzgórza, bo tam z pewnością udała się Ruby, w miejsce, z którego Matt wysyłał mejle. Bez termoizolacyjnej odzieży szybko utracili ciepło ciała, a ich mięśnie osłabły; nie mogli się szybko poruszać.

Zabłysnął w ciemności szperacz helikoptera. Jack szukał Ruby. Skierował strumień światła na wzgórze. Na jego szczycie ukazało się dziecko, sylwetka pośród płatków śniegu.

*

Z dołu pada jasne światło, bardzo, bardzo jasne. Chcę myśleć, że tata i mama mnie szukają, ale nie wydaje mi się, żeby tak było.

Otwieram Twittera. Muszę pisać superostrożnie, bo jeśli się pomylę w adresie bloga, to nikt nie będzie mógł nam pomóc. Palce bolą mnie tak bardzo, jakbym wyrywała je ze zwojów drutu kolczastego, ale nie mogę pisać w rękawicach. Pamiętam, co mi mówiła mama.

Słowa bez Dźwięków@Słowa-bez-Dźwięków

653 followersów

Pomóżcie nam. Wejdźcie na aweekinalaskablog.com. Mieszkańcy Anaktue zabici przed pożarem. Długie liczby to długość & szerokość geograficzna.

Dodajcie przecinki & minus. Szybko

Nie wiem, czy tu albo w domu jest noc czy dzień, ale gdzieś na świecie jest dzień, w jakiejś części, która obraca się wokół sznurka podczepionego do słońca. I ktoś będzie na nogach i przeczyta mojego tweeta, i będzie dorosły, i będzie wiedział, co robić.

Jasne światło gaśnie i teraz znów jest całkiem ciemno.

*

Yasmin trzymała latarkę, Matt był tuż obok niej. Usłyszała, jak Grayling ich woła, ale nie przystanęła, potykając się na śniegu i lodzie. Obok przebiegł Jack, trzymał broń i latarkę. Zimno pozbawiało jej ciało zdolności do normalnego funkcjonowania, czuła, jak jedyne wyraźne pragnienie w jej umyśle — chęć niesienia pomocy córce — z wolna zasnęła się mgłą. Wtedy chwycił ją Grayling, podając jej kurtki, kominiarki i gogle. Włożyli je pospiesznie, a on pobiegł dalej.

*

Moje palce są takie dziwne, jakby były nieczułe i jednocześnie obolałe.

Na naszym blogu nie jest napisane, gdzie jesteśmy, bo to było w ostatnim mejlu taty, tym z gwiazdami, a ja nie zamieściłam go na blogu. Wchodzę w mejle mamy. Kopiuję liczby pod zdjęciem gwiazd. Tata wie pewnie, jak bardzo mama kocha gwiazdy. Potem otwieram Twittera i wklejam liczby. Próbuję wstawić minus i przecinki, tak jak robiła mama. Ale wciąż robię błędy, bo moje palce nie działają normalnie.

*

Grayling wyprzedził znacznie rodziców, ponieważ przez cały czas miał na sobie odpowiednie ubranie. Wyłączył najpierw reflektor w helikopterze,

żeby utrudnić Jackowi polowanie na dziecko. Teraz zobaczył je w świetle latarki, jakieś sto metrów dalej, i rzucił się biegiem po śniegu i lodzie, pierś paliła go żywym ogniem, gdy zimne powietrze wdzierało się w jego płuca.

Kiedy Yasmin mu powiedziała, że mała dziewczynka śpi w *aputiaku*, zorientował się, że kłamie. Widział twarze rodziców i dostrzegł na nich przerażenie. Czuł to samo, kiedy Timothy walczył w Iraku, a on nie miał pojęcia, dzień za dniem, godzina za godziną, czy jeszcze żyje. Był dobrym detektywem, bez trudu się domyślił, że rodzice wciągają ich w rozmowę, jego i Jacka, żeby nie poszli za córką.

Doganiał Jacka. Tamten był zaledwie dwadzieścia metrów przed nim.

Od samego początku brakowało mu siły charakteru; wolał być ślepy. Wolał sobie wmawiać, że Jack ich nie skrzywdzi, nie dlatego, by wierzył w jego dobry charakter, ale dlatego, że w przeciwnym razie sam stałby się uczestnikiem czegoś podłego.

A potem Jack strzelił w *aputiak*, sądząc, że strzela do małej dziewczynki, i wtedy nie mógł już zaprzeczać niegodziwości tego człowieka i własnej winie. Kiedy zobaczył, jak kule dziurawią śnieżne ściany, zrozumiał, że nie istnieje „większy obraz”; nie mogło być większego zła, a tym samym nie istniało usprawiedliwienie w imię większego dobra.

Miał wrażenie, że coś się w nim przebudziło, że znów podniósł głowę.

Jack, wyprzedzający go o kilka kroków, przystanął. Skierował latarkę na dziecko, dwieście metrów dalej, a potem wycelował. Grayling stanął przed nim, żeby osłonić dziewczynkę przed kulami.

*

Moja bransoletka wibruje, chcę ją zdjąć. Chcę słyszeć ciszę. Kucam, żeby złemu człowiekowi trudniej było mnie dojrzeć. Moje palce nie są posłuszne, ale napisałam tweeta.

Słowa bez Dźwięków@Słowa-bez-Dźwięków
653 followersów

69,602132, -147,680371 jesteśmy tu na wzgórzu obok szybów
frackingowych pomóżcie nam ma chyba broń

Grayling leżał na śniegu i zamiast bólu czuł dziwne ciepło. Śnieg padał mu na twarz, a on miał świadomość ziemi pod sobą i wokół siebie. Yasmin miała rację, oskarżając go o to, że chroni samego siebie; o interesowność. Ponieważ w jakiś osobliwy sposób uwierzył, że jeśli będzie przejmował się dostatecznie mocno, by zapobiec wojnie o ropę, jeśli będzie łamał wszelkie zasady i prawa, to ktoś dziesięć lat wcześniej, ojciec taki jak on, też przejmowałby się dostatecznie mocno i wojna skończyłaby się szybciej, a Timothy wciąż by żył, jego twarz rozjaśniałby uśmiech, gdyby mówił coś swojemu ojcu, i nie leżałby pod ziemią w trumnie, zmieniony nie do poznania. Oczywiście, to nie działało w ten sposób, wstecz, wiedział o tym; prawa rzeczywistości nie naginały się i nie zmieniały, by dostosować się do jego irracjonalnej i emocjonalnej prawdy. Może chodziło po prostu o to, że nie chciał, by jakiś inny rodzic znosił ból, któremu można było zapobiec, ból gryzący jak kwas w krtani, w trzewiach i pod powiekami, gdy człowiek próbował zasnąć; nigdy nie chciał, by ktokolwiek doznawał takiego cierpienia. „A ty i tchnienia wydać nie możesz”[2]. Wolał wierzyć Jackowi, wolał patrzeć na większy obraz, a nie na zło, jakiego wymagało jego stworzenie. Piękna twarz Timothy’ego. Wiedział, że Jack wykorzystał jego miłość do syna i miłość do kraju, a przecież te dwie miłości uczyniły go tym, kim był. I zostały zmasakrowane, przemienione w coś innego. Czuł poranioną ziemię wokół siebie; czuł, jak krwawi ona trucizną.

*

Czekam bez końca, aż mój tweet się zamieści. Ale gdzieś nade mną, w przestrzeni, jest satelita. A mała skrzynka taty jest jak ten niesamowicie zdumiewający mięczak z epoki Tudorów, i uzyskam połączenie, i wszystko będzie okej. Bo internet jest jak magnetosfera otaczająca cały świat.

*

Matt i Yasmin zobaczyli światło latarki Jacka, wspinającego się po zboczu wzgórza. Byli bezsilni, nie mogli dotrzeć do Ruby przed nim. Yasmin wiedziała, że nikt nie przybędzie im na pomoc. Że nikt nie przybędzie i nikt nie będzie wiedział. Że mogą upłynąć lata, dekady, nawet wieki, a nikt się tu nie zjawi.

*

Moje tweety zostały zamieszczone! Próbuję pokazać na migi „Hurra!”, ale w ogóle nie czuję rąk. Nawet mnie nie bołą. Chciałabym, żeby mnie bołą.

W ciemności zbliża się do mnie światło latarki. Mam nadzieję, że to mama i tata, ale nie wydaje mi się.

Przed ekranem laptopa jest jakieś zwierzę, naprawdę blisko — zając północnoamerykański; jego oczy świecą jasno, jakby interesował się moim laptopem.

Ktoś mi już odpisał! A potem następna osoba! I jeszcze jedna! To superniesamowite! To superniesamowicie zdumiewające! To piskłeta lirogona wspaniałego i dzwonnika trójsoplowego!

Zając nieruchomieje i wiem, że się boi. Może tweety wydają dźwięk, jak PING, i on się boi, ale tata wyłączył głos w moim laptopie.

Latarka jest naprawdę blisko.

Nie wiem, dokąd uciekać.

Jest tutaj. Obracam ekran laptopa w jego stronę, żeby go zobaczyć. Ma broń. Bierze mojego laptopa.

Trzyma broń w jednej dłoni, a w drugiej laptopa. Czyta tweety, a światło ekranu odbija się w jego goglach. Mam nadzieję, że tweetów jest coraz więcej, bo będzie musiał dłużej czytać i nie wyceluje do mnie z broni, a mama i tata dotrą tutaj.

Rzuca laptopa w śnieg. Chcę przeczytać tweety, ale strzela do komputera raz za razem, a moja bransoletka wibruje, wibruje i wibruje, ręka mnie

mrowi, jakby miała być chora; a mój laptop to tysiące maleńkich kawałeczków, jak piegi na śniegu.

Myślę, że teraz mnie zastrzeli.

Odwraca się ode mnie.

Światło jego latarki robi się coraz mniejsze. Teraz to tylko maciupenka kropeczka, a po chwili w ogóle jej nie widać.

Poszedł!

Myślę, że zobaczył, że tweety są jak pióra plotki i że nigdy ich wszystkich nie zdoła pozbierać.

Nie mam już światła z laptopa. Nie mam żadnego światła.

Ciemna, ciemna czerń.

Myślę o nocy, która połyka wszystkie dni, i lubię tak myśleć, bo to jest jak wieloryb połykający kruką, a w środku ciemnego wieloryba jego serce i dusza to była dziewczyna, która tańczyła.

W moją stronę zbliża się światło, skacze w górę i opada w dół, bo ta osoba biegnie, i widzę mamę i tatę.

Tata pochyla się i obejmuje mnie, a mama zdejmuje grube rękawice i wkłada mi je na dłonie. Pod goglami ma zamrożone łzy. Dmucha ciepłym oddechem w rękawice na moich dłoniach.

Chcę im powiedzieć, że moje słowa były silniejsze niż jego kule.

I chcę im powiedzieć, że piskłeta lirogona wspaniałego i dzwonnika trójsoplowego dopilnują, żeby wszyscy się dowiedzieli o biednych ludziach w Anaktue i zwierzętach, i że sprowadzą nam pomoc.

W świetle latarki, którą trzyma tata, z nieba spadają białe płatki śniegu, i myślę, że te słowa, które napisali do mnie, nie są jak pióra, tylko jak płatki śniegu, i że docierają tu do nas, padając wokół.

Śnieg nie wydaje dźwięku, kiedy pada.

Czekamy tu we troje, blisko siebie, bez końca. Nad nami są gwiazdy i myślę o małych ptaszkach uczących się nieba, żeby wiedzieć, jak trafić do domu. Na niebie pojawia się małe nowe światło, jak powolna spadająca gwiazda, która zmierza w naszą stronę. Ale wiem, że nie ma czegoś takiego jak spadające gwiazdy.

Mama wciąż dmucha w moje rękawice, które wypełniają się wilgotnym

cieplem.

Zaczyna się poruszać kula śnieżna, potem jeszcze jedna, i jeszcze jedna;
spod śniegu wylaniają się zajęce. Kicają po białym puchu w ciemność.

Znów czuję palce i mam głos.



² William Szekspir, Król Lear, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

*To tutaj, w tej chwili zła, osiągamy
Ostatnią, najczystsza wiedzę dobra.*

Wallace Stevens
No possum, no sop, no taters,
tłum. Jan Kabat

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować wielu ludziom za to, że tak wspomniałomyślnie dzielili się ze mną swoją wiedzą (za wszelkie błędy ponoszę odpowiedzialność tylko ja). Oto oni:

Jacob Tompkins, ekspert hydrologii i dr med. z Waterwise, a także pełen pasji i genialny orędownik sprawy, jaką jest znaczenie czystej wody.

Jimmy Stotts, przewodniczący alaskiej filii Inuit Circumpolar Council.

Dr Sebastian Hendricks, konsultant w dziedzinie pediatrii audiologicznej (specjalista od zaburzeń słuchu i równowagi u dzieci).

Dr Amir Sam, starszy wykładowca Imperial College i konsultant w dziedzinie endokrynologii.

Dr Robert Scott, fizyk zatrudniony obecnie w UK Space Agency i Rutherford Appleton Laboratory's Earth and Atmospheric Science Division.

Gerry Gillespie, inżynier aeronautyki i dostarczyciel wspaniałych opowieści o maszynach.

James Holmes z Wildlife Information Center, Alaska Department of Fish and Game.

Jean Straus, dziennikarz i recenzent Action on Hearing Loss.

Zespół Farnham Astronomical Society.

Pragnę też wyrazić wdzięczność ludziom, którzy okazali kreatywną pomoc w pisaniu tej powieści.

Przede wszystkim Felicity Blunt z Curtis Brown, która stanowiła siłę napędową tej powieści. Nie powstałaby, gdyby nie jej twórczy krytycyzm, inteligencja i wnikliwość.

Słowa podziękowania kieruję też pod adresem Emmy Beswetherick i Davida Shelleya z Little, Brown Book Group za ich pasję i twórczą reakcję na książkę; to ogromna przyjemność pracować z nimi. Dziękuję również

Lindsay Sagnette z Crown Publishing. Na szczególną wdzięczność zasługuje niezwykła i wyjątkowa Alice Lutynes, moja audioagentka i krytyk.

Podziękowania, proszę, niech przyjmą również: Susan de Soissons z Little, Brown Book Group za wszystko, co zrobiła, by ta powieść ujrzała światło dzienne, Ceara Elliot za piękny i nastrojowy projekt okładki, i Kate Doran, Felice Howden, Clara Diaz i Poppy Stimpson; także Sandra Ferguson, Amber Burlinson i Rebecca Lee. Oraz Joannie Kramer za to, że wspaniałomyślnie pozwoliła mi poprawiać książkę do ostatniej chwili.

Na najszczerze słowa wdzięczności zasługują Deborah Schneider z Gelfman Schneider Literary Agents Inc., Vivienne Schuster i Kate Cooper z Curtis Brown, nie tylko za to, że są tak wspaniałymi agentkami, ale też za lekturę pierwszej wersji i cenne uwagi. Dziękuję też Emmie Herdman za jej pełną spokoju inteligencję i humor, bez względu na przeciwności losu.

Jennifer Wilson, Sara Talbot, Fabia Ma, Rachael Hum, Jenni McCann i cały zespół — dziękuję im za energię i entuzjizm. Na szczególne podziękowania zasługuje Ben Goddard i Sarah Shrubbs.

Podobnie jak Grace Menary-Winefield, Dominic Wakeford, Alex Silcox, Eva Papastratis i Ugonna Hosten.

A także moi przyjaciele, Nina Calabresi i Bob Oldshue, za to, że zapoznali mnie z poezją Wallace'a Stevensa w pięknej scenerii Maine.

Wreszcie (ale nie na samym końcu) Karin Lewiston, Anne-Marie Casey, Lynne Gagliano, Claire Merryweather, Claire Fuller, Maerisna Hole i moi rodzice, Kit i Jane Orde-Powlett, którym dziękuję za bezustanne wsparcie i za to, że kazali mi wychodzić z gabinetu, by zażyć przyjaźni i świeżego powietrza.

Cosmo i Joe, którzy zainspirowali dobroć i szczodrość Ruby, a także jej inteligencję. I, przede wszystkim mój nieustraszony i wspaniały mąż Martin za to, że dzielił ze mną przygodę na Alasce i długą podróż, jaką było napisanie tej powieści.

Wiele zawdzięczam książkom, artykułom, zdjęciom, filmom i stronom internetowym, zwłaszcza następującym:

William L. Iggiagruk Hensley, *Fifty Miles From Tomorrow: A Memoire of Alaska and the Real People* (New York: Sarah Crichton Books, 2009)

Debby Dahl Edwardson, *My Name Is Not Easy* (Skyscape, 2012)

Dan O'Neill, *The Firecracker Boys: H-bombs, Inupiat Eskimos and the Roots of the Enviromental Movement* (New York: BasicBooks; London: Perseus Running [distributor], 2008)

Nick Jans, *The Last Light Breaking: Living Among Alaska's Inupiat Eskimos* (Oregon: Alaska Northwest Books, 1993)

Bernd Heinrich, *The Homing Instinct: Meaning and Mystery in Animal Migration* (London: HarperCollins, 2014)

Sara Wheeler, *The Magnetic North: Notes from the Arctic Circle* (London: Jonathan Cape, 2009)

Pat Forgey, „Fracking” for oil likely to grow in Alaska (JuneauEmpire.com, 2012)

Margaret Kriz Hobson, *Shale Oil: Geologist's Alaska Gamble Could Turn into America's Next Big Shale Play*, *Energy Wire* (Washington: E & E Publishing, 2013)

Maureen Clark, „State considers checkpoints, restrictions on Dalton Highway traffic in response to attacks” (Penninsula Clarion, 2001)

Kyle Hopkins, „Frozen Lanslide Threatens to Devour Dalton Highway” („Alaska Dispatch News”, 2012)

Doug O'Harra, *On the Dalton Highway — Just How Bad Can It Get?* („Anchorage Daily News”, 2001)

Compendium of Scientific, Medical and Media Findings Demonstrating Risks and Harms of Fracking (unconventional gas and oil extraction) (Concerned Health Professionals of NY, 2014)

Alaska Native Villages Report 2012 (United States Enviromental Protection

Agency)

Wiele też zawdzięczam następującym stronom internetowym:

www.inupiaheritage.org

www.iccalaska.org

www.alaskacenters.gov

www.inuitcircumpolar.com

www.adfg.alaska.gov

dec.alaska.gov

www.nationalgeographic.com

www.worldwildlife.org/

www.ecowatch.com

www.handspeak.com

www.british-sign.co.uk

www.actiononhearinggloss.org.uk

www.ndcs.org.uk: The National Deaf Children's Society believes that every deaf child should be valued and included by society and have the same opportunities as any other child. For more information and advice do visit their website. (Narodowe Towarzystwo Dzieci Niesłyszących uważa, że wszystkie niesłyszące dzieci powinny być doceniane i znaleźć w społeczeństwie swoje miejsce, a także mieć takie same szanse jak każde inne dziecko. W celu uzyskania dalszych informacji odwiedź naszą stronę).

Pierwszym filmem dokumentalnym na temat frackingu, jaki widziałam, był *Gasland* Josha Foxa. Od tamtej pory zapoznałam się z wieloma artykułami, reportażami, wystąpieniami i blogami dotyczącymi szczelinowania hydraulicznego, ale *Gasland* zrobił na mnie największe wrażenie. The Sky is Pink Josha Foxa i jego *Gasland* można obejrzeć na Vimeo i YouTube.

Zdjęcia i materiały filmowe dotyczące niemal każdego kilometra Dalton Highway można obejrzeć w Google Earth i na YouTube. Jest też wiele blogów

prowadzonych przez kierowców, turystów i rowerzystów, którzy przemierzali tę trasę i zamieszczali swoje reportaże. Jestem wdzięczna im wszystkim za ich rzeczowy punkt widzenia.

Cenne były też następujące aplikacje:
British Sign Language Reference Dictionary
British Sign-Language finger-spelling

Jeśli chodzi o słownik języka inuickiego, wiele słów określających śnieg przywołuje na myśl krainę, gdzie mówi się tym językiem. Pierwszym jest *apiqammiaq*, co oznacza nowy śnieg, a potem są słowa określające różne jego rodzaje, na każdą niemal literę, ostatnie zaś to *uupkaagnaq* — zbity śnieg na wierzchu i miękki pod spodem. Słownik podaje też inuickie słowo *qailiaqsruk* — zmarszczka na wodzie, marszczyć, być poruszonym.